

Antoni Marczyński

**TAJEMNICE
WŁADCÓW ABISYNII**

Spis treści

Rozdział I
Rozdział II
Rozdział III
Rozdział IV
Rozdział V
Rozdział VI
Rozdział VII
Rozdział VIII
Rozdział IX
Rozdział X
Rozdział XI
Rozdział XII
Rozdział XIII
Rozdział XIV
Rozdział XV
Rozdział XVI
Rozdział XVII
Rozdział XVIII
Rozdział XIX
Rozdział XX
Rozdział XXI
Rozdział XXII
Rozdział XXIII
Rozdział XXIV
Rozdział XXV
Rozdział XXVI
Rozdział XXVII
Rozdział XXVIII
Rozdział XXIX
Rozdział XXX
Rozdział XXXI
Rozdział XXXII
Rozdział XXXIII
Rozdział XXXIV
Rozdział XXXV
Rozdział XXXVI
Rozdział XXXVII
Rozdział XXXVIII
Rozdział XXXIX

Rozdział XL

Opracowano na podstawie edycji Gebethnera i Wolffa, Warszawa 1936.

ROZDZIAŁ I

Dopiero po załatwieniu formalności paszportowych i sanitarnych pozwolono pasażerom wsiąść na ląd. Dochodziła godzina druga po południu, a napis na tablicy przypominał: *ODJAZD: 20:00*. Mieli więc sześć godzin... nie, tylko cztery, bo potem zapadnie zmrok. Rozpacz! Zaledwie cztery godziny na zwiedzenie miasta, w którym Aleksander Wielki, Cezar, Kleopatra, Antoniusz... och, tu muszą być też pamiątki po abukirskim meczu Napoleon contra Nelson⁽¹⁾!

Narzekając, zrzedząc, nawołując się nawzajem, podróżni opuszczali statek. Z wyżyn jego pokładów spłynęli trzema strugami na molo, gdzie od dawna huczało barwne i bardzo hałaśliwe morze: przewodnicy, przekupnie, agenci, tragarze, woźnice, wróżbici i tym podobni wydrwigrosze. Ludzie ci we wszystkich egzotycznych miastach są utrapieniem turystów, lecz równie bezczelnych natrętów jak w Egipcie nie ma nigdzie na świecie. Dopiero po zetknięciu się z nimi zaczyna człek rozumieć określenie z Biblii: plagi egipskie.

Nawet taki obieżyświat jak Clyde Eyston musiał skapitulować i prócz taksówki wziąć „autoryzowanego przewodnika”.

— Tylko nie waż mi się gadać, objaśniać, et cetera — wymówił sobie z góry — ja sam pokażę moim towarzyszom, co widzieć warto.

— Więc do czego nam guide potrzebny?

— Do odstraszenia innych przewodników. Gdy zobaczą, że chodzimy razem z Arabem, pozostawiają nas w spokoju. We względnym spokoju!

Tak też było, a Clyde okazał się dobrym cicerone. W ciągu niespełna czterech godzin pokazał swojej paczce wszystkie osobliwości Aleksandrii, nie wyłączając katakumb Kom esz-Szukafa, ani zaułków śmierdzącej cebulą dzielnicy Medinet esz-Sharqawiyya. Wymawianie tej nazwy tak bogatej w samogłoski na chwilę rozbawiło turystów, potem przypomnieli sobie swoje zmęczenie.

— Już chcecie odpocząć? — zdziwił się Clyde.

Choć najstarszy z całego grona, zdumiewająco wytrzymały i ruchliwy był ten grubasek, a upały znosił wprost świetnie.

— Pić, panie Eyston, albo zwięję wam na statek. Koło Placu Mohammed Ali, blisko giełdy, widziałem śliczną cukiernię. Czy to daleko stąd?

— Bynajmniej. Dziesięć minut, jeżeli...

— Nie wytrzymam tak długo. Muszę natychmiast napić się czegokolwiek, najchętniej zimnej wody. Wejdźmy do pierwszej lepszej knajpy.

Znaleźli nieopodal kawiarenkę arabską, gdzie Clyde zamówił dla wszystkich gorącą herbatę, dowodząc, że to najskuteczniej gasi pragnienie.

Zajęli stolik blisko wejścia, ale nie spoglądali na ciemną uliczkę; znacznie ciekawszy widok mieli tutaj, chociaż naftowa lampa zawieszona u pułapu słabo oświetlała tę dużą izbę. Oprócz nich byli tu sami tubylcy, sami mężczyźni, starzy i młodzi, jedni w fezach, ale po europejsku ubrani, inni po arabsku od stóp do głowy... pardon! za wyjątkiem bawełnianych skarpetek. Nad niedopitą filiżanką kawy siedzieli grając w warcaby lub gawędząc swoim

charczącym językiem i kłótliwym tonem. Siedzieli... Allachowi tylko wiadomo, od jak dawna, Allahowi i właścicielowi kawiarenki, lecz ten sędziwy, brodaty brudas nie grzeszył chciwością białych kelnerów, którzy pragną, by gość co kwadrans zamawiał najdroższą potrawę.

— Już państwo odchodzą? — zmartwił się, kiedy towarzystwo Eystona opuszczało lokal w godzinę później, po wypiciu samej tylko herbaty.

Podczas tej godziny rozegrały się tu wypadki, których wstrząsający ciąg dalszy miał nastąpić aż... **w Abisynii!**

Clyde Eyston oświadczył, że musi odejść na chwilę.

— Chcę coś kupić, a boję się, żeby mi sklepów nie zamknięto.

W jakiś czas po jego odejściu do kawiarenki weszło siedmiu Arabów nieco inaczej odzianych niż wszyscy ci, którzy już tutaj siedzieli. Na czele przybyłych kroczył szczupły, wysoki mężczyzna, odróżniający się od swoich kompanów zarówno kosztowniejszym strojem jak i zasłoną na twarzy.

— Es-salamu alejkum — zawołał, a głos miał spiżowy.

— Wa alejkum es-salam, wa rahmet allach, wa barakatuh! — odparł grzecznie gospodarz, ujrawszy snadź brylantową agrafę na džellabie⁽²⁾ przybyłego.

Przewodnik, któremu Clyde dotychczas robił „brudną” konkurencję, z zapalem tłumaczył turystom, że to, co odpowiedział gospodarz, znaczy: *Na was także niechaj spłynie szczęście i miłosierdzie boże i zbawienie*. Ale tak pięknie należy pozdrawiać tylko wiernych, muzułmanów; giaurowi⁽³⁾ musi wystarczyć krótkie: *naharak laban*, czyli: *niech twój dzień będzie jak mleko*.

— A dlaczego on ma twarz zasłoniętą?

Przewodnik sam także głowił się nad tym. Podobnych zasłon używają w głębi Sahary Tuaregowie, lecz oni noszą burnusy czarne lub niebieskie, podczas gdy selham tego przybysza jest śnieżnobiały. Hm, gdyby nie głos, można by sądzić, że to kobieta przebrana za mężczyznę.

— Podniósł zasłonę, podniósł! — zauważył ktoś szeptem.

Niewiele im z tego przyszło, gdyż nowo przybyli stanęli przy ladzie, tyłem zwróceni do drzwi.

Clyde Eyston powrócił wreszcie, niosąc fajkę niebywalej długości. Z humorem odmalował swoje targi przy kupowaniu tego „saksofonu”, a tymczasem rozmowa owych siedmiu Arabów stała się głośniejsza.

— Hani an ja, sidi! — zabrzmiało chórem w pewnym momencie.

— Temu, co wypił, życzą pomyślności — wyjaśnił przewodnik — tamten zaś powinien im odpowiedzieć uprzejmie: Allach jehannik.

Tak się też stało, lecz na dźwięk głosu owego *sidi*⁽⁴⁾, Clyde Eyston zerwał się na równe nogi.

— Ten szejk ma dzwon w gardle — wyraził się ktoś z jego grona.

— Jaki szejk?

Grubas odwrócił się na pięcie, dopiero teraz zauważył owych siedmiu, którzy nadeszli podczas jego nieobecności. Wpatrzony w nich zaczął iść ku nim powoli, potem skreślił, zachodził ich z boku.

— Po co on tam idzie, czy guzów szuka? Eyston, wróć pan!

Eyston postąpił jeszcze dwa kroki naprzód, nagle cofnął się z krzykiem, jakby ujrzał śmierć. Arabowie odwrócili głowy, w kawiarni nastąpiła cisza.

— Do stu tysięcy diabłów! — zaklął grubas, ochłonawszy snadź z pierwszego wrażenia.

— Dwa tygodnie temu byłem na jego grobie, a on żyje!!!

Wysoki, szczupły Arab, szybko opuścił zasłonę, niemniej jednak towarzysze Eystona

zdążyli przyjrzeć się jego pociągłej twarzy, opalonej na brąz, ocienionej dawno niegolonym zarostem, ale pomimo to dziwnie skądś znajomej.

— Nie poznajesz mnie?! — wrzasnął Clyde. — Och, nic dziwnego; widzieliśmy się ostatnio podczas wojny, a potem już nie miałem szczęścia — potrząsnął pięściami z wściekłością — nie miałem, niestety, aż dzisiaj! Więc żyjesz, wbrew załganym komunikatom oficjalnym, które nawet mnie wprowadziły w błąd. Żyjesz, ty... **lotrze!**

— Manisz fahim — odburknął tamten.

Grubas, zmieniony nie do poznania, zwrócił się w stronę swojego towarzystwa, przetłumaczył z sarkastycznym uśmiechem:

— Manisz fahim, znaczy *nie rozumiem*. Słyszycie?! Rodowity Anglik nagle nie rozumie po angielsku! Che, che, che, che... Ale nie szkodzi. Skoro zapomniał ojczystej mowy, wygarne mu coś do słuchu po arabsku. Trzeba się tylko upewnić, czy... Titkallim bil-arabi? — spytał z zabójczą uprzejmością.

— Na-am.

— Oczywiście! Powiedział *oczywiście* — szydził Eyston — a bałem się już, że i arabskiego języka zapomniał... na mój widok!

— Ruh min hina!

— Oho, teraz każe mi iść precz... Eeee, nie tak prędko, osławiony farysie; pierw musimy z sobą pogadać! O moich ziomkach, których na pustyni wymordowałeś! O studni przy naszym blokhauzie, którą kazałeś zasypać! O kobietach i dzieciach, które przez to powoli, w mękach konały! O podkopie pod... — mówił z tak oszłamiającą szybkością, że zachłysnął się w końcu, zakasłał.

— Ma barafaksz.

— *Nie znam cię*, powiada, che, che, che, che. Za to ja cię znam i poznam w piekle po głosie! Po oczach fałszywie uśmiechniętych! Po wężu, jakiego ci wytatuowano na prawym ramieniu! Obnaż to ramię...

Chwycił go za rękę, lecz tamci właśnie czekali na taką zaczepkę. Sześć par silnych łap spadło Eystonowi na kark, na ramiona i unieruchomiło go błyskawicznie. Tylko ich przywódca nie raczył go dotknąć. Ruchem godnym beja cisnął gospodarzowi jakąś monetę, wypowiedział pożegnalne pozdrowienie — fi amanillah — i skierował się ku drzwiom. Szedł powoli, dostojnym krokiem, z podniesioną głową, niby to nie widząc nikogo, ale przez szparę w owym azarze⁽⁵⁾, czyli kwefie, wysyłał czujne spojrzenia dokoła. Towarzyszom Eystona ani przez myśl nie przeszło, że ten człowiek w ciągu paru sekund zdążył zapamiętać sobie ich twarze na zawsze.

Równocześnie Clyde Eyston, przygwożdżony do miejsca, ryczał jak opętany, obrzucając odchodzącego Araba przezwiskami, wśród których tchórz, szpieg, morderca należały do łagodniejszych. Wreszcie, jak gdyby już wyładował swój zapas obelg lub zwątpił w ich skuteczność, zawołał:

— Spotkamy się jeszcze, panie **pulkowniku!**

Mężczyzna z zasłoną na twarzy drgnął, przystanął, odwrócił się gwałtownie, a chcąc czymś uzasadnić ten odruch, powiedział do swoich ludzi kilka słów w dialekcie, którego nawet przewodnik nie znał. Był to rozkaz rewizji. Błyskawicznie przeszukano grubasowi kieszenie, lecz skonfiskowano mu tylko rewolwer, po czym Eyston odzyskał wolność.

— Aha — krzyknął — boisz się, bratku. Bądź spokojny... na razie; nie jestem szaleńcem, nie myślę narażać się na więzienie.

Napastowany przez niego Arab wzruszył pogardliwie ramionami i wznowił swój majestatyczny pochód ku drzwiom. A grubas znów podniósł głos:

— Ale strzeż się spotkania ze mną tam, gdzie rządzi karabin i pięść! Tam, pułkowniku, będę cię piekł na wolnym ogniu.

Wówczas człowiek zwany przez Eystona pułkownikiem odwrócił się ponownie, już w progu, skinął głową i nagle przemówił po angielsku:

— Przyjąłem wyzwanie. Obawiam się jednak, że na roźnie znajdzie się właśnie pan!

⁽¹⁾ W r. 1798, podczas wyprawy egipskiej Bonapartego, w zatoce Abu Qir miała miejsce bitwa, zwana także bitwą u ujścia Nilu, w której Francuzi ponieśli klęskę.

⁽²⁾ dżelaba; galabija; selham; burnus – długi luźny strój arabski.

⁽³⁾ giaur – niewierny; niemuzułmanin.

⁽⁴⁾ *sidi* (ar.) – pan.

⁽⁵⁾ azar; kwef – zasłona kryjąca twarz.

ROZDZIAŁ II

Syrena okrętowa zawyła raz, ale długo. Pierwszy sygnał. Gdy przebrzmiał, na ciemnym pokładzie zastukały kroki damskich pantofelków.

— Hallo, panowie Gliwa, Miyazaki, Mongosza, jesteście tam jeszcze?

— Tak, pani Alicjo.

— Czy Eyston nareszcie wrócił?

— Nie.

— Ach, czemuż on pobiegł za tymi Arabami! Nie wyobrażacie sobie, jak bardzo niepokoję się, że on...

— Owszem, wyobrażam sobie. Eyston zawsze jest u pani w największych łaskach — westchnął zazdrośnie Gliwa.

— Co też pan wyplata! Tak samo, jak o niego, lękałabym się o każdego z was. Czyż nie jesteśmy przyjaciółmi?!

— Nie wiem — odparł szczerze Miyazaki — trudno mówić o przyjaźni, skoro znamy się dopiero od kilku dni...

Poznali się w okolicznościach dość niezwykłych. Było to nazajutrz po odjeździe statku z Marsylii. John Gliwa, wnuk emigranta polskiego, ale już stuprocentowy Jankeś zastanawiał się właśnie, jak spędzić popołudnie, gdy jeden ze stewardów doręczył mu mocno naperfumowany list.

— Od kogo?

— Od pięknej, młodej damy, sir.

Treść listu owej damy brzmiała następująco:

Panie!

Dzisiaj o godzinie 14-ej czytelnia powinna świecić pustkami. Możemy więc spotkać się tam swobodnie, o ile nie lęka się Pan przybyć na schadzkę z kobietą na razie nieznaną i trochę ekscentryczną, która jedzie tam, dokąd i Pan podąża... prawdopodobnie.

Ponieważ nie wygląda mi Pan na człowieka bojaźliwie unikającego kobiet i przygód, liczę z całą pewnością, iż stawi się Pan punktualnie!

A. R.

W swojej Ameryce takie zaproszenie John oddałby niezwłocznie policji, aby go wzięła w obronę przed tajemniczą szantażystką. Lecz tutaj sprawa nie przedstawiała się tak groźnie, nie miała cech zamierzonego wymuszenia, ale raczej miłosnej awanturki, a monotonia podróży morskiej uprawnia przecież do wszystkiego, co może przynieść nieco urozmaicenia. Krótko mówiąc, John postanowił udać się na schadzkę. Do godziny czternastej brakowało jeszcze pięciu minut, od czytelni dzieliły go tylko dwa piętra, więc pośpiech był zbyteczny.

Chociaż o tej porze odbywa się zwykle popołudniową drzemkę, na pokładzie roilo się od pasażerów. Ubrojeni w lornetki podziwiali ośnieżone szczyty gór Korsyki i wysepki rozsiane u

północnych brzegów Sardynii, gdyż statek płynął właśnie przez Cieśninę Bonifacio. Zagadkowa A. R. widocznie liczyła na to, skoro napisała, że *czytelnia powinna świecić pustkami*. John Gliwa zastał tam tylko dwóch mężczyzn siedzących w przeciwległych rogach sali-kajuty i spoglądających na siebie z jawną niechęcią, którą w dużej mierze usprawiedliwiał kontrast, jaki tworzyli z sobą. Bowiem jeden z nich był mocno podtatusiałym jegomościami, Europejczykiem, tęgim, łysawym blondynem, drugi zaś prawdopodobnie Negrem, wysokim, chudym młodzieńcem z wspaniałą szopą włosów, kędzierzawych i czarnych jak heban.

— Diabli was tu przynieśli — pomyślał John, zajmując miejsce w trzecim rogu sypialni. Pragnąc podkreślić, że nie przybył tutaj dla lektury wczorajszych dzienników czy magazynów, lecz w zgoła innym celu, wyjął otrzymany list i zaczął go wachać z błogą miną, zerkając raz po raz ku drzwiom.

Otworzyły się wreszcie, ale zamiast oczekiwanej piękności stanął w nich niski, szczupły, skośnooki człowieczek. Skinieniem głowy pozdrowił obecnych, potem skierował się w stronę czwartego rogu kajuty, przystanął jednak w połowie drogi i parsknął śmiechem.

— Bardzo przepraszam — zwrócił się do Johna — czy wonny liścik, jaki pan trzyma w dłoni, jest również podpisany inicjałami: *a, er*?

— Co? Jak?! — krzyknął łysawy blondyn, szukając czegoś po kieszeniach. — Inicjały: *a, er*? Do stu piorunów, ja także dostałem coś takiego!

Okazało się, że wszyscy czterej otrzymali prawie równocześnie listy identycznej treści. Japończyka bawiło to ogromnie, chichotał bez przerwy. John choć uśmiechał się z przymusem, miał zawiedzioną minę, Czarny trochę głupawą, tylko ów podtatusiały blondyn pieniał się z gniewu.

— Zakpiono sobie ze mnie, ale ja sprawcę znajdę i...

— To nie będzie rzeczą trudną — zabrzmiał miły głosik kobiecy.

Odwrócili się jak na komendę, bowiem przed chwilą skupili się koło okna, by przeprowadzić „studia grafologiczne” przy dobrym świetle. W drzwiach stała bardzo urodziwa niewiasta, ubrana z szykiem zamożnej paryżanki. John odruchowo poprawił sobie krawat, Japończyk pochylił głowę w ukłonie, Czarny cmoknął z zachwytem, za to senior grona nasrożył się jeszcze więcej.

— Czy to pani rozesłała nam taki okólnik? — spytał.

— Ja.

— W jakim celu?

— Żeby panów poznać.

— Dlaczego właśnie nas, a nie...

— Ponieważ — przerwała mu — jak mi powiedział chief-steward, spośród wszystkich pasażerów pierwszej klasy, tylko wy czterej wysiadacie w Dżibuti, czyli jedziecie tam, dokąd i ja. Czy więc należy się dziwić, że samotnie podróżująca kobieta pragnie zapewnić sobie opiekę w drodze do tajemniczej i groźnej Abisynii?⁽¹⁾

— Pani także do Abisynii? — John rozpromienił się z radości.

— Tak — odparła, po czym z czarującym uśmiechem zwróciła się znowu do najstarszego z nich. — Czy wysoki trybunał pozwoli oskarżonej usiąść? Ale może pierw trzeba podać generalia?

Służę. Nazywam się Alicja Rendell, bezdzietna wdowa, lat: dwadzieścia sześć, zawód: rentierka⁽²⁾, narodowość...

— Wystarczy, wystarczy, pani pozwoli, jestem Clyde Eyston.

— Gliwa... John Gliwa. Bardzo mi przyjemnie poznać panią.

— Pani żart wprawił mnie w zachwyt. Nazywam się Syozo Miyazaki.

— A ja, Salomon Mongosza — przedstawił się Czarny i, chcąc wzorem tamtych dodać jakiś komplement, oświadczył całkiem poważnie — skoro pani jest wdową, mogę ożenić się z panią, jeśli mi rodzic pozwoli.

— Miejmy nadzieję, że nie pozwoli — odparła Alicja rozbawiona tą ofertą.

Tak poznała się ta piątka, w której od razu zaznaczył się „prymat” Eystona. Ten leciwy grubasek był urodzonym despota. Z Abisyńczyka Mongoszy zrobił sobie coś w rodzaju sekretarza; Japończyka ciągłymi drwinami zmusił do wydatnego skrócenia „chińskich” paznokci, a dowiedziawszy się, że u Gliwy drugie łóżko jest wolne, przeniósł się bez pytania do jego kabiny, jako podobno wygodniejszej. Nie oszczędzał również Alicji.

— Dlaczego pani farbuje sobie włosy? — spytał na przykład. — Przecież już po oczach poznać, że pani jest de facto brunetką.

Pomimo to znosili jego tyranie, gdyż Eyston mógł im oddać wiele usług w Abisynii, w której ongiś mieszkał przez rok. W ogóle gdzie on nie był, czego nie widział! I znał się na wszystkim, nawet na archeologii, czego dowiódł chociażby dzisiaj, podczas wspólnego zwiedzania Aleksandrii. Ich arabski cicerone, zawodowy przewodnik, aż gębę rozdziawiał, słuchając jego fachowych uwag, a potem na uboczu zapytał Gliwę, czy jego *tlusty przyjaciel* nie jest przypadkowo sławnym *profesorem od wykopalisk*. Uśmieiali się z tego, postanowili tak właśnie tytułować Eystona, przygotowali już dla niego wesołą „archeologiczną” niespodziankę, tymczasem zanosilo się obecnie na to, że grubas spóźni się na statek.

Syrena ryknęła przeraźliwie dwa razy. Drugi sygnał. Na molo zajeżdżały taksówki ostatnich pasażerów, trapy dudniły pod ich szybkimi krokami, a każdego wchodzącego na dolny pokład środkowy sumiennie „nicowały” spojrzenia pozostałych czterech członków *kółka abisyńskiego*. Lecz na próżno.

— Nie przyjechał — stwierdziła Alicja, kiedy ostatni z maruderów wszedł w strefę światła lamp.

Równocześnie zagęzał gong wzywający do jadalni na obiad, który dzisiaj, z powodu postoju statku, podano o godzinę później niż zwykle.

— Gong, słyszycie? A ja jeszcze nie w smokingu! — jęknął John Gliwa i popędził na dół, do swojej kabiny.

Tamci troje pozostali na posterunku, gdyż przebrali się w wieczorowy strój zaraz po powrocie z wycieczki.

— Pani z pewnością musi być bardzo głodna — rzekł nieśmiało Mongosza, wzdychając do obiadu; apetyt miał wilczy zawsze, od rana do nocy.

— Jedzie jeszcze jedna taksówka. To na pewno on!

Nie, to nie był Eyston, lecz jakiś pasażer drugiej klasy. Zaledwie wszedł na statek, zaczęto ściągać trapy, a czterech Negrów ustawiło się przy żelaznych pachołkach trzymających cumy i szpringi; czekali na gwizdek.

— Lada chwila odbijemy od brzegu — mruknął Miyazaki.

Wtem rozległ się tętent szybkich kroków na pokładzie; ktoś biegł w tę stronę co tchu.

— Pani Alicjo! — W ciemnościach usłyszeli głos Johna. — Eyston wysiadł!

— Przecież w ogóle nie wsiadł, a pan mówi...

— Powtarzam, com słyszał od naszego stewarda, którego przywołałem, zauważywszy w kabinie brak waliz Eystona. Otóż Clyde postanowił zostać w Aleksandrii...

— Tak nagle? Nic nam nie wspominał o zamiarze... Nie, nie uwierzę w to. Zresztą, jak mógł wysiąść, skoro w ogóle nie wrócił na statek? I skąd steward wie, że on zdecydował się

zostać w Egipcie?

— Gdyż własnoręcznie pakował rzeczy Eystona i wydał je Arabom, którzy przynieśli jego bilet z miasta.

— Arabom! Panowie, czy wobec awantury, w jaką biedny Clyde wdał się dziś niepotrzebnie, historia z tym biletem i z Arabami nie wygląda wam podejrzanie?

— Nawet bardzo — przyznał teraz Gliwa. — Nie ulega wątpliwości, że Eystona zwabiono w zasadzkę. A po walizy posłano w tym celu, aby kapitan statku nie zaalarmował policji, że jeden pasażer nie...

— Za to my zaalarmujemy wszystkich! — wtrąciła energicznie Alicja.

Chciała jeszcze coś dodać, ale dalsze słowa zagłuszył trzykrotny ryk syreny. Ostatni sygnał. Statek już odbijał od brzegu.

— Za późno! — rzekł Salomon Mongosza, ale w jego intonacji to zwykle przesmutne słowo zabrzmiało prawie radośnie.

⁽¹⁾ Abisynia – dawna nazwa Etiopii wywodząca się najprawdopodobniej od nazwy plemienia Habesz, które przywędrowało do Afryki przypuszczalnie jeszcze przed naszą erą. Uważa się, iż jedną z przyczyn, dla których Etiopczycy zrezygnowali z nazwy Abisynia i wprowadzili nową (Etiopia) jest pogardliwe znaczenie formy *habesz* w języku arabskim, oznaczające mieszańca, włóczykija. Słowo to było używane w okresach waśni przez mieszkańców w kraju wyznawców islamu na określenie chrześcijan. Starą nazwę Abisynia zastąpiono formą Etiopia, występującą m.in. w tekstach biblijnych, gdzie nazwą tą opatrywany jest ten właśnie afrykański kraj. Wyraz Etiopia wywodzi się z greckiego *aithiopes*, tj. brunatne twarze. Mianem tym greccy podróżnicy określali ludy zamieszkujące obszar północno-wschodniej Afryki (tj. Sudan, Nubię oraz Etiopię). Ponieważ nazwa ta występuje w oryginalnych tekstach biblijnych pisanych greką, została ona zaakceptowana jako oficjalna nazwa państwa.

⁽²⁾ rentier (fr.) – osoba utrzymująca się z dochodów płynących od posiadanego kapitału, nieruchomości, odsetek od akcji, obligacji lub wkładów bankowych.

ROZDZIAŁ III

Kapitan statku odniósł się bardzo sceptycznie do hipotezy uprowadzenia Eystona przez Arabów. Ani w Sudanie nie wydarzają się już takie historie, dowodził, a cóż dopiero w Dolnym Egipcie, zwłaszcza zaś w Aleksandrii. Nonsens. Zresztą jest tu karta wizytowa pana Eystona, na której własnoręcznie...

— Skąd pan kapitan wie, że to on pisał? — wtrąciła Alicja. — Próbki pisma Eystona przecież nie posiadamy, wobec czego muszę nadal utrzymywać, iż prośbę o wydanie walizek napisali ci, którzy zwabili go w zasadzkę!

— A skąd pani wie, że jego ktoś zwabił w zasadzkę? — spytał nawzajem wilk morski, po czym w sposób nieco uszczypliwy dał jej do zrozumienia, iż rozwiązywanie detektywistycznych zagadek nie wchodziło dotychczas w zakres funkcji komendanta statku. — Od tego są władze bezpieczeństwa, do których może pani zwrócić się jutro rano w Port Saidzie.

Tak też Alicja uczyniła, dobrawszy sobie na towarzysza Johna Gliwę. Przyjął ich jakiś komisarz policji egipskiej, zeuropeizowany tubylec, weteran z wojny światowej, jak o tym świadczyły wstążeczki licznych odznaczeń za waleczność. Nosił je nawet na co dzień, a minę miał dostojną niczym stary kamerdyner Franciszka Józefa I. Wysłuchawszy sprawozdania Alicji, powiedział jej kubek w kubek to samo, co kapitan statku, niemniej jednak raczył sobie zanotować nazwisko zaginionego.

— Aha, jeszcze jedno; czy pani przypadkowo nie posiada jakiej fotografii pana Eystona?

— Owszem, mam kilka i przyniosłam ze sobą w przewidywaniu, że mogą być panom potrzebne.

Rzekłszy to, wyjęła z torebki plik małych fotografii; odbitki były nierówno obcięte, ale zdjęcia bardzo ostre, świetne jak na amatorską robotę. Przedstawiały one Eystona i pozostałych członków *kółka abisyńskiego* na leżakach, przy burcie statku, pod kominem, na tle szalupy itd.

— Ogromnie lubię fotografować.

— Widzę to, widzę, lecz oczywiście nie zabiorę całej kolekcji. Wystarczy mi zupełnie... — urwał w pół zdania, przysunął bliżej ku oczom odbitkę, jaką z kolei oglądał i szybko wydobyl z szuflady lupę. — Zdumiewające podobieństwo! — zamruczał po chwili.

Komisarz był czymś tak zelektryzowany, że wypadł z roli napuszonego dygnitarza. Żwawo podbiegł do okna i tam przez szkło powiększające zaczął szczegółowo oglądać wszystkie zdjęcia. W końcu wybrał sobie jedno, snadź najwyraźniejsze, podszedł z nim do Alicji i zapytał o nazwisko *osobnika* (tak się wyraził) stojącego na fotografii między Miyazakim a czarnym Mongoszą,

— To właśnie pan Clyde Eyston — odparła.

— A-haaaa!! Proszę mi podać dokładny rysopis tego... pana.

Uczynili zadość jego życzeniu, a ich zdziwienie rosło z każdą chwilą, bowiem komisarz potakiwał wciąż i zacierał dłonie z taką miną, jak gdyby nareszcie wpadł na trop najniebezpieczniejszego pod słońcem przestępcy.

— Wynika stąd — wywnioskował, powróciwszy na swój fotel — że pani znajomy w ostatnich latach przytył, wyłysiał, lecz poza tym rysopis zgadza się na milimetr... Jednakże

bądźmy skrupulatni; czy nie zauważyła pani u niego długiej, ukośnej blizny nisko przy plecach?

— Jak pan śmie! — oburzyła się. — Pan sądzi, że on był moim...

— Ouuu, przepraszam, bardzo przepraszam.

John Gliwaomal nie parsknął śmiechem na widok zakłopotania komisarza, który tak niefortunnie wyrwał się z tymi plecami.

— Trudno żądać, aby wszyscy dostrzegli bliznę znajdującą się w takim miejscu — dokuczył mu — natomiast ja widziałem ją kilka razy, gdyż Eyston ostatnio przeniósł się do mojej kabiny. Raz też zapytałem, kto go tak nazaczył. Odparł, iż doznał upadku przy braniu trudnej przeszkody.

— Świetnie! Kapitalna przenośnia! Istotnie, doznał upadku, a przeszkoda nie należała do łatwych — tu komisarz odruchowo pogłaskał dłoń wstążeczki swoich orderów i zapatrzył się w okno. — Tylko taki ryzykant jak on mógł się ważyć na podobne zuchwalstwo — ciągnął dalej w zamyśleniu. — A teraz znów to niebezpieczne indyw... mmm, tak — zreflektował się, że nie jest tutaj sam. — Dokąd to rzekomo wybierał się pan Eyston?

— Podobnie jak my, do Abisynii.

— Jednakże wysiadł w Aleksandrii!

— Nie wiemy, czy wysiadł, czy też go porwano i...

— Eeee, proszę pani, nasza spokojna Aleksandria to nie Chicago i nie zaginęło nam dziecko, lecz dorosły mężczyzna, kuty na cztery nogi wyga, za którego głowę ongiś... no, to już do rzeczy nie należy.

— Owszem. Radzi byśmy dowiedzieć się, kim był właściwie nasz towarzysz podróży. Mimowolnie dostarczyliśmy panu tyle cennych wiadomości, że chociażby tytułem rewanżu powinien pan...

— Co powinienem, co jest moim obowiązkiem, sam wiem dobrze, — obruszył się komisarz i znowu przybrał minę dygnitarza. — Nie zaprzeczam, iż oddaliście państwo dużą przysługę mojemu krajowi, i za to wam serdecznie dziękuję, lecz o człowieku, który teraz przybrał sobie nazwisko *Clyde 'a Eystona* nic więcej powiedzieć nie mogę.

— Ale choćby to jedno chciałabym wiedzieć, czy on ma na sumieniu jakie zbrodnie. Niech pan zrozumie, byliśmy razem przez pięć dni i...

— Rozumiem... Hm, zadała mi pani trudne pytanie. Bo to, co w czasie pokoju jest zbrodnią, podczas wojny stanowi dowód męstwa — tu komisarz znów zerknął z czułością na swoje wstążeczki — a ja znam tylko wojenne wyczyny rzekomego Eystona. Lecz znam także jego burzliwy temperament i dlatego pozwalam sobie wątpić, czy z chwilą zawarcia pokoju ten rozhukany strumień górski zdołał zmienić się od razu w ciche stawek.

Po tak wschodnim porównaniu nastąpiła całkiem prozaiczna reasumpcja:

— W każdym razie jest to człowiek zdolny do wszystkiego!

Powróciwszy na statek, Alicja powtórzyła przebieg tej rozmowy Mongoszy i Japończykowi, który na poczekaniu zaczął rozwiązywać zagadkę *eystonowską*. Rozumował w ten sposób: Eyston nie może być Anglikiem, skoro walczył przeciwko oddziałowi wojsk anglo-egipskich, w którym służył ów dzisiejszy komisarz policji. A wczoraj, w Aleksandrii Eyston odnalazł swojego dawnego wroga w osobie przebranego po arabsku Anglika. Wspomniał też podczas tego zajścia o jakichś rodakach zgładzonych przez tamtego na pustyni. Zatem Eyston walczył gdzieś w tych stronach, na półwyspie Synaj czy w Arabii i jest albo Turkiem, albo Niemcem, a raczej to drugie.

— Zastanówmy się z kolei — ciągnął dalej Miyazaki — w jakim on charakterze bawił tu wtedy.

— Był oficerem kawalerii — przypuszczała Alicja.

— W zasadzie możliwe, ale... hm, ów komisarz wygadał się podobno, że za schwytanie Eystona była wyznaczona nagroda. I na pewno nie byłaby pana komisarza zaniepokoiła wiadomość, że jakiś niemiecki eks-oficer kawalerii wylądował wczoraj w Aleksandrii.

— Zatem Eyston był?...

— Albo emisariuszem podjudzającym Arabów przeciwko Anglikom, albo po prostu... szpiegiem.

Statek wyruszył w dalszą drogę. Pomnik Ferdynanda de Lessepsa, twórcy Kanału Sueskiego, dawno już zniknął w oddali, a ci czworo wciąż jeszcze mówili o Eystonie, snując przeróżne domysły na temat jego przeszłości. Przyczyniło się do tego opowiadanie kapitana statku, który od niepamiętnych lat odbywał rejsy na szlaku Marsylia–Dżibuti–Madagaskar i z powrotem.

Zaraz za Port Saidem większość pasażerów przeszła na lewą stronę statku, tak zwykle bywa; w tej części Kanału Sueskiego azjatycki brzeg jest ciekawszy niż afrykański, który pozbawiła egzotyizmu linia kolejowa, biegnąca równoległe do prostej jak strzelił strugi Kanału. Na wschodnim brzegu prowadzono właśnie jakieś roboty, olbrzymie karawany wielbłądów wędrowały w głąb łądu, odnosząc w workach zabrany stąd piasek, na pływakach siedziały kormorany, wśród moczarów brodziły stada flamingów i pelikanów, słowem, było na co patrzeć. Lecz później, koło wioski El-Kantara malowniczość panoramy zakłóciły smutne pamiątki: zasieki, resztki okopów i spory cmentarz wojenny.

— Jak to, w tych stronach walczone również? — zdziwił się ktoś.

— Oczywiście — odparł kapitan statku, po czym treściwie opisał wypadki, jakie rozegrały się na froncie turecko-angielskim w drugim i trzecim roku wojny światowej.

Jak wiadomo, w Mezopotamii, w listopadzie 1915 roku Anglicy ponieśli klęskę pod Ktezyfonem (na południe od Bagdadu) a spychani wciąż ku Zatoce Perskiej, musieli złożyć broń pod Kut el-Amara. Za to w Palestynie nie wiodło się Turkom; ich liczne ofensywy zmierzające do opanowania Kanału Sueskiego załamały się jedna po drugiej. Wielka Brytania postanowiła bronić za wszelką cenę swej najkrótszej drogi do Indii, lecz w pewnej chwili omal nie doszło do katastrofy...

— Było coś takiego, było — wymamrotał Syozo Miyazaki, który wraz z resztą *kółka abisyńskiego* przyłączył się do słuchaczy kapitana.

— Znalazł się pewien oficer niemiecki, który ze szwadronem spahisów⁽¹⁾ i z okazałym zapasem materiałów wybuchowych przedarł się nocą przez linie wojsk anglo-egipskich w południowej Palestynie. Los tych szaleńców był z góry przesądzony, niemniej straszliwe widmo zakorkowania Kanału Sueskiego zawisło nad Anglikami. Z największym trudem zdążyli zabezpieczyć go przed zamachem ze strony zuchwałego Bosza⁽²⁾ i...

— ...i to są właśnie resztki tych fortyfikacji — tu kapitan wskazał ręką w stronę El-Kantara.

— A co stało się z Niemcem?

Kapitan nie wiedział. Przez długie tygodnie polowano na owych spahisów po całym półwyspie Synaj, wyłowiono ich lub wybito do nogi, tylko przywódca uciekł. Podobno zbiegł do Arabii, gdzie znów dużo krwi napsuł jeszcze głośniejszemu awanturnikowi, Lawrence'owi⁽³⁾ i sprzymierzonym z nim szejkom. Ale co potem stało się z tym Niemcem i jak brzmiało jego nazwisko, tego narrator już nie wiedział.

— Czy nie wydaje się wam, moi drodzy — rzekła Alicja — że ów oficer i Clyde Eyston są jedną i tą samą osobą.

— Tak wolno nam przypuszczać, lecz pewności nie mamy.

— Nie mamy?! A czyż to, co dziś powiedział komisarz policji egipskiej nie potwierdza moich przypuszczeń? O, ja od początku przeczuwałam, że Eyston ma za sobą bardzo burzliwą przeszłość.

— Cieszymy się wobec tego — Miyazaki chciał już nareszcie zamknąć dyskusję o Eystonie — iż tak niebezpieczny pasażer zszedł ze statku...

Okazało się jednak, że na statku jest jeszcze inny pasażer z gatunku niebezpiecznych.

W jakiś czas po tej rozmowie, gdy statek minął El-Kantarę i poza wyschlým jeziorem Ballah ukazał się skrawek prawdziwej pustyni, John Gliwa pospieszył do swej kabiny po lornetkę. Nie wracał długo, bardzo długo, nawet do jadalni nie przyszedł na podwieczorek, aż zaniepokojeni tą nieobecnością, wyruszyli gremialnie w głąb statku. Steward mający dyżur w „portierni” podał im numer kabiny Johna. Jej drzwi zastał zamknięte, ale klucz tkwił w zamku od zewnątrz.

— To mi wygląda podejrzanie!

Bez pukania uchylili drzwi i od razu poczuli mdłą woń jak gdyby eteru. W kabinie było ciemno, a kiedy zapalili światło, ujrzeli swojego towarzysza na łóżku; leżał tam związany jak baran, nie dając znaku życia.

⁽¹⁾ spahisi; sipajowie – tu: żołnierze konni.

⁽²⁾ Bosz – francuska pogardliwa nazwa Niemca.

⁽³⁾ Thomas Edward Lawrence (1888-1935) – brytyjski archeolog, podróżnik, wojskowy i agent wywiadu. Znany jako Lawrence z Arabii.

ROZDZIAŁ IV

— Powietrza! Odemknąć iluminator! — Salomon Mongosza, student medycyny, uznał od razu, że teraz komenda należy do niego. — Drzwi na oścież!

— Trzeba zawiadomić kapitana.

— Niech pani zawiadomi, nie mam nic przeciwko temu.

Gdy Alicja powróciła z kapitanem i z lekarzem okrętowym, ocucony już John mówił właśnie słabym, rwącym się głosem:

— ...i ledwie wszedłem, palnęło mnie coś w głowę... zamroczyło... nic... nic więcej nie... pamiętam.

— Rozumiem — mruknął Miyazaki. — Posłyszawszy zgrzyt klucza w zamku, złodziej zrozumiał, że odcięto mu drogę, stanął... o, gdzieś tutaj i wchodzącego pana Gliwę ogłuszył ciosem w głowę, a potem związał go i na wszelki wypadek odurzył narkotykiem.

Lekarz z Mongoszą zaczęli spierać się zaraz, jakiego środka użył przestępca do tej narkozy, lecz kapitana interesował więcej cel napadu.

— Czy złodziej ukradł panu pieniądze lub biżuterię?

Sprawdzono najdokładniej i stwierdzono, że nie brakuje absolutnie nic. Niczego ów tajemniczy drab nie zabrał, za to zawartość waliz przewrócił do góry nogami. O co mu więc chodziło, za czym węszył tak zawzięcie, że nawet podeszwy od grubych turystycznych trzewików poodrywał?!

A dokładnie to samo spotkało garderobę Japończyka Miyazakiego oraz Alicji Rendell nazajutrz, gdy statek, minąwszy już Suez, pruł fale Morza Czerwonego. Alicja na widok spustoszenia szalała z gniewu, Syozo Miyazaki uśmiechał się po dawnemu, jego niełatwo było wytrącić z równowagi ducha.

— Wynika stąd niezbiecie — rzekł tylko — iż *wandal-nieznany* wziął się jedynie na nasze kółko abisyńskie. Strzeż się pan, panie Mongosza, teraz kolej na pana.

— Wiem o tym i dlatego trzymam walizki otwarte, żeby mi ich nie rozpruł, jak wam. A poza tym... ech, nie warto mówić.

— Niechże pan powie.

— Nie ma głupich. Pan powtórzy pani Alicji, która będzie kpić ze...

— Nie powtórzę, daję słowo.

— Więc powiem, ale tylko panu. Wiozę ojcu prezent, który go najbardziej ucieszy. Bo, widzi pan, w naszej wiosce jest moc szczurów i...

— Aha, kupił pan łapkę na szczury.

— Nie jedną. Pięć!... Otóż umieściłem je w na pół opróżnionych walizach z naciągniętymi sprężynami tak, że jeśli złodziej wsunie tam rękę, to łapka trzask! i po palcach...

Nie wiadomo, czy złodziej przeczuł tę zasadzkę, czy odstraszyły go ostre zarządzenia kapitana, dość, że na razie nie złożył wizyty w kabinie Mongoszy.

— Wynika stąd niezbiecie — zaczął znów Miyazaki, lecz tym razem powtrzymał się od głośnego wyrażenia swojego poglądu.

Tymczasem statek zbliżał się do cieśniny Bab el-Mandeb. Upały poczawszy od Suezu

wzrastały z każdym dniem, aż zda się do zenitu doszły wówczas, gdy znaleźli się na wysokości Erytrei.

— Nie zazdroszczę Włochom — rzekł w pewnej chwili John, ocierając rześisty pot z czoła — ale niech cierpią, skoro zachciewa się im cudzego.

Zdanie to, wypowiedziane głośno w barze, wywołało żywe protesty ze strony obecnego tam włoskiego małżeństwa. John Gliwa łagodny pacyfista byłby był w ogóle nie doszedł do głosu, gdyby nie odsiecz Salomona Mongoszy. Wywiązała się z tego zaciekle dyskusja polityczna, w której, mimo usilnych starań Johna, ani Alicja, ani Miyazaki nie chcieli wziąć udziału.

— Japonia pragnie zachować neutralność w tym sporze.

— Francja również.

Choć oboje się wykręcali sianem, niejednako to wychodziło. Stale przyklejony do warg „chroniczny” uśmieszek Japończyka tworzył niezawodną zasłonę dla jego myśli, uczuć, zapatrywań, natomiast Alicja nie umiała maskować się należycie. Wzburzenie rozsadzało ją wprost, a kurczowo zaciśnięte usta świadczyły, że ona nie dowierza sobie, że lęka się, by mimowolnie nie palnąć czegoś, co pozwoliłoby poznać słuchaczom, po czyjej stronie jest jej sympatia, po włoskiej, czy abisyńskiej.

Tymczasem włoszka, chcąc ostatecznie pognać Mongoszę, zasypała go pytaniami o niektóre zwyczaje w jego ojczyźnie.

— Czy to prawda, że u was zabójcę prowadzi się do państwowej strzelnicy, gdzie rodzina zabitego strzela doń aż do skutku?

— O, przepraszam! Tylko raz wolno do niego wystrzelić, a samo wykonanie egzekucji jest bardzo humanitarne; skazańca przywiązuje się do tarczy, karabin zaś, doskonale wymierzony, jest przymocowany do podpórki. Wystarczy, że delegat pokrzywdzonej rodziny pociągnie za cyngiel.

— Ja słyszałam coś innego, lecz niech i tak będzie. Czy to prawda, zapytuję z kolei, że u was złodziejowi obcinają ręce i nogi...

— Rękę albo nogę. Albo! I nie za kradzież, tylko za rozbój, za obrazę cesarza i za zdradę. To różnica.

— Jeszcze nie skończyłam! Otóż obcinacie członki, smażycie je na maśle w oczach delikwenta i potem dajecie je mu w prezencie!

— A tak. Żeby później mogły być pochowane w grobie przy nim i żeby nie musiał ich szukać na Sądzie Ostatecznym. Tak, proszę pani. My dbamy o duszę nawet zbrodniarza.

— I czy to nie są barbarzyńcy?! — wrzasnęła Włoszka, po czym dopadła uśmiechającego się Japończyka, schwyciła go za guzik marynarki. — Zwracam się do pana. Czy po tym, co słyszeliśmy teraz, nie powie pan jeszcze, że oni...

— Tak, signora, niewątpliwie tak — wymamrotał zaskoczony jej obcesowością — nad zbrodniarzem również znęcać się nie wolno... Ale — cofnął się przezornie — ale czyż stokroć większymi barbarzyńcami nie są ci, którzy pastwią się nad niewinnymi? Nad starcami kobietami, nad dziećmi? Mam na myśli, — skłonił się obecnym — was, **Białych!** Czyż gazy trujące i...

— Pan śmie twierdzić, że my jesteśmy barbarz...

— Bynajmniej nie stwierdziłem, ja tylko **zapytałem!**... I czekam na pani obiektywną odpowiedź.

Doczekał się kilku impertynencji, więc co prędzej uciekł z baru.

— Żółta małpa — posłyszał jeszcze. — A oni w Chinach, co robią?

Wieczór był niewypowiedzianie duszny. John Gliwa, zapamiętały tancerz, nie chciał

zrezygnować z codziennej dawki tang, foksov, bostonów, ale po kwadransie dał za wygraną, gdyż ze sztywnego kołnierzyka zrobiło mu się coś w rodzaju skarpetki wyjętej z balii. Jednogłośnie uchwalono nocować na pokładzie; w kabinach pomimo elektrycznych wentylatorów panowała podobna atmosfera jak w piecu chlebowym.

— Gorsza! — twierdził Miyazaki, najmniej z całego grona wytrzymały na gorąco. — W piecu przynajmniej nie śmierdzi lakierem, a tu... och.

Około północy ujrzeli wybliski pierwszej latarni morskiej z wysepek Perim. Potem zaś, gdy statek minął cieśninę Bab el-Mandeb i wszedł do Zatoki Adeńskiej, wiatr od Oceanu Indyjskiego nieco ochłodził powietrze. Lecz o spaniu nadal nie było mowy; krótka, złośliwa fala wywołała taką chwiejbę, że leżaki zaczęły „jeździć”. Salomon Mongosza postanowił przeprosić się z kabiną. Odszedł i niebawem przybiegł na powrót, mocno wzburzony.

— Złodziej był u mnie! — oznajmił swoim towarzyszom.

— Skąd pan wie?

— Wszystko poprzewracane, a jedna łapka zniknęła.

— Jaka łapka? — spytała Alicja.

— Nie mogę powiedzieć, jestem związany słowem — odparł rozbawiany Japończyk. — A swoją drogą, moja hipoteza upadła. Bo sądziłem, teraz wam to mogę wyznać, iż zagadkowym figlarzem jest ktoś z wywiadu abisyńskiego. Taki jegomość miał prawo nie wierzyć, że pani jedzie do brata, że pan Gliwa jest dyplomata, a ja skromnym kupcem. Lecz taki jegomość nie podejrzewałby o wrogie zamiary wobec swej ojczyzny rodowitego Abisyńczyka, patrioty, syna bohatera spod...

— Wnuka, panie Miyazaki — poprawił go młodzieniec — to mój dziadek, nie ojciec, walczył z Włochami zwycięsko.

Historię owych walk Salomon opowiadał im kilka razy, przemilczając zapewne przez dyskrecję, że w końcu jego sławny dziadek, Ras Mongosza, dostał niemniej sławne lanie od generała Baratieriego, którego znów w rok później Abisyńczycy pobili na głowę pod Aduą.

— Więc kto, u licha, interesuje się zawartością naszych waliz?

— Hm, według mojej najnowszej hipotezy, te wypadki mają jakiś bliski związek ze zniknięciem Eystona — odrzekł Miyazaki. — Bo przecież aż do Aleksandrii nie wydarzyło się nam nic podobnego, prawda?

O wschodzie słońca statek zarzucił kotwicę naprzeciw Dżibuti, w odległości mili morskiej od przystani. Wyłynęła mu naprzeciw cała zgraja młodziutkich Somalijczyków popisujących się nurkowaniem za rzucanymi z pokładów pieniędzmi i chwytaniem ich w zęby... pod wodą! Dla pasażerów jadących dalej, do Mombasy czy aż na Madagaskar, wyniknęła stąd nowa rozrywka i świetna sposobność do pozbycia się miedzianych monet wszelkich walut świata, lecz *kółko abisyńskie* nie miało czasu na tę zabawę. Należało załatwić formalności paszportowe, obdarzyć stewardów napiwkami, dopilnować zniesienia bagażu do łodzi i, z tych samych powodów co w Aleksandrii, zaangażować dragomana. Lecz którego wybrać spośród licznej gromady Arabów, Abisyńczyków, Somalijczyków jednakowo czarnych jak noc i jednakowo biednych, chudych a wrzaskliwych?

— Niech pani Alicja to rozstrzygnie — uradzili sprytnie.

Alicja Rendell wyszła właśnie na pokład w jakiejś nowej, nieznannej jeszcze jej towarzyszom kreacji od Wortha, Lanvina czy Molyneuxa, lecz... o zgrozo! z jaskrawo zieloną parasolką w dłoni.

— Co się stało? Zawsze miała taki dobry gust, a dzisiaj... — John aż ręce załamał. — Przecież ta parasolka jest obrzydliwa.

— Śliczna! — orzekł Mongosza. — Zieleń to pierwszy z góry kolor na naszym sztandarze.

— Uhum — mruknął Miyazaki, a zapytany o zdanie w tej sprawie odparł wymijająco, że nie rozumie, dlaczego pani Rendell osłania się przed słońcem już teraz, chociaż jeszcze stoją na krytym pokładzie. — Czekamy na panią i prosimy, aby pani spośród tych czarnych dandysów wybrała jednego na przewodnika dla nas wszystkich. Trafilibyśmy na dworzec sami, ale, jak mówił Eyston, guide służy tylko po to, by innych dragomanów odpędzać.

Alicja spojrzała bezradnie na hałaśliwy tłum, który otoczył ją w oka mgnieniu dowiedziawszy się, że wyboru ma dokonać madame. Pocieszna, łamaną francuszczyzną zaczął każdy wymieniać swoje zalety i straszliwe wady konkurentów, po czym odbyła się gwałtowna licytacja w dół; zaledwie jeden krzyknął, że za cały dzień żąda piętnastu franków, już drugi chciał tylko czternaście, trzeci trzynaście itd. Wtem z innego pokładu nadbiegł jakiś muskularny drab i jął przeciskać się przez tłum tak gwałtownie, że zwróciło to uwagę Japończyka.

— Tego brutalą niech pani nie bierze — krzyknął.

Za późno, Alicja bez wahania wybrała właśnie jego. Ale przedtem ów brutal wyjął z kieszeni chustkę, otarł nią czoło, a chustka była zielonego koloru! Miyazaki nie należał do ludzi bagatelizujących sobie takie pozorne drobiazgi. Zielona parasolka, zielona chustka i owa szybkość decyzji obok kilkuminutowego wahania! Ta podejrzana „gra w zielone” musiała coś oznaczać, ale co? Kim jest Alicja Rendell naprawdę i w jakim naprawdę celu wybiera się do Abisynii? Ona twierdzi, że w odwiedzinach do brata, lecz z wielką zręcznością wykręciła się od odpowiedzi na pytanie, co jej brat porabia w Adis Abebie⁽¹⁾. Zresztą w przededniu wojny taka wizyta jest...

— Ha, może ona właśnie lubi silne wrażenia — mruczał Syozo Miyazaki, schodząc po trapie do czekającej łodzi. — A swoją drogą muszę zbadać, czy Zieleń, ten pono główny kolor na fladze abisyńskiej, nie barwi także innych sztandarów...

⁽¹⁾ Abisyńczycy wymawiają nazwę swej stolicy: Adis Ababa, ale poza Afryką przyjął się ogólnie angielski sposób wymawiania, tj. Adis Abeba. (Przyp. autora)

Oficjalna etiopska pisownia to Addis Ababa (wym. **Addis Abäba**), co w języku amharskim znaczy *Nowy kwiat*.

ROZDZIAŁ V

Przystań z miasteczkiem Dżibuti łączy długa na kilometr grobla, na której zbudowano wcale porządną drogę. Przebyli ją w taksówce, nie mając zaufania do przedpotopowych karet ani do wiszących między ich dyszelkami końskich szkieletów. Do chwili odjazdu pociągu dzieliły ich dwie godziny, postanowili je więc zużyć na zwiedzenie maciupkiej stolicy Somali francuskiego. Ale w Dżibuti niewiele jest do zobaczenia: kościół franciszkanów, kilka mizernych meczetów, sortownie kawy abisyńskiej, stawy do połowu soli morskiej, kilka biednych uliczek, bezlik żebraków i nieproporcjonalnie wspaniałe do tej nędzy pałac gubernatora oto wszystko. Najciekawszą osobliwością jest *dzielnica rozkoszy*, lecz tej murzyńskiej Yosziwary⁽¹⁾ ze względu na Alicję Rendell zwiedzać nie wypadało, wobec czego pojechali na dworzec.

Jedyna linia kolejowa Abisynii, łącząca jej stolicę z francuskim Dżibuti, ma 783 kilometry długości. Tę przestrzeń pociągi regularne, odchodzące dwa razy na tydzień, przebywają w trzech dniach, jadąc „na trzy raty”, gdyż nocami odpoczywają w Diredaui i w Hauasz. Oprócz tych „pospiesznych” kursują niekiedy pociągi warunkowe, wolniejsze, a stale pocztowe, „błyskawiczne”, jadące tylko 38 godzin, o ile deszcz nie leje. Ponieważ jednak zwykle leje, pędzą z normalną chyżością „pospiesznych”.

Skutkiem tych niedogodności komunikacyjnych, Alicja, John, Miyazaki i Mongosza postanowili grać w brydża do upadłego, gdyż krajobrazy były początkowo nieciekawe, na wskroś pustynne. Dopiero u schyłku pierwszego dnia podróży wyrósł w południowej stronie łańcuch gór, u którego stóp leży Diredaui, miasteczko liczące ponad 30 tysięcy mieszkańców, więc bądź co bądź cztery razy więcej niż Dżibuti. Do Diredaui ich „błyskawiczny” pociąg dowiółkł się wprawdzie o własnych siłach, ale za to z dwugodzinnym opóźnieniem, czyli w nocy. Dopiero nazajutrz rano mógł Salomon Mongosza pokazać swoim towarzyszom malowniczą panoramę i ofiarować im porcję sensacji.

— Tam, za tą górą leży miasto Harrar, na które z okien swego więzienia wśród skał spogląda nasz dawny negus⁽²⁾, Lidż Jassu, i przeklina swój los.

Wstęp brzmiał zachęcająco, słuchacze prosili o ciąg dalszy i dowiedzieli się następujących szczegółów:

Cesarz Menelik II przekazał berło swojemu wnukowi Lidż Jassu, który był synem jego nieślubnej córki Chagardi i Rasa Michaela, muzułmanina. Podczas wojny światowej za namową ojca Lidż Jassu postanowił wciągnąć kraj do wojny po stronie mocarstw centralnych. Na taki moment tylko czekał ambitny kuzynek cesarza, ras⁽³⁾ Tafari Makonnen, gubernator Harraru. Przekonawszy duchowieństwo, że negus nagast chce cały naród nawrócić na islam, uzyskał to, iż metropolita Etiopii Mateusz zwolnił wszystkich od przysięgi na wierność cesarzowi. W roku 1916 nastąpił wybuch rewolucji, dethronizowanie Lidż Jassu, uwięzienie go i oddanie berła jego ciotce, legalnej córce Menelika, Woizero Zaoditu, która za tę przysługę zamianowała Tafarię regentem i następcą tronu. A kiedy Zaoditu na skutek jakiejś tajemniczej kąpieli przeniosła się do wieczności, berło ujął w swoje dłonie następca tronu, dzisiejszy cesarz Abisynii i przybrał sobie nazwisko Haile Selassie⁽⁴⁾.

— Lidź Jassu zaś siedzi za kratami do dzisiaj. — Tymi słowy Salomon Mongosza zakończył swój krótki wykład dziejów ojczystego kraju.

— Czyli od dziewiętnastu lat. Straszne — wyszeptła Alicja.

— Zasłużył na to! Ładnie byśmy dziś wyglądali, gdyby nas był wplątał w wojnę z Anglią i Francją. No! Anglia to nie Włochy!

W drugim dniu podróży pociąg „pędził” nieco wolniej niż wczoraj, co tylko częściowo usprawiedliwiała górzystość terenu.

— W Szwajcarii wzniesienia są jeszcze wyższe, a jednak pociągi chodzą daleko szybciej niż u was. Taka komunikacja to po prostu skandal.

— Zupełnie słusznie — przyznał Mongosza — niech pani to powtórzy swoim ziomkom, bo nasza kolej jest w ich rękach.

W Hausz Mongosza i Miyazaki wysiedli, obiecując, że niebawem zawitają do stolicy, tak więc resztę podróży John z Alicją odbyli tylko we dwoje w swoim przedziale. Nareszcie byli sami! Zdarzało się to już na statku, ale przelotnie, najczęściej w tańcu, teraz zaś John miał cały dzień do dyspozycji i wykorzystał go uczciwie. Co prawda w zamian za swoje płomienne wyznanie miłości otrzymał jedynie konwencjonalne *muszę mieć czas do namysłu, pan rozumie, to spada na mnie tak nagle* – i równie zdawkowy pocałunek, lecz to mu wystarczyło do szczęścia na razie.

W Addis Abebie rozstali się na dworcu, Alicja nie przystała na to, by ją odwiózł do domu brata.

— Proszę raczej pomyśleć o swojej kwaterze, aby pan nie musiał dziś nocować pod gołym niebem — powiedziała — i do widzenia.

— Do jutra, najdroższa, do jutra!

Znalazłszy kwaterę w hoteliku, do którego zawiózł go dorożkarz, wyszedł na ulicę, chcąc obejrzeć sobie z grubsza swoją nową siedzibę. Jak na miasto liczące zaledwie 130.000 mieszkańców (bez garnizonu) Addis Abeba wydała mu się wcale ruchliwa, lecz z pewnością połowę tego ożywienia należało zapisać na rachunek specyficznej atmosfery, jaka ogarnia stolicę każdego państwa przed wybuchem wojny.

Maszerując wciąż w tym samym kierunku, wydostał się za placem wyścigowym na jakieś łąki spływające dość stromo z zadrzewionych wzniesień. Na każdym z owych pagórków stała willa, pałacyk lub parterowy bungalow, okolone starannie utrzymanymi ogrodami. W jednym ogrodzie zobaczył John kort tenisowy.

— Odkryłem dzielnicę europejską — ucieszył się. — A to co?!

Brama ogrodu posiadającego kort odemknęła się i wyjechał z niej gentleman we fraku i w cylindrze, ale... na małym osiołku i z parasolem pod pachą! Niezwykły ten kawalerzysta zjeżdżał powoluteńku po spadzistym stoku, kierując się poniekąd w stronę zdumionego Johna.

— Eee, takiej sposobności zaprzepaścić nie wolno — pomyślał Gliwa z humorem i wyjął z pokrowca swój aparat fotograficzny. — Zrobię Alicji wesołą niespodziankę tym zdjęciem.

Przesunął się nieco w lewo, ku kępie jaśminów; poza nią schowany czekał, aż wyfraczony jeździec zbliży się na pięć metrów. Gdy to nastąpiło, wyskoczył ze swej kryjówki i omal nie wypuścił aparatu z rąk.

— Gaston! Jak babcię kocham, to przecież Gaston d’Harcourt! Nie poznajesz mnie, stary birbancie? Gliwa, John Gliwa...

— John! Nie byłbym cię poznał, tak zmężniałeś. Ale co ty tu robisz? Coś przeszkrobał, że cię tutaj zesłano?

Uściskali się serdecznie, po czym Gaston wyraził swój żal, iż nie może przyjaciela teraz

zaprosić do siebie, bowiem spieszy właśnie na obiad do swojego szefa, posła francuskiego, który zaprosił również wielu dygnitarzy abisyńskich; właśnie przez to nie będzie mógł wykręcić się od nudnej galówki. Za to jutro on, Gliwa, musi przyjść do niego już rano i na cały dzień, aby mogli nagadać się za pięć lat rozłąki.

— Ależ dobrze, dobrze, tylko wytłumacz mi, mój drogi, co znaczy...

— Osioł? To nie osioł, ale mój samochód. Ty także będziesz od jutra jeździł takim autem, jak i my wszyscy.

— Nie rozumiem. Więc tutaj nie ma samochodów?

— Owszem, są, tylko z drogami jest znacznie gorzej... Spójrz tam — wskazał w stronę willi za kortem tenisowym — to mój home. Czy jakiegokolwiek auto wgramoli się na te wyżyny? Chyba czołg... A niech wszyscy diabli ten przeklęty kraj!

Spojrzawszy na zegarek, stwierdził, że musi już gnać *pełnym gazem*, jeżeli ma przybyć punktualnie. John ofiarował się odprowadzić przyjaciela, a po drodze zaczęła się rozmowa, będąca właściwie monologiem Gastona, widzącego wszystko w najczarniejszych kolorach.

— Co z tobą? — spytał w końcu John. — Od kiedyżeś tak zgorzkniał?

— Od roku. Bowiem rok już minął od mego przyjazdu w te strony. Po naszym rozkosznym Paryżu, po Rzymie i Pradze... **tutaj!** I ty jeszcze pytasz, czemu. Z człowieka pełnego radości życia stałem się przedwczesnym starcem, zgorzkniałym zrzęda, pesymistą?! Ciebie spotka to samo.

— Nie, gdyż pójdę w ślady praojca Adama i będę miał swoją Ewę.

— Aha, zaręczyłeś się.

— Prawie. W każdym razie jestem zakochany po uszy i nie będziesz dziwił się temu, gdy poznasz moją Alicję.

— Miłość, hm, tak, zapewne, że ona może być tu lekarstwem i...

— Więc czemu ty go nie wypróbujesz?

— Nie widzę żadnej Ewy dla siebie.

— A pisałeś mi ongiś z Rzymu, że masz tam rozkoszną przyjaciółeczkę, którą postanowiłeś poślubić. Było jej na imię, jeśli pomnę, Madelon.

— Tak, Madelon — westchnął Gaston smętnie. — Niestety, znalazł się ktoś bardziej przedsiębiorczy i zabrał mi moją słodką Madelon.

John spojrzał współczująco na przyjaciela, ale John miał iście amerykański nerw humoru, który dawał znać o sobie przy każdej sposobności.

— On jest w tej chwili przedziwnie podobny do swego osła, ma tak samo zrezygnowaną minę — przemknęło mu przez myśl.

Potem ogarnęła go skrucha. Tkliwie objął w pół przyjaciela, zaczął go pocieszać po swojemu.

— Zapytam Alicję, czy nie ma siostry — rzekł w końcu. — Jeśli ma, to was wyswatamy błyskawicznie. Pod warunkiem, że będzie zupełnie podobna do mojej Alicji. A wtedy, mój kochany, owa Madelon...

— Nie, John, nie — przerwał mu tamten — Madelon była tylko jedna na świecie i drugiej takiej nie znajdę.

Przyjęcie u posła przeciągnęło się do jedenastej w nocy. Dzięki rutynie Gaston d'Harcourt bez zarzutu bawił damy, wyciągał na słówka abisyńskich dostojników i w ogóle zachowywał się, jak należało, lecz myślami krążył wciąż dokoła utraconej kochanki.

— Ach, czemuż on mi ją przypomniał — zżymał się chwilami, a chwilami czuł za to wdzięczność do Johna. — Kochany, zacny chłop, będę mu družbą, będę się cieszył jego

szczęściem.

W powrotnej drodze do domu tęsknota za Madelon ogarnęła Gastona z taką samą siłą, jak wtedy w Rzymie, bezpośrednio po jej ucieczce. Jak wówczas, cierpiał znowu; jak wówczas, odczuł nagle dziwną niechęć do swojego mieszkania, tak pełnego cennych antyków, a tak przeraźliwie pustego. Nie popędzał osła, pragnąc nie przyśpieszać chwili, w której stanie przed willą, lecz osioł był uparty jak osioł; przedtem z góry szedł wolniej, niżli teraz pod górę, czując snadź, że wraca do żłobu.

— Przecież ja muszę gdzieś mieć jej fotografię — przypomniał sobie Gaston po raz pierwszy chyba od roku.

Znalazł te stare wspólne zdjęcia w najniższej szufladzie biurka i znalazł obok na pół wypróżniony flakonik ulubionych perfum Madelon. Pokropił nią chusteczkę, położył ją obok fotografii, przeniósł do biurka stolik z patefonem i zaczął wśród płyt szukać tej starej z walcem *Angoisse d'amour*. Na tym zakończyły się przygotowania do części właściwej seansu, ach, nie, jeszcze kieliszek koniaku, no i drugi. Dla wzroku fotografia, dla powonienia perfumy, dla słuchu najmielsza melodia kochanki, trzy zmysły otrzymają więc podniecie, co w sumie powinno wywołać upragniony skutek.

Gaston puścił w ruch patefon. Przez chwilę wpatrywał się w fotografię, potem zamknął oczy, by lepiej widzieć prawdziwą Madelon, tę ze wspomnień. Z początku szło to opornie, nawet perfumy niewiele pomagały, lecz w końcu wyobraźnia zaczęła działać jak dawniej, za młodych lat, kiedy to na poczekaniu mógł wywołać obraz tej czy innej kobiety. Chciał wyobrazić sobie, że Madelon test tutaj, że śpi w sąsiednim pokoju, że usłyszawszy swoją *Angoisse d'amour* przyjdzie do niego i zarzuci mu ręce na szyję.

— A więc zaczynamy — wymamrotał jak reżyser przed nakręcaniem jakiejś sceny. — Madelon budzi się, wstaje z łóżka, idzie...

Wyszło doskonale! Wyszło, chociaż nienakręcony patefon przestał grać po kilkunastu taktach. Wytwór wyobraźni był tak ludzaco podobny do rzeczywistości, że Gaston posłyszał najwyraźniej odgłos kroków w swojej sypialni. Zbliżyły się, umilkły, drzwi lekko skrzypnęły; świetnie, tylko tak dalej. No? Cisza? Ha, należało trzy koniaki wypić, nie dwa.

— Gastonie, kochany mój...

Wspaniale! Zupełnie tak, jakby jej głos. Hrabia d'Harcourt właśnie zamierzał uwierzyć w to, że odkrył w sobie nadzwyczajne zdolności do materializowania twórców fantazji, kiedy coś szurgnęło krzesłem. Zdziwiony podniósł powieki i... aż wstyd powiedzieć... wrzasnął na całe gardło. Bowiem w otwartych drzwiach sypialni stała jego Madelon!

⁽¹⁾ Yoshiwara była słynną dzielnicą czerwonych światel (dzielnicą rozpusty) w Edo (obecnie Tokio).

⁽²⁾ negus (jęz. amharski) – król. Negus nagast; negus negesti (dosł. król królów) – cesarz.

⁽³⁾ Ras – (w języku amharskim głowa) – jeden z najwyższych tytułów arystokratycznych w cesarskiej Etiopii.

⁽⁴⁾ Haile Selassie (1892-1975) – ostatni cesarz Etiopii (1930–1936 i 1941–1974). Kawaler Orderu Orła Białego w 1930!

ROZDZIAŁ VI

Gaston d'Harcourt ochłonął z grubsza.

— To przecież nonsens — rzekł głośno, a równocześnie szczypał się gdzie popadło. — Wypiłem za wiele albo śnię, lecz zbudzę się zaraz.

— Nie, najdroższy, to nie sen — odparła zjawą(?) i z miną skruszonej grzesznicy szła ku niemu — ja naprawdę wróciłam do ciebie.

Usiadła mu na kolanach, pocałowała go nieśmiało w policzek, ale, co najdziwniejsze, napiła się koniaku, czego na ogół zjawy nie robią. Potem zaczęła mówić, spowiadać się, usprawiedliwiać. Wtedy w Rzymie postąpiła, być może, jak egoistka, ale cóż, zakochała się w pewnym młodzieńcu, a nie miała odwagi wyznać tego jemu, Gastonowi. Uczyniła to dopiero później listownie. Wyszła za męża. Była szczęśliwa, o tak! Lecz prawdziwe szczęście zawsze trwa krótko. Pół roku temu owdowiała. Miała i ma za co żyć, mąż pozostawił jej mająteczek zapewniający przyzwoite utrzymanie. Musi to powiedzieć z naciskiem, aby Gaston, broń Boże, nie snuł fałszywych domysłów. Przyjechała tu tylko dlatego, że zatęskniła za nim.

— A skąd wiedziałaś, gdzie jestem? — wtrącił, pragnąc usłyszeć swój głos, potem łagodnie objął kobietę w pól i nie rozwiąła się, nie zniknęła.

Skąd wiedziała? Nic prostszego, w najbliższym poselstwie francuskim zapytała, na jakiej placówce przebywa obecnie hrabia d'Harcourt. Namyslała się zrazu, czy pierw nie napisać do niego, lecz odrzuciła ten plan; żaden list nie zastąpi osobistego kontaktu, prawda?

— O, tak — przyznał, wchodząc natychmiast w kontakt ustami z jej karczkiem rozkosznie pachnącym i ciepłym.

Madelon niewiele już miała do opowiadania. Przyjechała do Abisynii, dotarła do Addis Abeby, zapytała o adres mieszkania pana d'Harcourt, udała się tutaj, ale gospodarza nie zastała, powiedziano jej, że wróci dopiero koło północy. Służba początkowo nie chciała jej wpuścić, ustąpiła dopiero, gdy Madelon zakłęła się, że jest rodzoną siostrą Gastona. Zaprowadzono ją do gościnnego pokoju na piętrze, tam też poleciła przenieść swoje rzeczy, odświeżyła się po podróży, przebrała i zeszła na dół, aby tu poczekać na powrót „brata”. Służba wreszcie poszła spać, ona zaś, Madelon, zdrzemnęła się na fotelu w sypialni, aż obudził ją patefon.

— Oto cała moja spowiedź. Czy każesz mnie wyszczać psami?

— Co ty pleciesz! Przede wszystkim nie trzymam żadnych psów, po wtóre cieszę się niewypowiedzianie, że wróciłaś i chcesz zostać ze mną, tylko... hm, uważasz, Addis Abeba to nie Paryż ani Rzym, a Bodard, mój szef...

— Więc nie mów nikomu, że byłam twoją przyjaciółką. Pozostańmy raczej przy tym kłamstewku, jakim poczęstowałam twoją służbę, mianowicie, iż jestem twoją siostrą; owdowiałam i przyjechałam do brata, uważasz?

— Świetna myśl! Istotnie, to najlepsze rozwiązanie i dla mnie i dla ciebie. Jako moja siostra będziesz przyjmowana wszędzie.

— I nie zrobię ci wstydu, bądź pewny. Nawet na dworze negusa.

Lekko sfrunęła mu z kolan i wykonała dyg, jakby przed cesarzem, potem zademonstrowała kilka próbek dystyngowanego chodu wielkich dam, ich sposobu witania się,

jedzenia, picia, tańca, a Gaston rżał ze śmiechu, jakby na najweselszej farsie. Z radości! Że odzyskał tak nieoczekiwanie utracony skarb, że zatrzyma go przy sobie już na zawsze, że skończyła się przeklęta samotność, że... i tak dalej bez końca! Pocciwy, zacny John Gliwa częstował go siostrą jakiejś tam swojej Alicji, cha, cha, cha. On mu jutro pokaże swoją Madelon i... ach, prawda, nie można ujawniać tego, iż to jest Madelon, przyjaciółka, ona musi grać rolę siostry, inaczej wszystkie panie z towarzystwa zaczęłyby bojkotować jego dom. Więc siostra. A jak tam z paszportem?

— Madelon, kochanie moje, jak ty się nazywasz po mężu?

— Rendell, Gastonku, a za jednym zamachem zmieniłam także imię.

— Kapitalne, słowo daję. Nazwisko zmieniła, no, to zrozumiałe, ale prócz tego kolor włosów, typ urody i na deser także imię... Na jakie?

— Na: Alicja. Nazywam się teraz Rendell Alicja.

— Aaaalicja? — Tknęło go niedobre przecucie. — Przyjechałaś dzisiaj, prawda? A na przyjęciu u ministra Bodarda mówił mi konsul amerykański, że również dzisiaj ma przybyć do Addis Abeby jego zastępca, wicekonsul John Gliwa... Czy przypadkowo nie poznałaś go w drodze?

— Oczywiście, że tak — przyznała z uśmiechem — nawet zalecał się do mnie, jak zresztą paru innych pasażerów... Gaston, co tobie?

Gaston d'Harcourt oburącz ścisnął sobie głowę i w tej dramatycznej pozie zaczął krążyć po pokoju, bełkocząc coś niewyraźnie.

— ...fatalne, fatalne... takie moje „szczęście” — tyle zrozumiała.

— Co się stało?

— Stało się, że Gliwa zakochał się w tobie do szaleństwa i pragnie cię poślubić, słyszysz?! — wybuchnął.

— Słyszę — odparła, patrząc nań badawczo. — Ale skąd ty masz tak sensacyjne wiadomości? Czyżby od konsula amerykańskiego?

— Od Gliwy! Spotkałem go, jadąc do pałacu naszego poselstwa i wszystko mi powiedział, wszystko!

— Ty go znasz osobiście?!

— Jakże, przecież to mój stary przyjaciel!... I co teraz będzie?

Alicja Rendell zagryzła wargi i z pasją miętosiła w palcach chusteczkę; jadąc do Abisynii przygotowała się na rozmaite trudności, niebezpieczeństwa, przygody, nie przypuszczała jednak, że zaraz na początku wyłonią się tak duże komplikacje. — Tak głupie komplikacje — zżymała się w duchu.

— I co teraz będzie? — powtarzał Gaston machinalnie.

— Ha, życie potoczy się swoim korytem — odrzekła po chwili. — John po mojej rekuzie albo będzie rozpaczał, albo, co bardziej prawdopodobne, odkocha się równie szybko, jak zakochał się we mnie. W każdym razie nie dowie się nigdy, iż jego rywalem byłeś ty. Ty dla świata będziesz zawsze moim starszym bratem.

Gaston odsapnął, podszedł do Madelon-Alicji, objął ją czule.

— Pocieszyłaś mnie, kochanie. Masz rację; oficjalnie musisz tu uchodzić za moją siostrę wobec wszystkich, nawet wobec Johna Gliwy. — Przygarnął ją do siebie, zbliżył twarz do jej twarzy. — Lecz gdy znajdziemy się we dwoje tak, jak teraz — ciągnął dalej głosem nabrzmiałym od nagłego pożądania — będziesz tym, czym byłaś dla mnie dawniej, namiętą kochanką i...

— Oczywiście — wtrąciła co prędzej i zrećźnie wyslizgnęła mu się z ramion — skoro

tylko minie okres żałoby po moim mężu...

— Jak to? Jak to?

— Nie udawaj zdziwionego, drogi Gastonku. Gentleman tak kulturalny jak ty, tak rycersko delikatny rozumie doskonale, że kobieta, która straciła męża, męża najlepszego, ukochanego i... och...

Alicja umilkła, podniosła chusteczkę ku oczom, co natychmiast wywołało oczekiwany skutek; usprawiedliwiając się i zapewniając, że uszanuje jej ból, Gaston d'Harcourt starał się dowieść, iż pozostał nadal *rycersko delikatnym gentlemanem*. Niemniej jednak zapytał mimochodem, kiedy rozstał się z tym światem pan Rendell, *najlepszy z mężów*.

— Prawie pół roku.

— Biedactwo moje... A żałobę po mężu nosi się...

— Przez rok i sześć tygodni.

Gaston osunął się na najbliższy fotel, wydając jakieś nieartykułowane jęki, które Alicja chytrze uznała za... kondolencje.

— Serdecznie ci dziękuję za te dowody współczucia i za subtelność uczuć, jakiej dziś nie spotyka się często...

— Ależ...

— Nie, nie cofnę tego, co powiedziałam, a twoja skromność...

— Czy ty sobie ze mnie...

— Byłam pewna, że postąpisz właśnie tak, jak postąpiłeś — paplała coraz szybciej, by nie dopuścić go do głosu — i nie zawiodłam się. Gastonie, jestem szczerze wzruszona twoją szlachetnością i postaram odwdzińczyć ci się kiedyś...

— Kiedyś — powtórzył smętnie.

— Tych parę miesięcy zleci szybko, zobaczysz, a potem...

— Nie mów, nie dręcz mej wyobraźni!

— Masz słuszność, lepiej unikać pokus. Odchodzę więc do swojego pokoju i życzę ci dobrej nocy, Gastonku.

— Nawzajem — westchnął, a kiedy odeszła, zaklął siarczyście, ale to również nie przyniosło mu ulgi. — Myślałem, że znów stoję u wrót raju — mamrotał, nalewając sobie nowy kieliszek — a tu takie komplikacje.

ROZDZIAŁ VII

Przez chwilę wykrzywił twarz, stroił zabawne miny, aż kiedy połaskotała go kwiatami pod nosem, kichnął i obudził się nareszcie.

— Ach, to ty, Madelon. Myślałem, że jaka utrapiona mucha.

— Gastonie — rzekła stanowczo — musisz koniecznie zapomnieć, że jestem Madelon. Obecnie moje imię brzmi: **Alicja!** Jeżeli pomylisz się tak fatalnie wobec Johna Gliwy, stracisz przyjaciela, a ja znajdę się tutaj w arcygłupim położeniu.

— Ha, niby racja.

— I kto wie, czy przez takie głupstwo nie byłabym zmuszona co prędzej stąd odjechać!

— Madel... Alicjo, ani słyszeć o tym nie chcę!

Myśl o nowej rozłace przestraszyła go serio. Zapewniając uroczyście, że będzie wystrzegał się w przyszłości „imiennych” omyłek, ucałował ręce Alicji na dzień dobry i przy tym niechący spojrział na jej zegareczek, osadzony w bransoletce.

— Dopiero dziewiąta? — stwierdził ze zdziwieniem. — I ty miałaś serce budzić mnie tak wcześnie w niedzielę?!

— Nie gniewaj się, Gastonku, lecz dobrze wiem, że na kąpiel, golenie się i ubieranie poświęcasz zawsze dwie godziny, a nie mam pojęcia, jak tu mamy daleko do najbliższego kościoła.

— Kokokościoła?! Ależ ja od niepamiętnych lat nie byłem w...

— To bardzo źle — wtrąciła surowo. — Od dzisiaj będziemy chodzili na nabożeństwo w każdą niedzielę i każde święto.

— Ładna historia. Ty, widzę, nie słyszałaś jeszcze o tym, ile świąt mają Abisyńczycy. Sto osiemdziesiąt na rok, moja droga, sto osiemdziesiąt! I w ogóle skąd ta nagła pobożność u ciebie? Ani w Paryżu, ani w Rzymie...

— Mój drogi Gastonie — przerwała mu znowu — musisz przygotować się na to, że od naszych czasów paryskich i rzymskich zmieniłam się bardzo!

— Niestety — mruknął. — Zauważyłem to już wczoraj.

Nadaşany zwłóknął się z łóżka i odszedł do łazienki, zrzedząc okropnie. Udobruchał się jednak od razu, kiedy później wkroczył do swego gabinetu. Bez śladu zniknęły stąd grube warstwy kurzu, nieścieranego chyba od roku, we wszystkich wazonach tkwiły świeżo zerwane kwiaty, a meble były tak jakoś sprytnie poprzestawiane, że ten „magazyn” antyków przekształcił się nagle w elegancki pokój, bardzo gustownie urządzone.

— Co to znaczy kobieca rączka — przyznał zadowolony.

Alicja nie zamierzała poprzestać na zaprowadzeniu ładu w samym tylko mieszkaniu. Gdy szli razem przez zachwaszczony ogród, oznajmiła Gastonowi, że tutaj również zrobi porządek, ale przede wszystkim zabierze się z całą energią do ścieżki łączącej willę z miastem. Każe ją wydatnie rozszerzyć i w tych miejscach, gdzie jest najbardziej spadzista, poskręcać z linii prostej w odpowiednie serpentyny, tak aby można było do willi dotrzeć samochodem. Niech sobie Abisyńczycy jeżdżą na mułach czy wielbłądach, Białemu to nie wypada, zwłaszcza dyplomacie.

— Hm, tak, zapewne. Jednakże trudności techniczne...

— Pokonasz je tak samo, jak inni. — Wskazała ręką pałacyk na odległym pagórku, po którego zboczach spiralnie wiła się szosa. — Kiedy jeszcze spałeś, widziałam tam dwa auta i motocykl. Skoro tedy tamci ludzie mogli zbudować taką drogę, to ty...

— Ba, Anglicy.

— A cóż to! — zachnęła się, oburzona nowym dowodem jego ślamazarności, która irytowała ją od dnia ich poznania się. — Czy Anglicy są czymś lepszym od was, Francuzów?

Gaston d'Harcourt spojrział na nią ze zdumieniem.

— Powiedziałaś: *od was, Francuzów*.

— Nnnniemożliwe — odparła, rumieniąc się kompromitująco. — Przesłyszałeś się chyba. Powiedziałam: *od nas, Francuzów*.

— Hm, dziwne, mógłbym przysiąc, że...

— Więc pomyliłam się widocznie. Lapsus linguae⁽¹⁾, nic więcej. A może ty nagle zwątpiłeś — dodała z ironią — iż jestem rodowitą Francuzką?

Poniewczasie spostrzegła, że to zdanie było całkiem zbyteczne; ono właśnie mogło wzbudzić pewne wątpliwości w Gastonie, który uważał ją zawsze za swoją rodaczkę. Na wszelki wypadek zaczęła więc mówić o Paryżu, o chwilach szczęścia, jakie ongiś przeżyli tam razem i oczywiście skutek nie zawiódł jej oczekiwań; sentymentalny Gaston wzruszył się od razu.

— To były najpiękniejsze dni mego życia — rzekł, patrząc na nią z czułością — i oby wróciły niebawem.

Tak rozmawiając, minęli stromy stok pagórka, minęli kępę jaśminów, koło których wczoraj nastąpiło nieoczekiwane spotkanie z Johnem, minęli łąkę i wjechali pomiędzy pierwsze domostwa Addis Abeby. Roilo się tu dzisiaj od tubylców ubranych odświętnie, dumnych, czupurnych, hałaśliwych, lecz przykro cuchnących z przyczyn, o których będzie mowa później. Abisyńczycy najchętniej noszą strój arabski, ale bez fezu czy zawoju, z odkrytą głową chodzą bezkarnie podczas największych upałów, które niezawodnie uśmierciłyby Europejczyka, gdyby choć na godzinę zdjął tropikalny kask.

— Co widzę! — zawołał ktoś po angielsku. — Wy znacie się także?!

Teraz dopiero spostrzegli Johna Gliwę, który jechał im naprzeciw na maleńkim osiołku, dzięki czemu rośli Abisyńczycy zasłaniaли go zupełnie.

— Znacie się? — powtórzył, ściskając dłoń Alicji.

— Trudno żądać — odparła z uśmiechem — abym nie znała rodzzonego brata.

— Brata?! — Błysk zdumienia, jakby niedowierzania, a potem wyraz bezgranicznej radości odmalował się na twarzy Polaka. — I ty mi nic wczoraj nie powiedziałaś — rzekł z wymówką, że moja... pardon, że pani Alicja jest twoją siostrą? O, czarny charakterze!

— To miała być niespodzianka dla pana.

Alicja znów wyręczyła Gastona w odpowiedzi. Niespodzianka, spodziewam się, dość miła, prawda?

— Najmilsza, jaką mogę sobie wyobrazić! — krzyknął John z zapalem, potem przysunął usta do ucha Gastona i dodał szeptem: — Słuchaj no, przyszły szwagierku, czy mogę cię prosić na ojca chrzestnego pierwszego syna, jakiego urodzi mi Alicja?

Gaston d'Harcourt omal nie spadł z muła.

— Jedź pierwszy, braciszku, i toruj nam drogę.

Alicja bała się, że John zauważy kwaśną minę przyjaciela, dlatego wysunęła go na czoło maleńkiej oślo-mulej kawalkady, lecz Gaston wytłumaczył to sobie inaczej i zasępił się jeszcze bardziej. Za to John był w świetnym humorze. Swojego osiołka nie nazywał inaczej, jak etiopskim rolls-royce'em i odgrażał się, że jutro zawiesi mu klakson na szyi.

— To również niewiele panu pomoże przy takim ścisku.

Ścisk był coraz większy w miarę jak zbliżali się do Gibbi, siedziby cesarza, ku której ze wszystkich przedmieść i z okolicznych wiosek podążały gromady tubylców, rozmawiających z ożywieniem.

— Zanosi się na jakieś widowisko — odgadł John. — Gastonie, czy twój boy nie mógłby się dowiedzieć, co to będzie?

Affar, czarny służący Gastona, towarzyszący im głównie w tym celu, by przed kościołem pilnować ich mułów, wdał się w rozmowę z przechodniami i niebawem zaspokoił ciekawość trojga Europejczyków. Dzisiaj w południe odbędzie się pochód, wyjaśnił, pochód delegacji wszystkich szczepów abisyńskich, oburzonych zajściami na pograniczu włoskiej Somalii i pragnących zapewnić Haile Selassiego o swojej wierności.

Ku niezadowoleniu Gastona, który nie cierpiał tłoku, tamci dwoje uznali, że warto zobaczyć tę patriotyczną manifestację abisyńską.

— Choćbyś nawet chciał zawrócić, nie zdołasz, nie ujedziesz pod prąd. Już za późno.

John Gliwa miał rację. Tłum ściśnięty w wąskim korycie uliczki płynął powoli, ale zwarcie przez całą jej szerokość, nie pozwalając nikomu zatrzymać się w miejscu, a cóż dopiero iść w przeciwną stronę.

— Gdybym teraz zemdlą, nie spadłabym na ziemię, jechałabym na mule dalej — przemknęło przez myśl Alicji, której chwilami robiło się słabo od zapachów, jakie roztaczali jej kolorowi sąsiedzi. Oni zaś, chociaż nie odpowiadały ich gustowi perfumy białej kobiety, ocierali się o nią coraz częściej, korzystając, że wszystkie te kradzione poufałości muszą iść na rachunek ścisku i coraz częściej zaglądali jej pod parasolkę, ciamkając przy tym diablo nieapetycznie. A w pewnej chwili ktoś uszczypnął ją w plecy tak, że krzyknęła z bólu.

— Współczuję ci serdecznie, ale... sama chciałaś i...

— Tak, Gastonie, ja sama chciałam — przyznała, mówiąc przez zaciśnięte zęby i dorzuciła w myśli — sama zdecydowałam się na stokroć gorsze przykrości, byle osiągnąć swój cel. O, dla niego nie cofnę się przed żadną ofiarą, ani przed żadną zbrodnią!

Wspomnienie ślubu, jaki złożyła przed wyjazdem z Europy skrzepiło ją od razu, a swoją drogą niemiła przeprawa nie trwała już długo; w odległości stu kroków kończyła się ciasna uliczka. Wylewający się z niej tłum znalazł dla siebie dosyć miejsca na szerokim deptaku alei, której jezdnie, na razie pustą, odgradzał od chodników kordon żołnierzy armii regularnej. Żołnierze ci byli umundurowani i uzbrojeni tak, że nie powstydziliby się ich żadne z europejskich państw, ale...

— Ależ oni są boso! — zauważył John po chwili.

— Lecz skórę mają tak zrogowaciała, że mogą tańczyć na tłuczonym szkłe i nie poranią sobie stóp z pewnością — odparł Gaston. — Mogą w pełnym rynsztunku i przy największym upale pędem biec przez godzinę bez wytchnienia.

Na temat zalet żołnierza abisyńskiego rozwodził się długo, a tymczasem rozpoczął się przemarsz delegacji przybyłych ze wszystkich prowincji rozległego państwa. Widok nadciągających zastępów wywołał niesłychaną radość u mieszkańców Addis Abeby, tupali, ryczeli, kręcili się w kółko, niczym derwisze w swoim tańcu, podskakiwali, podrzucali w górę i chwytali zręcznie w powietrzu strzelby, dzieci, w ogóle co wpadło pod rękę a nie było zbyt ciężkie, najwięksi zaś entuzjaści tłukli łbami o ściany domów, o słupy latarni i drzewa.

— Bijmy brawo, inaczej oni gotowi nas pobić — rzekł Gaston.

Jeden tylko człowiek nie przyczyniał się do powiększania straszliwej wrzawy. Był niewątpliwie tubylcem, a różnił się od swoich ziomków zewnętrznie tym, że na głowie miał

biały zawój. Spod niego spływała mu na prawe oko opaska, ukośnie przecinająca twarz, twarz młodą, ale jak gdyby martwą. Człowiek ten, pozornie nie interesując się ani trochę tym, co działo się dokoła, szedł powoli chodnikiem za plecami widzów zwróconych w stronę jezdni.

— Ou, niedobrze, niedobrze, — mruknął Affar. — Bardzo Złe Oko!

— Gdzie? gdzie? — Gaston ożywił się trochę. — Ach, tam. Bada nastroje wśród ludności. No, powinien być chyba zadowolony.

— On szukać nowa ofiara! — wymamrotał znów Murzyn, chwytając oburącz amulet, jaki nosił na szyi. — Niech massa tam nie patrzeć, moja błagać! Na kogo spojrzeć Bardzo Złe Oko, ten zginać!

— Nie pleć głupstw, stary.

Affar nie dał jednak za wygraną i zaczął wyliczać prawdziwe czy rzekome ofiary człowieka, któremu nie wiadomo kto nadał dziwaczny przydomek *Bardzo Złe Oko*. Gaston wzruszył ramionami i odsunął się od gadatliwego sługi, lecz Alicja słuchała uważnie.

— Pokaż mi tę krwiożerczą bestię — rzekła w końcu.

Murzyn, chcąc spełnić to życzenie, odwrócił się, spojrział, wrzasnął i dał nurka w najgęstszy tłum. W odległości dwóch kroków od Alicji stał Abisyńczyk, którego co dopiero nazwała *bestią*. Czy słyszał?!

⁽¹⁾ Lapsus linguae (łac.) – przejęzyczenie się.

ROZDZIAŁ VIII

Gaston d'Harcourt dokonał prezentacji:

— Pan Jonasz Mongosza... moja siostra... pan wicekonsul John Gliwa, mój przyjaciel.

— Bardzo mi przyjemnie. O panu już słyszałem, panie Gliwa — Abisyńczyk mówił po francusku, jak rodowity paryżanin — nie wiedziałem natomiast, że pan hrabia ma siostrę.

— Dopiero od wczoraj — pomyślał Gaston z humorem.

— Pańskie nazwisko brzmi: Mongosza? Pytam dlatego, że na statku poznałam sympatycznego młodzieńca, który nazywał się Salomon Mongosza.

— To mój brat, proszę pani, choć faktycznie kuzyn.

— Nie rozumiem tej kombinacji — palnął John prosto z mostu.

— Wśród najznakomitszych rodów abisyńskich obowiązuje lewirat.

— Wierzę ci, Gastonie, na słowo, ale co to jest lewirat?

— To bardzo stara forma małżeństwa, polegająca na tym, że bliski krewny zmarłego musi poślubić pozostałą po nim wdowę — wyjaśnił mu ostatecznie Jonasz. — Kiedy straciłem ojca, stryj Józef, rodzic Salomona, ożenił się z moją matką, dlatego według naszych praw jesteśmy z Salomonem braćmi, chociaż każdy z nas miał innego rodzica.

— Teraz rozumiem, czemu panowie jesteście tak niepodobni.

— No, podobieństwo między nami jest w każdym razie znacznie większe niż pomiędzy panią a panem hrabią!

Na takie dictum⁽¹⁾ Alicja ani drgnęła, za to Gaston zmieszał się wyraźnie i zaczął niezręcznie kierować rozmowę na odbywającą się rewię.

— Interesuje to was, drodzy państwo? W takim razie służę objaśnieniami. Teraz... — podniósł się na palcach, by nad głowami gapiów i żołnierzy z kordonu zobaczyć tych z jezdni — teraz maszerują jeszcze wciąż mężczyźni z plemienia Guragé.

Plemię Guragé, niegdyś osiadłe nad jeziorami Zuai, Langano, Szala i Horadaka rozmnożyło się najliczniej, ale nie doszło do władzy nigdy, jego przedstawiciele rozsiani dziś po całej Abisynii są przeważnie rzemieślnikami. Pod względem uzbrojenia przedstawiają się bardzo mizernie. Organizatorzy dzisiejszej manifestacji wysunęli ich na czoło pochodu zapewne dlatego, aby widzowie o nich co prędzej zapomnieli i odeszli pod wrażeniem świetnie wyekwipowanych oddziałów zarezerwowanych na koniec widowiska.

Z kolei przedefilowali delegaci plemienia negroidalnego Szankalla, stojącego na najniższym poziomie kultury. Ci, sądząc z wyglądu, Murzyni, potomkowie dawnych niewolników arabskich byli uzbrojeni w potężne łuki, a liczne trofea myśliwskie świadczyły o celności ich strzał.

Potem szły bezładne gromady mieszaińców Agua, oddziały rybaków znad rzeki Hauasz, przedstawiciele szczepów Itu i Karaju, za nimi ich śmiertelni wrogowie w czasach pokoju, lecz sprzymierzeńcy w razie najazdu z zewnątrz kraju, Danakilowie, specjaliści od dobijania rannych i kastrowania jeńców. Znane z nieprawdopodobnych okrucieństw plemię Dankali, trudniące się oficjalnie pasterstwem, a faktycznie rozbojem, zamieszkuje północno-wschodnią część Abisynii, czyli pogranicze Erytrei.

— Z ich nożami Włosi zapoznają się najpierw — rzekł Jonasz Mongosza, gdy przebrzmiały wiwaty na cześć półdzikich pastuchów noszących na głowie podobne ozdoby z piór jak amerykańscy Indianie.

Z nie mniej hałaśliwym entuzjazmem witano małą, bo najwyżej dwustu ludzi liczącą grupę Somalijczyków, którzy choć podbici od tylu lat przez Anglię, Francję i Włochy, przekradli się przez granice, by zapewnić negusa o solidarności ludów afrykańskich wobec nowego zamachu białych zaborców. Tak przynajmniej twierdził jednooki Jonasz Mongosza.

— Galla! Galla! — zabrzmiały radosne okrzyki.

Chamickie plemię Galla, pochodzące z południowej Abisynii słynęło zawsze z bitności mężczyzn i z nadzwyczajnej urody kobiet, niegdyś najbardziej poszukiwanych przez haremy bogaczy. To właśnie wpłynęło na waleczność Gallan; napadani ustawicznie przez arabskich handlarzy żywym towarem, wykształcili się do maksimum w rzemiośle wojennym, dzięki czemu dzisiaj tworzą trzon armii abisyńskiej. Nawet ci, co nie służą w wojsku, lecz siedzą na roli (a tylko tacy brali udział w pochodzie), są urodzonymi żołnierzami i ani na chwilę nie rozłączają się z karabinem. Poza tym, na lewym ramieniu noszą okrągłą tarczę, którą osłaniają się mistrzowsko w walce na broń sieczną.

— Galla! Niech żyje Galla!

Gallanie dziękowali za owacje jeszcze straszliwszym wrzaskiem i oszalelającym młyńcem strzelb nad głowami; że przy tej sposobności nikt nikomu nie rozbił głowy, świadczyło o dużej rutynie w tym sporcie.

Górale z bogatej prowincji północnej Tigré szli w swoich kozuszkach i pocili się straszliwie; kiedy wyruszali w drogę, ich Ras Daszan, mało co niższy, aniżeli Mont Blanc, miał na szczycie gruby płaszcz śniegu, a tutaj, w Addis Abebie był upał.

— Teraz zobaczy pani elitę narodu — objaśniał wciąż Jonasz. — Ponieważ jednak widowisko zbliża się ku końcowi, a po ściągnięciu kordonów zapanuje szalony tłok, radziłbym państwu przesunąć się nieco w górę.

Ruszyli więc z miejsca, posuwając się chodnikiem w tym samym kierunku co maszerujące jezdnią zastępy. Szli parami, najpierw Alicja z Jonaszem, za nimi John Gliwa i Gaston, który jednak przedtem musiał odszukać Affara i powierzyć mu muły. Dzięki tej krótkiej zwłoce odstęp pomiędzy pierwszą parą a drugą wzrósł do kilkudziesięciu metrów.

— Kiedy pani przyjechała? — zaczął Mongosza.

— Wczoraj wieczorem.

— Czyli nie mogła pani zameldować się jeszcze, zwłaszcza, że dzisiaj niedziela. Ale proszę to uczynić jutro rano, dobrze? Nie chciałbym, aby siostra hrabiego d'Harcourt naraziła się na jakieś przykrości. Rok temu w ogóle nie badaliśmy paszportów — zagadywał tonem usprawiedliwienia się — nie znaleźmy przepisów meldunkowych, lecz obecnie... pani wie...

— Wiem.

— Co pani wie? — spytał obcesowo.

— No, że może dojść do wojny z Włochami.

— Pomimo to jednak przyjechała pani tutaj! Lubi pani silne wrażenia, prawda?

— Bynajmniej. Lubię spokój, ciszę, ale jeśli... — ugryzła się w język, skręciła na inny tor — ale jako dobra siostra chciałam Gastonowi...

— Podziwiam panią. Brat bratem, lecz na to, by jednym skokiem przebyć niezgłębiałą przepaść pomiędzy prymitywną i niebezpieczną egzystencją tutaj, a światowym życiem, jakie pani pędziła w Londynie, to...

— W Londynie? Nie byłam tam nigdy.

— Naprawdę? Ależ wierzę, wierzę — zapewniał, ujrawszy zmarszczkę na jej czole — tylko wydawało mi się, że skądś panią znam, a ponieważ niedawno temu wróciłem z Londynu, więc... Któredy pani jechała tutaj?

— Oczywiście przez Dżibuti... Czy mogę spytać nawzajem, jaki cel ma ta indagacja, żywcem przypominająca... nieudolne śledztwo?

— Indagacja? Byłem przekonany, że prowadzę rozmowę towarzyską według klasycznych wzorów europejskich, aż dowiaduję się teraz... Doprawdy, wyrządziła mi pani wielką przykrość.

— Zasłużoną.

Przystanąła pod pozorem, iż znowu pragnie przyglądać się defiladzie, w rzeczywistości chciała zaczekać na Gastona i jego poczęstować towarzystwem nadmiernie ciekawego Abisyńczyka.

— To Amhara, elita naszego narodu.

Oddziały semickiego plemienia Amhara nie maszerowały pieszo, jechały konno lub na wielbłądach, jak przystało bogaczom, pyszniąc się wspaniałym ekwipunkiem wojennym. Mniej bitni niż Gallanie, mniej liczni niż którekolwiek inne plemię, Amharowie zdołali przecież zagarnąć trzy najbogatsze prowincje Abisynii oraz wszystkie lepsze stanowiska w wojsku i w administracji całego kraju.

Tymczasem nadeszli John z Gastonem.

— Pójdziemy dalej? — w pytaniu Jonasza zabrzmiała prośba.

— Nie, zostaniemy tutaj — odparła Alicja twardo. — Ale, rozumie się, nie zatrzymuję pana. Do widzenia, panie Mongosza.

— Może nas pan kiedy odwiedzi? Urządziłbym małe przyjęcie...

Gaston chciał mu osłodzić to szorstkie pożegnanie, lecz Alicja jeszcze bardziej zaostrzyła sytuację, robiąc „bratu” niby to wymówki, że nie pozostawia jej czasu na wypoczynek po podróży i na doprowadzenie jego gospodarstwa do porządku. Przed upływem miesiąca, twierdziła, nie można mówić o urzędowaniu jakichkolwiek przyjęć.

— Bój się Boga — jęknął Gaston, gdy Jonasz Mongosza oddalił się tak, że słyszeć go nie mógł — obeszła się z nim poniżej wszelkiej krytyki, a to przecież ulubieniec cesarza!

— Naprawdę? — Była zaskoczona tą wiadomością i szczerze zmartwiana, że tak opryskliwie pożegnała Jonasza. — Gdybym to była wiedziała!

— Mister Jonasz Mongosza herbu *Bardzo Złe Oko*. Dlaczego — spytał John — nadano mu tak zabawny pseudonim?

— Ponieważ ma podobno sporo ludzi na sumieniu. Trzeba wam bowiem wiedzieć, że Jonasz jest duszą tutejszego kontrwywiadu!

— Dopiero teraz mi to mówisz, ty... — Alicja zmełała w zębach jakiś epitet i spojrzała na Gastona z taką urazą, jak gdyby jej wyrządził najgorszą krzywdę.

⁽¹⁾ dictum (łac.) – wypowiedź; oświadczenie; powiedzenie.

ROZDZIAŁ IX

W przyległym pokoju skrzypnęły drzwi. Tylko trzy osoby, minister wojny, szef biura Ludwik Brin, no i oczywiście cesarz, miały prawo bez meldowania się wchodzić do „Archiwum”, w którym pracował Jonasz Mongosza. Jednak na wszelki wypadek akta leżące przed nim nakrył rozpostartą gazetą i, nad słuchując, zaczął ją czytać z „wielkim zapalem”.

— Aha, Brin — poznał po odgłosach bardzo szybkich kroków. Ucichły nagle i na długo. — Waha się. Hm, czyżby znowu chciał mnie...

Drzwi wewnętrzne otworzyły się raptownie, do tak zwanego Archiwum wpadł jak bomba niski, mocno szpakowaty brunet.

— Dobry wieczór, Jonaszu. Jeszcze przy robocie?

Podbiegł do Mongoszy, wylewnie uściśnął mu dłoń, poklepał go po ramieniu i usiadł z impetem na rogu biurka, mówiąc bez przerwy:

— Rewia naszego pospolitego ruszenia wypadła imponująco!

Długo zachwycił się wczorajszą uroczystością, lecz ani powódz słów, ani pozornie swobodne zachowanie się nie zdołały wprowadzić w błąd Jonasza.

— ...a gdy cesarz ukazał się na balkonie... ach, podobnego entuzjazmu nie widziałem nigdy! Z radości urzynałem się tak, że spałem do tej pory. Nie zaszło chyba nic ważnego, inaczej byłbyś po mnie posłał, prawda? Ale wyspałem się za wszystkie czasy.

— Wyglądasz jednak tak, jakbyś oka nie zmrużył od soboty. Ludwiku, dlaczego kłamiesz? Już kiedy przystanałeś niepewnie pod drzwiami odgadłem, że znowu zgrałeś się do nitki. Chociaż przyrzekałeś mi tyle razy...

Tu nastąpiło długie, „ojcowskie” kazanie. Słuchając go i patrząc na tych dwóch mężczyzn, każdy musiałby dojść do przekonania, że Ludwik Brin jest podwładnym, a Jonasz Mongosza jego szefem, tymczasem było na odwrót. Co więcej, Jonasz zawdzięczał całą swą fachową wiedzę i swoje dzisiejsze stanowisko Ludwikowi, który przybywszy do Abisynii jeszcze za panowania cesarzowej Woizero Zaoditu, zorganizował tutaj wywiad według europejskich wzorów i dzięki specyficznemu wężowi skutecznie paraliżował każdą akcję szpiegowską na rzecz, jak się to mówi, *ościennych państw*. Ludwik Brin przy wielu zaletach i wybitnych zdolnościach miał jednak swoją achillesową piętę, słabość do wszelkich gier hazardowych. Przez ten nałóg ongiś zwichnął sobie karierę w Europie. Przez ten nałóg podczas wojny światowej cudem uniknął rozstrzelania, sprzedawszy jakąś błahą wiadomość na pokrycie długu honorowego. Potem błąkał się po świecie, aż przywędrował do Abisynii w łachmanach. Przymierając głodem, zaprzysiągł sobie, że nigdy grać nie będzie i przez kilka lat rzeczywiście nie brał kart do ręki. Lecz później, gdy znowu obrósł w piórka, zapomniał o chwalebnym postanowieniu...

— Ile ci trzeba? — spytał Jonasz, ukończywszy swą reprimendę.

— Dwieście talarów, drogi przyjacielu.

— Takiej drobnostki nie masz przy swoich pokaźnych poborach?

— Nie mam, gdyż w sobotę grałem także i to z wyjątkowym pechem.

— Ej, Ludwiku, Ludwiku, to skończy się kiedyś bardzo smutnie — zrzędził Mongosza,

ale wyjął portfel. — Czy wiesz, lekkomyślny człecze, ile mi już jesteś winien bez tych dwustu talarów?

— Nie mam pojęcia.

— Przeszło trzy tysiące!

Otrzymałszy pieniądze, Ludwik Brin rozpromienił się z radości i zaczął omawiać najważniejsze sprawy bieżące, imponując Jonaszowi, jak zawsze, bystrością swego sądu.

— A co tam mój najzdolniejszy uczeń chowa pod gazetą? — spytał w pewnej chwili z uśmiechem. — Czyżby tajny raport o moim nałogu?

— To, coś rzekł, nawet w żarcie jest bardzo niesmaczne — skarcił go Mongosza i odsunął dziennik. — Kazałem przysłać sobie z biura meldunkowego cudzoziemców paszport niejkiej Alicji Rendell. — Mówiąc to, wręczył ów paszport szefowi. — Zbadałem go najskrupulatniej, ale nic podejrzanego nie znalazłem. A jednak, przyjrzyj się uważnie fotografii Alicji Rendell, czy ona ci kogoś nie przypomina?

— Hm, owszem. Tę narwaną miss z Londynu.

— Miss Olgę Atherton. Nazwisko angielskie, imię rosyjskie, a oto podobizna tej pani. Gdy ją porównasz z Alicją Rendell, powiesz to samo, co ja, że obydwie są jedną i tą samą osobą.

— Nie — orzekł Brin stanowczo, spojrzawszy pobieżnie na dwie małe fotografie — to są dwie różne osoby.

— Gdybyś je porównał dokładniej, na pewno...

— Mnie wystarczy jeden rzut oka.

— Więc zgódź się na to, że one są bliźniaczkami.

Ludwik Brin przetaił sobie binokle i ponownie zbliżył ku oczom paszport Alicji oraz naklejoną na podaniu o wizę abisyńską fotografię miss Olgi Atherton z Londynu.

— Jedna z tych twoich bliźniaczek, mianowicie Alicja — rzekł z uśmiechem — musi być co najmniej o pięć lat starsza od swojej siostry.

— Zatem to są siostry.

— Niekoniecznie. Wypadki takiego podobieństwa zdarzają się także wśród osób zupełnie niespokrewnionych z sobą. Cóż chcesz, mój drogi — dodał żartobliwie. — Ludzkość liczy dwa miliardy głów i trudno żądać, aby do każdej głowy natura fabrykowała inną twarz. Z całą pewnością ty i ja mamy po kilkuset sobowtórów, rozrzuconych po całym świecie. Nie spotkamy ich nigdy, ani oni nie dowiedzą się o naszym istnieniu. Dopiero jeśli ktoś wsławi się, jak Bonaparte, i jego podobizna będzie rozpowszechniona w milionach egzemplarzy, dopiero wówczas okaże się, że każdy kraj i każde dziesięciolecie ma człowieka bliźniaczo podobnego do wielkiego Napoleona.

Podczas tego monologu Brina, Jonasz wyjął szkło powiększające i, patrząc przez nie, porównywał znów owe dwie fotografie.

— Masz rację — rzekł — to nie są siostry.

— A widzisz!

— To jest jedna i ta sama osoba!

Ludwik Brin wzruszył ramionami, jak gdyby chciał przez to wyrazić, że na przysłowiowy etiopski upór jeszcze nie wynaleziono lekarstwa.

— Skoro już chcesz tracić cenny czas na zajmowanie się wszystkimi, którzy ostatnio ubiegali się o wizę abisyńską — rzekł — to skieruj swoją uwagę raczej na pana Syozo Miyazakiego.

— Japończyk swoją drogą, a pani Rendell swoją, czyli każę ich śledzić oboje — odparł Jonasz. — I będę niesłychanie dumny, jeżeli okaże się, że chociaż raz ja miałem rację, a nie ty,

mój nauczycielu.

— Założmy się.

Brin nie dokończył, gdyż w tej samej chwili spośród trzech aparatów telefonicznych odezwał się ten, którego przewody łączyły „Archiwum” z kancelarią cesarską. Podniósł słuchawkę i po chwili oddał ją przyjacielowi.

— Dyżurny adiutant chce mówić z tobą.

— Rozkaz — brzmiało jedyne słowo, jakie Jonasz powiedział do mikrotelefonu, po czym odłożył słuchawkę. — Za godzinę — wyjaśnił, spotkawszy pytający wzrok Ludwika — mam stawić się u cesarza.

— On cię bardzo lubi — rzekł Brin, ale bez cienia zazdrości, — nic dziwnego, ocaliłeś mu życie... Lecz przez to, iż czeka cię poufna audyencja u władcy — przeszedł znów w żartobliwy ton — nie wykręcisz się od zakładu ze mną, że Alicja Rendell i Olga Atherton to dwie kobiety.

— Jedna, Ludwiczku, **jedna!**

— Więc stoi zakład?

— Stoi. O ile?

— O to, com przegrał dzisiaj w karty, o dwieście talarów... O dwieście dolarów — poprawił się — co zresztą na jedno wychodzi... obecnie.

— Aha, boisz się dewaluacji naszego talara. Ale zgadzam się chętnie na każdą walutę. Nie ja będę płacił.

— Zobaczymy, Jonaszu, kto z nas zapłaci, zobaczymy...

Śmiejąc się, podali sobie dłonie. Nie przypuszczali, że wypłata wygranej z tego zakładu nastąpi w najbardziej dramatycznych okolicznościach.

ROZDZIAŁ X

Wstał dziś, jak zwykle, o szóstej rano, odbył konną przejażdżkę po swoim parku, to było jego jedyną rozrywką obecnie, potem zaczynała się długa litania obowiązków. Najpierw nabożeństwo w katedrze. Klerowi w połowie zawdzięczał tron (w drugiej połowie własnej przedsiębiorczości), robił więc z siebie dewota z największą gorliwością. Opłacało się.

Przy śniadaniu wysłuchał *referatu informacyjnego*. Treściwy ekstrakt z wiadomości, jakie radio wyłapało w eterze ubiegłej nocy, zastępował gazety. Dzięki temu był au courant⁽¹⁾ ostatnich wydarzeń w świecie już przed rozpoczęciem audiencji i konferencji, które pochłaniały mu Iwią część dnia, a które dzielił na nudne i trudne. Do pierwszej kategorii zaliczał posłuchania udzielane duchowieństwu oraz korpusowi dyplomatycznemu. Słyszac na przykład monotony, nosowy głos sir Sydneya Bartona, posła angielskiego, dyskretnie zażywał tabaki, by nie zasnąć. Najgorszą „piłą” był oczywiście przedstawiciel Włoch, hrabia Vinci, lecz z nim ostatnio stykał się najrzadziej.

Trudnymi zwał konferencje ze swoimi ministrami, których miał na szczęście tylko siedmiu, nie licząc premiera. Każdy z nich na gwałt potrzebował pieniędzy na budowę gmachów publicznych, dróg, ulic, mostów, grobel, tam, koszar, szpitali, przytułków, szkół, och, wszystkiego, gdyż wszystkiego jeszcze brakowało w prastarej Abisynii, którą chciał zmodernizować i upodobnić do europejskich państw.

Najbardziej wymagający stał się wobec groźby zbrojnego konfliktu z Włochami minister wojny, ras Mulugeta i reorganizator armii, szwedzki generał Virgin. Dawniej odsyłał ich do swojego „zastępcy”, ale przekonali się rychło, że sędziwy Rietwided Wolde Tadiak rozporządza tylko... obietnicami, więc obecnie nudzili o pieniądze wyłącznie cesarza, który tylko ręce rozkładał na znak swojej bezsilności. Był wprawdzie (według oficjalnej genealogii) potomkiem króla Salomona i równie mądrej królowej Saby, lecz z pustego ani Salomon nie należy, wiadomo.

Takich konferencji ze swoimi doradcami odbył dzisiaj sześć. Poza tym położył kamień węgielny pod nowe koszary i wygłosił wojowniczą mowę. Potem w duchu bardzo pokojowym udzielił wywiadu dziennikarzom amerykańskim. Potem przewodniczył na posiedzeniu Rady Koronnej. Z kolei małą godzinę poświęcił najnowszej swej przyjaciółce i podpisał nominację jej męża na poborcę podatkowego w odległej prowincji Mandzo. Wreszcie spożył wieczerzę w gronie rodziny i w towarzystwie zaproszonego abuny (biskupa), którego wzruszył do łez surową krytyką abisyńską rozwiązłości i rozpusty. Z sali biesiadnej udał się do swego gabinetu, by podpisać stertę przeróżnych dokumentów sporządzonych w ostatnich godzinach przez niezmordowaną kancelarię cesarską.

Zapadła noc. Większość światel pogasła w Addis Abebie, większość jej mieszkańców spała od dawna, a on, *pomazaniec boży, potomek Salomona, król królów, etc., etc.* po tak pracowitym dniu jeszcze siedział przy biurku. Z dokumentów, jakie tu przyniósł wieczorem i zabrał do podpisania Tsahafitsar, szef kancelarii cesarskiej, władca Abisynii zatrzymał sobie do gruntowniejszego przejrzenia tylko akta spraw sądowych zakończonych wyrokiem śmierci. Miał je zatwierdzić lub ułaskawić przestępców.

Pierwsza z owych spraw była całkiem prosta, krzywoprzysięstwo. Za tę zbrodnię prawo

zwyczajowe odnośnej prowincji przewidywało bardzo łagodną karę, bo wyrwanie języka. Niestety, w tym wypadku winowajca zamiast zwykłej przysięgi złożył najuroczystsza, zaklął się na imię króla królów. Taka przysięga stanowi pierwszorzędny dowód prawdy w całym kraju, ale takie krzywoprzysięstwo jest zawsze karane śmiercią. Dlatego też król królów bez wahania napisał pod wyrokiem: *Wykonać!* i złożył na dokumencie swój cenny autograf.

Drugim skazańcem odwołującym się do łaski cesarskiej był jakiś góral z krainy Begemeder, któremu, gdy przewoził na drugi brzeg swoją rodzinę, przewróciła się łódź i troje ludzi utonęło. Według obowiązującej w Begemeder zasady *oko za oko, ząb za ząb*, nawet jeśli ząb ktoś komuś wybił niechcący, tamtejszy Affa-Negus (*usta króla*, czyli prokurator) skazał górala na śmierć „potrójną”, gdyż aż trzech przyszłych obywateli pozbawił państwo. Affa-Negus nie mógł jednak przemilczeć, że skazaniec za każdego z owych przyszłych obywateli obowiązuje się zabić co najmniej dwóch Włochów, jeśli zostanie ułaskawiony i wcielony do wojska a wojna wybuchnie.

Cesarz ujął w dłoń pióro, napisał: *Wykonanie wyroku zawieszam. Jeżeli winowajca dotrzyma swej obietnicy, będzie ułaskawiony*. Tak mu przypadł do gustu pomysł tego górala, że pięciu dalszych skazańców również wcielił do armii, po czym znów zaczął przeglądać akta sprawy, z której powodu polecił wezwać Jonasza Mongoszę.

Wchodzącego ulubieńca powitał dobrotliwym uśmiechem i zapytaniem o rodzinę.

— Dowiedziałem się właśnie wczoraj — odparł Jonasz, ucałowawszy dłoń swojego władcy — że już powrócił z Europy mój brat, Salomon.

— Co on tam studiował?

— Medycynę, wasza cesarska mość.

— To świetnie! Lekarzy ogromnie nam brak... jak zresztą wszystkiego — westchnął. — Niechaj twój brat zamelduje się u mnie zaraz jutro.

Jonasz wyjaśnił, że to niemożliwe, bowiem brat przebywa obecnie u ojca.

— Więc wyślij do niego depeszę, by przyjechał jak najprędzej.

Mongosza przyrzekł wykonać ten rozkaz; nie chciał martwić cesarza uwagą, że ani w posiadłościach Józefa Mongoszy, ani w całej tamtejszej okolicy nie ma żadnego urzędu telegraficznego.

— Wezwałem cię, Jonaszu, by w pewnej sprawie zasięgnąć twej rady.

— Och, wasza ces...

— Nie bądź za skromny i nie wyjeżdżaj mi wciąż z cesarskimi gośćmi, kiedy rozmawiamy bez świadków. — Wskazał fotel. — Usiądź.

— Ależ nie ośmieliłbym się w obecności wasz...

— Siadaj, mówię! Przysuń sobie lampę i te akta. Jest to sprawa karna oraz prośba o ułaskawienie niejakiego Abla Yamgana, skazanego na śmierć za **niezwykłą** zbrodnię. Słyszysz?

— Tak jest.

— **Niezwykłą**, powtarzam. Takiego przestępstwa nie znają ani ustawy prawa zwyczajowego, ani kodeksy europejskie, ani nawet Fata Negusti!

— Okropne! — wyszeptał Jonasz z przejęciem, gdyż uważał zawsze Fata Negusti (*Księgę królów*, zbiór praw wzorowany na kodeksie Justyniana) za szczyt mądrości.

— Co więcej — ciągnął dalej cesarz z tajemniczym uśmiechem — o podobnym zamachu na prawa panującego...

— *Zzzzamachu?! —* Jonasz zbladł, zerwał się wstrząśnięty do głębi wiadomością, że ukochanemu władcy zagrażał jakiś zamach, no i że on, filar kontrwywiadu, nic o tym nie wiedział. — Na Boga, co uczynił ten potworny zbrodniarz?!

— Nic... na razie, a cała jego zbrodnia polega na tym, że jest ludzako podobny do mnie!

⁽¹⁾ au courant (fr.) – zaznajomiony z aktualnym stanem rzeczy.

ROZDZIAŁ XI

Stan faktyczny owej sprawy wyglądał następująco: Gubernator królestwa Kaffa, powracając z łowów na lwy, ujrzał w stepie kilku jeźdźców. Jako człek przezorny, wysłał ku nim na zwiady trzech konnych gwardzistów, którzy niebawem powrócili zelektryzowani.

— To negus negesti! — zdołał wykrztusić jeden z nich. — Jedzie tutaj!

Wzorem wielkiego Menelika cesarz Haile Selassie podróżował niekiedy po kraju incognito, a takie nieoczekiwane inspekcje budziły największy postrach u wszystkich urzędników. Gubernator Kaffy uwierzył więc od razu swoim żołnierzom, zresztą po chwili ujrzał na własne oczy nadjeżdżającego „cesarza”. Pragnąc go powitać, jak nakazuje etykieta, zszedł ze słonia i pieszo szedł naprzeciw, bijąc niskie pokłony, a cały jego orszak padł na kolana.

Któż jednak opisał zdumienie pana gubernatora, kiedy ów rzekomy cesarz także zeskoczył na ziemię, także osunął się na kolana i wypowiedział formułkę powitalną, jakiej używa się w Kaffie tylko wobec człowieka rangą od siebie wyższego. Teraz dopiero zauważył gubernator, że tamten nie ma żadnych oznak władzy, ani parasola, ani złotego łańcucha na szyi.

— Ktoś ty? — zapytał ośmielony tym odkryciem.

— Abel Yamgan, spokojny rolnik, o najdostojniejszy.

„Najdostojniejszy” przede wszystkim polecił wlepić spokojnemu rolnikowi dwadzieścia batów za to, że swoim wyglądem wprowadził w błąd i ośmieszył władzę, ale nie koniec na tym. Po głębszym namyśle gubernator uznał, iż Abel Yamgan przez swoje nadzwyczajne podobieństwo do cesarza dopuścił się zbrodni obrazy domu panującego, za co prawo w Abisynii przewiduje karę śmierci. Osądził więc „zbrodniarza”, a wyrok przysłał królowi królów do zatwierdzenia...

— I co ty o tym sądzisz? — spytał cesarz, zauważywszy, że Jonasz Mongosza przestudiował już akta sprawy Yamgana, akta zresztą bardzo nieobszerne, bo składające się z dwóch krótkich dokumentów, z opisu stanu faktycznego i z wyroku. — Czy taki sobowtór może być dla mnie niebezpieczny, czy pożyteczny?

— Sądzę, że raczej to drugie, ponieważ mamy tego człowieka w swoich rękach.

Cesarz od początku był tego samego zdania, tylko nie wiedział na razie, w jaki sposób najlepiej wykorzystać przypadkowe odkrycie sobowtóra.

— Ty musisz coś obmyślić — rzekł do Jonasza — dlatego cię wezwałem i tobie powierzam Abła Yamgana. Oprócz nas dwóch o jego istnieniu nie może wiedzieć nikt!

— A ci z Kaffy, którzy już wiedzą?...

— Dla nich Yamgan umrze. Zawiadomisz ich, że wyrok wykonano tutaj. Krótko mówiąc, każesz przywieźć Yamgana do Addis Abeby, przywieźć w skrzyni lub worku, aby eskorta nie widziała jego twarzy. Rozumiesz?

— Tak jest, wasza cesarska mość, tak będzie najlepiej. Mając go tutaj, przekonamy się przede wszystkim, czy to podobieństwo jest aż tak...

— Wątpisz w to?

— Nnnie — odparł Jonasz w roztargnieniu, gdyż równocześnie rozpamiętywał w myśli rozmowę, jaką półtorej godziny temu odbył z Ludwikiem Brinem.

— Zdarzają się przecież wypadki dużego podobieństwa wśród ludzi niespokrewnionych ze sobą — ciągnął dalej król królów.

Jakby się umówili! Niemal dosłownie to samo powiedział Brin.

— Tttak — przyznał z wahaniem. — Ja sam stoję wobec podobnej zagadki.

— O! Ty masz także swojego sobowtóra?

— Nie, wasza cesarska mość. Tu chodzi o kobietę, która wbrew naszym ostrzeżeniom uparła się przybyć do Abisynii i...

— ...i przybyła?

— Ja twierdzę, że tak, Brin, że nie, założyliśmy się nawet...

— To przegrasz. Brin nie myli się nigdy. A w jakich zamiarach ta kobieta zamierzała tu przyjechać i kto ona?

Na wyraźne życzenie swojego monarchy Jonasz Mongosza opowiedział szczegółowo historię przykrych zająć, jakie wywołała owa kobieta.

W grudniu roku 1934, w kilka dni po pamiętnym starciu z włoskim oddziałem wojskowym pod Ual-Ual⁽¹⁾, do konsulatu abisyńskiego w Londynie zgłosiła się młoda, elegancka dama nazwiskiem Olga Atherton, rzekomo dziennikarka, i zażądała wizy na wjazd do Abisynii. Byłaby ją otrzymała z pewnością, gdyż wówczas nie robiono jeszcze trudności dziennikarzom zagranicznym, lecz jej aroganckie zachowanie zirytowało urzędnika. Przejrzawszy przedstawiony mu paszport, stwierdził, że Olga Atherton jest wprawdzie obywatelką angielską, ale od lat zamieszkała w Stanach Zjednoczonych, a powróciła do Anglii dopiero przed miesiącem.

— Dlaczego pani nie wzięła wizy w którymś z naszych konsulatów w Ameryce? — zapytał.

— Ponieważ dopiero wczoraj napadła mnie ochota do zwiedzenia pańskiej ojczyzny. Zresztą nie będę się tłumaczyła przed byle kim!

Wyraziła się trochę gorzej, czym urażony urzędnik poskarżył się konsulowi. Konsul zbadawszy sprawę i stwierdziwszy, że o dziennikarce tego nazwiska nikt w Londynie nie słyszał, oświadczył jej, iż wizy nie da, gdyż w tym wypadku należy to do kompetencji konsulatu abisyńskiego w Waszyngtonie.

— Więc ja miałabym znowu jechać przez ocean dla kaprysu jakiegoś czarnego dzikusa?! — zawołała Olga Atherton. — Niedoczekanie wasze!

Wyproszono ją za drzwi, a ponieważ w dodatku uderzyła woźnego szpicrutą, skierowano sprawę do sądu, który ukarał sprawczynię tej awantury stosunkowo bardzo wysoką grzywną. Olga zapłaciła ją bez wahania, po czym zatelefonowała do konsula, że *gwiżdże na jego wizę*, ale z wyjazdu do Abisynii nie rezygnuje.

— Potrafię przekraść się przez granicę.

— Nie radzę — odparł cierpliwy Abisyńczyk i poinformował narwaną niewiastę o przykrych następstwach takiego kroku, na wypadek gdyby ją przyłapano na granicy.

— Sęk w tym, że mnie nie złapiecie!

— Zobaczmy, zobaczymy. Na szczęście nie musimy starać się o pani fotografię.

Pozostawiła ją nam pani na swym podaniu o wizę.

Nazajutrz już nie konsul, ale sam poseł abisyński w Londynie otrzymał wojowniczy list od Olgi Atherton. Powtórzyła w nim swoją obietnicę, że bez wizy „wkroczy” do Addis Abeby, a na dowód swej bytności tam sfotografuje się na tle pałacu cesarskiego i fotografię przyśle posłowi. W końcowym ustępie listu oznajmiła jeszcze, że po powrocie do Anglii wyda własnym nakładem reportaż zatytułowany *Tajemnice władców Abisynii...*

— Co?! Jak powiedziałaś?!

Cesarz, który dotychczas słuchał opowiadania z pobłażliwym uśmiechem i dyskretnie ziewał, raptem ożywił się niebywale.

— Powtórz!

Jonasz Mongosza nie wiedział zrazu, co ma powtórzyć. Dowiedziawszy się zaś, iż chodzi o ów reportaż, i widząc nagle podniecenie ukochanego władcy, pozwolił sobie dać wyraz swojemu zdziwieniu. Cóż w tym nadzwyczajnego, że jakaś tam dziennikarka zamierza swój elaborat (o ile go w ogóle napisze) nazwać: *Tajemnice władców Abisynii*?! Kiedy był w Anglii, widział w księgarniach sporo książek, które w tytule miały słowo *tajemnica*, na przykład *Tajemnice Habsburgów*, *Tajemnica naszyjnika królowej*, *Tajemnicza Wyspa*, *Tajemnice Paryża* itd., itd. A ponieważ obecnie weszła w modę Abisynia, więc...

— Prawdopodobnie masz słuszość — wtrącił cesarz. — Niemniej jednak skoro Olga Atherton przekroczy granice mego państwa, chcę być zawiadomionym o tym fakcie.

— Mam wrażenie, że ona już jest tutaj.

— Dlaczego więc jej nie uwięziłeś?

— Przyjechała zaledwie dwa dni temu, a hrabia Gaston d'Harcourt przedstawia ją jako swoją siostrę!

— D'Harcourt, no, proszę!

— Tak, wasza cesarska mość. On mnie z nią zapoznał, a jej paszport, choć opiewa na inne nazwisko, jest w zupełnym porządku.

— Paszport angielski?

— **Francuski!** W tych warunkach, niestety, nie mogłem jeszcze zdobyć dowodów, że Olga Atherton i siostra Gastona...

— Oczywiście, oczywiście — przyznał cesarz. — Ale gdy sprawa dojrzeje, przypomnij mi o niej.

Na pożegnanie podał znów do ucałowania dłoń, powstał, podszedł do okna i przystanął tam zamyślony, a Jonasz w ukłonach cofał się ku drzwiom. Zamykał je właśnie, kiedy dobiegły go słowa, jakie cesarz wypowiedział bezwiednie, jakie „pomyślał” głośno:

— Skąd taka coś w ogóle słyszała o naszych tajemnicach?!

Zabrzmiała w tych słowach nuta wielkiego zdziwienia, lecz znacznie bardziej od cesarza był teraz zdumiony jego ulubieniec. Zatem władcy Abisynii mieli jakieś swoje tajemnice tak zazdrośnie strzeżone, że nie znał ich nawet on, Jonasz Mongosza, wiceszef wywiadu i... co tu owijać w bawełnę... przyjaciel króla królów?! On ich nie znał, natomiast jakaś ekscentryczna angelka ma czelność chwalić się, że po powrocie z Abisynii opisze i... nie, to jest nie do zniesienia! Zaraz od jutra trzeba zabrać się energicznie do pani Alicji Rendell. Trzeba najpierw zręcznie wybadać, czy...

Wracając do domu, Jonasz obmyślał plan działania na najbliższe dni. Szedł, jak zwykle, najkrótszą drogą, czyli na przełaj przez część cesarskiego parku, a potem obok kompleksu nowych gmachów publicznych, z których dwa wtedy były jeszcze niewykończone. Kiedy pierwszy z nich mijał pogrążony w myślach, gwizdnęło mu coś przed nosem i mocno zaryło się w piasek. Cegła! Zawył „z bólu”, upadł na ziemię w bezpieczniejszej odległości od zdradzieckiej ściany i jęczał coraz ciszej, ściskając w dłoni gotowy do strzału rewolwer. Lecz fortel nie zdał się na nic. Nikt nie wybiegł z pustego budynku, absolutna cisza panowała dokoła. Jonasz podniósł się więc i ruszył w dalszą drogę szybciej niż dotychczas, bowiem zegar wieżowy wybił właśnie północ.

— Może to był tylko przypadek — mruknął.

Podobnych „przypadków” miało wydarzyć się więcej.

⁽¹⁾ Ual-Ual (Welwel, Walwal) – oaza i miasto w Etiopii w prowincji Ogaden, 60 km od granicy z Somalią. 5 grudnia 1934 w Ual-Ualu miał miejsce incydent włosko-abisyński. Stacjonujący nielegalnie w oazie oddział włoskiego wojska wspierany przez dwie tankietki i trzy samoloty zaatakował żołnierzy etiopskich pilnujących bezpieczeństwa komisji granicznej. W walce Etiopczycy zabili kilkudziesięciu Somalijszyków (żołnierzy armii włoskiej), ponosząc dwukrotnie większe straty. Rząd włoski przedstawiał incydent jako akt agresji ze strony Etiopii. W rzeczywistości była to prowokacja do zdobycia pretekstu do ataku na Abisynię. Wydarzenie to było przyczyną wybuchu drugiej wojny włosko-abisyńskiej.

ROZDZIAŁ XII

Gdy zaskrzypiały drewniane schody, Clyde Eyston, który już w Aleksandrii przedzierzgnął się w Araba, szybko nakrył łysinę turbanem, osunął się na kolana, usiadł na piętach i jał mrużyć pierwszą surę Koranu, surę el-Fatiha, gdyż tę z dawnych czasów pamiętał najlepiej.

W chwilę później do jego izby wpadł bez pukania młody obdartus chudy jak szkielet.

— Mesikum... — zaczął i uciał, spostrzegłszy, iż tamten znów klepie pacierze.

Co prawda pora asr (popołudniowej modlitwy) nie nadeszła jeszcze, lecz obdartus oswoił się z tym, że jego korpulentny pan jest niezwykle pobożny. Odczekał więc, aż efendi ukończy modły, potem chrząknął, by zwrócić uwagę na siebie i ponownie wymówił formułkę powitalną, już w całości:

— Mesikum bil-cher.

— Allach jamesikum bil-cher — odparł Clyde, a znaczy to: *Bóg niechaj tobie również da dobry wieczór.*

Poznał na pierwszy rzut oka, że sługa przynosi tym razem jakąś ważną wiadomość, ale nie wypadł z roli istic wschodniego flegmatyka; usiadł na podłodze z podwinętymi nogami, wyciągnął dłoń po stojącą w kącie fajkę i w wielkim skupieniu zabrał się do nabijania jej tytoniem. (Tę imponująco długą fajkę nabył w Aleksandrii w dniu, w którym spotkał przypadkowo swego śmiertelnego wroga, rzekomo zmarłego od dawna. Za nim właśnie, za owym zarabizowanym pułkownikiem angielskim przyjechał Eyston do Kairu i tu śledził go z pomocą najętych drabów, gotowych na wszystko dla dobrego zarobku.) Zapaliwszy fajkę, przez chwilę rozkoszował się nią, zachwalał gatunek tytoniu, poczęstował nim przybyłego, po czym dopiero skierował rozmowę na właściwe tory.

— Który z was miał go na oku dziś przed południem?

— Tathor wspólnie ze mną. Chodziliśmy za nim krok w krok, zwłaszcza ja. Byłem mu cieniem!

— To źle, Halefie. Tylko ślepi nie widzą cienia, on zaś ma wyborny wzrok. Może was zauważył?

— O, efendi, któż mówi, że kroczyłem za nim jak cień?! Szedłem z daleka, tak że chwilami znikał mi z oczu.

— To jeszcze gorzej, mógł zniknąć ci na zawsze... Dokąd chodził?

Halef najdokładniej opisał dzisiejszą marszrutę inwigilowanego przezeń człowieka, który w końcu (a było to w samo południe) udał się na wyspę el-Gezira i wszedł do jednej z najwspanialszych will, gdzie spędził prawie półtorej godziny.

— Wczoraj łąził po najgorszych zaułkach, bratał się z nędzarzami, dziś dla odmiany był gościem bogacza — mruknął Clyde z przekąsem.

— To jeszcze nic, efendi. Z willi pojechał piękną limuzyną na drugi koniec miasta, wysiadł za bramą el-Ghuri, zawrócił i pieszo pomaszerował do el-Azhar!

Prastary meczet el-Azhar w roku 988 zamieniono na mahometański uniwersytet, który w niektórych latach miewał po 15,000 słuchaczy, przybyłych tu nie tylko z Egiptu, Sudanu, czy

Arabii, lecz nawet z najodleglejszych stron Indii brytyjskich i holenderskich; należy jednak wyjaśnić, że studia uniwersyteckie w Kairze trwają „trochę” dłużej niż w naszych uczelniach, bo aż 17 lat!

— Czego ten łotr chce od naszych biednych studentów ?

— Nie wiem, efendi, ale ma z nimi jakieś konszachty. Ledwie wszedł pod arkady dziedzińca sahn el-Gami, podbiegło doń kilku z tych, co noszą odznaki partii Wafd, i powitali go, jak starego przyjaciela...

O czym rozmawiali, Halef nie wiedział, nie mógł przecież przyłączyć się do spiskującej garstki ludzi, którzy usadowili się zaraz z dala od innych. Lecz przechodząc obok dwa razy, dosłyszał dwa urywki przemówienia śledzonego człowieka. Za pierwszym razem mówił on, że nad Egiptem zawisło wielkie niebezpieczeństwo, o czym młodzi patrioci powinni uświadomić cały kraj. Za drugim razem Halef *złapał uchem* tylko cztery słowa: *Pojutrze wyjeżdżam do el-Uksur...*

— Tak powiedział?! — wrzasnął Clyde Eyston i zerwał się z podłogi, zapomniawszy od razu o wschodniej flegmie. — Że jedzie do Luksoru?

Równocześnie za oknem zabrzmiało śpiewne nawoływanie:

— Allachu akbar! Allachu akbar! Allachu akbar! Aszhadu an la ilacha illa-llach!⁽¹⁾

To z pobliskiego minaretu muezzin wzywał wiernych do trzeciej modlitwy dnia. Halef spoglądał ze zdziwieniem na swego pobożnego pana, który zamiast zdjąć obuwie, zwrócić się twarzą w stronę Mekki, dłonie przyłożyć do uszu i w tej przepisowej pozie rozpocząć pacierz, biegał po izbie w widocznym podnieceniu i zasypywał sługę pytaniami.

A muezzin wołał dalej:

— Aszhadu anna Muhammedan rasulu-llah — czyli *wyznaję, że Mahomet jest wysłańcem Boga*. I znów: — Hajji ala as-salat! — *Hej, do modlitwy!*

Nabożny pan powinien był już teraz leżeć plackiem na podłodze, tymczasem nic z tego. Pochwalił Halefa, dał mu dziesięć piastrow, wypchnął go za drzwi, a w kilka minut później sam wybiegł z domu. Czemu zapomniał o modlitwie i dokąd było mu tak spieszo? Halef zaintrygowany tym szedł za swoim nowym chlebodawcą w przyzwoitej odległości. Ostatecznie nie miał teraz nic lepszego do roboty, więc dla zabicia czasu śledził tym razem... własnego pana.

Clyde Eyston zaś najkrótszą drogą maszerował ku centrum Masr el-Kahira (Kairu), w stronę ogrodu Ezbekija, potem skręcił w lewo i wszedł do biura podróży, tuż obok luksusowego hotelu *Shepherd*. Niemal jednocześnie zajechała przed biuro taksówka, z której wysiadła pulchna, starsza dama, typowa turystka. Pierwsza podeszła do lady.

— Chciałabym zrobić wycieczkę — zaczęła po francusku.

— Proszę bardzo. Do piramid w Gizie, czy do Heluanu, czy...

— Do źródeł Nilu — wtrąciła, wyjmując z torebki puderniczkę.

W biurze nastała chwila ciszy, jak makiem nasiał; takiej wariatki nie widziano tu już od dłuższego czasu. Na tle tej ciszy wcale głośno wypadły słowa urzędniczki biura rozmawiającej z kimś przez telefon:

— ...nie Pickett, tylko Rickett. Frank Rickett z Londynu. Przybędzie tu dopiero za tydzień. Poza tym, również z polecenia naszej centrali w Londynie, zamawiamy drugi apartament dla...

— Rickett, Rickett — mruczał równocześnie Eyston. — Mam wrażenie, że spotykałem się gdzieś z tym nazwiskiem.

Tymczasem subiekt obsługujący Francuzkę ochłonął już ze zdziwienia i napomknawszy mimochodem, iż rzeka Nil liczy sobie bądź co bądź 6,500 kilometrów długości, zapytał

uprzejmie, czy szanowna pani reflektuje na zorganizowanie **wyprawy** do źródeł Białego Nilu, czy Niebieskiego, czy wreszcie Nilu-Semliki, który wypływa z Jeziora Edwarda.

— Sama nie wiem — brzmiała zdumiewająca odpowiedź. — Podobno jakiś Nil płynie przez Abisynię. Czy to prawda?

— Tak jest, Nil Niebieski ma źródła na terenie Abisynii.

— To prawdopodobnie o ten chodzi. Czy dla pewności mogłabym zatelefonować do mojej... do pewnej osoby w hotelu *Semiramis*?

Hotel *Semiramis* w Kairze, położony malowniczo na brzegu Nilu naprzeciw południowego cypla wyspy el-Gezira, jest droższy nawet niż znany *Shepherd*, najtańszy pokój kosztuje tam dziennie 200 piastrow (czyli 85 zł.)

Woźny z honorami odprowadził do budki telefonicznej, tę wyraźnie pomyloną klientkę, ale jej torebka pozostała na ladzie. Leżały na niej dwa paszporty, które urzędnik biura jął dyskretnie przeglądać, a Clyde Eyston przysunął się do niego co prędzej. Po prostu z ciekawości. Zerknął. Fotografia pierwszego paszportu przedstawiała młodą śliczną dziewczynę. Jej nazwisko wypisane pod fotografią brzmiało: **OLGA ATHERTON**.

⁽¹⁾ Allachu akbar... (ar.) – Bóg jest wielki!... Świadczę, że nie ma bogów oprócz Boga!

ROZDZIAŁ XIII

Już we wtorek, to jest w trzy dni po swym przybyciu do stolicy Abisynii zabrała się Alicja do przerabiania stromej ścieżki przed willą na drożynę znośną dla samochodów. Wczesnym rankiem przyszło kilkudziesięciu zamówionych wczoraj robotników z kosztami do przenoszenia ziemi i z łopatami. Sami tubylcy, wszyscy rośli, barczyści, muskularni, wszyscy czarni jak noc, wysmarowani tłuszczem i niemiło pachnący.

Wszyscy prócz jednego. Ten *wyjątek od reguły* o krótkim tułowiu, tyczkowatych nogach i długich jak u małpy rękach był niewątpliwie Somalijczykiem; świadczyły o tym przede wszystkim włosy, według somalijskiej mody ufarbowane wapnem na żółty kolor.

— On pewnie do mycia używać, brrr! woda!

Somalijczyk był wyjątkowo tak czysty, że od razu popadł w niełaskę u służącego Gastona d’Harcourta, czarnego Affara, którego Alicja zamianowała *szeffem personalnym* najętych robotników, czyli dozorcą.

— Ty iść precz. Ty niezdatna do nasz robota.

— Ja niezdatny? — Ty masz mózg ciemniejszy od skóry!

Nie można było Affara gorzej obrazić. Przez całe lata rujnował się na leki kupowane u czarowników, a mające wybielić mu skórę. Nawet mydła raz spróbował (nie bez strachu) i także na próżno. Zrezygnował więc z dalszych wysiłków nad rozjaśnieniem upartej skóry, za to uwierzył, że przez obcowanie z Europejczykami jego mózg staje się coraz bielszy. Jeśli ktoś z domowników chciał mu zrobić przyjemność, mawiał: — Affar, ty masz w głowie już prawie białe. W przeciwnym razie dowodziło się, że Affarowi mózg ściemniał. Czyżby Somalijczyk znał tę jego słabość?!

Odgłosy bójki z akompaniamentem iście abisyńskiej wrzawy wywabiły Alicję z ogrodu, a samo jej zjawienie się przerwało homeryckie zapasy. Wysłuchawszy tendencyjnego oskarżenia Affara, poleciała oddalić winnego. Już-już odwracała się, by odejść skąd przyszła, gdy Somalijczyk padł przed nią na kolana i znacząco przymrużył oko.

— O, pani, ja poprawię się, przysięgam! — zawołał..

Wyciągnął prawą rękę ku niebu, jak gdyby rzeczywiście przysięgał, a spod zsuwających się po niej żelaznych bransolet wyjrzała wstążeczka zawiązana wokół przegubu jego dłoni. Wstążeczka zielona!

Alicja dostrzegła ją natychmiast, spojrzała przyjaźnie na klęczącego. Przypuszczała, że będzie on grał rolę nie tylko łącznika, ale również jej wiernego obrońcy podczas niebezpiecznych eskapad, w tym celu go tutaj przysłano. — Nareszcie mam blisko siebie kogoś, na kogo mogę liczyć — pomyślała z radością. Nie przypuszczała jednak, że prócz tego sprzymierzeńca wśród gromady robotników znajduje się także konfident Jonasza Mongoszy, że od dzisiaj każdy jej krok będzie pilnie śledzony.

— O, pani, ja głodem przymieram — załkał znów Somalijczyk, pragnąc położyć kres jej zadumie, przeciągającej się nadmiernie.

— Biedak — zwróciła się do Affara — trzeba go zatrzymać..

— Niemożliwe! On mnie obrazić mnóstwo za bardzo!

— Wiem, Affarze, już słyszałam — odparła zniecierpliwiona kategorycznym tonem Negra. — Za karę on... jak ci na imię?

— Dżid — odparł rudowłosy, nadal udając przerażonego.

— Za karę Dżid nie będzie pracował przy budowie drogi, ale... ze mną w ogrodzie.

W ogrodzie była zajęta aż do zachodu słońca, lecz równocześnie, kontrolowała postępy *robót drogowych*, dała Affarowi lekcję prasowania bielizny, a rozleniwionego kucharza tak *wzięła do galopu*, że Gaston d'Harcourt nie mógł nachwalić się obiadu.

— Od przyjazdu do Abisynii — zwierzał się Johnowi Gliwie, który nadszedł wieczorem — tak dobrze nie jadłem u siebie.

— E, co tam kuchnia. W najbliższą niedzielę zaprezentuję wam ogród. Teraz kończę plewienie i...

— Pani sama plewi? — wtrącił John. — Tymi rączkami?!

— Nic im nie będzie, w ogrodzie pracuję w rękawiczkach.

— Nie, nie, na to nie możemy się zgodzić, prawda Gastonie? Te śliczne rączęta... — ujął jej dłonie — stworzone są tylko do pieczyoty. Ich aksamitna skórka, pachnąca, jak... jak... — nie znalazłszy odpowiedniego porównania, pochylił się jeszcze niżej i przyłgął ustami do ręki Alicji na długo, na bardzo długo.

Gaston chrząknął nieprzyjaźnie, potem zakasłał, a gdy i to nic pomogło, pociągnął przyjaciela za ramię wcale stanowczo.

— Chodź, stary — rzekł — zagramy w szachy.

— Daj mi spokój z szachami, ja wolę...

— Lecz Alicja woli iść spać!

— Bynajmniej — zaprotestowała.

— Jesteś bardzo zmęczona, to widać.

— Nic podobnego, czuję się świetnie.

— No, pozwól, siostrzyczko, ale po takim wysiłku energii musisz...

— Energii mam jeszcze tyle — wtrąciła — że sama mogłabym odrobić zaległości naszego poselstwa tutaj.

— Zaległości? — obruszył się Gaston. — Nic mi o tym nie wiadomo.

— Za to prasie wiadomo!

— Jak to? Jak to?

— Aha, przestraszyłeś się przecież.

— Lubisz przesadzać, moja droga — odparł urażony. — Żaden z hrabiów d'Harcourt nie przestraszył się nigdy niczego!

— Wyraziłam się źle — przyznała — niemniej wielką przykrość, przez wzgląd na ciebie, sprawiło mi to, co piszą o tutejszym naszym poselstwie.

— A co takiego piszą, u licha?!

— Że nie robicie nic, że nie troszczycie się o życie obywateli francuskich w Abisynii, że tuszujecie ich najcięższe krzywdy, byle...

— W jakiej brukowej szmacie wyczytałaś te brednie?!

— Lubisz przesadzać, mój drogi — odwzajemniła mu się — żadna z hrabianek d'Harcourt nie czytuje nigdy brukowych szmat, tylko poważne czasopisma.

— Poważne czasopismo nie czyniłoby nam tak ciężkich zarzutów gołosłownie bez powołania się na fakty, daty, nazwiska...

— Oczywiście, oczywiście — wtrąciła skwapliwie — nawet utknęło mi w pamięci nazwisko jednego z poszkodowanych. Brzmi ono: Valentin Duroc.

— Duroc, Duroc, hm, znam chyba całą tutejszą kolonię francuską, ale nie przypominam sobie...

— Nic dziwnego, Valentin Duroc nie mieszkał stale w Abisynii, tylko przyjechał tutaj na kilka miesięcy we wrześniu ubiegłego roku.

— Jako komiwojażer?

— Ależ, Gastonie! Duroc to znany przyrodnik, chluba Francji! I ty o nim nic nie słyszałeś? — zgorszyła się.

— Owszem, owszem — łgał niezgrabnie — nie wiedziałem tylko, że chodzi o tego Duroca. I co z nim?

— Właśnie nie wiadomo. W październiku wyruszył z Addis Abeby na zachód, w stronę Sudanu, i od tej chwili wszelki ślad po nim zaginął... Może jęczy w niewoli u któregoś z półdzikich rasów, może go zamordowano...

Wydało się Johnowi, który jak w tęczę patrzył wciąż na Alicję, iż lekko drgnęła i szybko wyciągnawszy dłoń przed siebie, ukryła ją pod stołem. Że tam dotknęła drewna zgiętym palcem trzy razy, jak czynią ludzie zabobonni, kiedy chcą odżegnać zło, tego już zauważyć nie mógł.

— Od tego czasu — ciągnęła dalej, a w głosie jej zawibrowała nuta rozpaczki — upłynęło długich sześć miesięcy.

Westchnęła, zgarbiła się bezwiednie, posmutniała, ale zreflektowała się wnet, że nie jest tutaj sama.

— Od pół roku — zawołała energicznie — świat żyje w niepewności co do losów znanego uczonego francuskiego i ludzi z jego karawany, a poselstwo francuskie w Addis Abebie śpi! Palcem nie kiwnęło w tej sprawie!

— Skąd wiesz, że nie „kiwnęło”. Z pewnością interweniowało się i...

— Ale ty, zastępca posła nawet nie słyszałeś o tym!

— Widocznie bawiłem wówczas na urlopie.

— Tak, to bardzo możliwe — porzuciła ironiczny ton i zaczęła Gastonowi prawie komplementy, że jest najsumienniejszym urzędnikiem pod słońcem, że z pewnością nie pozostawiłby na pastwę dzikusów rodaka, w dodatku znanego uczonego, gdyby był wiedział o jego zaginięciu, że ta przykra historia musiała wydarzyć się podczas nieobecności Gastona, dlatego on o niej nie słyszał itd., itd.

— Bądź spokojna, siostrzyczko — odparł, udobruchany jej pochwałami i ciepłym spojrzeniem, jakie mu posłała — zajmę się tą sprawą i wysłę gazeciarzom odpowiednie sprostowanie... A swoją drogą to dziwne...

— Co dziwne?

— Że ja sam nie zauważyłem tych artykułów.

— Widocznie przeoczyłeś je.

— Niemożliwe. Od zajścia pod Ualual sam robię przegląd prasy i każdą wzmiankę o Abisynii zakreślam czerwonym ołówkiem dla posła... Pokaż no te gazety.

Po dłuższym szukaniu po wszystkich pokojach Alicja przyniosła skądś egzemplarz pisma *Il Lavoro Fascista* i pokazała Gastonowi odnośny artykuł, zatytułowany: **JESZCZE JEDNA ZBRODZIA ABISYŃCZYKÓW.**

— Nie dziwota, że ja tego nie czytałem. Nie prenumeruję włoskich czasopism... Ale skąd ty?...

— Prawdopodobnie w Marsylii kupiłam tę gazetę wraz z setką innych, by nie umrzeć z nudów na statku. Nie przypuszczałam jeszcze wtedy — uśmiechnęła się zalotnie do Johna Gliwy — iż będę miała tak miłego towarzysza podróży.

— W Marsylii? — Gaston obliczał coś w myśli. — Nie, siostrzyczko. Spójrz na datę. Musiałaś już być w Kanale Sueskim, kiedy wyszedł ten numer *Lavoro Fascista*.

— Więc najwidoczniej kupiłam go w Dżibuti. Nudny jesteś z tą twoją dokładnością. Czy to ważne, skąd wzięła się ta gazeta tutaj? Bynajmniej! Ważne jest tylko to, że obywatel francuski, znakomity uczony, zaginął bez wieści w Abisynii, że o tym piszą nawet za granicą, krytykując ostro naszą placówkę dyplomatyczną w Addis Abebie i...

— Nic tu nie piszą o naszej placówce.

— Nie? Aha, to w jakimś innym dzienniku pisali.

— Jesteś tego pewna?

— Oczywiście!

— Hm, trzeba by zbadać tę sprawę.

— Tak, braciszku, trzeba natychmiast zbadać — zawtórowała mu gorąco — zbadać, gdzie, w jakiej wiosce widziano po raz ostatni nieszczęsnego rodaka, przesłuchać tych, którzy go tam spotkali, uwięzić podejrzanych i tak dalej, i tak dalej. Ty załatwisz to osobiście, prawda?

— Jaaa?! Droga Alicjo, twoja ignorancja jest rozbijająca. Nawet w naszych koloniach nie mógłbym osobiście wykonać czynności należących do kompetencji władz sądowych czy administracyjnych. A przecież Abisynia nie jest kolonią francuską. To państwo suwerenne!

Tu nastąpił dłuższy wykład z dziedziny prawa międzynarodowego, wykład zakończony stwierdzeniem, iż w konkretnym wypadku poselstwo francuskie nie może przedsięwziąć żadnych kroków na własną rękę.

Lecz *rozbijająca ignorantka* nie dała za wygraną. Podczas całego „wykładu” zerkała zalotnie na Johna Gliwę, niby to przez roztargnienie oparła dłoń na poręczu jego fotela, gdzie trzymał rękę, a potem zapytała, czy on, monsieur Gliwa, nie widzi jakiego ratunku dla zaginionego podróżnika.

— Nic prostszego — odparł. — Trzeba tylko zażądać od władz abisyńskich, by wszczęły śledztwo w tej sprawie i ukarały winnych.

— Słyszysz, ty niedołęgo... kochany?!

To *kochany* miało Gastonowi osłodzić *niedołęgę* i spojrzenie pełne wyrzutu, jakie towarzyszyło temu epitetowi.

— Słyszę, Alicjo, słyszę. John nie powiedział zresztą żadnej rewelacji. Skoro tylko zaczęłaś nam opowiadać o Valentinie Durocu, pomyślałem sobie od razu, że trzeba będzie zbadać akta i spowodować miarodajne czynniki do powzięcia decyzji, czy należałoby działać na platformie formalnej interwencji u...

— Miarodajne czynniki, platforma — przedrzeźniała go. — Och, ta nasza biurokracja, ta biurokracja! — westchnęła, potem z czarującym uśmiechem zwróciła się do Johna. — Pan by taką notę na pewno machnął od ręki, co?

— Dla pani wszystko! — odrzekł z zapalem. — Już jutro Abisyńczycy dostaliby ten kawałek... ode mnie!

— Już jutro, słyszysz, braciszku? Tak urzędują amerykanie!

— Tak ja urzęduję również — oświadczył Gaston co prędzej, widząc, że na znak swego uznania podała Johnowi dłoń, którą ten znów zaczął całować w tak irytujący sposób — zawsze od ręki... jeśli sprawa jest pilna.

— Czyż może być pilniejsza sprawa niż ta?! Od pół roku nasz rodak jęczy w niewoli barbarzyńców, od pół roku jego rodzina... och, najdroższy Gastonku — objęła go czule za szyję — jeśli mnie lubisz choć trochę, to napiszesz tę notę jeszcze... dzisiaj.

— Dzisiaj?! Kobieto, przecież muszę pierw przestudiować akta!

— Po co? Wszelkie dane dotyczące Duroca są w tej gazecie.

— To nie jest miarodajne źródło. Po drugie, nie mogę przedsięwziąć nic bez uprzedniego porozumienia się z moim szefem.

— Czyż on będzie układał tę notę? Nie. Tylko ty! On ją później podpisze, to cała robota jego i wszystkich szefów na świecie.

— Pani ma rację — przyznał John, chcąc sobie zasłużyć na dalsze dowody przychylności Alicji.

Gaston spojrział na niego z nieukrywaną urazą.

— Ty, widzę, zawzięłeś się dziś na mnie — rzekł.

— Ja?

— Żeby mi zrobić na złość, podjudzasz ustawicznie Alicję, choć w duchu pokpiwasz sobie w najlepsze z jej niezrozumiałych i...

— O, za pozwoleniem! Nazbyt szanuję twoją siostrę, nazbyt poważne uczucia żywię wobec...

— Nie jestem ciekaw tych zwierzeń! — wtrącił d'Harcourt ostro.

— Ależ, Gastonie! — Alicja jęła przepraszać Johna za brata, który jest dzisiaj *wyjątkowo zdenerwowany od rana*.

— W takim razie najlepiej będzie, jeśli — westchnął Gliwa — jeżeli już sobie pójdę.

— Tym razem masz rację — mruknął d'Harcourt, dość jednak głośno, by tamten to dosłyszał.

Pożegnawszy przyjaciela chłodnym uściskiem dłoni, rzucił się w fotel i sięgnął po drugi tom powieści, który czytał „na raty” od czterech dni i nie skończył nawet pierwszego rozdziału; dawniej, każdego popołudnia zaczynał nową książkę i nie kładł się spać, dopóki jej nie skończył, lecz przyjazd Madelon-Alicji zabił ów zapał do lektury powieści masowo sprowadzanych z Europy co miesiąc. Teraz Gaston znów czytał tylko oczyma, nie rozumiejąc treści ani w ząb. Jego myśli krążyły wciąż wokół ukochanej kobiety, która wyszła na werandę z Johnem i tam żegnała się z nim nie do zniesienia długo.

Chrząknął. Nic, żadnego skutku. Jeszcze rozmawiali na werandzie, potem nastąpiła chwilka ciszy. To było gorsze nawet niż dotychczasowe ich gruchanie przetykane zalotnym śmiechem Alicji. To uprawniało do najstraszniejszych przypuszczeń:

— Może oni się całują?! Może umawiają się na schadzki gdzieś w mieście?! Może w jego mieszkaniu?

Gaston z pasją cisnął książkę w kąt. Cisza na werandzie trwała już chyba minutę. Godzinę! Dwie godziny! Równą połowę wieczności!!!

— Tego mi za wiele — warknął.

Powstał, odwrócił się i zgłupiał; Alicja była tutaj, siedziała w drugim fotelu, obok drzwi, wzrok miała wbity w podłogę.

— Kochanie — zaczął niepewnie — czy gniewasz się na mnie?

Podniosła głowę, spojrziała na niego, jak człowiek nagle wyrwany z głębokiego snu. Zmarszczyła czoło, starała się przypomnieć sobie, co usłyszała teraz, co mówił do niej. Aha, pytał, czy ona nie gniewa się na niego, czyli tego się lękał. Wyśmienicie!

— Gniewam się, to chyba zrozumiałe... Stój, nie zbliżaj się do mnie. Siadaj... Siadaj, mówię!

Usiadł posłusznie na dawnym miejscu, za to ona wstała, rozpoczęła spacer po gabinecie i grad srogich wymówek posypał się na głowę Gastona. Że w ten sposób gospodarz nie postępuje ze swoim gościem, i poza tym John jest jego serdecznym przyjacielem. Że biedny chłopak

odszedł stąd jak struty. Że teraz będzie długo rozmyślał nad tym, co wywołało nagły wybuch gniewu u przyjaciela i kto wie, czy nie domyśli się prawdy. Że skoro rozniesie się po Addis Abebie, iż Alicja nie jest siostrą Gastona, ale jego dawną przyjaciółką, ona będzie musiała...

— Nie, nie — wtrącił Gaston w tym miejscu. — Nikt nie dowie się nigdy, że byłaś moją... — z tklivością wymówił ostatni wyraz — kochanką.

Niestety, właśnie w tej chwili ktoś niepowołany słyszał te słowa, a nazajutrz miał je powtórzyć groźnemu Jonaszowi Mongoszy.

— I co masz na swoją obronę? — ciągnęła dalej Alicja, czując się doskonale w roli sędziego. — Nic!

— Owszem, jest coś, co usprawiedliwia mnie w zupełności.

— Mianowicie?

— Kocham cię i jestem o ciebie szalenie zazdrosny!

Podeszła do niego, usiadła na lewej poręczy fotela.

— Naprawdę? Jeszcze wciąż kochasz?

— Dziś bardziej, niż ongiś w Rzymie, niż kiedykolwiek!

Stokroć bardziej wymowny od słów był jego błyszczący wzrok. Utonął nim w jej zadumanych oczach, z których wyczierała bolesna tęsknota za... och, Gaston domyślił się od razu, że za zmarłym mężem i znowu odczuł w sercu ostry cień zazdrości. Innej niż o Johna, znośniejszej. Przecież tamten nieznany rywal, który w Rzymie odebrał mu kochankę, już nie żył, przestał być groźny. Z czasem zniknie nawet pamięć o nim, sądził, wszakże o zmarłych zapominamy tak szybko, tak nieprzyzwoicie szybko.

— Kocham cię, Madelon — szeptał, objąwszy ją wpół łagodnie. — Pozwól mi zwać cię po dawnemu, kiedy jesteśmy sami... O, Madelon!

— Co, kochany, duży dzieciaku, co mi powiesz?

Tak zawsze doń przemawiała w Europie. Jej miękkie, naperfumowane dłonie głaskały go po twarzy znów tak rozkosznie jak dawniej, by wreszcie zanurzyć się w jego włosach. Jej piękne, wyraziste oczy straciły wyraz smutnej zadumy i patrzyły teraz na niego w ów przedziwny sposób, który rozpalał mu krew bardziej, niż najbardziej wyrafinowane pieszczoty innych kobiet. Jej wargi rozchyliły się jakby do żarłocznego pocałunku à la Greta Garbo⁽¹⁾...

Lecz jej myśli błędziły gdzie indziej! Zdradził to okrzyk bardzo niewłaściwy w takiej chwili.

— Jakie ty masz rzadkie włosy, Gastonie!

Wiedział, że grozi mu rychła łysina, bolał nad tym, ale czyż to był odpowiedni moment do rozmowy na temat owłosienia?!

— Jej mąż musiał mieć czuprynę, niczym Papuas — rzekł sobie w duchu z niechęcią. — Wciąż myśli o nim, wciąż! Już ja to z niej wykorzenię...

Przyciągnął ją do siebie tak, że z poręczy zsunęła mu się na kolana. Nie stawiała najmniejszego oporu, czym zachęcony zacieśnił oplot prawej ręki, a lewą delikatnie ujął ją pod brodę.

— Czekaj — wyszeptała, odchylając głowę — czy pamiętasz smak moich pocałunków? Gdy usta są blisko ust, konspiracyjny szept kobiety podnieca równie silnie jak sam pocałunek.

— Czy pamiętam! — powtórzył Gaston w upojeniu.

— Chcę ci go przypomnieć...

— Najdroższa!

— Czekaj. — Zakryła mu usta dłonią. — Wycałujesz mnie, ile będziesz chciał, z góry

pozwalam...

— Na wszystko?

— O, nie! — zastrzegła się stanowczo. — Dafeś słowo honoru, że nie nadużyjesz mojego zaufania...

— Wiem, wiem. — Wolał nie dopuścić, by znowu wspomniała o swojej ciężkiej żalobie, od której chciała dziś udzielić sobie częściowej dyspensy. — Ale wycałować cię mogę, prawda? Sama to powiedziałaś.

— Tak — westchnęła z rezygnacją.

— Więc...

— Czekaj. Żeby sobie zasłużyć na tak słodką nagrodę, powinienes spełnić jakiś dobry uczynek.

— Dwa uczynki, trzy, cztery, całą kopę!

— Wystarczy jeden... na razie.

— Jaki?

— Widzisz, drogi Gastonie, gdy pomyślę, że nam tu jest tak dobrze, tak miło, wygodnie, bezpiecznie, a tamten nasz biedny rodak, ów Duroc...

— Więc o niego ci chodzi? Aha, twoje dobre serduszko cierpi...

— Właśnie, właśnie.

— I co mam zrobić?

— Nic wielkiego. Po prostu spowodować „miarodajne czynniki” — odparła niby żartobliwie — by **jutro** złożyły u władz abisyńskich notę, której koncept przygotujesz jeszcze **dzisiaj!**

Korzystając z jego chwilowego osłupienia, jakie wywołało to kategoryczne *dzisiaj*, powstała szybko i odeszła na środek pokoju.

— Ależ...

Ależ tak, Gastonie, ja zawsze dotrzymuję słowa. Skoro spełnisz ten dobry uczynek, otrzymasz przyrzeczoną zapłatę „w naturze”... Życzę ci dobrej nocy, mój drogi przyjacielu.

W progu przystanęła raz jeszcze, jak gdyby chciała stwierdzić, czy nie przeciągnęła struny. Gdyby wyrzekł choć parę słów, można by poznać po głosie, czy obraził się, czy nie.

— Nie powiedziałeś mi *dobranoc*.

— Dobranoc, kochanie — odparł melancholijnie, bez cienia urazy.

— A jutro chcę sprawdzić, czy umiesz jeszcze tak całować, jak ongiś. Jutro, o ile...

Zerwał się, podbiegł do biurka, rozpostarł przed sobą otrzymany od Alicji numer *Il Lavoro Fascista* i zaczął pisać koncept owej noty. Pisał w bajecznym nastroju, żeby nie rzec: w natchnieniu. Nie zastanawiał się ani trochę nad tym, dlaczego Alicja zainteresowała się losem jakiegoś tam Valentina Duroca, dlaczego tak bardzo zależało jej na pośpiechu. Wszystkie te kwestie zeszły na dalszy plan, na najdalszy, wobec rozkosznej nagrody przyrzeczonej za spełnienie kaprysu.

— Kaprys, nic więcej, ona zawsze była trochę ekscentryczna. Ależ napiszę ci tę notę, napiszę. Lecz w zamian...

Po godzinie koncept noty był gotowy. Nieźle wypadł, chociaż Gaston przy pisaniu myślał przede wszystkim o ustach Alicji, a ciągle pławienie się w tych myślach wzburzyło mu krew do zenitu.

— Może jeszcze nie śpi? O, na pewno nie, zawsze lubiła czytać coś do poduszki — monologował, zacierając ręce. — Pokażę jej mój elaborat i zażądam... cha, cha, cha, małej zaliczki na poczet umówionego honorarium!

Nie zwlekał z wykonaniem tego zamiaru. Zebrał kartki oderwane z bloczka, na których skreślił brudnopis noty w sprawie zaginionego w Abisynii obywatela Rzeczypospolitej Francuskiej, pana Valentina Duroca, udał się do hallu, a stąd po schodach lekko skrzypiących na pierwsze piętro, gdzie znajdowały się gościnne pokoje. Najładniejszy z nich zajmowała Alicja.

— Nie śpi — ucieszył się, zoczywszy żółtawą kreskę światła na progu pod drzwiami. — Jaka szkoda, że nie przebrałem się w piżamę.

Zapukał. Nie było odpowiedzi.

— Alicjo, to ja.

Nic, cisza, milczenie. Czyżby usnęła przy czytaniu książki? Nacisnął klamkę i powoli, łagodnie odemknął drzwi.

— Nie ma jej?!

Wydało mu się to tak nieprawdopodobne, że wpadł do pokoju i zaczął rozglądać się dokoła.

— Gdzie się schowałaś przede mną, ty figlarko?

Przekonał się rychło, iż gada do ściany. Alicji nie było tutaj ani w łazience, ani w ogóle nigdzie w domu, jak stwierdził niebawem. Zatem wyszła. Chociaż ją tak ostrzegał. Chociaż poinformował ją zaraz pierwszego dnia, że w miastach abisyńskich bez specjalnej przepustki nie wolno opuszczać mieszkań po godzinie siódmej wieczorem. Rzecz oczywista, iż patrol, która ją spotka, nawet nie zapyta o przepustkę (Europejczyków nie podejrzewa się o uprawianie procederu rozbójniczego), lecz co będzie, jeśli Alicja spotka jednego z tych niebezpiecznych bandytów, na których patrole polują nocami?!

— Nie, nie, to niemożliwe, aby ona była tak lekkomyślna i w nocy wyszła sama...

Lecz jeśli nie sama, to z kim? Odpowiedź na to pytanie była bardzo prosta na pozór: z Johnem Gliwą.

— Przecież to jedyny człowiek, którego ona tutaj zna, prócz mnie.

Alicja знаła wprawdzie również dwóch braci Mongoszów, trzech służących Gastona i kilkudziesięciu robotników, ale każdy z nich był tylko kolorowym tubylcem, a nie człowiekiem, czyli przedstawicielem białej rasy... Nawet w takiej chwili, gdy cień zazdrości najboleśniej zranił mu serce, Gaston d'Harcourt nie zapomniał o „właściwej” nomenklaturze.

— Jedyny człowiek, jedyny! — powtórzył z wściekłością.—Czekał tu na nią i do niego poszła, ochchch!

Gaston zdziwiłby się był niezmiernie, gdyby mu ktoś powiedział, że w tej chwili John gra w karty z kolegami, a Madelon-Alicja wymknęła się z domu w towarzystwie właśnie **tubylca!**

⁽¹⁾ à la Greta Garbo – w stylu Greta Garbo, szwedzkiej aktorki, gwiazdy filmowej (1905-1990).

ROZDZIAŁ XIV

Opasły gohargi (jubiler) spojrział litościwie na kulawego starca.

— Do szczytu wzgórza Mokattam? — powtórzył część jego pytania.

— Tak.

— Czy chcesz pomodlić się na grobie emira Badr el-Gamalego, który nawet po śmierci pragnął spoglądać na swoje najukochańsze małżonki?

— Właśnie, właśnie.

— Zatem podążasz do meczetu Gijuszi, czy tak, mężu nabożny?

— Tak! — wrzasnął żebrak zniecierpliwiony indagacją i odwrócił się, jak gdyby chciał odejść. — Zapytam kogo innego, skoro ty nie wiesz.

— Ja, nie wiem?! Cały Kair znam lepiej, niż własną kieszeń!

— Więc gadaj, do... — tu omal nie padły słowa zgoła niestosowne w ustach *nabożnego męża*, który jednak poprawił się w porę. — Kul, wahjat abuk! (Mów, na życie swojego ojca!).

Flegmatyczny gohargi wyjaśnił najpierw, iż zakłęcie jest trochę spóźnione, gdyż jego rodzic nie żyje od dwudziestu lat, potem z zabójczą dokładnością opisał drogę wiodącą ku wzgórzom Mokattam, a w końcu zauważył, że *nabożny mąż* powinien tę pielgrzymkę odłożyć do jutra, gdyż z winy swojego kalectwa nie stanie u celu dzisiaj przed zachodem słońca.

— Muszę! Zresztą nie myślę tam leżeć pieszo.

— Słusznie. Aż do placu Saladyna można dojechać tramwajem.

— Którym?

— A może... — gohargi wyciągnął sakiewkę — nie masz na bilet?

— Który tramwaj, pytam!

— Ten z biało-zielonym szkłem na daszku. Tam, widzisz?

— Aha, jedenastka.

— Ty umiesz czytać?!

Zdziwienie jubilera wzrosło o sto procent, kiedy „kulawy” staruszek, wsunąwszy laski pod pachy, popędził za tramwajem numer 11, który właśnie ruszył z przystanku.

— Czyżby cud?! Ależ to najlepsza reklama!

W ciągu tych paru sekund gohargi nie mógł ogarnąć myślą wszystkich korzyści, jakie powinny by spłynąć na jego przedsiębiorstwo, przed którym w biały dzień wydarzyło się tak cudowne uzdrowienie kulawego.

Tymczasem rzekomy kaleka, choć biegł bardzo żwawo, nie doścignął tramwaju. Zawrócił więc, a mijając sklep jubilera, pogroził mu pięścią.

— Przez ciebie — zawołał. — Gdybyś mi nie był zawracał głowy swoim ojcem, który...

Właśnie nadjeżdżała wolna taksówka. Zgrzybiały staruszek wskoczył do niej rześko, a zdumienie zacnego jubilera doszło do zenitu.

Żebrak w taksówce?!

Zmieniło się jednak od razu w srogi gniew, gdyż dziwny żebrak nie zapomniał o tym, by dokończyć zaczęte zdanie:

— ...ojcem, który oby z piekła nie wylazł za to, że spłodził tak ospałego wieprza.

— O, ty oszuście! Żebyś się udławił własną brodą. Żeby cię...

Dalszych, równie szczerych życzeń, Clyde Eyston już nie słyszał, bowiem kierowca taksówki z miejsca ruszył z taką chyżością, z jaką tylko kolorowy szofer potrafi gnać w mieście.

Ten tłuścioch wspomniał coś o brodzie; czy odlepia się może?

Obawy te były nieuzasadnione. Siwa, sięgająca po pas broda, trzymała się mocno, uzupełniając świetną charakteryzację „arabskiego żebraka”.

Długą, ożywioną, prostą jak strzełił ulicę Muhammeda Alego taksówka przebyła w rekordowym czasie, okrążyła półkolem wspaniały meczet sultana Hassana i stanęła obok skweru, poza którym zaczyna się właściwy Midan Salah ed-Din (Plac Salady). Na tym najpiękniejszym placu Kairu, który miasto zawdzięcza Kitchenerowi⁽¹⁾, po południu odbywa się targ i Clyde Eyston, wysiadłszy z taksówki, zaszył się w tłum co prędzej; przierzucanie się od lekkomyślnych kroków do przesadnych ostrożności cechowało go zawsze, a po niepotrzebnej scenie „cudu” przed sklepem jubilera potrzeba jak najlepszego zakonspirowania się była dlań tym bardziej paląca. Udawał więc kalekę z takim powodzeniem, że zanim stromą uliczką Bauwabet el-Gebel dotarł do celu swej wędrówki, uzbierał kilka piastrów, chociaż zbyt natrętnie o jałmużnę nie prosił.

— Zebranie jest niezłym zawodem, widzę teraz — pomyślał z humorem, przeliczając miedziane milliny (moneta wartości czterech groszy), wśród których znalazł także niklową nusse-kirsz (pół piastra).

Przystanął na razie obok starego fortu tureckiego, gdyż nie wiedział, czy tamci nadejdą tą samą drogą, co on, czy przez żelazny most od strony Cytadeli. A jeżeli w ogóle nie nadejdą?!

— To łaskę połamie na chudym grzbiecie Halefa!

Zanosilo się na to. Czas płynął szybko, jak zawsze, słońce chyliło się ku zachodowi, turyści i snujący się za nimi wydrwigrosze kolejno opuszczali wzgórze Mokattam, a w zamian z miasta nie przybył nikt.

Clyde Eyston dla zabicia nudów oczekiwania zaczął rozglądać się dokoła, po bliższej i dalszej okolicy. Tuż u jego stóp leżał klasztor derwiszów Bektaszi z przepięknym ogrodem, tarasami spływającym w dół ku Grobom Mameluków⁽²⁾. Poniżej ciągnie się mahometański cmentarz, częściowo okolony przez ruiny starego akweduktu, który dalej biegnie prosto do Nilu, rozdwojonego w tym miejscu i obejmującego dwoma ramionami wyspę Roda. Na lewo stary Kair z malowniczym portem, na prawo jak okiem sięgnąć właściwe miasto, białe mrowie budynków, upstrzone zielonymi plamami ogrodów, błyszczące kopułami stu świątyń i wystrzelające ku niebu lasem minaretów, z których najwyższy, liczący 82 metry należy do pobliskiego meczetu sultana Hassana.

Na wschód od miasta znowu cmentarz, znów cudne mauzolea, Groby Kalifów, na prawo od nich szereg pagórków, powstrzymujących napór Pustyni Arabskiej. Nieco dalej i bardziej na północ oaza Heliopolis. Tam po krwawej bitwie w roku 1517 turecki sultan Selim I wziął do niewoli i kazał stracić ostatniego z sultanów mameluckich, którym był... zabawnie to brzmi po polsku... Tuman Bej. A bliżej, na wschodnich stokach wzgórz Mokattam, dwie zagadki: dla geologów, wielki skamieniały las; dla historyków, „autentyczne” źródło Mojżesza, którego Mojżesz prawdopodobnie nigdy na oczy nie widział.

Clyde Eyston zaczął się niecierpliwić. Według relacji Halefa śledzony przez nich osobnik zamierzał przemawiać na wiecu studentów egipskich i to nie na dziedzińcu uniwersytetu el-Azhar, lecz gdzieś tutaj, na wzgórzach Mokattam. Zebranie miało się rozpocząć na godzinę przed zachodem słońca, tymczasem słońce już niemal zachodziło, a z miasta nadal nie szedł nikt w tę stronę, tylko wciąż w odwrotnym kierunku.

— Znow parka turystów — mruknął z niechęcią.

Para ta nie wyglądała ani na kochanków, ani na małżeństwo, ani też na rodzeństwo. Clyde Eyston od razu powziął wątpliwości, czy tego smukłego chłopca, po cerze sądząc blondyna, i tę nader pulchną, podstarzałą brunetkę łączą jakiegokolwiek węzły pokrewieństwa.

Tamci dwoje zbliżyli się już na tyle, że można było słyszeć ich rozmowę czy kłótnię, nieustanną, lecz utrzymaną w przyzwoitych ramach. On obejrzał się właśnie za swoją towarzyszką, wlokącą się za nim w odległości trzydziestu kroków i przynaglił ją do pośpiechu.

— Prędzej, Lisette. Musimy jeszcze obejrzeć meczet Imama esz-Szafiego.

— Jeszcze jeden meczet? Oooooch! Ja upadam ze zmęczenia.

— Ani razu nie upadłaś dotychczas.

— Upadam przenośnie.

— Z tego sińców nie będzie.

— Jesteś bez litości!

— A ty, nudna. Zamiast być zadowolona z treningu, który zahartuje cię na trudy naszej olbrzymiej podróży, ty...

— Po co mi trening? Dzięki Bogu i dzięki twoim pieniądzom, podróż odbędziemy wygodnie statkiem, nie pieszo.

— Statkiem nie można dotrzeć do samych źródeł żadnej rzeki na świecie, to jasne, więc pieszy spacer czeka nas również.

— Ale niedługo?

— Nie. Najwyżej kilka tygodni.

— Ttygodni?!

Tym razem korpulentna dama wcale nie przenośnie upadła lub raczej usiadła na ziemi. Młodzieniaszek parsknął śmiechem, ale zawrócił, pośpieszył jej z pomocą, po czym nastąpił dalszy ciąg dialogu na tę samą nutę.

— Ty chcesz mnie zapędzić do grobu.

— Głupstwa wyplatasz, Lisette. Czy ja cię zmuszam do towarzyszenia mi w podróżach albo w wycieczkach? Masz swoją rentę, możesz siedzieć spokojnie w Paryżu, zamiast narażać się na różne niewygody.

— Wiesz przecież, że przysięgłam twojej matce przed zgonem, iż nic opuszczę cię nigdy, w żadnej sytuacji!

— Nawet jeśli kiedy przyjdzie mi ochota wstąpić w związki małżeńskie? Ładna perspektywa!

Znowu zabrzmiał srebrzysty śmiech chłopca, znow zawtórowały mu narzekania panny czy pani Lisette (Elżuni), a w trakcie tego oboje podeszli do niezasłoniętego przez kaktusy miejsca, skąd roztaczał się widok na Kair.

— Cudna panorama! A tam dalej, patrz, wielkie piramidy!

— Czy są także małe, że mówisz „wielkie”?

— Są, Lisette, są. W Egipcie jest blisko osiemdziesiąt piramid, lecz największe i najpiękniejsze są te trzy, w Giza. Pierwsza od prawej ręki to Cheops, na której szczycie fotografowaliśmy się i...

— Och, nie wspominaj mi tej męczącej wspinaczki.

— Trzech Beduinów windowało ją w górę i jeszcze narzeka! Gdzie ty tam wciąż zerkasz?

— Jakiś Arab — dama zniżyła głos — stoi pod murem.

— Niech sobie stoi.

Młodzieniec nawet nie raczył spojrzeć na przebranego Eystona i nadal zachwycił się piramidami. A widok ich był niewypowiedzianie piękny obecnie, kiedy słońce zmęczone całodzienną wędrówką po gorącym niebie afrykańskim legło w zagłębieniu pomiędzy szczytami Cheopsa i Chefrena. Jak czynne wulkany wyglądały te prastare, martwe sterty bloków kamiennych, z których na żołnierzy Napoleona *patrzyło czterdzieści stuleci*. Jak pióra flaminga stało się niebo nad nimi i tak cudnie zaróżowioną twarz pochyliło nad swoim zwierciadłem, nad błękitnym Nilem, barwiąc krążące po nim żagle białe, do roju motyli podobne. Jak szczere złoto zabłyśły piaski Pustyni Libijskiej, które ongiś całkowicie zasypały olbrzymiego cerbera mogił faraonów, Sfinksa.

— Lisette, czy widzisz? Czy możesz wyobrazić sobie coś piękniejszego, niż dzisiejszy zachód słońca?

— Owszem. Księżycowa noc ma dla mnie zawsze więcej uroku.

— Noc? Świetna myśl! Pojedziemy dziś obejrzyć piramidy przy księżycowym świetle.

— Dzisiaj? Zmiłuj się! Przecież to ostatnia noc przed naszą podróżą. Statek *Arabia* odpływa jutro rano o...

— Prawda, prawda...

— Kochanie!

— Co, Lisette?

— Zgodzę się na nocną wycieczkę do piramid w Giza, zgadzam się z góry na wszystko, tylko... zrezygnuj z tej nedorzecznej eskapady do źródeł Nilu, dobrze?

Clyde Eyston palnął się w czoło. Od dłuższej chwili głowił się nad pytaniem, gdzie już spotkał tę korpulentną damę i dopiero teraz zrozumiał, gdzie. Ależ tak, to ona wywołała wczoraj wesołą sensację w biurze podróży, żądając biletu pierwszej klasy do źródeł Niebieskiego Nilu.

— Do źródeł Niebieskiego Nilu, czyli damulka wybiera się do Abisynii! — monologował w duchu. — To bardzo interesujące dla... mnie!

Chcąc przyjrzeć się z bliska tym dwojgu, podszedł do nich kulejąc i zaczął prosić o jałmużnę, oczywiście po arabsku.

— Znowu żebrak. Utrapienie ludzkie z tą plagą.

— Plagi egipskie, droga Lisette. Daj mu coś na odczepnego.

Ponieważ jednak Lisette, skąpa jak wszyscy Francuzi, nie kwapiła się do obdarowania żebraka, młodzieniec uczynił to sam.

— Kattar allach cherak! (Niech Bóg pomnoży twe szczęście!) — zawołał Clyde, po czym zaofiarował hojnemu ofiarodawcy swoje usługi jako wróżbita, kalecząc przy tym okropnie język angielski. Przyszła mu bowiem nagle ochota zakpić sobie z tej pary. — Wy mi nic ekstra nie dopłacić. Ja gratis.

— Więc powróz tej pani — rzekł z uśmiechem towarzysz pulchnej Elżuni. — Pokaż mu rękę, Lisette.

Eyston zabrał się do rzeczy „fachowo” i zaczął „przepowiadać” to, co słyszał tu przed chwilą: Że panią czeka daleka podróż na południe, zrazu wodą, potem na mułach i pieszo. Że przybędzie do kraju, w którym są wysokie góry, a ludzie nie myją się nigdy. Że wyruszy w drogę już jutro...

— Ależ on ma wprost nadzwyczajny dar jasnowidzenia!

— Albo nadzwyczajny słuch, droga Lisette.

— Przecież rozmawiało się, jak i teraz, po francusku.

— Co drugi tubylec w Kairze jest poligłotą.

Tu młodzian zniemacka zadał żebrakowi jakieś pytanie w języku francuskim, lecz Eyston

nie dał się złapać. Udając, że nie wie, iż zwrócono się doń z zapytaniem, rzucił do gry wiadomość, jaką przypadkowo zdobył wczoraj w biurze podróży, gdy spojrzął na owe dwa paszporty.

— W pani życiu — rzekł do Lisette — bardzo zaważyć młoda, śliczna dziewczyna imieniem Olga.

Tamci dwoje spojrzeli po sobie z bezgranicznym zdumieniem. Przecież to imię w ogóle tu nie padło, a jednak *fenomenalny czarodziej wyczytał je z ręki!* Rozumie się, iż akcje „proroka” od razu podskoczyły w górę tak, że mógł już teraz improwizować co ślina na język przyniosła. I nie odmówił sobie tej przyjemności. Lisette, wstrzymująca oddech z nadmiaru wzruszeń, dowiedziała się, że w owej przyszłej podróży czeka ją sto niebezpieczeństw i tyleż miłosnych przygód, że spotka na swej drodze starszego, łysawego pana, Europejczyka, któremu powinna bezwzględnie zaufać, gdyż tylko on będzie ją mógł ocalić od śmierci. (Clyde myślał o sobie i miał w tym swoje wyrachowanie, że siebie tak polecał).

Sporo czasu upłynęło, zanim Lisette ochłonęła z wrażenia.

— Słońce zachodzi — zauważyła nareszcie. — O, Boże, musimy zejść szybko na dół, inaczej będziemy błądzili w ciemnościach. Gdzie tu jest najbliższy postój taksówek?

Clyde Eyston udzielił wyjaśnień, lecz zapytał nawzajem, czy oni powracając z wycieczki, nie zauważyli gdzieś większej grupy ludzi.

— Oczywiście! — odparł młodzieniec. — Było ich tam ze cztery tuziny, a jeden z nich przemawiał tak spiżowym głosem, że...

— To on! — wyrwało się „zebrakowi”. — Gdzie pan ich widział?

— Tuż za meczetem Gijuszi.

Eyston zaklął, ale i tym razem nie zapomniał, że gra rolę zgrzybiałego starca, w dodatku kaleki. Kulejąc z *zapalem*, pokuśtykał w kierunku odległego stąd o czterysta metrów meczetu Gijuszi. Szedł zrazu ścieżką biegnącą wzdłuż zachodniej krawędzi szczytów Gebel Mokattam, potem zboczył w prawo, chcąc okrążyć meczet od strony urwiska, i przeraził się potężnie, gdy nagle zaczął zjeżdżać w dół na grzbiecie. „Wylądował” co prawda szczęśliwie w jednej z jaskiń pustelników koptyjskich, niemniej ten nadprogramowy zjazd wywołał nową zwłokę.

— Nie dość, że tyle już czasu straciłem niepotrzebnie na idiotyczną zabawę we wróżby — pienił się w bezsilnej złości — jeszcze teraz muszę drogi nadłożyć, by... niech to wszyscy diabli!

Odnalazł wreszcie coś, co niegdyś było ścieżką, ale tak stromą, że raz po raz osuwał się na kolana i, chwytając się obnażonych korzeni różnych karłowatych krzaków, powoluteńku wspinał się w górę na czworakach.

— To pech — narzekał — przeklęty pech.

Zmienił jednak zdanie, gdy w chwilę później posłyszał dobrze znajomy głos jak gdyby tuż nad swoją głową. Na jego dźwięk zgrzytnął zębami, lecz z drugiej strony pogratulował sobie, że przedtem zleciał do owej jamy.

— Tak blisko nie mógłbym tam, na górze, podejść do niego — musiał to przyznać w duchu — do niego, do tego łotra! O czym on gada?

Niebawem usłyszał strzęp przemówienia swojego wroga:

— ...a teraz spójrzcie na zachód, przyjaciele. Te małe pólka obrzeżone palmami, to grunt, który rodzi najpiękniejsze zboże dwa razy na rok! Nie ma pod słońcem bardziej urodzajnej ziemi, niżeli ta nasza, egipska... Lecz spójrzcie nieco dalej, przyjaciele, na prawo i na lewo od piramid w Gizie. Co widzicie poza ostatnim szeregiem palm, za ostatnim z kanałów Nilu?

— Piaski pustyni — odpowiedziało kilka głosów.

— Dlaczego są tam piaski, a nie zielone kobierce zbóż?

— No, bo tam już woda z Nilu nie dochodzi.

— Słusznieś rzekł, przyjacielu...

Clyde Eyston wzruszył ramionami.

— Gada, jakby do małych dzieci — mruknął niezadowolony, bowiem zgoła innej przemowy oczekiwał tutaj.

— Słusznie po trzykroć — ciągnął dalej *spiżowy* głos. — Dokąd nie dochodzi woda i żyzny muł nilowy, tam nie wydrzemy pustyni ani piędzi ziemi, tam nawet palma nie wyrośnie. A tak samo jest w całym kraju...

Tu mówca przytoczył szereg cyfr z urzędowej statystyki egipskiej, po czym ją reasumował swoje wywody w taki mniej więcej sposób:

— Cały Egipt to długa na tysiące kilometrów, lecz wąziuteńka oaza, zamieszкана przez piętnaście milionów ludzi. Ich życie zależne jest wyłącznie od Nilu. Jeżeli w nim kiedyś wody zabraknie, czyhające po jego bokach pustynie Arabska i Libijska złączą się w jedną, a Egipt stanie się tym, czym dzisiaj jest Sahara...

— Ponieważ jednak to nie nastąpiło nigdy — wtrącił znudzonym głosem jakiś słuchacz — nigdy, odkąd znamy dzieje ojczyste, czyli od pięciu tysięcy lat, więc śmiało możemy zająć się bardziej aktualnymi zagadnieniami. Nil na pewno nie wyschnie...

— **Nil wyschnąć może!**

— W teorii tak, zapewne, ale...

— **W praktyce**, mój młody przyjacielu — zagrmiał znów mówca, — w rzeczywistości! I zaiste nie znam **niebezpieczeństwa**, które byłoby tutaj bardziej **aktualne**, niż to, że **Nil może wyschnąć!! Jeszcze w tym roku!!!**

⁽¹⁾ Horatio Herbert Kitchener (1850-1916) – brytyjski wojskowy, marszałek polny i polityk. Podczas powstania Mahdiego w Sudanie, po śmierci generała Gordona dowodził wysłaną z Egiptu ekspedycją, która miała pokonać rebeliantów. W 1898 r. rozbił ich pod Omdurmanem. Do 1902 dowodził siłami brytyjskimi w czasie II wojny burskiej. W 1911 powrócił do Egiptu, gdzie został brytyjskim konsulem generalnym. Po wybuchu I wojny światowej wrócił do kraju i został ministrem wojny.

⁽²⁾ Mamelucy (ar. *mamluk* – niewolnik) – niewolnicy państwowi. Kupowani byli przez muzułmańskich władców i sprowadzani do ich władztw, nawracani na islam i szkoleni w walce, w celu uformowania z nich doborowych oddziałów wojskowych. W Egipcie obalili rodzinę panującą i założyli sułtanat mameluków (1250). Sułtanat ten istniał aż do r. 1517. Mimo upadku ich państwa w Egipcie instytucja mameluków przetrwała aż do ich eksterminacji przez Muhammada Alego w r. 1811.

ROZDZIAŁ XV

Posiadłości ziemskie Józefa Mongoszy, ojca Salomona, a stryja jednookiego Jonasza, leżały nad rzeczką Robi, która w czasie posuchy ginie w piaskach. Podobnie niesławny koniec spotyka zresztą większość rzek abisyńskich. Nawet szeroka Webi Szebeli, która oprócz Robi ma sporo większych dopływów, jak na przykład: Dakato, Možo, Dinde, gubi się w bagnach Ballitera (już na terytorium Somalii włoskiej), a tylko podczas wylewów jej wody docierają do rzeki Dżuby, uchodzącej do Oceanu Indyjskiego. (Tu warto dodać, że Dżuba dawniej stanowiła granicę pomiędzy włoską Somalią a brytyjską Kenią, ale na mocy traktatu londyńskiego z 1915 roku i rokowań z 1920 granica została przesunięta na korzyść Włoch).

Salomon Mongosza wysiadł z pociągu, jak wiemy, w Hauasz. Stąd w linii powietrznej dzieliło go od domu zaledwie 150 kilometrów. Samolot przebyłby tę przestrzeń w ciągu godziny, Salomon zużył na to pełnych pięć dni! A tylko dlatego tak stosunkowo niewiele, że przeciął w najniższym punkcie oddzielające go od rodzinnych stron pasmo gór biegnących na przestrzeni dziewięciuset kilometrów, od wielkich jezior aż poza Harar i wznoszących się gdzieś na górą na cztery tysiące metrów. (Ta potężna bariera górską tworzy naturalną zaslonę właściwej Abisynii od południowego wschodu).

Daniel, stary służący Mongosów, wysłany po Salomona do Hauasz, dowodził wprawdzie, że muły upadają ze zmęczenia, że nawet przy lepszej pogodzie zużywało się na przebycie tej drogi sześć do siedmiu dni, ale zrzędził tak głównie po to, by wycygnąć od młodego pana jak najhojniejszy napiwek. Jak większość Abisyńczyków był przeraźliwie chciwy na grosz.

Piątego dnia podróży, przed południem, gdy małeńka karawana minęła ostatni łańcuch bazaltowych głazów zasłaniających widok, oczom jadących ukazała się podłużna dolina przecięta strumieniem, a wyglądająca jak jeden olbrzymi ogród. Soczysta zieleń jej podzwrotnikowej roślinności przez kontrast z bezdrzewnym, kamienistym zboczem gór była tym bardziej ponętna dla podróżników, a muły, poczuwszy snadź wodę, same przyśpieszyły kroku.

— Czy to nasza rzeczką? — spytał Salomon, który od lat nie był w tych okolicach.

— Tak, to nasz Robi.

— A ta wioska... — Salomon wskazał owalny plac, usiany jak gdyby grzybami — to chyba Tanda.

— Tanda, panie.

— Zatem staniemy w domu za godzinę.

— Daj Boże, żebyśmy zdążyli na wieczerzę.

— Oszalałeś, Danielu? Do zachodu słońca... — spojrzął na zegarek przywieziony z Paryża; była na nim jedenasta, a słońce w krajach podzwrotnikowych zachodzi zawsze o szóstą po południu — mamy siedem godzin!

— Nie znam się na godzinach. Wiem tylko, że trza dobrze popędzać muły, by dzisiejszą już noc spędzić w domu.

Stary sługa miał rację. W linii powietrznej dzieliło ich od celu podróży tylko kilka kilometrów, lecz na drodze czyhała poważna przeszkoda; dość łagodny dotychczas stok gór

urywał się nagle i niemal prostopadłą ścianą, wysoką na dwieście metrów, spadał w dolinę Robi. Jedynie na sznurach można by się było opuścić w dół, ale po pierwsze, sznurów z sobą nie mieli, a po drugie, co począć z mułami? Należało więc odszukać koryto najbliższego z poprzecznych dopływów Robi i tą drogą opuścić się w dolinę, bowiem innych „schodów” urwista ściana nie posiadała.

Jadąc nad brzegiem podłużnej przepaści, Salomon spoglądał na leżącą u jego stóp dolinę. Najbujniejszą roślinność posiadała w środku, na wysepkach utworzonych przez liczne ramiona rzeczulki. Były to skrawki prawdziwie afrykańskiej dżungli, na ogół rzadkiej tutaj, na progu Ogadenu. Ogaden, południowo-wschodnia część Abisynii, granicząca z Somalią włoską i brytyjską ma charakter raczej krainy stepowej.

na brzegach rzeczki rosły trzciny papirusowe wysokie na dobrych pięć metrów i niemal całkowicie zasłaniające strugę wody. Dopiero po obydwóch stronach tego żywopłotu ciągnęły się pola owsa, prosa, jęczmienia, pszenicy i długowłóknistej bawełny, równie poszukiwanej w handlu jak egipska.

Pastwisk niewiele dostrzegł; gdzieniegdzie wśród lasów widniały małe polany, to wszystko. Ciepłarniany klimat doliny, stały dopływ wód i żyzność gruntu sprawiły, że każdą piędź ziemi nieuprawianą mozolnie przez człowieka natychmiast porastała bujna roślinność, przede wszystkim drzewa, których ta strefa w Abisynii liczy według przyrodników aż 118 gatunków. Drzewa wypełniały resztę tego ogromnego jaru, a wśród przeróżnych odcieni zielonego koloru odznaczały się z daleka srebrne liście gajów oliwnych.

Wzrok Salomona Mongoszy przyłgnał znów do wioski, obok której, lub raczej ponad którą, przejeżdżali właśnie. Okrągłe, pokryte lekko pochyłym i wystającym daszkiem chaty, wyglądające jak ule, można już było policzyć gołym okiem. Wszystkie razem otaczał kamienny mur, zbyt niski, by uchronić bydło mieszkańców wioski przed niepożądaną wizytą lwa, ale dający niezłą osłonę przed kulami, w razie napadu rozbójników.

— Zbójce nachodzą was jeszcze? — spytał Salomon.

— O, nie.

— Wytępiono nareszcie tych drabów.

— O, nie. Ich nikt nigdy nie wytępi.

Tu Daniel wymienił kilka przykładów złupienia małych karawan.

— Karawanom przytrafia się to wszędzie, w całej Afryce i Azji, nie tylko w Abisynii. — W Salomonie odezwał się patriota. — Grunt, że nie wydarzają się już napady na wioski i miasteczka, jak bywało dawniej.

— Tak — przyznał Daniel — czasy Beni Er-Durusz minęły, ale...

— Minęły, dzięki mojemu stryjowi!

— Źle on na tym wyszedł, źle. I jego syn także... Ale...

— Biedny Jonasz — westchnął Salomon współczująco — jak on musi cierpieć moralnie, że nie może pomóc tej ohydnej zbrodni. Bo sprawcy uciekli do Sudanu, jeżeli pomnę.

— Uciekli, panie, ale...

— Co ty mi wciąż *ale, ale, ale*.

— Ale oni mogą powrócić — odparł z flegmą Daniel.

— Nie mogą. Granica jest pilnie strzeżona.

— Jest **jeszcze**.

— Nie widzę powodów, dla których to miałyby ulec zmianie.

— A wojna?

— Wojna — powtórzył machinalnie i zasepił się nagle.

Gdy w pierwszych dniach marca poselstwo abisyńskie w Paryżu zaleciło mu i innym jego rodakom, studentom, natychmiastowy powrót do ojczyzny, wszyscy młodzieńcy narzekali, iż muszą przerwać studia; byli święcie przekonani, że błahy incydent pod Ualual da się załatwić pokojowo, że Liga Narodów nie dopuści do nowego rozlewu krwi.

Kiedy jednak w Kanale Sueskim zobaczył całe karawany statków włoskich, pełnych wojska i materiałów wojennych, zrozumiał, że wojna jest nieunikniona; nazbyt wiele pieniędzy i prestiżu inwestował przeciwnik w tę wyprawę, aby mógł cofnąć się teraz.

Dwudniowa podróż koleją od Dżibuti do Hauasz przekonała Salomona, że w jego ojczyźnie również zapanował ohydny klimat przedwojenny. Chmary uzbrojonych ziomków na każdej stacyjce, sterty skrzynek z amunicją, ruch, wrzawa, wrogie okrzyki przeciwko Włochom, pogrożki, wszystko to miało swoją smutną wymowę.

— Jesteśmy więc w przededniu wojny, niestety — powiedział wówczas do Alicji Rendell.

A potem zapomniał o wojnie. Nic bowiem nie mówiło mu o niej podczas pięciodniowej przeprawy przez góry; kupcy ze spotkanych w drodze karawan i pasterze strzegący swych stad nie zdradzali ani trochę charakterystycznego podniecenia, jakie daje się odczuć tam, gdzie umiera błogosławiony pokój.

— Czy w Tanda gada się o tym? — spytał Salomon po chwili.

— Nie, tam jeszcze nic nie wiedzą o wojnie.

— A ty skąd wiesz?

— Przecież byłem w Hauasz i nie jestem ślepy ani głuchy — obruszył się stary sługa, po czym zaczął znów swoje ceterum censeo⁽¹⁾: — Skoro zaś wojna ma być z Włochami, nie z Anglią, to *negus negesti* ściągnie wszystkie oddziały z granicy sudańskiej i **oni wrócą!**

— Kto?

— No, Beni Er-Durusz.

— Dziesięciu braci z tej arcybandyckiej rodziny zgładzono.

— Lecz dwóch najgorszych żyje.

— Nie wiadomo. Ileż to lat upłynęło, odkąd po nich słuch zaginął. A poza tym, Beni Er-Durusz nie posiadają już dawnej siły; gdy po zamordowaniu mojego stryja zarządzono na nich wielką obławę, wybito im ludzi do nogi.

— Mogli znaleźć sobie nowych. Mało to w Afryce jest takich, którzy by chcieli znowu handlować niewolnikami? Tysiące!

— To bardzo smutne.

— Tak, tak, młody panie. I dlatego Er-Durusz wrócą na pewno.

— Niech wrócą! — krzyknął Salomon wojowniczo. — Radbym któregoś z tych bandytów spotkać na swej drodze.

Nie przypuszczał, że jego życzenie spełni się tak rychło.

— Oto nasz wodospad, — oznajmił Daniel w kilka... godzin po tej rozmowie.

Wodospad był, owszem, lecz chwilowo bez... wody. Wyglądał jak schody wykute w skale przez mitycznego olbrzyma, dla którego fraszką jest spacer po stopniach kilkumetrowej wysokości. Po obydwóch bokach tych schodów wiły się kręte, bardzo strome ścieżki i tą drogą właśnie maleńka karawana z zachowaniem wszelkich ostrożności zjechała w dolinę. Teraz należało tylko zawrócić i posuwać się w górę biegu rzeczki Robi, aby dojść do wioski, którą minęli koło południa, oddzieleni od niej wówczas przepaścią.

— A to co? — zdziwił się Daniel, ujrawszy bramę zamkniętą i dwóch uzbrojonych wartowników na murze. — Tego nie było nigdy za dnia.

— Widocznie psychoza wojenna ogarnęła także naszą Tandę — mruknął Salomon. Potem złożył dłonie w trąbkę przy ustach, oznajmił się gromko, polecił otworzyć bramę i zaprowadzić się przed oblicze *czcigodnego rodzica*.

Okazało się jednak, że Józef Mongosza wyjechał stąd onegdaj. Dokąd? O, daleko, aż do prowincji Kaffa. Czy może do Zobji? (Tak zwały się plantacje, jakie Jonasz i jego rodzony brat Michał odziedziczyli po swym tragicznie zmarłym ojcu). Tak, właśnie do Zobji wyjechał. Po co? Czyżby Michał zachorował? Gorzej, Michała porwano, a budynki spalono doszczętnie.

— Kto to uczynił?! — wrzasnął Salomon.

Z trudem poskromił w sobie chęć chłaśnięcia w papę wartownika, który tak kazał ciągnąć się za język i tak powolutku cedził słowo po słowie, ów zaś był nie mniej zgorzony, iż fatyguje się go zadawaniem pytań na tematy notorycznie tu znane.

— Czyż nie wiecie — odparł wzruszywszy ramionami — że przekłęci Beni Er-Durusz wrócili?!

⁽¹⁾ *ceterum censeo [Carthaginem esse delendam]* (łac. Poza tym uważam, że Kartagina powinna być zburzona) – słowa Katona, którymi kończył wszystkie swoje przemówienia w senacie rzymskim; wyrażenie oznaczające pogląd wyrażany z uporem przy każdej okazji.

ROZDZIAŁ XVI

Mimo gorących prośb matki, już nazajutrz o świcie Salomon wyruszył w dalszą drogę. Był bardzo spragniony odpoczynku po pięciodniowej przeprawie przez góry, ale nie mógł pogodzić się z myślą, iż on, młody dryblas, będzie wylegiwał się tutaj, podczas gdy jego ojcu może zagrażać śmiertelne niebezpieczeństwo.

— Pomnij, mateczko, że Beni Er-Durusz porwali twojego syna.

Tym ją przekonał. Michał, podobnie jak najstarszy Jonasz, byli jej synami z pierwszego małżeństwa, a do każdego z pięciorga dzieci przywiązała się daleko silniej, niż do *obydwóch swoich mężów razem wziętych*. Zwłaszcza drugi małżonek, Józef, który poślubił ją tylko dlatego, by uczynić zadość obowiązującej w rodzinie Mongoszów zasadzie lewiratu i który zawsze hołdował wielożństwu, nie cieszył się jej zbytnią sympatią.

— Słusznieś rzekł, synku. Jedź tedy i ratuj przyrodniego brata. Ale ludzi musisz wziąć z sobą najmniej z tuzin.

Przystał na to dla świętej zgody i z radością zamienił muły na konie. Za to zrzęła mu mina, gdy ujrzał strzemiona. Są one tak małe w Etiopii, że można do nich wsunąć tylko duży palec nogi i tak właśnie jeżdżą Abisyńczycy. Lecz Salomon podczas paroletniego pobytu w Europie zupełnie odwykł od chodzenia na bosaka, a w trzewikach jego stopy wydelikatniały rychło. Chociaż już od kilku dni paradował w stroju narodowym, z obuwiem nie pożegnał się dotychczas. Że i teraz nie doszło do tego pożegnania, było zasługą miejscowego kowala, który na poczekaniu zmajstrował szerokie strzemiona, według rysunku sporządzonego przez młodego pana.

Wyruszyli w drogę, jako się rzekło, z brzaskiem dnia. Jechali wciąż w górę rzeczki Robi, wciąż za śladami, jakie tu i ówdzie pozostawił przemarsz znacznie liczniejszej karawany Józefa Mongoszy. Ona utorowała im już drogę przez zarośla, coraz rzadsze, w miarę jak podnosił się teren. Pomimo to jednak, że podnosił się wyraźnie, dolina stawała się głębszą, bowiem znacznie wyższe były góry, jakie otaczały ją tutaj. Drugiego dnia podróży, po przebyciu około stu kilometrów, zagroził im drogę w oddali masyw górski wysoki na przeszło cztery tysiące metrów.

— Za nim, ale bardziej na prawo, leży Addis Abeba — wyjaśniał Daniel — ale my skręcimy w lewo, na południe, do Ebsany.

W Ebsanie dowiedzieli się, że Józef Mongosza nocował tam wczoraj.

— Czyli nadrobiliśmy już jeden dzień — ucieszył się Salomon i postanowił jeszcze bardziej skracać postoje — a jutro ich dopędzimy.

Przeliczył się mocno. Józef Mongosza posuwał się stosunkowo powoli, dopóki musiał przedzierać się przez zarośla nad brzegiem Robi i wspinać się pod górę ku Ebsanie. Lecz stąd wiedzie na wschód i na zachód wcale wygodna drożyna umożliwiająca szybkie pochody karawanom bez wozów, a Józef spieszył się bardzo. Widziano go w Gobie, w Lai, w Dodoli, w Euano, ale zawsze na dobre pół dnia przed przybyciem oddziału Salomona. Było to dziwne tym bardziej, że Józef zabrał w podróż swoje dwie najmłodsze żony, które zapewne męczyła ta forsowna jazda wierzchem; tak przynajmniej sądził Salomon, lecz Daniel był innego zdania.

— Nasze kobiety — dowodził — są równie wytrzymałe jak nasze konie, a tańsze, o, grubo tańsze!

Dopiero w Allacie, to jest po przebyciu około czterystu kilometrów, licząc od Tandy, Salomon dopędził ojca. Powitanie było na pozór chłodne. Józef kochał syna bardziej niż inne dzieci, ale wobec tylu świadków nie chciał przez czułości czy oznaki wzruszenia narażać na szwank napuszonej powagi głowy rodu. (Głową rodu był od tragicznej śmierci starszego brata, którego żonę musiał poślubić.)

— Czy spotkałeś Jonaszowego gońca? — spytał. — Nie? Zatem minęliście się w drodze. Jonasz wzywa cię do stolicy. Pojedziemy razem do Gzelgi, stamtąd skęcisz na północ do Addis Abeby.

— Ależ, ojcze! Biedny Michał jęczy w...

— Troskę o Michała pozostaw władzom. Wielkorządcą Kaffy jest jego królewska wysokość Desta Dembtou i tylko on może zarządzić wysłanie pościgu za zbirami Beni Er-Durusz.

— Skoro tak, to po co ty tam jedziesz, ojcze?

— Po to, by Desta Dembtou nie zapomniał o swoich obowiązkach. Wiadomo ci chyba, że panowie wielkorządcy niezbyt kochają nas, Mongoszków...

Aby zrozumieć powody niepopularności rodu Mongoszków wśród dygnitarzy abisyńskich, trzeba na chwilę cofnąć się nieco z opowiadaniem.

Na początku drugiej wojny z Włochami, w styczniu roku 1895 wódz abisyński ras Mongosza został pobity przez gubernatora Erytrei, generała Baratieriego. Wprawdzie w trzynaście miesięcy później silną armię tegoż Baratieriego niemal w pień wycięto pod Aduą, ale mimo zadowolenia ze zwycięstwa cesarz Menelik II nie zapomniał, że jego wódz poniósł klęskę i przelał swą niechęć nawet na jego czterech młodziutkich wówczas synów, Metrodora, Józefa, Eliasza i Jakuba. Odsunięci od dworu, pozbawieni urzędów, wpływów, szczytów, siedzieli w swoich dobrach na pozór cicho, jak mysz pod miotłą. Tak upłynęło dwanaście lat, o Mongoszach niemal zapomniano, zaledwie jednak wielki Menelik zachorował, zjawili się pod bramami stolicy z okazałym zastępem zbrojnych i oddali władzę w ręce cesarzowej Taitu. Chory negus negesti nabiedził się niemało, zanim w marcu 1910 roku zdołał zdetronizować swą małżonkę, przepędzić jej sprzymierzeńców i zapewnić następstwo tronu wnukowi, Lidż Jassu.

Nowy cesarz, młodzieniaszek niezdolny do trzymania w ryzach niesfornych poddanych, ale niepozbawiony chytryści, przede wszystkim puścił w kurs legendę, że jego dziadek bynajmniej nie umarł, lecz w przebraniu krąży po całym kraju i w razie ewentualnych zamieszek wróci do stolicy, by ująć rządy w swoją silną dłoń. Dzięki temu podstępowi zapewnił sobie spokój w kraju do grudnia roku 1913, dłużej nie dało się ukrywać faktu śmierci budzącego respekt Menelika. Następnie Lidż Jassu zamianował swego ojca, ras Michaela, królem Tigre. W królestwie Tigre leżały rodzinne dobra Mongoszków, więc nominacja ras Michaela miała swoją wymowę. I swoje następstwa! Czterej bracia woleli nie czekać, aż ras Michael skróci ich o głowę. Zebrawszy wiernych wasali, pośpieszyli do Hararu, gdzie urząd gubernatora piastował ras Tafari Makonnen, daleki kuzyn Lidż Jassu i jego cichy wróg.

Dalsze wypadki są nazbyt znane, aby je tutaj wymieniać. Wiele okoliczności przyczyniło się do rychłego upadku Lidża Jassu zdetronizowanego, jak wiadomo, w roku 1916, więc podczas wojny światowej. Wiele pomogła ras Tafariemu jego własna przebiegłość i energia, dalej kler, wreszcie pieniądze Anglii, Francji, Włoch, zaniepokojonych germanofilstwem Lidż Jassu. Lecz wykonanie samego zamachu stanu było dziełem klanu Mongoszków. Oni rozbili w puch pretorianów cesarza, oni go uwięzili, oni opróżnili tron dla nowego władcy Abisynii, którym

została... Woizero Zaoditu, również córka Menelika. Ras Tafari, rzeczywisty zwycięzca i pan sytuacji, wolał na razie rządzić rękami starej cioci Woizero, aby nie ku niemu skierowała się niechęć możnowładców za doniosłe reformy, jakie zamierzał przeprowadzić w państwie.

Do możnowładców należeli także Mongoszowie. Nie byli nuworyszami. Odznaczywszy się z początkiem XVI wieku, gdy okrutny sułtan Mahomet Gerago wtargnął do Abisynii i omal nie schwytał jej ówczesnego władcy Dawida III, Mongoszowie z małymi przerwami grali pierwsze skrzypce w kraju aż do fatalnego dla nich roku 1895. A teraz, za wyrwanie berła z niedołącznej ręki Lidza Jassu spodziewali się sówitej nagrody.

Nie można powiedzieć, że spotkał ich zawód, ale nie ma nic bez *ale* i trudno dziwić się nowemu władcy Abisynii, iż pragnął zabezpieczyć się przed niespodziankami ze strony takich specjalistów od urządzania zamachów stanu jak Mongoszowie. A zabezpieczył się przed tym mistrzowsko. Każdy z czterech braci otrzymał olbrzymie dobra, lecz każdy w innej prowincji. Najstarszy Metrodor w Kaffa, Józef w północnej części krainy Galla, Eliasz w Szankalla nad Niebieskim Nilem, a najmłodszy Jakub w Tigre. Oddaleni od siebie o 400 do 700 kilometrów, braciszkwowie nie mogli już spiskować tak skutecznie jak dawniej, gdy siedzieli w kupie. Ponieważ zaś prócz ziemi łaknęli godności, otrzymali stanowiska, lecz znowu takie, że tylko wrogów im dostarczały. Dwaj młodsi, Jakub i Eliasz zostali szafarzami podatków, Józef prokuratorem cesarskim, a Metrodor naczelnikiem urzędu do walki z handlem niewolnikami. Biedny Metrodor (ojciec Michała i Jonasza) życiem przypłacił ten zaszczyt.

Poza tym każdy z czterech braci Mongoszów został mianowany doradcą gubernatora w tej prowincji, w której posiadał dobra. Dzięki temu, każdy z nich patrzył na palce „swojemu” gubernatorowi i nawzajem był pod ścisłą obserwacją pana gubernatora, czyhającego na sposobność, by pozbyć się niewygodnego anioła stróża.

Mongoszowie zorientowali się w końcu, że zakpiono sobie z nich lekko, lecz regent ras Tafari miał odpowiedź gotową: — To nie ja, to ciocia. Ja tu nie znaczę nic. — Czekali więc, aż będzie coś znaczył. Po pewnej tajemniczej kąpieli *ciocia*, czyli cesarzowa Woizero Zaoditu, przeniosła się do wieczności i dnia 3 kwietnia 1930 roku ras Tafari Makonnen wstąpił na tron, jako cesarz Haile Selassie. Wtedy przypomnieli mu dawne obietnice. Dotrzymał ich, ale z małą poprawką; zaczął darzyć łaską Mongoszów, lecz młodszą ich generację. Powołał więc do stolicy Jonasza, syna zamordowanego Metrodora, płacąc mu pensję z własnej szkatuły. Również Salomon, syn Józefa, studiował w Paryżu medycynę na koszt władcy, aby w przyszłości zostać jego przybocznym lekarzem. A Mongoszowie ze starszej generacji siedzieli po dawnemu z dala od Addis Abeby i nadal darli koty z gubernatorami, ku zadowoleniu cesarza, któremu snadź nieobcą była maksyma: *Divide et impera*⁽¹⁾.

Nasłuchawszy się do syta utyskiwań ojca pod adresem wielkorządców, Salomon jął prosić, aby mu wolno było wziąć udział w ekspedycji karnej przeciwko bandzie Beni Er-Durusz, która porwała jego przyrodniego brata, lecz spotkał się z kategoryczną odmową.

— Pojedziesz do stolicy, powiedziałem już raz. Tyś, widzę, zapomniał w Europie, że u nas każde życzenie rodzica jest dla dzieci rozkazem!

Co było powodem wydania tego rozkazu, Salomon nie odgadł, choć rozmyślał nad tym długo. Może przesadna zazdrość o dwie młode żony ciekawie zerkające na nieznanego pasierba? Może ambicja, by syn jak najprędzej znalazł się przy boku cesarza i otrzymał równie wpływowe stanowisko, jak Jonasz? Może obawa o życie ukochanego syna, którego mógłby spotkać los Michała, w razie gdyby ewentualne starcie pomiędzy hufcem Mongoszów a Beni Er-Durusz zakończyło się zwycięstwem tych drugich? Nie wiadomo...

W Allata drożyna przecinająca od zachodu na wschód cały Ogaden i górną część krainy

Galla skręca na południe, ku brytyjskiej Kenii. Mongosów, podążających na zachód, czekało więc znów 80 kilometrów uciążliwej podróży przez góry Sidamo, a potem wzdłuż północnego brzegu wielkiego Jeziora Regina Margherita⁽²⁾.

W ciągu trzech dni przebyli te wertepy i w osadzie Gzelga nastąpiło rozstanie; stary Józef Mongosza miał jechać nadal w zachodnim kierunku, do prowincji Kaffa, jego syn skręcił na północ, ku stolicy odległej stąd o trzysta kilometrów.

Salomon był niepocieszony. Myśl, że odesłano go, jakby jakiego dzieciaka do najbezpieczniejszego (póki wojna nie wybuchnie) miejsca w kraju, podczas gdy stary ojciec będzie narażał się na kule śmiertelnych wrogów ich rodu, gnębiła go okrutnie.

— Trzeba mi było zostać w Tanda — westchnął — tam przynajmniej nietrudno o myśliwską przysgodę.

— Tu również — wtrącił Daniel, chcąc pocieszyć młodego pana.

— Nie wmówisz we mnie, że tutaj można spotkać lwa.

— Można, panie, można. Na prawo od drogi ujrzymy jutro i pojutrze duże jeziora; antylopy ciągną do wody, a za nimi lwy.

— Przecież to są jeziora słone.

— Nie wszystkie, panie. Tylko Szalla, Langano i Afdjada mają słoną wodę, inne słodką. Słodka jest też w strumieniach, które przetną nam drogę.

Pierwszą noc spędzili w wiosce Gaceni, przebywszy od Gzelgi około pięćdziesiąt kilometrów, nazajutrz posuwali się szybciej, gdyż Salomon przypomniał sobie wreszcie, że w Addis Abebie spotka Alicję Rendell.

— Jej brat prawdopodobnie nie zechce mnie na szwagra, że to oni są Biali, ja Czarny — przypuszczał — ale może zostanę jej kochankiem. O, z pewnością! Wielu takich jak ja nie znajdzie, — pochlebiał sobie. — Oby tylko wyszła za mąż jak najprędzej i oby jej mąż nie był nazbyt chciwy...

„Pobożne życzenia” Salomona Mongoszy nie powinny dziwić nikogo. W Abisynii tylko panny muszą dbać o czystość, mężatki mogą mieć po kilku kochanków, a mężowie zadowolają się okupem pieniężnym. Sprawy te są na porządku dziennym i wywołują publiczne zgorszenie dopiero wówczas, gdy mąż z kochankiem nie mogą dojść do porozumienia co do wysokości odszkodowania.

Daniel, widząc, jak Salomon przynagla swoich ludzi do pośpiechu, wykombinował sobie, że młody pan chce co prędzej zapolować na grubszą zwierzynę. Aby mu to ułatwić, przy pierwszym większym mostku skręcił z drogi w lewo. Głębokim jarem strumienia, z którego obecnie pozostała tylko cienka struga wody, pięli się pod górę przez dwie godziny, aż dotarli do szczytu wzniesienia panującego nad całą okolicą w promieniu dobrych ośmiu kilometrów.

— Tam, za tymi górami, leży jezioro Szalla — Daniel wskazał ręką na wschód, potem zamachną się w zachodnim kierunku — a tam płynie Omo.

Rzeka Omo, uchodząca do Jeziora Rudolfa⁽³⁾, tworzy w tym miejscu wschodnią granicę prowincji Kaffa.

— No, a którądy pojedziemy jutro dalej do Addis Abeby?

— Tą samą drogą, z której zboczyliśmy dzisiaj.

— Zboczyliśmy? Dlaczego?

— Myślałem, że pan chce zapolować.

— Toś myślał głupio! Mnie pilno właśnie do stolicy.

Znacznie gorszą reprimendę oberwał Daniel później, kiedy żadna zwierzyna nie przyszła do stawku kryjącego na dnie źródło strumienia, wzdłuż którego posuwali się aż do zachodu

słońca.

— Tu w ogóle nie ma żadnej zwierzyny — sądził Salomon.

— O, panie, czy ty nic nie słyszysz?

Jęśliwe wycie szakali i szatański chichot hien rozbrzmiewały raz po raz na stokach góry.

— Słyszę, ale co z tego? Nie sądzisz chyba, że ja zhańbię się strzałem do tak podłej zwierzyny jak pożeracze ścierwa!

— Nie, panie, lecz wiem, że hieny ciągną zwykle śladem lwów.

— Więc możesz mnie zbudzić, skoro lwy nadejdą.

Salomon, udawszy się na spoczynek o północy i nie wierząc w wizytę lwów, zamierzał spać do białego dnia, gdyż długie spanie lubił prawie tak jak obfite posiłki. Tymczasem już o świcie obudził go huk broni palnej.

— Może napad?

Odrzucił tę myśl szybko. Strzelanina nie była ani gęsta, ani bliska, a niezmacony spokój wartownika stojącego naprzeciw wejścia do namiotu świadczył, że te detonacje *nie dotyczą* Mongoszy-juniora lub jego ludzi. Potem rozległo się dalekie ujadanie psów. Teraz zdawało się już nie ulegać najmniejszej wątpliwości, że w sąsiedztwie małego obozu odbywają się łowy.

— Spanie diabli wzięli — westchnął Salomon, gdyż dzięki zwyczajnym w górach warunkom akustycznym każdy wystrzał grzmiał tu jak piorun.

Zoczywszy powracającego skądś Daniela, młodzieniec wyszedł z namiotu.

— Miałeś rację, stary — rzekł ugodowo, widząc, że wierny sługa po wczorajszym łajaniu ma jeszcze wciąż zboląłą minę. — Jesteś lepszym myśliwym, niż ja... A na co tamci polują?

— Na kobietę.

⁽¹⁾ *Divide et impera* (łac.) – Dziel i rządź; siej niezgodę, byś mógł łatwiej rządzić.

⁽²⁾ Jezioro Regina Margherita – obecnie jezioro Abaja.

⁽³⁾ Jezioro Rudolfa – jezioro Turkana; Bassa Narok.

ROZDZIAŁ XVII

— Coś rzekł?!

— Polują na kobietę — powtórzył Daniel z flegmą, położył się na ziemi i nakrył głowę połą swej szammy⁽¹⁾, zamierzając spać nadal.

— Wszyscy wstać! — krzyknął Salomon. — Do broni! Nie pozwolę na to, by w mojej ojczyźnie tak barbarzyńskie... Wstawać, mówię, wy lenie, śpiochy, żarłoki! A ty, stary, prowadź nas do tych łotrów. Ja im pokażę!

Po drodze Daniel starał się odwieść młodzieńca od zamiaru zbrojnej interwencji na rzecz nieznaney kobiety. Może uciekła od męża, chcąc oszczędzić kochankowi kosztów rozwodu, tak zresztą tutaj taniego. Może zbiegła z domu rodziców. A może to po prostu taka, jaką można mieć „na przekąskę” do kufla tedzu (napój z miodu) w każdej gospodzie? Lepiej nie mieszać się w cudze sprawy, bo o proces nietrudno, za to bardzo trudno go wygrać, gdy nie zna się dobrze sędziego.

— Później będę martwił się o to — odparł krótko Salomon w odpowiedzi na obszerne perswazje sługi. — Prędzej, woły ospałe, prędzej!

Słyszając coraz bliższe odgłosy wrzawy, zaczął biec co tchu i pierwszy wdarł się na szczyt skały, która w nocy osłaniała jego obóz przed zachodnim wiatrem. Po jej drugiej stronie góra opadała łagodnie ku bardzo stąd jeszcze odległej dolinie rzeki Omo, lecz teren tutaj również był na ukos przecięty korytem zupełnie wyschłego strumienia. W nim właśnie, w tym drugim jarze rozgrywał się jakiś dramat, jak o tym świadczyły trzy trupy końskie. Wierzchowca, który padł stąd najdalej, już obsiadły sępy, nad drugim dopiero krążyły, do najbliższego na razie podejść nie śmiały, gdyż obok klęczał człowiek podtrzymujący bezwładnego towarzysza. Koło tej grupy stało jeszcze pięć zdrowych koni przywiązanych do anemicznego drzewka.

Ogarnawszy to wszystko jednym rzutem oka, Salomon przeniósł wzrok bliżej. Tuż u jego stóp z dna jaru wyrastał blok skalny wysoki na kilkanaście metrów. Głaz ten mający kształt cygara musiał w porze deszczowej być wyspą, której prąd wody, tutaj nazbyt słaby, nie zdążył jeszcze zburzyć, ale zwężał ją z roku na rok, podmywając jej boki. Dlatego obwód skały u podstawy był mniejszy niż w pośrodku, dlatego groziło jej, że kiedyś runie w czającą się poza nią przepaść wodospadu, „chwilowo nieczynnego” z powodu braku wody. Tylko od południowej strony można było wdrzeć się na szczyt kamiennego „cygara” i stamtąd właśnie przypuszczało atak pięciu uzbrojonych drabów. Obok nich kręciły się dwa duże psy, które czekały z wściekłością, ilekroć z góry zleciał nowy kamień.

— Takich psów — rzekł zasapany Daniel, położywszy się obok swojego pana — używało się dawniej do chwywania zbiegłych niewolników.

Salomon Mongosza nie odrzekł nic, jego całą uwagę przykuła obecnie do siebie obłąkana niewiasta. Widział ją stąd jak na dłoni, bowiem w prostej linii dzieliło go od niej najwyżej dwadzieścia metrów. Miała na sobie tylko spódniczkę, widocznie resztę odzienia zgubiła w ucieczce. Dzięki tym toaletowym brakom mógł podziwiać posągowe linie jej ciała, lecz na to nie zamierzał tracić czasu: obecnie należało co prędzej zdecydować się na interwencję lub na zalecaną wciąż przez Daniela neutralność, gdyż „ogień” kamiennych pocisków osłabł wyraźnie i

lada chwila mógł nastąpić decydujący szturm napastników na stromą skałę. Jeden z nich, przygotowawszy do rzutu swoje łąasso, podszedł bliżej niż inni i nagle oberwał kamieniem w ramię. Zawył z bólu, schwycił strzelbę, wymierzył, ale drugi mężczyzna wyrwał mu ją natychmiast.

— Żywcem musimy ją dostać, żywcem! — zawołał.

— Nigdy! — krzyknęła obłązona. — Kamieni mam tutaj dosyć, żeby wam łby porozbijać!

Oczywiście kłamała. Salomon z tych wyżyn widział najlepiej, jak z rozpaczliwym pośpiechem szukała nowych kamieni w swej maleńkiej forteczce i jak, znalazłszy jakiś większy okruch skalny, starała się rozłupać go na drobniejsze kawałki, by powiększyć szczupły zapasik „amunicji”. Aż ta wyczerpała się w końcu. Napastnicy zmiarkowali to natychmiast i zaczęli wspinać się na skałę, pomagając sobie wzajemnie.

— Puść mnie, jak śmiesz! — warknął Salomon, czując, że Daniel odciąga go w tył, jak gdyby pragnął zaoszczędzić mu przykrego widoku. — Teraz pora działać. — Wyjął z pochwy rewolwer, odciągnął bezpiecznik.

— W powietrze, panie, najpierw w powietrze.

— Niech będzie w powietrze.

Wycelował w niebo, szarpnął cyngiel i... nic; rewolwer nie wypalił.

— Zawsze mówiłem, że strzelba pewniejsza — mruknął Daniel, głaszcząc miłośnie swą „przedpotopową” rusznicę, obwiązaną sznurkiem.

Podczas gdy Salomon borykał się z niesfornym rewolwerem, jeden napastnik dotarł do szczytu obleganej skały. Kobieta rzuciła się ku niemu, chcąc go zepchnąć, lecz tuż obok ujrzała drugą parę rąk i trzecią. Zrozumiawszy, że dalszy opór nie zda się na nic, krzyknęła z głuchą zawziętością:

— Nie dostaniecie mnie nigdy! — i rzuciła się w przepaść.

— Tym lepiej — mruknął Daniel. — Teraz możemy już odejść.

— Co? Dlaczego? — Salomon zajęty dotychczas rewolwerem spojrział w dół i na owej skale nie ujrzał już tej, której chciał przyjść z pomocą. — A gdzie ona?

— Skoczyła na łeb.

W tym momencie sławetny rewolwer nareszcie sam wypalił. Prześladowcy bohaterkiej dziewczyny, przez chwilę skonsternowani jej desperackim czynem, ocknęli się od razu, kiedy padł strzał. Błyskawicznie policzyli wzrokiem towarzyszy Salomona, ocenili ich świętą pozycję na szczycie najwyższego wzniesienia w okolicy, a może też wzięli pod uwagę to, że wobec samobójstwa ściganej kobiety nie ma o co wszczynać nierównej walki, dość, że puścili się pędem w stronę kompana pilnującego koni. Koni żywych pozostało pięć, ludzi sześciu, nie licząc tego, który zda się dogorywał, więc jeden z nich musiał zmykać dalej pieszo i, jak przystało Abisyńczykowi, dotrzymywał kroku kolegom kawalerzystom, przynajmniej na razie, wśród głazów wąwozu.

— No, teraz możemy spokojnie zjeść śniadanie — rzekł Daniel.

— Śniadanie nam nie ucieknie, a ta bohaterka może potrzebuje lekarskiej pomocy.

— Po takim skoku?!

— Więc pochowamy ją. Nie dopuszczę do tego, by jej zwłoki zostały tu na pastwę hien i sępów. Ona zasłużyła sobie na piękny grób.

— O, królu mój — jęknął stary sługa — w skale chcesz jej wykopać grób, w dodatku piękny? A czym, gołymi rękami?!

Ponieważ jednak „król” uchylił się od dalszej dyskusji i zaczął opuszczać się szybko na dno jaru, wszyscy poszli w jego ślady. Salomon stanął pierwszy obok kamiennego „cygara”, okrążył je, pochylił się nad czeluścią wyschłego wodospadu, ale nie dostrzegł tam zmiążdżonych zwłok.

— Gdzież się podziały? Skoro skoczyła stamtąd, to... — dla odmiany zadarł głowę do góry i okrzyk zgrozy wydarł mu się z piersi.

— Co się stało? — Daniel przybiegł natychmiast.

— Patrz tam, och!

W zachodniej stronie skała była pęknięta niemal przez całą swoją wysokość, jak gdyby ją piorun na dwoje rozłupał. Z tej stosunkowo wąskiej szczeliny wyrastało drzewo podobne do sosny, ale powyginane cudacznie. Jego wierzchołek sięgał niemal do szczytu skały i tam właśnie wisiała niedoszła samobójczyni, wisiała na swojej spódnicy.

— Nie żyje — zawyrokował Daniel od razu.

— Głupstwa gadasz, ona tylko zemdląła i trzeba ją stamtąd zdjąć natychmiast. Bo kiedy ocknie się, kiedy ujrzy pod sobą tę przepaść, wykona jakiś samoobronny ruch, a wtedy gotowa zlecieć naprawdę.

Tak mówiąc, Salomon równocześnie układał sobie w głowie plan akcji ratunkowej. Można ją było przeprowadzić tylko ze szczytu owej skały, więc wgramolił się na nią co prędzej wraz z trzema pomocnikami, którym polecił zabrać cały zapas sznurów, jaki mieli z sobą. Złączywszy je razem, rzucił jeden koniec tej długiej liny od wschodniej strony na dno jaru i tam kazał go pochwycić wszystkim pozostałym ludziom. Drugim końcem obwiązał się mocno na wysokości piersi, po czym zaczął opuszczać się powoli ku przepaści. Trzej pomocnicy ustawieni na szczycie skały, mieli regulować ruch tej prymitywnej windy i baczyć, aby węzły w środkowej części posztukowanej liny nie zaczepiały o głązy.

Z początku wszystko szło gładko. Dotarłszy do zemdlonej kobiety, Salomon objął ją wpół i okrzykiem polecił, aby go wyciągnięto na górę. Ale najpierw natrafił na zawzięty opór... spódnicy, której wytrzymałość chlubne świadectwo wystawiła tkaninom abisyńskim już przedtem, kiedy powstrzymała upadek swej właścicielki w przepaść. Zaledwie zaś zdołał zedrzeć spódnicę z niewiasty, którą przez ten czas mógł trzymać tylko jedną ręką, wyłoniła się nowa trudność; przedtem, gdy zjeżdżał w dół, oburącz odpychał się od skalnej ściany, a teraz miał obie ręce zajęte, przez co podróż w górę stała się ciągłym pasmem bolesnych karamboli głowy i grzbietu z wystającymi głazami. Kiedy zaś docierał już do szczytu, spotkała go najgorsza niespodzianka; kobieta ocknęła się z omdlenia i, sądząc, że znajduje się w szponach jednego ze swych prześladowców, zaczęła go bić, drapać i gryźć z etiopskim temperamentem.

— Puść mnie, łotrze — powtarzała — wolę zginąć, niż...

Nie miało najmniejszego sensu tłumaczyć jej w takiej sytuacji, że zaszło fatalne nieporozumienie, że ona wali po papie swojego zbawcę, a nie któregoś z tamtych. Salomon krzyknął więc tylko: — Ciągnąć prędzej! — po czym skoro już wydostali się na skałę, kazał związać wojowniczą niewiastę, gdyż zdradzała wielką ochotę do powtórzenia ryzykownego skoku. Spuszczenie jej na dno jaru było drobnostką w porównaniu z pierwszym etapem akcji ratunkowej, podczas którego ofiarnemu młodzieńcowi omal nie wydrapano oczu.

— Niech sobie tutaj poleży ta wariatka — rzekł, licząc w lusterku ślady zadrapań na twarzy — my tymczasem obejrzymy konie jej wrogów. Może którego trzeba dobić...

Okazało się to zbyt cenne, biedne szkapę już zdechły, lecz obok pierwszego z nich znaleźli człowieka, który dawał jeszcze znaki życia. Kiedy dali mu się napić wody, zaczął mówić urywanym, zamierającym głosem:

— Dziękuję wam, koledzy, ale jemu podziękuję w piekle!
— Bierze nas za swoich kompanów — szepnął Daniel do ucha Salomonowi. — Może dowiemy się czego? — Potem pochylił się nad rannym. — Czy mamy mu coś rzec od ciebie? — spytał.
— Tttak — jęknął. — Powiedzcie, że jest oszustem! Złote góry mi obiecywał, dziesięć talarów za każdego niewolnika. A zanim czwartego złapałem, muszę zdychać. Zdycham w mękach, oooch. Sępy po mnie łąziły, nim oczy zawarłem, oooo...
— Czy jeszcze coś mam mu powiedzieć?
— Tttak. Że ja, Demas, przekląłem go w godzinie śmierci!
— Kogo?
— Selima!
— Którego Selima? — Daniel mrugnął chytrze na swego pana. — Przecież mamy dwóch Selimów — zmyślał na poczekaniu. — Więc którego?
— Och, głupcze; Selima Er-Durusz.

⁽¹⁾ szamma – biała bawełniana płachta z kolorowymi szlaczkami na końcach. Nosi się ją podobnie jak rzymską togę.

ROZDZIAŁ XVIII

— Er-Durusz?! — krzyknął Salomon zelektryzowany. — Gdzie on jest teraz? Gdzie ukrył Michała Mongoszę z Zobii? No, gadaj!

— On już więcej nie powie — mruknął Daniel. — Umarł.

— Nie umarł — orzekł młodzieniec, zbadawszy dokładnie tętno rannego, po czym kazał przenieść go do obozu. — Tam założę mu porządny opatrunek i może drab wyliże się z tego postrzału.

— Jak to, panie! — oburzył się stary sługa. — przecież on sam wyznał, że należy do bandy Beni Er-Durusz. Takiego zbója, skoro nie może iść pod sąd, bo już zdycha, należy według naszych zwyczajów pozbawić męskości i pozostawić na łup hienom.

— Wykonać, co kazałem natychmiast, zrozumiano?! A jeśli rannego spotka jaka krzywda, to was wszystkich pozbawię męskości. Bez operacji! Wystarczy mi sięgnąć do czarnej walizy.

W największej walizie młody medyk woził nieco narzędzi chirurgicznych i małą apteczkę, a owe buteleczki budziły szalony respekt u Daniela. Bez szemrania więc kazał sklecić nosze z dwóch włóczy, pomiędzy którymi rozpięto długi burnus rannego i cała gromadka zawróciła w stronę obozu, przy którym pozostało na straży tylko dwóch ludzi.

Po drodze Salomon, kroczący na przedzie, zatrzymał się obok kobiety, którą ocalił i dopiero teraz przyjrzał się jej uważnie. Wyglądała na siedemnaście lub osiemnaście lat, ale na pewno była młodsza, biorąc pod uwagę wczesny rozwój fizyczny tubylek. Mało spotykał w Europie kobiet zbudowanych tak idealnie jak większość dziewcząt abisyńskich, za to raziała go ich brzydota, bowiem gust wyrobił sobie już według pojęć ludzi białej rasy, którzy nie lubią szerokich, małych nosów ani grubych, wywiniętych warg, ani wystających kości policzkowych. Dlatego szybko „przeszedł do porządku dziennego” nad harmonią kształtów jej smukłego ciała, którego ostatnia zasłona, owa spódniczka, pozostała na drzewie i przeniósł wzrok z góry nastrojony krytycznie na jej twarz.

— Sacrebleu! Ją chyba spłodził Biały!

Był to według jego skali, największy komplement, jaki mógł spotkać kobietę kolorową. Dziewczyna prawdopodobnie nie miała w żyłach ani kropli krwi Białych, na co wskazywała jej cera barwy brązu i włosy skręcone jak u Murzyna, ale delikatnie rzeźbionymi rysami twarzy mogła śmiało konkurować z jakąś europejską pięknnością.

Podczas tej adoracji wzrokowej nadciągnął Daniel z ludźmi niosącymi rannego.

— Tyś go postrzeliła? — spytał Salomon w narzeczu oramo, gdyż nim posługiwała się, a nie urzędową amharą, gdy walczyła na skale.

— Ja — przyznała — lecz wina wasza. Czemu mnie prześladujecie?

— Jesteś równie tępa jak urodziwa. Ileż razy trzeba ci tłumaczyć, że ja nie mam nic wspólnego z tą bandą porywaczy ludzi?

— A dlaczego kazałeś mnie związać?

— Dlatego, ty drapieżna kocico. — Wskazał ślady licznych zadrapań na swojej twarzy i dłoniach. — Tak mnie urządziłaś za to, że nie pozwoliłem ci runąć w przepaść, że odpędziłem

twoich sześciu prześladowców i...

— Tak, sześciu ich było, bo siódmy spadł po moim strzale — wtrąciła półgłosem, potem uniosła nieco głowę, by dojrzeć i policzyć oddalających się towarzyszków Salomona — a tych tutaj jest dziesięciu i są odziani zwyczajnie, nie po arabsku — mówiła jakby do siebie. — Zatem to nie ci sami?

— ...i przez ciebie — brzmiał dalszy ciąg wymówek — przybędę o pół dnia później do Addis Abeby.

— Addis Abeba?! — Dziewczyna ożywiła się niebywale. — Czy to jeszcze daleko stąd?

— Ponad dwieście kilometrów, myślę.

— Kil... kilom... co to jest?

— Miara długości.

— Nie słyszałem o takiej... Mów, jeśli wiesz, jak długo trzeba by stąd iść do Addis Abeby.

— Pieszko ze sześć dni, konno o połowę krócej.

— Czyli tylko trzy dni — westchnęła i łzy zakręciły się jej w oczach. — Za trzy dni, gdyby mój koń żył, padłabym do nóg cesarzowi i z pewnością ułaskawiłby mi ojca.

— Aha, po to zdążyłaś do stolicy... A cóż tam szanowny tatuńcio przeszkrobał, że aż na śmierć go skazano?

— Nic, przysięgam! Spytaj kogo chcesz u nas, a każdy ci powie, że Abel Yamgan to najuczciwszy człowiek w całej krainie Kaffa.

— W Kaffa? Tam leżą posiadłości mego brata, Michała Mongoszy.

— Nie znam takiego.

— Hm, dziwno mi tylko, że ty, która mówisz narzeczem oramo, jesteś podobno z Kaffa; czyżbyś była Murzynką pomimo tak jasnej skóry?

— Taką samą jestem Murzynką, jak twój brat — odcięła się i oznajmiła mu z dumą, że należy do plemienia Galla, tylko jej ojciec osiadł w Kaffa.

Rozmawiali tak z sobą jeszcze przez kilkanaście minut, a tymczasem ludzie niosący rannego dotarli do szczytu wzniesienia, skąd przedtem obserwowali walkę dziewczyny z jej przeciwnikami. Lada moment mieli zniknąć poza skalnym grzebieniem, więc Daniel uznał za stosowne dać niedoświadczonemu młodzieńcowi kilka cennych rad:

— Hej, panie mój — zawołał z góry, złożywszy dłonie przy ustach

— Co tam? — odkrzyknął Salomon.

— Zostawiamy cię tu sam na sam... z nią!

— Więc co z tego?

— No, wiadomo, co! A to prawdziwa pantera, panie. Takiej lepiej nie rozwiązywać rąk przed...

— Całuj psa w nos! — huknął młodzieniec oburzony, że posądzono go o tak niecne zamiary wobec ocalonej dziewczyny.

Służba Mongosów, należących do elity narodu, przywykła używać stale amhary, zwanej też amharinią. Język ten, będący mieszaniną arabskiego i hebrajskiego różni się dość znacznie od oramo, którym posługują się członkowie plemienia Galla, a jednak ta Gallanka rozumiała, o czym mówił stojący przy niej młodzian ze swoim służącym. Zrozumiała lub odgadła sens krótkiej, niedokończonej rozmowy i jej brązowa twarz stała się nagle szara, jak popiół.

— Zginiesz marnie! — warknęła, gdy klękła obok, chcąc przeciąć jej więzy. Potem zaś, czując, że nogi ma już wolne, zaplotła je kurczowo, a wargi skurczyły się jej jak u psa, który gotuje się do walki, i odsłoniły dwurząd równych, olśniewająco białych zębów. — Bracia mnie

pomszczą!

— Jacy bracia, ty kłamczucho. Sama mówiłaś przedtem, że jesteś jedynaczką — odparł z uśmiechem, przewracając ją na bok, gdyż ręce miała związane na plecach, a leżała dotychczas na wznak.

— Pomści mnie ojciec — poprawiła się co prędzej.

— Przecież ojciec twój został skazany na śmierć.

— Prawda — westchnęła; to przypomnienie od razu podcięło jej energię — i ja — dodała przez łzy — ja nie mogę pójść do cesarza, by...

— Możesz, możesz, malutka. Już jesteś wolna.

Nie uwierzyła w to od razu, przez chwilę siedziała nieruchomo, trzymając ręce nadal na plecach tak, jak gdyby były jeszcze związane. Potem zerwała się z ziemi błyskawicznie, jednym susem wskoczyła pod skałę, oparła się o nią i, pochwyciwszy jakiś duży kamień, stanęła w pozycji „bojowej”.

— Kiepską masz broń, miłe cielátko, ta będzie lepsza. — Rzekłszy to, rzucił jej swój nóż, który złapała w powietrzu za rękojeść z bajeczną zręcznością. — I odziej się na razie choć tym, bo przecież nago podróżować nie możesz. — Położył na ziemi swoją szammę, uklonił się, jakby w europejskim salonie. — Więc do widzenia w Addis Abebie.

Odszedł, nie oglądając się, choć korciło go zobaczyć minę dziewczyny, bezgranicznie zdumionej, jak przewidywał słusznie. Przemógł jednak tę pokusę, rozumując, że wszelkie oznaki ciekawości, zainteresowania się dalszymi krokami młodej Gallanki, zwiększyłyby jej nieufność.

— Ona teraz nie spuszcza mnie z oka ani na moment — odgadł.

Powróciwszy do obozu, zabrał się najpierw do opatrzenia ran Damasa, czy jak tam było na imię temu rozbójnikowi. Kula przeszła mu na wylot ramię, lecz poza tym doznał paru obrażeń głowy, prawdopodobnie wówczas, gdy koń włókł go po ziemi. Mógł więc wyjść z tego wszystkiego, o ile...

— O ile nie przyplączą się jakie komplikacje mózgowie — monologował Salomon, kończąc opatrunek.

Polecił służbie sporządzić większe nosze tak, aby je mogły ponieść dwa konie idące gęsiego. To zarządzenie, ku jego zdziwieniu, nie wywołało żadnych sprzeciwów ani wzdychań; sądzono ogólnie, że młody pan chce zbója odstawić do stolicy tylko dlatego, by tam sąd torturami przymusił go do wyznania, gdzie ukryto porwanego Michała Mongoszę.

— A teraz jeść, bo umieram z głodu.

Śniadanie służby składało się z jęczmiennych placków i chleba z ziarna durra, Salomon oprócz tego zjadł dziewięć ciastek zwanych tabita, kształtem przypominających nasze pączki. Kończono właśnie posiłek, gdy wartownik ujrzał na szczycie góry zbrojnego „męża”. Była to owa Gallanka, odziana w szammę, jaką otrzymała przed godziną i uzbrojona w długie strzelbisko, które zapewne zgubiła podczas ucieczki przed zbirami Selima Er-Durusz. Salomon nakazał swoim ludziom nie zwracać najmniejszej uwagi na dziewczynę i dał hasło do wyruszenia w drogę. Sam szedł pieszo na końcu orszaku, ale za najbliższym zakrętem przystanął. Patrzył. Gallanka przybiegła do miejsca, gdzie spędzili noc, jęła czegoś szukać, oglądając się raz po raz, czy jej kto nie śledzi. Wreszcie znalazła połówkę jęczmiennego placka, spleśniałego zapewne, skoro go odrzucono i zaczęła ten wątpliwy specjał jeść lub raczej pożerać łakomie jak zgłodniały pies.

— Biedactwo — mruknął, wzruszony tym widokiem.

Miał w kieszeni jeszcze dwa ciastka, więc położył je w najbardziej widocznym miejscu, dopędził swoją karawanę i, ku zgorszeniu Daniela, rzucił na ziemię cały bochenek chleba

angora, wypieczonego z mąki kukurydzanej. Po dwóch godzinach dotarli do drogi, z której zeszli wczoraj po południu i skręcili w lewo, na północ. Jak było do przewidzenia, dziewczyna maszerowała wciąż ich śladem, trzymając się jednak w tak przezornej odległości, że widywali ją tylko na najdłuższych odcinkach prostej drogi, których tu było zresztą niewiele. Poza jakimś zakrętem zatrzymali się, by spożyć obiad. Salomon polecił ludziom milczeć i dziewczyna, nieprzygotowana na ten przystanek, nieomal wpadła na nich.

— O, kogo widzę! — udał zdziwienie. — Myślałem, że spotkamy się dopiero w stolicy, a tymczasem... Czy spożyjesz z nami południowy posiłek?

— Nie przyjmuję niczego od obcych.

— Taaak? Wobec tego oddaj mi szamkę, nóż, ciastka i chleb, jaki zostawiłem dla ciebie na drodze. Aha!

Kazał sobie podać obiad wyjątkowo wystawny jak na to, że był w podróży: kozie mleko, prawie surowe mięso wielbłądzie oraz, na deser, wypieczony z prażonej mąki kukurydzanej pieróg z masłem i miodem. To było ponad siły córki Abla Yamgana, która wczoraj i onegdaj nie miała nic w ustach. Zapatrzona w pieróg, zbliżała się powoli krok za krokiem, aż w końcu usiadła naprzeciw Salomona, zaznaczywszy z całą stanowczością, że chce tylko rozmawiać.

— Nie rozmawiam z obcymi — odparł — którzy gardzą moim poczęstunkiem. Jeśli tedy nie chcesz mnie obrazić, poświęć się i jedz.

Poświęciła się z zapalem, zakropiła pieróg dwoma kubkami tedżu, po czym dopiero zapytała, jak zwie się ten napój, słodszy niż talla (piwo abisyńskie), lecz mocniej uderzający do głowy. Jak? Tedż? Ach, więc to jest tedż! Słyszała o nim, a jakże, tylko nie kosztowała go dotychczas, ojciec, by na to nie pozwolił. Ach, biedny ojczulek; siedzi teraz w ciemnym lochu, w okrutnej niepewności, czy cesarz zatwierdzi, czy złagodzi niesprawiedliwy wyrok wielkorządcy, który skazał Abla chyba za to, że ów pokłonił się nie dość nisko, gdy spotkali się w stepach.

— Nieprawdopodobne nadużycie władzy! — oburzył się Salomon. — Poproszę brata, by zbadał tę sprawę, a jeśli prawdę rzekłaś, wielkorządca Kaffy straci urząd. O, mój brat jest ulubieńcem cesarza!

Wiadomość ta wywarła wielkie wrażenie na dziewczynie. Nie sprzeciwiała się już, kiedy młodzieniec zaproponował, by dalszą podróż odbywali razem.

— A nie zrobisz mi krzywdy? — spytała raczej zalotnie.

— To ty mnie krzywdzisz takim posądzeniem! — Salomon pod wpływem alkoholu roztkliwiał się niemal do łez. — Tam, w wąwozie miałem cię związaną i co? Nic! A mogłem... — zachłysnął się — mogłem cię przecież...

— Wiem, wiem — wtrąciła żwawo — ty jesteś bardzo szlachetny.

Bardzo szlachetny młodzian znów sięgnął po skórzany bukłak z tedżem, by napęłnić kubki, a ponieważ powtórzył tę czynność wielokrotnie, zasnęli oboje, nie wiedząc jak ani kiedy. Daniel rozpiął nad nimi namiot i zarządził przedłużenie postoju *aż do odwołania*.

Kiedy dziewczyna zbudziła się wreszcie, na niebie płonęła zorza poranna. Nie mogąc pojąć, jakim cudem znalazła się w namiocie, wyszła, zaczęła rozglądać się dokoła. Nieopodal leżało pokotem kilkunastu ludzi, pograżonych w śnie, przy powiązanych koniach stał wartownik, a przy rozkopanej kopce siana, na którym spoczywał człowiek z obandażowaną głową, klęczał młodzieniec, dziwnie skądś znajomy. Właśnie odwrócił głowę.

— Już wstałaś? Jak ci się spało na moich derach? — spytał.

— Świetnie — odparła, przeciągając się; poznała go już i powitała radosnym uśmiechem. — A ty przeze mnie nocowałeś na twardych kamieniach, biedaku — sądziła.

Wynikało stąd, że nie wiedziała, że spali w jednym namiocie, i nie wyprowadził jej z

błądu, bo po co? Przecież nic między nimi nie było, zdradziecki też pograżył ich oboje w kamiennym śnie. Że Daniel w to nie uwierzy, to inna sprawa, ale kto by się przejmował jego głupimi podejrzeniami.

— Boisz się mnie jeszcze?

— O, nie.

— A ja, tak. Boję się, gdyż jesteś naprawdę śliczna!

Tak rozpoczął długą serię komplementów, których słuchała z przyjemnością, dopóki na koniec nie padły gorzkie słowa prawdy:

— ...tylko, niestety, cuchniesz jak większość miłych rodaków.

Abisyńczycy, poza zeuropeizowanymi notablami, nie używają w ogóle mydła, a do wody czują nieprzewyciężony wstręt. Nie kąpią się, ani nie myją nigdy, tylko ścierają z siebie brud... masłem, które topi się szybko i wsiąka w ich odzież. Ponieważ zaś przy tamtejszych upałach ludzie pocą się ustawicznie, nietrudno więc wyobrazić sobie, jak odrażającą woń wydaje taki konglomerat brudu, potu i zepsutego masła.

— Chodź, pokażę ci, jak myją się w Europie.

Potok, nad którym spędzili ubiegłą noc, tworzył nieco powyżej drogi mały wodospad. Tam Salomon zaprowadził swoją towarzyszkę, zrzucił z siebie płaszcz i ukazał się jej w stroju, jakiego nie widziała nigdy, w zwyczajnym kostiumie kąpielowym. Ale był to dopiero początek dziwów, których całą kolekcję zawierał nesesor z Paryża. Na przykład: szczoteczka do zębów, różowy płyn pachnący miętą i jakieś czerwone masło-nie-masło, wyskakujące cienką kiszka z blaszanej tubki. Posmarował tym masłem szczoteczkę i tarł nią zęby zawzięcie. Po co?

— Teraz na ciebie kolej. Rób to, co ja. Ale już!

Mówił tak stanowczo, że usłuchała, choć z niemałym strachem, gdyż nie myła sobie zębów nigdy od urodzenia. Przy płukaniu gardła połknęła sporo pachnącej wody, tymczasem on wyjął z *czarodziejskiej skrzynki* jakąś małą, ciężką poduszeczkę.

— To nazywa się: mydło — uczył ją. — Powąchaj. A teraz, patrz.

Namydlił się cały i wyszorował jakąś szorstką rękawicą, potem wszedł pod wodospad, podskakując tam dla rozgrzewki i prychnając wesoło.

— Żebyś wiedziała, jaka to rozkosz! Spójrz tylko, hop, hop...

Córka Abla Yamgana wołała jednak patrzeć na zawartość małej walizki szeroko otwartej, lecz w końcu zdobyła się na bohaterską decyzję:

— Ja chcę także.

W nagrodę za męstwo okazane podczas pierwszej w życiu kąpieli otrzymała wspaniałe dary: jego zapasową szczoteczkę do zębów, połówkę mydła, również połowę złamanego grzebienia, małe lustro i... szczyt szczodrości!... buteleczkę wody kolońskiej. Tym *przecudnym pachnidłem* natarła sobie nawet podniebienie, po czym raz jeszcze wskoczyła do strumienia, za przykładem swego towarzysza. Dopadła go pod łukiem wodnej strugi, która nie spływała po prostopadłej ścianie, lecz skutkiem rozpędu w górnym swym biegu odskakiwała od niej na trzy kroki. Tam, w tej niezwyklej kryjówce rozbawiona dziewczyna jęła dopominać się o pochwały.

— Czy jestem już czysta?

— Jesteś. — Musieli krzyżeć, by słyszeć się wzajemnie poprzez szum wodospadu.

— Czy jeszcze cuchnę masłem?

— Nie. Teraz pachniesz jak białe kobiety.

— Naprawdę?! — ucieszyła się. — Z ust także?

— No, chuchnij... Bliżej podejdz — przyciągnął ją do siebie i objął wpeł. — Chuchnij teraz.

Jej usta znalazły się tak blisko, że nie mógł przezwyciężyć pokusy i nakrył je swoimi ustami. Chciało mu się śmiać, gdy dostrzegł w jej oczach przerażenie, zwołna ustępujące zachwytowi, i gdy początkowo gwałtowny opór osłabł równie szybko, lecz nagle ogarnęła go wielka tkliwość.

— Maleńka moja...

Skorzystała z tego, że na chwilę oderwał usta, zasypała go wzruszająco naiwnymi pytaniami. A co to było? Pocałunek? Takie *zatkanie oddechu* nazywa się pocałunkiem? Nigdy nie słyszała tej nazwy. Ach, więc tak robią Biali? Mądrzy ludzie z tych Białych; nie tylko *pachnącą pianę* wynaleźli, ale również pocałunek. Czy to przyjemne? Tak. Nawet bardzo! Całe ciało ogarnia błoga słabość, a serce bije tak szybko, jak u schwytanego ptaszka. Czy ona chce jeszcze raz spróbować? O, nie raz!

W kryjówce za wodospadem dotychczas panował półmrok, aż raptem zrobiło się tak, jak gdyby ktoś zapalił naraz dziesięć lamp, z których każda miała inny kolor. To słońce, które weszło niedawno, wdrapało się właśnie na szczyt góry naprzeciw i pęk promieni rzuciło na szumiącą kaskadę, poza którą stało tych dwoje. Do nich, zasłoniętych strugą wodospadu, oślepiające światło docierało już po załamaniu się na rozbitych kroplach, docierało w postaci tęczy. Córka Abla Yamgana nie mogłaby sobie wymarzyć piękniejszego tła dla pierwszego w życiu pocałunku i nie pozostała ślepa na cudną grę kolorów.

— Spójrz — rzekła, odrywając usta od jego łakomych warg — jakie prześliczne włosy dostała moja woda. Każdy jest innej barwy.

Lękając się, że zbyt naiwnie wyraziła swój zachwyt, zaczęła pokpiwać z siebie.

— Moja woda, powiedziałam; jaka ona tam moja!

— Twoja, kochanie — zapewnił ją z dobrotliwym uśmiechem — i słońce jest twoje i wszystko.

— A ty?

— Chciałabyś mnie także?

— Najbardziej ze wszystkiego na świecie!

W tropikalnych krainach nawet miłość inaczej rozkwita i szybciej. Poznali się wczoraj, jeszcze przed godziną nie łączyło ich nic oprócz wątłej sympatii, a gdy wrócili do obozu na śniadanie, Salomon uroczyście obwieścił swym ludziom:

— Oto jest Taitu, córka Yamgana, a moja przyszła małżonka. Macie ją czcić i słuchać jej rozkazów tak jakby moich. Rzekłem!

Podróż narzeczonych, oczywiście bez familijnych cerberów, ma zawsze więcej uroku, niż podróż poślubna. Nie nocowali ani w Urbarak, ani w Szersera, ani w Uaczio, wzorem innych karawan; woleli rozbijać namiot z dala od ludzkich siedzib, nad jakimś bardziej malowniczym potokiem lub w dzikim wąwozie, a takich niemało jest w krainie gór i jezior Gurage, której zachodnią część przecinali. Dalsze trzy doby zleciały, jak z bicia strzeł, i czwartego dnia, choć Salomon opóźniał pochód, ile mógł, czwartego dnia pod wieczór w oddali wyrósł przed nimi nowy, potężny łańcuch gór. Tuż przed nim, na jego południowych stokach leży Addis Abeba, stolica Abisynii. Ujrzeni jej światła, kiedy słońce zaszło, ale dotrzeć do niej mieli dopiero nazajutrz.

— Jutro, najdroższa Taitu, pokażę ci osobliwości miasta. Jutro poznasz mojego brata, Jonasza. Jutro poproszę go, by nam wyrobił posłuchanie u cesarza. Jutro...

Tyle sobie obiecywał po tym jutrze, a tymczasem...

— Należałoby więc iść spać jak najprędzej — rzekła Taitu.

Od czterech dni sypiali razem w namiocie, dając tym Danielowi powód do dalszych niesłusznych przypuszczeń. Całowali się, nic więcej. Tym razem trwało to dłużej niż zwykle, jak gdyby w podświadomym przeczuciu niespodziewanej rozłąki. Z brzaskiem dnia Salomon zbudził się w świetnym humorze, że zaś Taitu nie było już w namiocie, zaczął ją przyzywać najczulszymi wyrazami. Na próżno!

— Poszła się umyć — przypuszczał — ja ją tego nauczyłem, ja! A stopniowo wykształcę ją tak, że zapędzi w kozi róg niejedną białą kobietę.

Gdy nieobecność Taitu przedłużać się zaczęła, wyszedł z namiotu.

— Gdzie wasza pani? — spytał.

Służba miała niewyraźne miny, przezorny Daniel trzymał się z daleka, ale to nie zdało się na nic; jego najpierw wzięto na spytki.

— Gadaj, gdzie jest Taitu?

— Odeszła.

— Dokąd?

— Nie wiem.

— Kiedy?

— Wczoraj wieczorem.

— Cooo?!

Daniel uskoczył wstecz, potem, jękając się i płacząc w zeznaniach, jął zdawać sprawę: On nic tu nie zawinił, może przysiąc. Taitu powiedziała mu tylko tyle, że odchodzi na zawsze, że prosi, aby jej nie szukano, gdyż to i tak będzie bezskuteczne, że z hojnych darów, jakie tu otrzymała, nie zabiera ani konia, ani derki, ani rewolweru, a tylko *przyrządy* do mycia.

— Dlaczego mnie natychmiast nie zbudziłeś, ty...

— Ona nie pozwoliła, a kazałeś nam, panie, słuchać jej rozkazów tak jakby twoich — wtrącił stary sługa skwapliwie.

Długo, bardzo długo siedział młodzieniec przed namiotem, przeżuując gorycz zawodu i czarną niewdzięczność, jaką mała Taitu odplaciła mu za to, że ocalił ją z narażeniem własnego życia i za to, że ją, córę skazańca, chciał podnieść do godności małżonki Mongoszy i za tyle pomniejszych dobrodziejstw, jak choćby lekcje kąpieli i całowania.

Koło południa Daniel ośmielił się przerwać tę bolesną zadumę. Chciał tylko przypomnieć, iż zapasy żywności są na wyczerpaniu, więc należałoby zejść na dół do miasta, póki sklepy są otwarte.

— Tak, tak, słusznie — wybąkał Salomon, a równocześnie drętwiał na myśl, co będzie, jeśli dzięki długim językom służby dowie się rodzina, jak szpetnie go wystrychnięto na dudka.

— Nie dopuszczę do tego!

— Do czego, panie?

Zmieszało go to pytanie, nie przypuszczał, że swoją myśl wypowiedział głośno. A może tak lepiej? Oczywiście!

— Do mnie tu wszyscy! — zawołał gromko. — Uważać, co powiem. Gdyby ktoś z was przed kimkolwiek ważył się pisnąć, że ze mną jechała jakaś dziewczyna, pożałuje gorzko!

Tym... — wskazał budzącą zabobonny lęk walizę z medykamentami — tym go ukarzę za jego gadulstwo, zrozumiano!

— Zrozumiano — wykszusił Daniel, który najwyraźniej miał coś na sumieniu.

— Macie o Taitu zapomnieć tak — urwał, zawahał się, westchnął, ale zakończył twardo — jak ja zapomnę tej niewdzięcznicy!

W tropikalnych krainach nawet miłość inaczej wędnie i szybciej.

ROZDZIAŁ XIX

Podróż Nilem z Kairu do Luksoru trwała siedem dni, czyli długo, biorąc pod uwagę, że odległość wynosi 740 kilometrów. Pociąg pośpieszny przebywa tę przestrzeń w ciągu trzynastu godzin, ale pociąg zatrzymuje się na stacjach po kilka minut, a parowce mają przystanki kilku- i kilkunastogodzinne, aby turyści mogli zwiedzić mijane po drodze osobliwości kraju.

Clyde Eyston wybrał drogę wodną tylko dlatego, że również Nilem podążał do Górnego Egiptu jego wróg, który, nawiasem mówiąc, w ostatniej chwili wypłatał mu figła; zamiast bowiem na statku *Puritan*, gdzie miał zamówioną kabinę na cztery osoby, odpłynął z Kairu dahabiją. Dahabije są to jachty żaglowe lub parowe wynajmowane przez trzy najbogatsze biura turystyczne ludziom, którzy nie chcą stykać się z „hołotą” podróżującą zwykłymi statkami. Ponieważ zaś na owych zwykłych parowcach przewóz jednej osoby z Kairu do Asuanu i z powrotem kosztuje przeciętnie sto funtów (około 2.500 złotych), łatwo sobie wyobrazić słoną cenę przyjemności posiadania do wyłącznego użytku całego statku wraz z jego załogą! A jednak popyt na dahabije jest wciąż ogromny, zwłaszcza podczas sezonu, to jest od listopada do końca kwietnia. Clyde Eyston dowiedziawszy się o nagłej zmianie „rozkładu jazdy” przeciwnika, chciał dla siebie także wynająć dahabiję, lecz na próżno biegał od Farajallacha do Cooka i od Cooka do Anglo-American Nile and Tourist Co.; wolnej dahabii nie było w Kairze ani na lekarstwo.

— Ten chytry łajdak musiał zarezerwować ją sobie już dawno temu, a kabinę na *Puritanie* wziął dla zmylenia tropu — zrozumiał poniewczasie.

Tak więc podróż do Luksoru stała się jakby wyścigiem dwóch żółwi, z których większy płynął szybciej, ale częściej przystawał. Mała dahabija nie mogła mierzyć się z silnymi maszynami *Puritana*, lecz wyprzedzała go na postojach. Jeśli te miały trwać dłużej, Clyde Eyston wysiadał na ląd, wynajmował dobrego konia lub taksówkę i, posuwając się brzegiem, śledził dahabiję, dopóki *Puritan* jej nie dopędził; gdy to nastąpiło, wracał na statek w najbliższej przystani.

— Zakontraktowałem wagon pszenicy — mawiał początkowo i chełpił się głośno, ile zarobi na tej transakcji.

Później zaniechał tych kłamstewek widząc, że jego dłuższe wycieczki nic wywołują tu zdziwienia. Na siedemdziesięciu dwóch pasażerów *Puritana* było co najmniej 90 procent turystów, których nie obchodziło nic poza tym, co mieli zobaczyć na brzegach Nilu według programu wycieczki. A program przewidywał tylko ruiny, ruiny i jeszcze raz ruiny. Ruiny przeróżnych świątyń, grobowców, piramid, sfinksów, pylonów, obelisków. Oglądano je z daleka, z bliska, fotografowano się na ich tle, po czym do późnego wieczora odmieniano we wszystkich przypadkach stereotypowe zachwyty. Nie podzielał ich tylko młodzieniec jadący w towarzystwie pulchnej Francuzki, która w Kairze żądała biletów do źródeł Nilu. Młodzian ów na każdym kroku wyśmiewał *solidnie zapłacony entuzjazm* przypadkowych towarzyszy podróży oraz ich nieuctwo, co w końcu doprowadziło do pożałowania godnego zajścia.

Siódmego dnia pod wieczór statek przybył do Luksoru, miasteczka wzniesionego na gruzach Newt⁽¹⁾, miasta, które przez sześć wieków było stolicą Egiptu, a które Grecy z powodu

jego ogromnej rozległości nazwali Tebami o stu bramach. Załogę parowca czekało tu trzy i pół doby odpoczynku, turystów trzy i pół doby „ciężkich robót”. Zaczęły się one od wycieczki do jednego z przedmieść dawnych Teb, dzisiejszej wsi Karnak i całodziennego zwiedzania jej zabytków, z olbrzymią świątynią Amona na czele. Przewodnicy radzili obejrzeć ją ponownie w różowym oświetleniu zorzy porannej lub przy świetle księżyca, gdy cienie osób błądzących wśród kolumn romantycznie ożywiają prastary chram, lecz towarzysz mademoiselle Lisette zrezygnował z tych dodatkowych rozkoszy estetycznych.

— Przełknąłem ten labirynt na gorąco, prosto z rusztu — rzekł, robiąc aluzję do szalonego upału — to mi wystarczy. Na różową sałatkę z pomidorów jutrzeńki ani na księżycową galaretkę cieniów już nie reflektuję. A może ty, droga Lisette?

— Nie drwij boleśnie! Czy nie widzisz, że ledwie idę?

— Państwo macie zupełną słusność — zawtórował im przysadzisty turysta, typowy dorobkiewicz z czerwonymi paluchami, na których połyskiwały liczne pierścienie — nie dość, że człowiek tyle płaci, jeszcze musi namęczyć się za swoje pieniądze. A przecież mogliby dla oszczędzenia nam fatygi przenieść do chłodnych sal muzeum wszystkie te duże żaby i...

— Żaby? Jakie żaby?

— No, te kamienne tutaj, tworzące jak gdyby szpaler.

Szli właśnie wschodnią aleją sfinksów ku świątyni Mut, otoczonych z trzech stron równą podkową „świętego” jeziora.

— Ależ to sfinksy!

— Pozwól, Lisette, panu ta egzotyczna nazwa niewiele mówi.

— Prawdę rzekłszy, to mniej niż niewiele.

— Sfinks, jak szanowny pan na pewno zauważył, ma twarz ludzką, a tułów lwa.

Nietrudno więc domyślić się, że powstał ze skrzyżowania tych dwóch ssaków, w czym Egipcjanie specjalizowali się ongiś.

— Co pan mówi!

— Pan wątpi w prawdziwość moich słów?! — zachnął się młody kpiarz, mrugając wesoło na swą towarzyszkę. — Albo w wiarygodność naukowych dzieł, jakie przestudiowałem przed wyjazdem do Egiptu?!

— Broń Boże! Przeciwnie, to co pan powiedział przed chwilą jest tak niezmiernie interesujące, że... — tu nuworysz skwapliwie wcisnął mu w dłoń cygaro — że z największą przyjemnością chciałbym się dowiedzieć czegoś bliższego o hodowli sfinksów. Bo, widzi pan, ja sam także jestem hodowcą, mianowicie owiec, a wyniki, jakie osiągnąłem przez krzyżowanie rambouillets z merynosami negretti niezbyt mnie zadowoliły...

— Bo pan nie znał dotychczas metod hodowców egipskich z epoki mezozoicznej⁽²⁾. Ale ja pana nauczę...

Tu rozpoczął się „wykład” obfitujący w tak nieprawdopodobne brednie, że Lisette co prędzej przyśpieszyła kroku, by naiwnemu słuchaczowi nie parsknąć w twarz śmiechem. Wesoła zabawa muła jednak smutny koniec nazajutrz.

Nazajutrz pasażerów *Puritana* przeprowiono na lewy brzeg Nilu. Zwiedziwszy mauzoleum Setiego I w Gurna, zaczęli wspinać się pod górę ku grobom królewskim w Biban el-Muluk. Kierownik wycieczki, chcąc zelektryzować zmęczonych upałem turystów, już w połowie drogi obwieścił przez tubę:

— Panie i panowie! Zbliżamy się do miejsca, w którym Howard Carter i lord Carnarvon w listopadzie roku 1922 dokonali przesławnego odkrycia. Któż z was, drodzy państwo, nie słyszał o Tut-ench-Amonie?!

— Kim był ten gentleman? — spytał opasły nuworysz towarzysza Lisette, z którym zaprzyjaźnił się wczoraj.

— Pan nie wie? Tut-ench-Amon, zwany popularnie Tutanchamenem, światowej sławy champion boksu, był nieślubnym synem Kleopatry i Noego, którego arka wylądowała właśnie na tych wzgórzach — brzmiał początek nowej symfonii łągarstw.

Niestety, rozłączyli się w podziemiach i dorobkiewicz, wysłuchawszy z uwagą wykładu jednego z przewodników, zrozumiał, że zażartowano sobie z niego haniebnie. Gdy wycieczka opuszczała labirynt wykutych w skale grobów, odszukał młodzieńca, poprosił go o dalsze wyjaśnienia, manewrując tak, aby znaleźć się wraz z nim na samym końcu grupy. Kiedy to nastąpiło, pochwycił go za ramię, a prawą dłoń zacisnął w pięść.

— Teraz — warknął — zapłacę ci, smarkaczu, za Noego, za hodowlę sfinksów, za wszystkie twoje bujdy.

Lisette, jakby tknięta przecuciem, odwróciła się i ujrzała swego pupilka w momencie, gdy, upadając na wznak, zadarł nogi ku niebu. Wydawszy okrzyk zgrozy, rzuciła się z parasolką na napastnika, lecz ów nie czekał.

— Brutalu! — zawołała za uciekającym — uderzyłeś kobietę!

Pogroziwszy mu, podbiegła do leżącego... pardon, do leżącej, a przebranej po męsku dziewczyny.

— Olga, czy ten łotr uderzył cię w twarz?!

— Nie. Chciał mnie znokautować, celował nieźle, lecz podbiłam mu rękę i dostałam w skroń. Trochę mi huczy w głowie, ale to przejdzie.

— Boli bardzo, kochanie moje?

— Cios nie, tylko twoja głupota, droga Lisette. Tak cię prosiłam!

— On może nie rozumiał moich słów, krzyknęłam po francusku. A kask przecież nie spadł ci z głowy, więc włosów ujrzyć nie mógł.

— Czy nikogo więcej nie ma w pobliżu?

Lisette, klęcząca dotychczas, powstała, zaczęła rozglądać się dokoła, drgnęła.

— Jest tylko jakiś Beduin — odparła szeptem.

— Nnno, twoje szczęście, że nie ktoś z naszego stada. Pomóż mi wstać i chodźmy żwawo, bo słońce zajdzie niebawem. A temu brutalowi lepszy guz wyskoczy dzisiaj nocy. Ja w tym!

Zanim odeszły, rzuciła okiem na sędziwego tubylca, który był świadkiem jej porażki; zapatrzony w niebo, przesuwał paciorki różańca, wyglądał na pogrążonego w modlitwie. Lecz nieco później, kiedy obie kobiety zniknęły za skalnym występem, zachichotał frywolnie.

— Zrobiłem nieoczekiwane odkrycie. Chłopak jadący z Francuzką do Abisynii przez Sudan jest dziewczyną — mruknął — ale jaki cel tej maskarady? Czyżby one...

Tu Clyde Eyston, on to był bowiem, machnął ręką, spoważniał.

— Trudniejszą mam dziś zagadkę do rozwiązania.

⁽¹⁾ Newt(?) – Stolicą starożytnego Egiptu, na której miejscu zbudowano Luksor, było Uaset (po grecku: Thebai – Teby).

⁽²⁾ Era mezozoiczna, mezozoik – era trwająca od ok. 250 milionów lat temu do 66 milionów lat temu, okres panowania gadów i owadów; ludzi wtedy nie było na Ziemi.

ROZDZIAŁ XX

Clyde Eyston przez te dwa dni nie próżnował. Halef, którego wysłał z Kairu pociągiem, oczekiwał go w przystani i złożył mu sprawozdanie. Nic ciekawego nie wydarzyło się w Luksorze, twierdził, turystów jeszcze jest sporo, za to suchotnicy, astmatycy, syfilitycy i reumatycy z wolna odpływają do Dolnego Egiptu, gdyż tu zaczyna już być nazbyt ciepło; ano, zima minęła.

— Niewierni nie obchodzą mnie wcale — wtrącił wzdorliwie Clyde, grając rolę wyznawcy Proroka — mów mi o naszych.

Halef o nich również niewiele umiał powiedzieć; ot, robią swoje, nie mieszając się do polityki. Czy interesują się wypadkami w Abisynii? Chyba o tyle, że wyprzedają swoje muły handlarzom sudańskim, którzy je odstawiają Włochom, zarabiając dobrze na swym pośrednictwie. Miejscowi patrioci sympatyzujący z Abisynią zamierzają wnieść petycję do rządu w Kairze o zamknięcie granicy sudańsko-erytrejskiej pod pretekstem, iż agenci Włoch mogą ogołocić kraj ze zwierząt jucznych. Dla uchwalenia takiej rezolucji miał odbyć się wiec, lecz w ostatniej chwili odroczono go do...

— Do... ach, prawda, efendi, właśnie do jutra.

— Rozumiem! Wiec odroczono, aby w nim mógł wziąć udział on!

Eyston miał słuszność i nazajutrz nie zdziwiła go tendencja przemówienia jego wroga. Przemówienie to dałoby się streścić w słowach: Gardłowanie za Abisynią w imię solidarności ludów afrykańskich jest nonsensem. Egipt winien myśleć tylko o sobie, powinien w razie wojny włosko-abisyńskiej opanować okolice źródeł Niebieskiego Nilu. Nie byłby to zabór cudzego terytorium (zresztą okupacja mogłaby być tylko czasowa), ale rozsądne zabezpieczenie najżywniejszych interesów Egiptu. Gdyż sześćdziesiąt pięć procent wody i dziewięćdziesiąt procent żyznego mułu dostarcza Nil Niebieski, reszty Biały Nil, choć ten na oko jest potężniejszy...

W tym miejscu zabrzmiała syrena na rzece. Nic nadzwyczajnego właściwie, nie brak przeróżnych stateczków na Nilu, a każdy daje sygnały, kiedy mija port, aby nie wpaść na jaką barkę. Lecz Clyde obecny na wiecu i patrzący jak w tęczę na swego przeciwnika dostrzegł na jego twarzy przelotny błysk radosnego zdziwienia, jak gdyby odbłask myśli: — O, już?! Nie przypuszczałem, że tak rychło. — Choć mogło to być tylko przywidzeniem, Clyde natychmiast przysunął się do Halefa i zlecił mu „opiekę” nad statkiem. W dwie godziny później wiedział już, że statek przybił do zachodniego brzegu o dwa kilometry za Luksorem i że zbrojna straż nie wpuszcza nikogo na pokład.

— Dzisiejszej nocy zajmiemy się tym parowczykiem — zdecydował bez wahania; postaramy się zbadać, co przywiózł.

Noc zrazu była ciemna, choć oko wykol. Clyde czekał niecierpliwie, aż minie godzina najgłębszego mroku, a kiedy rozjaśniło się nieco, stwierdził ku swej wściekłości, że statek zniknął. Lecz Halef miał lepsze oczy. Odszukawszy chlebodawcę, zameldował, iż parowiec ze zgaszonymi światłami popłynął na powrót w dół rzeki.

— Aha, manewr ostrożnościowy. Jazda za nimi!

Posuwali się lewym brzegiem Nilu, szukając swej „zguby”, ale na próżno. Po pięciu kilometrach Clyde zamierzał już zrezygnować z dalszego spaceru, gdy wtem ujrzeli nadciągającą z przeciwka karawanę.

— Zapytamy ich — zaproponował Halef.

Nie zdążyli jeszcze zrobić tego głupstwa, kiedy dobiegł ich uszu urywek rozmowy poganiaczy wielbłądów.

— Dawno nie widziałem czterystu wielbłądów w kupie. Po co im tyle?

— Ho, ho, ani tysiąc nie uniesie tego, co przywiózł wabur.

Clyde co prędzej uskoczył w cień, pociągając Halefa za sobą. Już był z grubsza zorientowany, wszak *wabur el-bahr* znaczy po arabsku *parowiec*. Przeczekałszy aż tamci przejdą, udali się żwawo w dalszą drogę i niebawem dostrzegli olbrzymi sznur wielbłądów. Posuwały się niczym ludzie w ogonku przed kasą, klękały obok parowca, a potem, objuczone ładunkiem, wyruszały w najrozmaitszych kierunkach, lecz zawsze po dwadzieścia sztuk.

Na krótko przed świtem Halef dostrzegł łódkę. Ze statku zauważono ją również i, gdy przybliżyła się zbyt blisko, ostrzeżono ją energicznie.

— Ależ ja do was — zawołał wioślarz.

— Od kogo?

— Z dahabii.

— Czyli od mojego „przyjaciela” — mruknął Clyde Eyston.

— Hasło?

— A skąd mam znać wasze hasło?

— A skąd ja wiem, ktoś ty naprawdę?

— Wiozę od mego pana gawab (list).

— Pięknie, lecz skoro nie znasz hasła, nie wpuszczę cię na statek. Przybij do brzegu i czekaj, przyjdę do ciebie po list.

Clyde’owi wyraźnie sprzyjało szczęście, gdyż wioślarz przybił do brzegu tuż obok jego kryjówki. Po chwili nadszedł ze statku jakiś jegomość mocno utykający na lewą nogę i odebrał list. Jego treść musiała być bardzo krótka, gdyż czytał ją dwie, trzy sekundy, potem zgasił latarkę elektryczną.

— Powiedz swemu panu — rzekł, zniżając głos — że nie będę mógł zobaczyć się z nim wcześniej, aż dopiero po zachodzie słońca.

— Dobrze, a gdzie?

Clyde Eyston wstrzymał oddech, zamienił się w słuch.

— Gdzie? Hm, powiedzmy obok groty za Biban el-Harim.

Na tym skończyła się rozmowa, wioślarz odpłynął czółnem w górę rzeki, a kulawy mężczyzna powrócił na statek, którego żurawie zgrzytały niemal do świtu. Wreszcie ostatnia dwudziestka wielbłądów, eskortowana, jak wszystkie poprzednie, przez trzech uzbrojonych jeźdźców, wyruszyła w drogę.

— Pójdiesz za nimi krok w krok — rozkazał Clyde służącemu.

— Jak długo?

— Dopóki nie stwierdzisz, w jakim kierunku udają się naprawdę. Bo, jeśli mnie przecucie nie myli, wszystkie te oddziałki tylko dla zmylenia tropu rozchodzą się tutaj w różne strony, ale cel ich podróży jest z pewnością ten sam. To właśnie musisz wybać, choćby ci przyszło śledzić ich przez kilka dni.

— Przez kilka dni?! — przeraził się Halef. — O, efendi, ja już po godzinie upadnę ze zmęczenia. Toć całą dzisiejszą noc...

— Wiem — przeciął krótko te narzekania i wyjął sakiewkę — lecz mój rozkaz musi być wykonany, rozumiesz? Musi! W najbliższej wsi, przez którą będziesz przechodził, kupisz sobie muła. Nie! Raczej konia, gdyż muł nie dotrzyma kroku wielbłądom, gdy puszcza się kłusa. No, idź już, dzielny Halefie, a nie daj wciągnąć się w zasadzkę.

— W zasadzkę?!

— Bogu cię polecam. Fi amani-llach! Ma as-salama!

— Allach jisallimak! — westchnął z rezygnacją pomocnik.

Po jego odejściu Clyde czekał jeszcze z pół godziny, ponieważ jednak na statku zapanowała cisza, powrócił do hotelu. Tu przede wszystkim rozpostarł przed sobą mapkę okolic Luksoru i zaczął szukać nazwy Biban el-Harim. Znalazł ją na zachodnim brzegu Nilu, pod napisem *Tombs of the Queens* (Groby królowych, czyli żon faraonów).

— Obym tylko równie łatwo znalazł tam dobrą kryjówkę — ziewnął, rozbierając się pośpiesznie.

Spał do południa, posilił się uczciwie, trochę żywności wsunął do kieszeni alpakowej marynarki, którą nosił pod burnusem, w drugiej kieszeni umieścił rewolwer i tak wyekwipowany wyruszył z hotelu. Przeprawiwszy się na lewy brzeg Nilu, wmieszał się w tłum przewodników, poganiaczy mułów, przekupniów, żebraków, wróżbitów i tym podobnych natrętów czyhających tu na turystów, których kilka grup sygnalizowała na dzisiejsze popołudnie służba hoteli luksorskich. Clyde, idąc za jedną z tych grup, dotarł do Biban el-Muluk, gdzie spotkał towarzyszy podróży ze statku *Puritan* i gdzie przypadkowo był świadkiem krótkiego „meczu bokserskiego” pomiędzy opasłym dorobkiewiczem, a przebraną za chłopca dziewczyną, imieniem Olga.

— Olga Atherton, jeśli pomnę. Ale że ja nie poznałem się od razu na tej maskaradzie, no, no, dziwił się — i jaki jest właściwie jej cel?

Zastanawiając się nad tym, szedł ścieżką wiodącą przez tak zwaną *Zachodnią Dolinę* od Biban el-Muluk na szczyt el-Korn, najwyższego wzniesienia w tej okolicy, stąd do Biban el-Harim miał kilka minut drogi. Za to znacznie więcej czasu stracił na odszukanie groty, która znajduje się w odległości z górą pół kilometra na zachód od grobów małżonek faraonów. Znalazł ją tylko dzięki temu, że w końcu zapytał jakiegoś włóczęgę, czy nie ma w pobliżu pieczary lub *czegoś w tym guście*, gdzie on, bezdomny nędzarz, mógłby spędzić noc.

Dotarłszy do celu wędrówki, zamierzał zrazu ukryć się w grocie, lecz porzucił tę myśl po namyśle.

— A nuż pan pułkownik weźmie ze sobą elektryczną latarkę i wpuści strumień jej światła do jaskini!

I tak stało się właśnie. Leżąc na szczycie pagórka, tuż ponad wejściem do groty, Clyde Eyston gratulował sobie w duchu, że tam nie wszedł.

— Musiałbym mu palnąć w łeb... Hm, może by to zrobić teraz?

Ten projekt również upadł natychmiast. Z wielu powodów. Po pierwsze, było już zupełnie ciemno, trzeba by mierzyć na oślep, kierując się tylko słuchem. Po drugie, detonacja wystrzału zaalarmowałaby przyboczną straż pułkownika, pozostawioną niewątpliwie gdzieś blisko. Po trzecie, bez względu na skutek swego zamachu Clyde nie dowiedziałby się już nigdy, o czym jego wróg chciał mówić z komendantem tajemniczego statku. Po czwarte, gdyby strzał był celny, pułkownik nie dowiedziałby się, z czyjej ręki ginie.

Leżał więc cicho, rozkoszując się myślą, że niebawem podsłucha dyskretną rozmowę superasa brytyjskiego wywiadu z jego... no cóż. Zapewne z kolegą po fachu. I tu spotkał Eystona srogi zawód. Kulawy komendant statku nadszedł niebawem, lecz obydwaj rozmawiali tak cicho,

że z początku Clyde nie dosłyszał ani sylaby. Aż nagle padło jedno słowo, wypowiedziane bardzo głośno i w tonacji wielkiego zdziwienia:

— Adames?!

— Adames — powtórzył, jak echo, kulawy.

— Oni chyba powariowali, skoro żądają niemożliwości!

— Albo przywykli, że dla pana niemożliwości nie istnieją.

— Dziękuję za komplement, ale... adames... nie, nie, nonsens.

Clyde Eyston podrapał się w ciemność przez arabski zawój.

— Co, u ciężkiego licha — pomyślał z humorem, czy ci z Londynu żądają, aby pan pułkownik zaśpiewał w *Aidzie* partię Radamesa?! Przy jego tubalnym głosie wypadłoby to imponująco, cha, cha, cha. O, *boska Aido*⁽¹⁾...

Komendant statku, który ubiegłej nocy w tak konspiracyjny sposób debarkował swój ładunek, ciągnął dalej, lecz znowu mówił ciszej; tylko oderwane strzępy zdań dobiegały uszu Eystona, jak na przykład:

— ...nalegał, by... od... adames... rabiny francus... chodzi o to... ich rachunek, jeśli... przylapią. Zresztą... fezzan...

— Fezzan tak! — wtrącił tamten. — Kufara i...

— Tsss, pułkowniku, pan ma głos jak dzwon.

— Nie ma strachu. Rozstawiłem dokoła moich ludzi, nie dopuszczą tu nikogo.

— A jeśli wśród nich jest choć jeden zdrajca?

To były ostatnie słowa, jakie Clyde dosłyszał. Czy tamci weszli do groty, czy znowu zaczęli rozmawiać szeptem, trudno było ustalić w tych warunkach. Jeszcze trudniej zaś byłoby zmieniać „posterunek podsłuchowy”. Trudniej i bardzo niebezpiecznie, skoro groźny przeciwnik porozstawiał, jak mówił, swoich ludzi dokoła pagórka. Rad nie rad leżał Clyde w tym samym miejscu przez kilka godzin, aż po północy, gdy odgłosy oddalających się kroków ucichły od dawna, wyruszył w powrotną drogę. I zablądził w ciemnościach. Dopiero nad ranem dobrnął do Nilu, przepłynął na wschodni brzeg, powrócił do hotelu, runął na łóżko w ubraniu i zasnął twardo. Obudziło go dziwnie uporczywe łaskotanie pod nosem. Kichnął, podniósł powieki, spojrzał. Obok łóżka stał Halef, z jego chudej twarzy zmykał pośpiesznie szelmowski uśmiech.

— Jak ja cię kiedy połaskotam — rzekł Clyde, domyśliwszy się, kto tu odegrał rolę natrętniej muchy — to spuchniesz!

Halef zrobił minę niewiniątka, uklonił się i pozdrowił swego pana, jak należy:

— Mesikum bil-cher, efendi. — Dobry wieczór, panie.

— Jak to *dobry wieczór*? — zdziwił się Clyde. — To ja przespałem cały dzień? —

Spojrzał ku oknu, potem na zapaloną lampę. — Rzeczywiście!

— Dzień, noc i dzień. Wszak rozstaliśmy się wczoraj o świcie.

— Głupiś. Spałem tylko dzisiaj. Przez całą noc śledziłem jego.

— A czy już wiesz, efendi, że on wyjechał?

— Wyjechał?! — Eyston zerwał się z łóżka. — Kiedy? Dokąd?

— Na wielką pustynię, myślę.

— Skąd wiesz?

— Spotkałem go dziś po południu. Jechał konno na zachód... Zapewne do oazy el-Kasr.

— Z czego wnosisz, że właśnie do el-Kasr?

— Tam różnymi drogami mają podążać wszystkie karawany wielbłądów, które widzieliśmy przy statku. Efendi, ja wiem, co statek przywiózł!

— No?

Karabiny i ładunki do nich. Mówili o tym ci, za którymi kazałeś mi jechać krok w krok, a których prosiłem o opiekę, jako che, che, che, samotny pielgrzym wracający do swej wioski. Omal przez to nie wpadłem, gdyż chcieli mnie wziąć za przewodnika.

— Zatem to nietutejsi.

— Ano nie, skoro nie znają dróg. Mówili też, że czeka ich bardzo długa podróż, lecz w el-Kasr obejmie nad nimi komendę ktoś, kto zna całą Saharę jak własną kieszeń. Jechaliśmy razem przez całe wczorajsze popołudnie, a w nocy im zwiąłem. Bałem się zapuszczać głębiej w pustynię, bo jakżebym potem wracał sam na lichej szkapie...

Wysłuchawszy dłuższego opowiadania Halefa, odprawił go i rozłożył na stole mapę Afryki północno-wschodniej. Bez trudu odnalazł na niej el-Kasr, najbardziej wysuniętą na zachód ze wszystkich oaz egipskich leżących na wysokości Luksoru. Ponieważ tam, w el-Kasr miał być punkt zborny małych karawan, które widział przy statku, więc najwidoczniej nie dla Abisynii wieziono te karabiny, jak przypuszczał początkowo.

— Oczywiście, że nie. Transport przeznaczony dla Abisynii byłoby wygodniej odstawić Nilem do Chartumu i dopiero tam przeładować go na muły czy wielbłądy... No, tak, lecz jeśli nie dla Etiopii ta broń, to dla kogo? I przeciw komu?

Wodząc palcem dalej po mapie znalazł dwie nazwy, które usłyszał ubiegłej nocy. Kufara i Fezzan. Fezzan i Kufara to grupy oaz w pustyni libijskiej, położone na południe od Trypolisu, zamieszkałe przez blisko 50.000 wojowniczych Arabów, Tuaregów, Berberów, a należące do Włoch! A jedno z miasteczek fezzańskich, leżące niemal na granicy francuskiej Sahary, na południe od Tunezji, wabi się Gadames.

— Otóż i mój *Radames!* — ucieszył się Clyde.

Teraz wiedział już, dla kogo i przeciw komu ma służyć broń, cichcem wyładowana ze statku pod Luksorem.

— Przeciwno Włochom. Hm, czyżby Anglii chodziło o zwyczajną sąsiedzką „przysługę”, czy też ma to być dywersja dla odwrócenia włoskich apetytów na jezioro Tana⁽²⁾? I dlaczego Intelligence Service⁽³⁾ pragnie tego specjalistę od podburzania tubylców wysłać aż pod Gadames, aż nad granicę francuską, choć tutaj byłoby mu znacznie wygodniej? Tego nie rozumiem...

Zrozumiał, gdy przypomniał sobie zdanie wypowiedziane w nocy przez kulawego komendanta statku, niewątpliwie wtajemniczonego we wszystko. Z tego zdania Clyde dosłyszał tylko tyle: *...nalegał, by... od... adames... rabiny francus... chodzi o to... ich rachunek, jeśli... przylapią. Zresztą... fezzan...* Obecnie mógł uzupełnić te braki, posługując się co prawda tylko fantazją, a w tej wersji brzmiałoby to następująco: *Szef nalegał, by rozpocząć akcję od strony Gadamesu. Przysłał panu karabiny francuskie. Bo przecież chodzi o to, by odpowiedzialność za rozruchy poszła na ich rachunek, jeżeli Włosi u jakiego oddziału powstańców te karabiny przylapią. Zresztą może pan działać także w środkowym lub południowym Fezzanie⁽⁴⁾.*

Były to oczywiście przypuszczenia, domysły, lecz Clyde Eyston z miejsca uznał je za pewnik.

Te sprytne szelmy chcą na jednym ogniu upiec dwie pieczenie; odciągnąć od Tany uwagę Włochów i równocześnie ostrze ich gniewu za przyszłe awantury w Trypolitanii skierować ku Francji. To gra doprawdy mistrzowska! — rzekł ze szczerym podziwem.

Nagle palnął się w czoło, rozpromienił się cały, jak gdyby olśnił go jakiś nadzwyczajny pomysł czy odkrycie.

— A ja — dodał z dumą — jestem w tej chwili jedynym człowiekiem, który może Anglikom pokrzyżować te plany!

⁽¹⁾ *Boska Aida* – aria z pierwszego aktu opery Giuseppe Verdiego *Aida*.

⁽²⁾ Tana – największe jezioro Etiopii, w którym rozpoczyna swój bieg Nil Błękitny. Na 19 spośród 37 wysp jeziora Tana znajdują się kościoły i klasztory Etiopskiego Kościoła Ortodoksyjnego. Niektóre z nich są miejscem pochówku cesarzy Etiopii.

⁽³⁾ Intelligence Service – wywiad brytyjski.

⁽⁴⁾ Fezzan; Fazzan – południowo-zachodnia część obecnej Libii, granicząca od północy z Trypolitanią. W latach 1911-1943 pod okupacją włoską.

ROZDZIAŁ XXI

Taitu, córka skazanego na śmierć Abla Yamgana, szła przez całą noc, wpatrzona w światełka Addis Abeby, które służyły jej za drogowskaz tu, na obcym dla niej terenie. Szła, popłakując i z goryczą przeżywając w myśli swój pierwszy zawód miłosny. Bo jeśli nie liczyć tego, że przez kilka lat kochała się na zabój w cesarzu Lidż Jassu, którego знаła tylko z opowiadania i z oleodruku, jaki jej ojciec przechowywał w domu, to Salomon Mongosza był jej pierwszą prawdziwą miłością.

— Pierwszą i ostatnią! Nie chcę więcej znać mężczyzn, tych zdrajców, kłamców, obłudników.

Że na Bogu ducha winnego Salomona i na wszystkich innych przedstawicieli płci brzydkiej posypały się takie gromy, było wyłączną zasługą gadulstwa Daniela. On rozpoczął tę niepotrzebną rozmowę, kiedy podczas ostatniego noclegu Taitu wyszła sama z namiotu. Wyszła, gdyż nie mogła zasnąć podniecona tym, że już jutro (jak sądziła w swej naiwności) stanie przed obliczem negusa negesti, który albo ułaskawi jej ojca, albo zatwierdzi wyrok śmierci.

— Jutro — zawołała bezwiednie, spoglądając w dół ku odległej stąd jeszcze stolicy — spotka mnie tam największa radość lub...

— Raczej największy wstyd — wtrącił ktoś półgłosem.

Obejrzała się, za nią stał Daniel, sługa jej ukochanego.

— Coś ty rzekł?!

— Ja? Nic.

— Nie kłam. Powiedziałeś, że czeka mnie wstyd. Jaki? Dlaczego?

Nietrudno było pociągnąć za język tego gadułę. Zaczął od nowiny, która dla zakochanej Taitu była straszliwym ciosem: Salomon już od dawna ma swoją uszime (ukochaną). Jest nią bardzo piękna kobieta, Europejka, którą poznał na statku, gdy wracał z Francji do ojczyzny.

— Tttto niemożliwe! — wykrztusiła. — Skąd ty wiesz, że...

— Od niego. Sam mi mówił w drodze z Hauaszu do Tandy i pokazywał lśniące obrazeczki, na których jest jej podobizna. Chcesz je zobaczyć? Nosi je na sercu w płaskiej skórzanej pochwie.

Co prawda Salomon nie na sercu nosił portfel obecnie, lecz w tylnej kieszeni spodni, ale to drobiazg. Oszalała z rozpaczy dziewczyna, byłaby odnalazła te obrazeczki, nawet gdyby je był ukrył między warstwami podeszwy. W blaskach dogasającego ogniska obejrzała amatorskie zdjęcia Alicji Rendell, przedstawiające ją samą lub niekiedy w towarzystwie Salomona i jakiegoś skośnookiego człowieczka.

— Piękna jest — musiała przyznać — piękniejsza niż ja.

Podrzuciła fotografie śpiącemu, tam skąd je przedtem zabrała, a podczas tego Salomon głośno westchnął przez sen.

— Wzdycha do tamtej!

Fala strasznego gniewu załaza serce Taitu, jej dłoń kurczowo ścisnęła rękojeść noża, jaki kilka dni temu otrzymała właśnie od niego, Salomona. Ani mu przez myśl nie przemknęło nazajutrz, iż ubiegłej nocy widmo śmierci krążyło nad nim tak nisko. Lecz odleciało na gwiazdy,

bowiem Taitu przypomniała sobie w porę, że przecież ten człowiek ocalił jej życie w wąwozie, że był dla niej bardzo dobry w podróży, że dał jej pachnącą wodę, mydło, lusterko, słowem rzeczy, jakich nie widziała nigdy. A co najważniejsze, był to człowiek, który pierwszy obudził w niej fikr (miłość).

— Nie zabiję cię, nie mogę — wyszeptła.

Delikatnie musnęła wargami usta śpiącego, wyslizgnęła się z namiotu i podeszła do Daniela kręcącego się w pobliżu z bardzo niepewną miną. To co mu oznajmiła, nazajutrz powtórzył swojemu panu... prócz jednego zdania, które brzmiało: — I powiedz mu, że jeśli kiedy biała kobieta ucieknie od niego lub umrze, może wrócić do mnie. Będę czekała. — Oczywiście o tym Daniel wołał „zapomnieć” natychmiast, jak i o innych szczegółach, które by mogły naprowadzić Salomona na odkrycie, iż nagle odejście Taitu ma do zawdzięczenia wyłącznie plotkarskiemu językowi swego sługi.

Rozpamiętując krótkie chwile szczęścia, szła bez wytchnienia w kierunku stolicy. Jej wszystkich świateł nie mogła już objąć okiem, gdy zstąpiła ze szczytów wzgórz w kotlinę, lecz widziała nadal jedno skupienie świateł żółtawych, zielonych, czerwonych. Nie wiedziała, że zbliża się do miasta od strony dworca kolejowego, nie wiedziała zresztą, co to jest dworzec, wagon, parowóz, takich wyrażeń język oramo w ogóle nie zna. A właśnie gdy światła na dworcu zagasły, Taitu dotarła do linii kolejowej i na jej nasypie postanowiła nieco odpocząć. Ze zdziwieniem oglądała długo szyny, nie pojmując do czego to służy.

— Ile by to mieczów i dzid można wykuć z żelaza, które tu bezużytecznie rdzewieje — gorszyła się, a potem spróbowała policzyć wyrokiem słupy telegraficzne. — Tyle szubienic, to chyba dla jeńców włoskich, gdy wojna wybuchnie — przypuszczała. — Ale czemu złączone są błyszczącymi sznurami? Może po to, żeby łapały się ptaki?

Musiała odrzucić tę hipotezę, bo z chmary ptactwa, jaką spłoszyła rzutem kamienia, ani jeden nie został na drutach, odleciały wszystkie. Lecz kulminacyjny punkt zdumienia uroczej dzikuski miał dopiero nastąpić. Położywszy się blisko szczytu nasypu, odczuła leciuteńkie drżenie ziemi. Nie zwracała na to uwagi, dopóki nie usłyszała dziwnego sapania. Stawało się ono coraz głośniejsze, coraz bliższe.

— Jakiś zwierz idzie w tę stronę — orzekła bez wahania.

Jaki, nie mogła poznać ani rusz, chociaż często towarzyszyła ojcu w łowach na wszelką zwierzynę, zaczynając od dik-diki (najmniejsza z antylop, wielkości naszych zajęcy), a kończąc na słoniach. Sapało to bowiem potężniej niż raniony hipopotam i szybciej niż zdyszany pies.

— Ten ci musi mieć płuca, nno! A może to całe stado idzie?

Sprawdziła, czy strzelba nabita i wyszła na szczyt nasypu, aby lepiej widzieć.

— Jeśli pójdzie prawą stroną, uskoczę na lewą i na odwrót.

Nie chciała wszczynać nierównej walki z całym stadem nieznanym sobie zwierząt, postanowiła strzelać dopiero w ostatecznym razie, gdyby niebezpieczeństwo zagrażało jej życiu.

— Tam!

Na odległym zakręcie ujrzała pędzącego potwora. Z przodu był prawie czarny, dalej biały, tyle zdążyła zauważyć, zanim znów zakryły go drzewa. Ach, jeszcze jedno, najważniejsze: na łbie miał dwa albo trzy grube rogi osadzone jeden za drugim.

— Nosorożec, ale jakiś ogromny!

Położyła się na brzuchu między szynami, aby ją od boków zasłoniły przed nosorożcami, które pono mają świetny wzrok. Kiedy jednak stwierdziła, że „nosorożec” biegnie jak na złość górą, ogarnęła ją dzika zawziętość.

— Takiś ty chytry? Dobrze!

Uklękła, podniosła broń do oka, mierząc pomiędzy „ślepią” parowozu. Maszynista spostrzegł snadź człowieka na szynach, gdyż nagle rozległ się przeraźliwy gwizd. Taitu omal nie wypuściła strzelby z rąk, tak ją zaskoczył ten „pisk” zgoła obcy nosorożcom, ale szybko strząsnęła z siebie przestach. Należało teraz zachować zimną krew, spokój, odwagę, aby ręka nie drgnęła w decydującym momencie. Ponowny gwizd nie przeraził już dziewczyny, rozsierdził ją tylko.

— Giń, bestio!

Szarpnęła za cyngiel, padł strzał, lecz przeklęty „zwierz” ani nawet nie potknął się w biegu. Choć trafiła go z pewnością! Nie spudłowała jeszcze nigdy. Może więc kula nie doniosła na tak znaczną odległość? Lub ładunek miał prochu za mało? Przebiegając w myśli rozmaite możliwe przyczyny swego niepowodzenia w tych łowach, równocześnie z gorączkowym pośpiechem nabijała strzelbę.

— Obym tylko zdążyła!

Zdążyła dzięki temu, że tor kolejowy ma w tym miejscu swoje przedostatnie wzniesienie przed Addis Abebą i że maszynista puścił w ruch hamulce, kiedy zrozumiał, iż gwizdem nie spędzi z szyn tej „wariatki”.

Wreszcie strzelba była gotowa do oddania drugiego strzału. Taitu podniosła głowę, zdrętwiała. Potwór zbliżył się już do niej na dziesięć kroków, a rozmiarami przewyższał słonia. Wycelowała byle jak, strzeliła. Zwolnił kroku, ale jeszcze szedł dalej, aż w końcu stanął tuż-tuż przed nią. Skoro stanął, był najwidoczniej ranny, należało go tylko dobić. Przyskoczyła z nożem, ciachnęła go z całej siły między olbrzymie ślepie i klinga pękła jak suchy liść. Wówczas Taitu ogarnął zabobonny lęk. Padła na twarz przed sapiącym wciąż potworem i przeraźliwym krzykiem zaczęła go błagać o łaskę, dopóki jacyś ludzie nie podnieśli jej z ziemi.

— Strzelała do parowozu? Cha, cha, cha...

— Chciała go przebić sztyletem? Chi, chi, chi...

— Modliła się do niego? Chu, chu, chu...

Taitu wodziła zdumionym wzrokiem po gromadzie ludzi, którzy zataczali się ze śmiechu. Nie wszyscy jednak. Służba kolejowa nie podzielała wesołości pasażerów, zżymała się na dziewczynę za jakieś tam spóźnienie.

— Dlaczego to uczyniłaś? — spytał ktoś surowo.

— Bo... bo ten nosorożec chciał...

— Nosorożec, chu, chu, chu, trzymajcie mnie, nosorożec!

— A jednak ona ma rację.

Z tymi słowy wysunął się z tłumu mały, skośnooki mężczyzna i laską poklepał mosiężną tabliczkę, zdobiącą bok parowozu. Widniał na niej francuski napis: *RHINOCÉROS*, a powyżej to samo w języku amhara, bowiem większość Abisyńczyków do dziś nazywa pociąg *żelaznym nosorożcem*. Abel Yamgan nieraz opowiadał córce o *żelaznych nosorożcach* które przenoszą setki ludzi z miasta do miasta, ale nie wierzyła w to nigdy. A dzisiaj spotkał ją ten despekt, że przemocą wepchnięto ją do „brzucha” żelaznej bestii i zatrzaśnięto drzwiczki. Nie krzyczała ze strachu tylko dlatego, ponieważ nie była sama w przedziale i ponieważ nikt z obecnych nie zwracał najmniejszej obawy. Chociaż pociąg pędził „błyskawicznie”! Co najmniej z chyżością dwudziestu pięciu kilometrów na godzinę. Niesłychani zuchwalcy z tych Białych!

Niebawem stwierdziła, że nie tylko Biali tak jeżdżą. W drzwiach korytarza stanął czarny konduktor i oznajmił, że za pięć minut Addis Abeba. Gromada pasażerów, fotografujących zawzięcie dzikuskę, wyniosła się momentalnie, śpiesząc do swoich przedziałów i dowcipkując na temat dzisiejszej przygody. Humorystyczny pojedynek naiwnej dziewczyny z „żelaznym

nosorożcem” bawił zresztą przez kilka dni całą kolonię europejską w Addis Abebie, lecz wrogowie Abisynii nawet z takiego głupstwa ukuli broń nie lada. I czytaliśmy wszyscy na wiosnę roku 1935 o napadzie dwóch tysięcy(!) bandytów na pociąg, wiozący do stolicy cesarza Haile Selassiego(!). Podawano też bardzo dokładne szczegóły tego zamachu, który miał miejsce tylko w wyobraźni ministra propagandy pewnego mocarstwa. Podobne brednie produkuje się masowo zwłaszcza wtedy, gdy fabrykantów broni zniecierpliwi zastój w interesie i chcą ludzkość uszczęśliwić nową wojną. Smutne jest tylko to, że miliony naiwnych wierzą we wszelkie banialuki, jeżeli takowe są wydrukowane lub podawane przez radio.

W przedziale Taitu pozostał tylko jeden człowiek, szczupły, skośnooki pan, który za nią zapłacił bilet, a teraz częstował ją łakociami. Gdy odmówiła, nastrojona na nutę nieufności, zdjął z półki wiązkę bananów. Po długich ceregielach zaczęła jeść, była naprawdę głodna po całonocnej wędrówce.

— Czy masz krewnych w Addis Abebie?

— Nie.

— Chcesz szukać tam pracy?

— Ja! — zachnęła się. — Nie jestem z plemienia Gurage!

— Więc po co jedziesz do stolicy?

— Chcę mówić z negusem negesti.

— Ho, ho — wyszczerzył zęby w uśmiechu. — Obawiam się, że to, co zamierzasz, jest równie trudne jak uśmiercenie żelaznego nosorożca, czego dziś próbowałaś z takim temperamentem. Tak, ślicznotko. Audjencji u cesarza obiecać ci nie mogę, ale gdybyś potrzebowała poparcia gdzie indziej, zgłoś się do mnie śmiało. Pytaj o mnie w pałacu księżnej Kuroda Lidz Araya. Moje nazwisko brzmi: Syozo Miyazaki. Spamiętasz to wszystko?

— Tak. Księżna Kuroda Lidz Araya i Syozo Miyazaki.

Wymówiła trudne dla niej nazwiska jednym tchem. Dla eksperymentu zarecytował jakiś czterowiersz japoński i znowu powtórzyła go bez najmniejszego błędu, chociaż nie rozumiała z tego ani słowa.

— Brawo! Oto nagroda. — Wcisnął jej w dłoń dwa talary, łypnął okiem podejrzliwie w stronę drzwi korytarza i zaczął ją wychwalać pod niebiosa.

— Jestem głupia — przerwała mu tę litanię komplementów — głupia okropnie, bom strzelała do żelaziwa.

— Jesteś przede wszystkim odważna, gdyż nie uciekałaś przed nieznanym ci potworem, walczyłaś z nim do ostatka. Jesteś bardzo odważna, piękna i masz fenomenalną pamięć; takich ja potrzebuję zawsze, rozumiesz? A dobrze płacę swoim, och, świetnie!

— Za co?

— Za odwagę, za pamięć, za spryt... Więc zgłoś się rychło, pamiętaj.

ROZDZIAŁ XXII

Taitu miała naprawdę doskonałą pamięć. Gdy wczoraj wieczorem w migotliwym świetle ogniska oglądała amatorskie zdjęcia Alicji Rendell, interesowała ją wyłącznie biała rywalka; na podobiznę stojącego przy niej na tych obrazeczkach nieznanego człowieczka zaledwie rzuciła okiem, a jednak poznała go dziś natychmiast. Nie zdradziła się z tym, bo i po co, lecz zakarbowała sobie dobrze w pamięci, że pan Syozo Miyazaki zna jej rywalkę. Może także ją kocha? Oby z wzajemnością! Niech sobie ta biała kobieta wyjdzie za męża za niego, czy za najbogatszego rasy, byle tylko pozostawiła w spokoju jej chłopca. Ona, Taitu, nie będzie jej zazdrościła, chociażby Biała poślubiła samego cesarza!

— Prawda, mam iść do niego, błagać o litość dla ojca.

Nazwa *Addis Abeba* znaczy *Nowy Kwiat*. Wielki Menelik założoną przez siebie nową stolicę powinien był nazwać raczej *Olbrzymi Ogród*. Bowiem Addis Abeba, licząca obecnie zaledwie 130.000 mieszkańców, jest równie rozległa jak zamieszkaną przez pięć milionów ludzi Paryż. Jest to właściwie duży las eukaliptusowy, w którym tu i ówdzie znajdują się skupienia chat krytych słomą lub blachą falistą, ale także piętrowe pałacyki bogaczy zbudowane przez architektów europejskich. Słowem, idealne miasto-ogród, szkoda tylko, że niezbyt czyste. Pagórkowaty teren do reszty uniemożliwił przeprowadzenie regularnej sieci ulic, co jeszcze bardziej utrudnia przybyszowi orientację w tym lesie. Stosunkowo najprostsza jest ulica, która wiedzie od stacji w górę aż do katedry świętego Jerzego. Tą drogą poszła Taitu, a zrobiwszy pięciokilometrowy spacer, dowiedziała się, że już powinna była skręcić w prawo, skoro dąży do Gibbi.

Byłoby wielką nieścisłością przetłumaczyć wyraz *Gibbi* jako: pałac cesarski. Gibbi to miasto w mieście, to bezładna zbieranina kasarn⁽¹⁾, składów amunicji, biur, domów, chat dostojników, dworskich i tym podobnych budynków, które gęstym, potrójnym pierścieniem otoczyły właściwą siedzibę władcy i dalej wciąż narastają. Dopiero w środku tego miasteczka, odgradzony od niego murem wewnętrznym, okalającym spory park, stoi stary pałac cesarski, a na samym szczycie wzniesienia nowy pawilon recepcyjny, tak ze wszystkich stron oszklony, że można by go wziąć za oranżerię. Jest to ulubiony „punkt obserwacyjny” negusa negesti, który w wolnych od zajęć chwilach przesiaduje tu i przez lornetę *bada nastroje uliczne*, jak powiadają złośliwi.

Do pałacu Taitu oczywiście nie wpuszczono, co gorsza, kazano jej iść precz, kiedy oświadczyła, że będzie czekała przy bramie dopóki nie ujrzy negusa. Na próżno tłumaczyła, w jakiej sprawie przybywa, na próżno prosiła, błagała, płakała, żołnierze, stojący na warcie mieli rozkaz nie wpuszczać nikogo bez przepustki wystawionej przez jakiś tam urząd, a rozkaz to rozkaz, wiadomo. Ktoś wreszcie ulitował się nad szlochającą dziewczyną, wysłuchał jej i poradził, by czekała cierpliwie, aż negus negesti będzie kiedy przejeżdżał przez miasto; wtedy niechaj mu zabiegnie drogę, wołając głośno: — Abie! Abie! (Łaski! Łaski!) — Jest to najprostszy (i mocno nadużywany) sposób zwrócenia na siebie uwagi władcy, który wśród takich okoliczności nie odmawia posłuchania nawet najnędzniejszemu ze swoich poddanych.

Uśluchała. Spędziła noc pod drzewem, nad strumykiem zrobiła ranną toaletę, tak jak ją

tę nauczył Salomon Mongosza, po czym ją rozpytywać, którądy cesarz jeździ zazwyczaj po mieście. Nikt jakoś nie umiał jej dać jasnej odpowiedzi na to pytanie, a z większością ludzi, jakich zagadnęła, w ogóle dogadać się nie mogła. Nic w tym dziwnego, skoro w Abisynii jest w użyciu siedemnaście krajowych języków, nie licząc francuskiego, włoskiego, angielskiego i greckiego. Wreszcie natknęła się na osobę bardzo rozmowną, właścicielkę szynku przy placu Arrada, na którym raz w tygodniu odbywa się nader ożywiony i hałaśliwy targ. Ta klasyczna stręczycielka do nierządu jednym rzutem oka oceniła nieprzeciętną urodę dziewczyny, wciągnęła ją do izby i poczęstowała sutym śniadaniem.

— Negusa negesti możesz zobaczyć tylko wówczas, gdy wraca z katedry, lecz dziś na to za późno — rzekła w końcu, widząc, że na próżno kieruje rozmowę na inne tematy

— Może jeszcze zdążę — Taitu już pędziła do drzwi.

— Ale wrócisz, prawda? Dostaniesz jeść, ile zechcesz, prześpisz się wygodnie na łóżku, a jutro poznam cię z kimś, kto zna samego negusa. Tylko wróć, kociątko. Będzie ci u mnie jak w raj. Przysięgnij, że wrócisz.

— Jeżeli trafię.

— Trafisz. Pytaj o drogę do placu Arrada i o ciotkę Teofilę. Tak nazywają mnie tu wszyscy, lecz ty możesz mi mówić: mateczko — pozwoliła łaskawie i dała jej jeszcze kilka ciastek z miodem. Pomimo to jednak nie odryglowała drzwi, dopóki Taitu nie złożyła uroczystej przysięgi, że wróci najpóźniej pod wieczór.

Koło katedry świętego Jerzego dziewczyna dowiedziała się, że cesarz odjechał już do Gibbi, zatem „ciotka” Teofila wyjątkowo powiedziała prawdę.

— Znowu jeden dzień zmarnowałam.

Nie mając nic lepszego do roboty, wałęsała się po mieście, przystając w zachwycie przed oknami wystawowymi każdego sklepu i baraniejąc ze zdumienia na widok dziwacznych wozów, które, choć bez koni, pędziły chyżo, a beczwały jak barany, jeżeli tłum drogę zagradzał.

Wprawdzie wielkorządca prowincji Kaffa także sprowadził sobie samochód, ale umieścił go w pokoju i tylko najbliższymi przyjacielom pozwalał oglądać to dziwo; jakże więc Taitu, nie mająca dostępu do pałacu wielkorządcy, mogła zapoznać się ze *śmierdzącym wozem bez koni*.

Teraz podziwiała samochody, aż znienawidziła je nagle, gdy w jednym z nich ujrzała Salomona Mongoszę obok kobiety. To była ta sama co na błyszczących obrazeczkach, ta sama piękna, biała kobieta. Jego narzeczona, jak mówił Daniel.

Taitu wróciła do „ciotki” Teofili tak przygnębiona, że od razu wzięto ją na spytki. Powiedziała wszystko, zdradziecki też rozwiązał jej język, a zwierzenie się przynosiło jej niejaką ulgę, dawało upust nagromadzonej w sercu goryczy.

— Całował cię i nic więcej? — nie dowierzała Teofila. — Choć spalicie razem w namiocie, nic więcej między wami nie było?

— A co miało być?!

— Nie udawaj głupiej. Nie masz sześciu lat. Młodsze od ciebie są matkami od dawna.

- To prawda — przyznała zawstydzona — moja matka wyszła za męża, mając dziesięć lat, a ja mam już piętnaście i jeszcze jestem panną.

— Żeś panna, wierzę, ale czy gibrina? (dziewica)

Za to odezwanie się „ciocia” Teofila omal po twarzy nie dostała. Taitu zawsze była dość czupurna, a cóż dopiero po trzech kubkach tedżu! W jędrnych słowach wyprosiła sobie raz na zawsze podobne hańbiące posądzenia. Czemu nie wyszła za męża, chociaż jest już tak stara, to jej rzecz. Innym wara do tego! I wara powątpiewać w jej cnotliwość! Ona nie jest galamota (ulicznica), lecz gibrina, może przysiąc na głowę swojego ojca.

Na wspomnienie o ojcu od razu przeminął gniew, a przyszła kolej na łzy rozpacz. Oto przezwyciężyła tyle trudności, tyle mil przebyła i na próżno, nie dopuszczono jej przed oblicze cesarza.

— Dopuszczają cię, dopuszczają, kociątko, jeżeli posłuchasz mych rad.

— Co mam uczynić?

— Przede wszystkim pójść spać, wypocząć, wydobrzeć, wyładnieć.

Zasnąć było trudno w domu „ciotki” Teofili. Z szynku na parterze dobiegały odgłosy pijackich awantur, na piętrze jakieś kobiety krzyczały, kwiczały lub nawet wyły, jak gdyby je kto żywcem obdzierał ze skóry. Że Taitu nie włączono tu od razu do hufca biednych pensjonariuszek, zawdzięczała swoim dzisiejszym zwierzeniom. Po nich jej *cena rynkowa* podskoczyła z dwóch naboi, czyli pół talaru, na dwa worki soli, czyli na trzydzieści talarów. Bowiem w Abisynii prócz talarów Marii Teresy i mniej chętnie przyjmowanych srebrnych talarów Menelika, równie stałą walutą są sprowadzane z Dżibuti worki soli morskiej i ładunki do karabinów, których cztery sztuki kosztują nieodmiennie talara. Jeśli w górach Abisyńczyk usłyszy tuzin wystrzałów, nie mówi: — Ktoś strzelił dwanaście razy — ale: — Ktoś wypukał trzy talary. — Spelunkę „cioci” Teofili odwiedzała gorsza klientela codziennie, lepsza zgłaszała się sporadycznie, każąc odsyłać sobie „towar” do domu, oczywiście tylko towar świeży, nieużywany. Dlatego właśnie Taitu nie groziło nic... tej nocy.

Nazajutrz wstała bardzo wcześnie. Już wczoraj upatrzyła sobie przy ulicy Rasa Makonena miejsce, w którym zamierzała zastąpić drogę cesarzowi i błagać go o litość dla ojca. Zająwszy dziś ten posterunek, puściła wodze fantazji, aby wypełnić czymś wlokące się minuty oczekiwania. Wyobrażała więc sobie, że cesarz pojedzie na białym koniu, z koroną na głowie, że uśmiechnie się do niej łaskawie, że poleci natychmiast wypuścić na wolność jej ojca i hojnie wynagrodzić mu krzywdę wyrządzoną przez wielkorządcę Kaffy. Lecz rzeczywistość w niczym nie potwierdziła romantycznej wizji Taitu. Nie na białym koniu wracał cesarz z katedry, lecz w limuzynie, na której stopniach stali dwaj żołnierze z bronią gotową do strzału. Na dobitkę wytworny rolls-royce władcy Abisynii pędził tak szybko, że zanim dziewczyna zdążyła wybiec na środek jezdni, było za późno, samochód już minął jej posterunek.

Młoda przeciwniczka motoryzacji kraju ojczystego wpadła w rozpacz. Znowu straciła dzień, trzeci dzień od swego przybycia do stolicy, straciła także nadzieję, że jutro lub kiedykolwiek zdoła zatrzymać mknące auto cesarskie, że siedzący za szybami władca dosłyszysz jej błagalny okrzyk: *Łaski dla mojego ojca, łaski!* Zrozumiała, iż w ten sposób nie wskóra nic i trzeba szukać... tego wyrażenia oczywiście nie знаła, tylko jego sens... szukać protekcji. Najpierw przyszedł jej na myśl pan Syozo Miyazaki, lecz przypomniała sobie w porę jego słowa: — Posłuchania u cesarza obiecać ci nie mogę. — On nie mógł, za to „ciotka” Teofila przyrzekła poznać ją z kimś, kto dobrze zna cesarza. Zaczyna kobieta. Trzeba do niej wrócić co prędzej.

— Hej, zamiataczu ulic, którądy mam iść do placu Arrada?

Teofila na widok dziewczyny wydała okrzyk radości.

— Bałam się już, że znowu wrócisz tak późno, jak wczoraj — paplała, czule ściskając Taitu — a dzisiaj wieczorem spotka cię wielki zaszczyt.

— Pójdę do cesarza?

— Pójdziesz do jego przyjaciół. Zaprosili cię.

„Zaprosili” nie tylko ją. W prymitywnej łaźni Teofili zastała małą, najwyżej dziesięć lat liczącą dziewczynkę, którą szorowano ryżową szczotką od stóp do czubka głowy. Taitu, ku zdziwieniu obecnych służebnych, nie zdradzała żadnego lęku przed wodą ani mydłem, nie wrzeszczała, jak jej młodzianka towarzysza, wykapała się sama, po czym przywdziała

przyniesiony przez Teofilę strój. Składał się on z mnóstwa bransolet, pierścieni i tym podobnej biżuterii najlichszego gatunku i z europejskiej sukni jedwabnej, rozciętej z boku na całą długość, a zapinanej na zatraski. Taitu czuła się nieszczególnie w tym przebraniu, ale nie protestowała, wierząc Teofili na słowo, że taka toaleta obowiązuje na przyjęciach u przyjaciół cesarza. Tuż po zachodzie słońca wprowadzono obydwie dziewczyny do obszernej ciemnej paki, w której czekał na nie jakiś Murzyn. Weszły, usiadły na jednej z kilku leżących tam beczulek i w chwilę później paka z wściekłym łoskotem zaczęła pędzić.

— To wóz bez koni!

Poniewczasie zrozumiała, że jedzie znienawidzonym przez siebie środkiem lokomocji, rzuciła się ku wyjściu, lecz Murzyn odepchnął ją brutalnie. A kryty płóciennym daszkiem samochód ciężarowy mknął już ostro przez najmniej ruchliwe ulice Addis Abeby. Zatrzymywał się niekiedy i wówczas do jego „paki” wprowadzano jeszcze jedną dziewczynkę, aż uzbierało się ich w końcu siedem „sztuk”; no cóż, dom „ciotki” Teofili nie mógł sam dostarczyć aż siedmiu gibrin, musiały więc uzupełnić dostawę inne zakłady tegoż autoramentu. Wreszcie auto dotarło do celu podróży. Z ciemnego dziedzińca wprowadzono przywiezione dziewczęta do pustej izby, gdzie Murzyn rozpoczął krótki wykład na temat, jak należy zachowywać się przy stole w porządnym domu. Czarny wykładowca nie miał prawej ręki, ucięto mu ją ongiś z rozkazu sędziego, a ten surowy wyrok wywarł swoje piętno na skazańcu; nie było w nim ani krzty owej niefrasobliwej wesołości Negrów, tylko ponura, godna Rosjanina rezygnacja.

Po „wykładzie” wpuszczono dziewczęta do właściwego mieszkania. Zaraz w pierwszej z brzegu komnacie, urządzonej z przepychem, ale bez gustu, bez wyczucia, iż szablony mebli europejskich nie można mieszać ze sprzętami produkcji rodzimej, zastały pięciu dobrze podtatusiałych mężczyzn. Tylko jeden z nich reprezentował białą rasę, pozostali byli tubylcami, nie wyłączając gospodarza, którego siwe włosy i broda niemal po pas kontrastowały z młodą, urodziwą twarzą.

— No, skoro już są dziewczynki — rzek Europejczyk, zacierając dłonie — to chyba nareszcie zasiądziemy do stołu.

— Wieczera gotowa jest od dwudziestu minut, niestety niektórzy moi goście nie grzeszą punktualnością i musimy na nich poczekać.

— Że zaś jednym z nich jest minister... Przepraszam, a drugi, kto?

— Pan Ludwik Brin.

— Brin?! — Ochłonawszy ze zdumienia, Europejczyk spojrzał na gospodarza z wyrzutem. — Dlaczego pan nie powiedział mi tego wcześniej?!

— Chciałem panu zrobić miłą niespodziankę.

— Miłą! Tfu, diabła wołałbym tu spotkać niż szefa wywiadu.

— Czyżby pan miał nieczyste sumienie?

— Mam na pewno bardziej czyste, niż każdy z was, ale... hm, namyślałam się, czy jednak nie drapnąć...

Okazało się to zbyt cenne, gdyż Ludwik Brin skrewił. Minister, który miał go wprowadzić do tego domu, przyjechał sam.

— Mój przyjaciel polecił mi przeprosić pana — rzekł do gospodarza, który nie taił swego niezadowolenia — zresztą on to uczyni osobiście w najbliższych dniach, gdyż bardzo pragnie pana poznać.

— Nawzajem.

— Cieszył się ogromnie, gdy mu powiedziałem, że znajdzie tu świetnych partnerów, że prócz kart spróbujemy ruletki. Już wychodził do domu, aby się przebrać, kiedy niespodziewanie

z jakąś pilną sprawą zawrócił go do biura Jonasz Mongosza...

Na dźwięk tego nazwiska Taitu, przysłuchująca się rozmowie z absolutną obojętnością, nastawiła uszu. Nie uszło jej uwagi, że oprócz ministra wszyscy obecni mężczyźni zrobili takie miny, jak gdyby do sali wszedł nagle śmiertelny wróg każdego z nich. Wreszcie gospodarz położył kres wymownemu milczeniu.

— Mili goście, proszę na skromny posiłek — rzekł, wskazując drzwi w głębi, od chwili przybycia ministra otwarte na oścież.

Zanim przeszli do sąsiedniej komnaty, dokonali wyboru przyszłych towarzyszek zabawy. Było ich teraz sześciu, a dziewcząt siedem, gdyż siódmą przeznaczono dla Ludwika Brina, który w ostatniej chwili zrobił im zawód. Minister wybrał sobie tę, którą wraz z Taitu wysłał dom „ciotki” Teofili, pozostali już uprzednio dokonali wyboru, po czym całe towarzystwo ruszyło parami do jadalni. Na końcu szła Taitu sama! Była niewątpliwie najpiękniejszą spośród siedmiu dziewcząt, ale i najstarszą, dlatego nie znalazła uznania w oczach żadnego z tych podstarzałych rozpustników; na szczęście dla niej woleli najmłodszy „rocznik”, a jej przypadła rola zapasowego gracza na meczu.

Widok sali biesiadnej i uczyty zgorszył Taitu, wychowaną w największym poszanowaniu dla tradycji. Jej rodzic, zaprzysiężony konserwatysta, nie uznawał ani stołów i ław, wprowadzonych do Abisynii jeszcze przez Portugalczyków, ani półmisków, nie mówiąc już o tak ultranowoczesnym wynalazku Białych, jak widelec. Jadało się pólżąc na ziemi, stół zastępowały skóry wołowe, talerze... okrągłe placki, kieliszki... piękne, duże rogi, a służba wносиła sztuki surowego mięsa nie na półmiskach, lecz po prostu w rękach. Goście jej ojca nie dotykali jadła, broń Boże, karmiły ich kobiety. One małymi nożykami krajały surowe mięso na plasterki wielkości palca, soliły je, pieprzyły, zanurzały w pikantnym sosie, zawijały w chleb i tak spreparowane „pierogi” wsuwały do ust sąsiadowi z lewej strony i na przemian z prawej, po czym zatłuszczone palce wycierały w chleb, który później spożywała służba. Mężczyźni zaś, z wdzięczności za to karmienie, częstowali sąsiadki napitkiem. Przy tego rodzaju podziale pracy, niewiasty bywały po uczcie rzetelnie głodne i tym bardziej pijane, co kończyło się dziką orgią, uważaną za normalny deser. Ze względu na ten deser Taitu, jako niezamężna, musiała przy końcu biesiady wracać do swej komórki, gdzie przezorny rodzic zamykał ją na klucz, ku wielkiemu żalowi gości.

A tutaj odbywało się to wszystko całkiem inaczej. Biesiadnicy siedzieli na krzesłach przy okrągłym stole nakrytym jedwabnym obrusem i koronkowymi serwetkami. Jedli na talerzach, posługując się dziwnymi nożami oraz maleńkimi widłami, które zwali widelcami. Pili bez umiaru, i nie też bynajmniej, ale wina. Zupełnie też inne i Taitu nieznane były tutejsze potrawy, które w niezmiernie długim szeregu zjawiały się na stole, by zniknąć, zanim ktokolwiek mógł najeść się ich do syta. Lecz największe jej zdumienie wywoływało czarne pudło z blaszaną tubą, grającą i na przemian śpiewającą ludzkim głosem prześliczne piosenki w niezrozumiałym języku.

— To niemożliwe, aby tam ktoś zmieścił się w środku — uznała, obejrzawszy sobie gramofon z bliska.

Po uczcie biesiadnicy zaciągnęli albo zanieśli swoje pijane partnerki do pokojów, jakie im przydzielił gospodarz. On sam zniknął również, rzuciwszy na odchodnym Taitu:

— Później przyjdzie kolej na ciebie.

— Z czym?

— Dowiesz się, gdy cię zawołam.

Dowiedziała się wcześniej, bo wałęsając się bez celu po mieszkaniu, weszła

przypadkowo do pokoju, zajętego przez Europejczyka i jego nieszczęsną towarzyszkę. Cofnęła się natychmiast przejęta niewypowiedzianym wstrętem, potem przerażenie zmroziło jej krew w żyłach, gdyż przypomniała sobie słowa gospodarza. — Później przyjdzie kolej na ciebie — powiedział ten młody starzec czy stary młodzieniec. — Uciekać!!! — przemknęło jej przez myśl. Ale którędy? Wskoczyć przez okno było zbyt wielkim ryzykiem, gdyż mieszkanie znajdowało się na drugim piętrze, a w ciemnościach nie mogła dostrzec, czy pod ścianą jest ziemia, czy bruk lub puste skrzynie, jakich tyle zauważyła na dziedzińcu. Szukając bardziej dogodnego wyjścia, błądziła dalej po komnatach i próbowała kolejno wszystkich spotkanych drzwi. Na próżno. Jedne z nich były zamknięte, inne wiodły do małych pokojów, w których rozgrywały się ohydne i brutalne sceny w rodzaju tej, na jaką natknęła się przypadkowo i jaka otworzyła jej oczy. Nie znalazła wyjścia, a tylko okazałych rozmiarów nóż, który przywłaszczyła sobie natychmiast.

— Niech teraz który spróbuje! — mruknęła złowrogo, chowając tę broń w fałdach sukni, gdyż właśnie zabrzmiały szybkie kroki.

Do sali biesiadnej, w której chwilowo przebywała, wpadł jednoręki Murzyn, mocno czymś podniecony jak na osobnika tak apatycznego.

— Gdzie mój pan?

— Nie wiem.

Murzyn popędził dalej, a Taitu bezzwłocznie wybiegła z sali tą drogą, jaką on wszedł tutaj.

— Skoro śpieszył się tak bardzo, na pewno zapomniał zamknąć za sobą drzwi, których nie mogłam otworzyć przedtem.

Rozumowanie to okazało się słusznym. Już w przyległym pokoju ujrzała zamaskowane w ścianie drzwiczki, obecnie otwarte, a tworzące zakończenie wąskiego ganku. Zaprowadził ją do przestronnej, wysokiej hali, którą obiegał dokoła na wysokości pierwszego piętra. Hala wyglądała jak magazyn sklepu kolonialnego i była nim poniekąd. Mnóstwo skrzyń, skrzynek, beczulek wypełniało nie tylko jej dolną część, gdzie u stóp wiszącej lampy naftowej siedział przeraźliwie chudy nagus, lecz również część szerokiego balkonu, po którym Taitu szła wolniuteńko, drżąc, by jaka deska nie skrzypnęła. Wreszcie dotarła do wylotu schodów, biegnących spiralnie w dół, na parter. Ale cóż z tego. Tam siedział ów żywy szkielet z przepaską na biodrach i z włosami ufarbowanymi wapnem na żółto.

— Żebyś zdechł, przekłety Somalijczyku — życzyła mu w duchu.

Wtem usłyszała odgłos kroków w ganku, którym przyszła tutaj. Instynktownie posunęła się dalej o dwa, trzy kroki i przykucnęła za najbliższą skrzynią. Uczyniła to w samą porę, gdyż nieomal w tej samej chwili z ganku wyszedł siwowłosy gospodarz.

— Co się stało, Dżid? — spytał, zstępując na dół po schodach.

— Nieszczęście, panie mój. Schwymano jednego z naszych i przywieziono go rannego do Addis Abeby — odparł Somalijczyk.

— Skąd wiesz o tym?

— Dziś był znowu u Alicji brat Jonasza Mongoszy, opowiadał jej o tym w ogrodzie. Przechwalał się, że dzięki jego lekom jeniec wyliże się z ran, a wtedy Jonasz wyciśnie z niego tyle prawdy, ile zechce.

— Nic nie wyciśnie! — krzyknął gospodarz. — On zginie!

— Jonasz?

— Na niego też przyjdzie kolej, jak na wszystkich Mongoszów. Dawno już mógł ten łotr gnić w ziemi, gdybyś był wówczas, tchórzliwy głupcze, celniej rzucił tę cegłę z dachu... Na razie

trzeba przede wszystkim uniemożliwić mu wyciskanie zeznań z rannego, który musi natychmiast umrzeć, rozumiesz? Natychmiast! Ja przygotuję truciznę, ty o wschodzie słońca pośpieszysz do więzienia, zobaczysz się z...

— Wiem, panie mój, wiem.

Przez chwilę omawiali jeszcze szczegóły planowanego zamachu na życie rannego członka bandy Er-Durusz, którego Taitu raniła, a którego Salomon Mongosza przywiózł do stolicy, po czym Somalijczyk Dżid wyszedł. Gospodarz zawrócił na górę, zabierając ze sobą lampę. Taitu cieszyła się już, że za chwilę pozostanie tu sama i nareszcie wydostanie się na wolność, gdy wtem jej sytuacja uległa fatalnemu pogorszeniu. Przybiegł jednoręki Murzyn.

— Panie, jedna dziewczyna zniknęła! — zawołał.

— To niemożliwe. Którędy by wyszła?

— Może właśnie tędy. Nie zamknąłeś za sobą drzwi, panie, więc...

— Zamknąłem. Niemniej trzeba ją odnaleźć. Idź poszukaj w mieszkaniu, ja uczynię to tutaj. A jeśli tu przyszła, zginie!

Taitu zdrętwiałej z przerażenia odgłosy pośpiesznego odmarszu Murzyna przyniosły pewną ulgę, jeden przeciwnik, na pewno silniejszy, ubył z pola przyszłej walki. Bo, że nie obejdzie się bez niej, była pewna i postanowiła pierwsza rozpocząć atak, skoro drugi prześladowca zbliży się do jej kryjówki. Nastąpiło to niebawem. Postawiwszy lampę na sąsiedniej skrzyni, gospodarz ruszył gankiem w tę stronę i, ujrawszy snadź czuprynę dziewczyny, przystanął.

— Wyłaż!

Podniosła się, robiąc skruszoną minę, ale ręce trzymała opuszczone w dół; w lewej ścisnęła nóż, w prawej dębową klepkę z jakiejś beczki, a obydwie te oręża zakrywała na razie skrzynią, za którą siedziała dotychczas. Gospodarz postąpił krok naprzód i w tej samej chwili klepka, opisawszy w powietrzu błyskawiczny łuk, palnęła go w skroń. Ani nie jęknął. Pochylił się naprzód, runął na rozdzielającą ich skrzynię i legł na niej nieruchomo, lecz celny cios miał jeszcze inne następstwa. Oto piękne siwe włosy zsunęły mu się śmiesznie na ucho, a gdy zemdlony upadł na skrzynię, odpadły zupełnie i spod peruki wyjrzała czerwona łysina oszpecona trzema sporymi krzyżykami, które mu ktoś kiedyś wypalił czy wytatuował na skórze. Wyglądało to tak odrażająco, że Taitu wrzasnęła i zaczęła uciekać na oślep. Nagle przystanąła. Drewniane wieko na ścianie mogło być okiennicą. Nie omyliła się. Odsunęła rygiel, otworzyła okiennicę, spojrzała przed siebie i dostrzegła koło zewnętrznej ściany budynku drzewo. Dzieliło ją od niego z półtora metra, ale w obecnej sytuacji należało je uważać za ostatnią deskę ratunku, za jedyną drogę do wolności. Uklękła na szerokim parapecie okna, zbyt niskiego, aby mogła tam stanąć, trzonek noża ścisnęła zębami, aby mieć wolne ręce, i wpiła się wzrokiem w ciemności, szukając odpowiednio mocnej gałęzi, na której trzeba będzie „wylądować”. Od najmłodszych lat uprawiała z zamiłowaniem małą sport przeskakiwania z drzewa na drzewo, więc nie przerażało jej ani trochę to, co zamierzała przedsięwziąć tutaj. Zastanawiała się raczej nad tym, czy psy, których szczekanie słyszała, kiedy wyszedł Somalijczyk, są uwiązane, czy nie.

— Ech, przecież mam nóż, a patyk też jakiś znajdę na kundla.

Zerwała się, chcąc stanąć na parapecie i z całej siły palnęła głową w górną belkę ramy okiennej. Omal nie spadła, tak ją zamroczyło, a zbawczy eukaliptus rosnący o półtora metra stąd, stał się od razu niedosiężnym pomostem, bo przecież nie mogła liczyć na dobry skok, skoro musiała stać w oknie wpół zgięta i zagrożona, w razie odbicia się, nowym karambolem głowy z futryną.

— Nie, tędy nie można — pomyślała z rozpaczą — spadłabym na łeb.

Już chciała cofnąć się i poszukać innego wyjścia, kiedy w ganku zadudniły deski pod stopami nadbiegającego Murzyna.

— Nie ma jej — wołał z daleka — nigdzie nie ma tej wysokiej od ciotki Teofili. Musiała... oooo!

Po okrzyku zgrozy nastąpiła chwilka ciszy, prawdopodobnie jednoręki murzyn osłupiał na widok chlebowca nie dającego znaku życia.

— Biada, biada, sisi Ibrahim zabity — jął zawodzić, zamiast wziąć się energicznie do cucenia zemdlonego. Wtem dostrzegł w oknie tyłem doń zwróconą dziewczynę, klęczącą czy siedzącą na piętach.

— Mam cię, zmij! — krzyknął, pędząc ku niej co tchu.

Taitu nie zwlekała dłużej. Sprężyła mięśnie do największego wysiłku i w niewygodnej, żabiej pozycji dała susa w czarną otchłań nocy.

⁽¹⁾ kasarnia – koszary.

ROZDZIAŁ XXIII

Jonasz Mongosza miał zwyczaj po ukończeniu urzędowania raz jeszcze pokrótce przebiec w myśli sprawy, jakie załatwiał danego dnia, jak również te, które, chociaż nie należały do jego kompetencji, obudziły jego większe zainteresowanie. Dzisiaj takich spraw miał niewiele, ale same jakieś „paskudne”. Zaczęło się rano od telefonu z infirmerii⁽¹⁾ więziennej, że ranny bandyta, przywieziony przez Salomona Mongoszę zmarł nagle, otruty, jak wykazała sekcja zwłok. Otruto go oczywiście z obawy, by wzięty na spytki nie powiedział prawdy, nie wydał kryjówki swoich hersztów. Co do tego Jonasz nie żywił żadnych wątpliwości, lecz bardziej niż troska o porwanego brata Michała gnębiło go przeświadczenie, że Beni Er-Durusz mają swoich ludzi nawet w stolicy, ba, wśród straży więziennej!

— Jeśli podobne stosunki panują także w prowincji Harar, to pewnego dnia Lidż Jassu gotów nam drapnąć — myślał z obawą.

Zdetronizowany cesarz Lidż Jassu co prawda już raz uciekł z więzienia, mianowicie w maju roku 1932, lecz wówczas nie zagrażało Abisynii żadne niebezpieczeństwo z zewnątrz. Szybko więc schwytano zbiega i bez trudu stłumiono bunt jego głównego sojusznika, rasa Hailu, szalonego króla Godżamu, któremu karę śmierci cesarz Haile Selassie zamienił na dożywotni pobyt na malarycznej wysepce jeziora Zuai. Ale obecnie, wobec grozy najazdu włoskiego, ponowna ucieczka Lidż Jassu i, co za tym idzie, nowa wojna domowa byłaby gwoździem do trumny niepodległości Abisynii.

— Muszę o tym pomówić z cesarzem — postanowił Jonasz. — Muszę go przekonać, że Lidża Jassu należy sprzątnąć co prędzej. Wraz z jego synkiem!

Drugą gorzką pigułką, jaką dziś przełknął, były wymówki cesarzowej, iż dotychczas nie zdobyto żadnych informacji o podróżniku francuskim, nazwiskiem Valentin Duroc. Dwa tygodnie temu o to samo robił piekło minister spraw zagranicznych, Belaten Geta Heruy naciskany przez posła francuskiego. Odpowiedział mu wówczas po prostu, iż szukanie zaginionych należy do kompetencji policji kryminalnej, ale tłumacz to kobiecie, zwłaszcza cesarzowej! Skąd ona w ogóle wie, że jakiś Valentin Duroc przyjechał pół roku temu do Abisynii, że zaginął bez śladu? I kto miał odwagę prosić ją o interwencję w takiej sprawie? Poseł Bodard nie popełniłby podobnego nietaktu, ani jego małżonka, to pewne. Więc kto?!

— Same zagadki — mruknął Jonasz.

Do kategorii zagadek zaliczał także anonimowe doniesienie z Rzymu. Jakiś tajemniczy *Wróg faszyzmu*, zwracał uwagę na transport dziesięciu ogromnych kufrów, wysłanych pod adresem posła hrabiego Vinci w Addis Abebie. W kufrach miały podobno znajdować się zbiorniki z iperytem! Mogło to być ordynarną prowokacją, lecz mogło też być prawdą i potwierdzeniem raportu, jaki przed miesiącem przysłał jeden z agentów działających na terenie Włoch. Agent ów twierdził, że fabryki chemiczne we Włoszech masowo wyrabiają jakieś gryzące płyny, którymi samoloty będą spryskiwały wszystkie ważniejsze drogi w Abisynii nazajutrz po wybuchu wojny. Następstwa tego barbarzyństwa mogą być wręcz potworne, biorąc pod uwagę, że cała armia etiopska chodzi bosą.

— Ach, czemuż nie dostałem tego listu onegdaj — żałował Jonasz.

Onegdaj dziesięć kufrów wysłanych do hrabiego Vinci było jeszcze w drodze, jak sprawdził dziś na dworcu. Łatwo mógł być kazać swoim ludziom upozorować kradzież choćby części tej przesyłki czy coś w tym guście i przekonać się, co kufry zawierają naprawdę. Niestety, od wczoraj znajdowały się już w gmachu poselstwa włoskiego, strzeżonego aż nazbyt dobrze, aby powiodło się jakieś włamanie. No, a marzyć nie można o legalnej rewizji budynku. Włosi uznaliby ją za *casus belli*⁽²⁾, oni tylko czyhają na taką sposobność, ci... (przez chwilę szukał w myśli najgorszego epitetu).

— ...ci podpalacze pokoju świata — rzekł wreszcie. — I dlatego muszę przyjąć, że oni sami wysłali ten anonim, choć w to nie wierzę.

Tuż przed południem koło wspaniałego mauzoleum cesarza Menelika II spotkał Alicję Rendell. Ongiś, nazajutrz po jej przyjeździe do Addis Abeby, kiedy ją poznał, była dlań niegrzeczna, prawie opryskliwa, dzisiaj omal nie rzuciła mu się na szyję. — Zwiedziła się już, kim jestem — pomyślał sobie i od razu odżyła w nim początkowa nieufność. Początkowa, gdyż parutygodniowa inwigilacja Alicji przez dwóch zdolnych wywiadowców nie dała żadnego wyniku. Wyniuchali tylko tyle, że nie jest siostrą Gastona d'Harcourta, że była jego przyjaciółką (on częściej o tym mówił niż ona, gdy pozostali w domu sami), no, ale te sercowe sprawy w niczym nie zagrażały cesarstwu Etiopii, dlatego też Jonasz Mongosza zaniechał dalszego śledzenia Alicji. Aż dzisiaj...

— Nie raczył pan nigdy przyjść do nas — mówiła z łagodnym wyrzutem. — Nawet na przyjęciu, jakie brat urządził w dniu swoich urodzin, pana nie było. Choć Gaston tak gorąco pana zapraszał...

— Istotnie, byłem oczarowany treścią tego bileciku — odparł — i tym bardziej żałowałem, iż nawał zajęć nie pozwolił mi skorzystać z przemiłego zaproszenia państwa.

— Jeśli mam wierzyć, że pan żałował, to pan nawzajem powinien uwierzyć, iż ja żałowałam daleko bardziej!

— Czyżby?

— Ależ tak, tak! Czy nie domyślał się pan, że ten *czarujący*, jak go pan nazwał, bilecik pisał Gaston pod moje dyktando?!

— O!

Jego podejrzliwość wzrosła niebotycznie. Wiedział dobrze, że nie jest ani urodziwym mężczyzną, ani eleganckim bawidamkiem, a jednak ta nieprzeciętnie piękna biała kobieta patrzyła nań tak, jak gdyby gotowa była oddać mu się bez wahania. Potem zniżonym, „omdlewającym” głosem jąła mu prawić komplementy. Że podobał się jej od pierwszego wejrzenia. Że, chcąc stłumić w sobie to uczucie, była dlań początkowo nieuprzejma, szorstka. Że jednak myślała o nim wciąż. Że on jest bardzo interesującym mężczyzną. Ba, wybitnie przystojnym. Że jest wprost wymarzoną materialem na kochanka...

— Czy nawet teraz?! — wtrącił i gwałtownie zerwał z głowy zawój wraz z opaską zakrywającą mu stale prawe oko.

Alicja Rendell wydała okrzyk zgrozy i uskoczyła wstecz, jakby ujrzała śmierć. To, że na miejscu wypalonego oka widniała głęboka jama, było nawet mniej odrażające niż dziwaczne okaleczenie głowy pozbawionej włosów, czerwonej niczym po oskalpowaniu i oszpeconej trzema tureckimi półksiężycami, które mu na łysinie wytatuowano.

— No, podobam się pani jeszcze?

Śmiejąc się szyderczo, powoli zasłaniał swoje ohydne rany. Potem zaś, gdy nakrył już głowę białym zawojem (co zawsze upodobiało go do Araba, gdyż Abisyńczycy chodzą z odkrytymi głowami), spochmurniał.

— A to niejedynie moje kalectwo — rzekł z goryczą, skłonił się i odszedł, zanim Alicja zdołała przewyciężyć odrzę i podjąć przerwana grę, do której wybrała sobie tak bardzo nieodpowiedniego partnera.

Oczywiście Jonasz polecił ją śledzić na nowo. Chciał rozgryźć orzeszek małej zagadki, dlaczego niewątpliwie najpiękniejsza kobieta w Addis Abebie zapałała nagłym afektem do niego, wiceszefa abisyńskiego kontrwywiadu. Wydało mu się bowiem teraz, że poza tą małą zagadką kryje się jakaś poważna tajemnica.

Tajemnicą spowita była również rozmowa cesarza z Salomonem Mongoszą. O przybyciu brata do stolicy Jonasz zameldował swojemu władcy jeszcze onegdaj i na dzisiaj została wyznaczona poufna audiencja. Obydwaj Mongoszowie stawili się w pałacu w paradnym stroju narodowym (przy czym Jonasz, jako dostojnik państwowy, przywdział zamiast zawoju czapę ozdobioną lwią grzywą) i niebawem zaprowadzono ich przed oblicze władcy. Do jego prywatnego gabinetu, nie do sali audiencjonalnej, co było widomą oznaką łaski cesarskiej. Aliści łaska pańska na pstrym koniu jeździ. Wyczuwszy, że negus negesti wolałby z jego bratem pomówić w cztery oczy, Jonasz zapytał najuprzejmiej, czy wolno mu będzie **później** udać się do cesarzowej, która zleciła mu załatwienie pewnej sprawy.

— Czemu później? — podjął Haile Selassie skwapliwie. — Lepiej nie odkładać tego, co mamy załatwić. Idź zaraz do mojej małżonki i pozostań u niej, dopóki my tam nie przyjdziemy.

Nie przyszli w ogóle. Podobno cesarzowi wypadła nieoczekiwana konferencja z ministrem Heruym, który tego dnia wcale nie był przyjęty, jak Jonasz sprawdził niebawem. Salomon czekał na brata przed bramą kwaśny, nachmurzony, nieusposobiony do zwierzeń.

— Powiedz mi przynajmniej, o czym rozmawialiście przy końcu posłuchania — nalegał Jonasz, pragnąc dociec, co wywołało niepomysłne zakończenie audiencji. — Jaki poruszyliście temat, że od razu...

— Temat był wciąż ten sam i głupi, idiotyczny!

— To znaczy?

— To znaczy — wybuchnął Salomon — czy z pomocą najnowszych zdobyczy medycyny można komuś wydrzeć tajemnicę, której ów... ech, do diabła, nie ciągnij mnie za język, bo dałem słowo, że będę milczał — przypomniał sobie trochę za późno.

Rozumie się, Jonasz przestał brata zanudzać pytaniami, ale i to, co usłyszał, zabiło mu do głowy klina największego formatu. O jakąż tajemnicę chodzi władcy Abisynii? Komu chce ją wydrzeć? Dlaczego nie zwrócił się z tym do niego, Jonasza Mongoszy, którego Europejczycy nazywali między sobą *wielkim inkwizytorem etiopskim*? Już tam on potrafiłby najlepiej wycisnąć całą prawdę nawet z głuchoniemego ślepcą! Dlatego właśnie pacholki Beni Er-Durusz, którzy nie trudzili się, by w drodze do stolicy odbić rannego kolegę, otruli go co prędzej, skoro dostał się w szpony groźnego Jonasza.

— Posadziłbym draba nago obok mrowiska, dla odmiany kazałbym go straszyć po nocach, tak aby ani oka nie zmrużył, potem dałbym mu skosztować prądu elektrycznego...

Od zastosowania tej ostatniej tortury postanowił rozpocząć przesłuchanie dziewczyny, którą przed dwoma godzinami przyłapano obok szklanego pawilonu cesarza. Żołnierzy, którzy ją schwyтали, pokaleczyła nożem tak, że jeden z nich uznał za stosowne palnąć ją kolbą w głowę. Na szczęście lekko. Przyboczny lekarz negusa negesti, doktor Fajtłowicz (Polak!) orzekł, iż dziewczynie nic nie będzie, gęsta szopa włosów osłabiła cios. Ogłuszoną, odniesiono do więzienia na oddział przestępców politycznych, gdzie Jonasz miał wśród dozorców swoich ludzi. Wydał im już potrzebne instrukcje, a stosownie do rady lekarza odłożył przesłuchanie do jutra. Bo sprawa przedstawiała się wcale tajemniczo. Nie tylko dlatego, że ktoś tam uzbrojony w

potężny nóż, zakradł się nocą do ogrodu okalającego pałac cesarski; ostatecznie bez noża nikt w Abisynii nie chodzi, a do wykonania zamachu nadawałby się lepiej rewolwer czy bomba. Bardziej zastanawiało Jonasza to, że owa urodziwa dziewczyna, choć tubylka, miała na sobie suknię, jaką noszą na sobie kobiety białe. I, szczyt wszystkiego, nie cuchnęła po abisyńsku, lecz pachniała kolońską wodą!

— To jest bardzo podejrzane! — uważał Jonasz. — To zdaje się świadczyć o tym, że ona wychowywała się w domu europejskim! Może u któregoś z naszych włoskich „przyjaciół”?! Ha, trzeba zaczekać do jutra.

Znowu powrócił myślami do brata Salomona, który na odchodnym z gabinetu cesarskiego poprosił o jakieś zajęcie wchodzące w zakres jego wiedzy.

— Chciałbym choć w małej części odwdziaczyć się mojemu władcy i ojczyźnie za wysłanie mnie na studia do Paryża.

Wszystko to było z góry ustalone, nie wyłączając nominacji na głównego instruktora *niebieskich sanitariuszek*. (W Abisynii tylko szlachta ma prawo do niebieskiego koloru, jak *negus negesti* do czerwonego, niższe warstwy używają wszelkich innych barw stroju, za wyłączeniem tamtych dwóch). Tymczasem Haile Selassie niespodziewanie zmienił swą decyzję:

— W Hadamie grasuje dyzenteria⁽³⁾. Zajmij się chorymi i pozostań tam, dopóki choroby nie wytepisz doszczętnie.

Z Addis Abeby do Hadamy jest zaledwie 150 kilometrów, niemniej powierzenie Salomonowi stanowiska poza stolicą było wyraźnym dowodem, że popadł w niełaskę u władcy. A wręcz fatalne znaczenie miały słowa: *dopóki choroby nie wytepisz doszczętnie*. Czy można doszczętnie wytepić dyzenterię w Abisynii?! Prawie absurd. Zatem delikatna forma dożywotniego wygnania z Addis Abeby?

— Cóż ten głupiec naglądził, że nasz dobry monarcha aż tak musiał go ukarać — zżymał się Salomon.

Prawdę mówiąc, był zaniepokojony, czy na niego również nie przeniesie *negus negesti* niechęci, jaką dzisiaj poczuł do jego brata.

— Muszę z nim pomówić zaraz jutro.

Pretekst do proszenia o poufną audiencję miał gotowy. Właśnie dzisiaj pod wieczór przybył do Addis Abeby silny oddział eskortujący Abła Yamgana, którego zgodnie z poleceniem Jonasza przywieziono w czarnej masce. Nie pozwolono mu jej zdjąć ani razu podczas podróży, za to dowódca eskorty ręczył swoją głową. Dopiero gdy skazańca zamknięto w celi, Jonasz wszedł tam sam, by zaspokoić swą ciekawość, zdarł maskę i... zbaraniał. Niewiele brakowało, a byłby wzorem wielkorządcy z Kaffy upadł na kolana, tak łudzaco podobny do *negusa negesti* był ojciec dzielnej Taitu.

— Mnie tego sobowtóra cesarz powierzył, więc muszę mu zameldować, iż go już odstawiono do stolicy. A przy tej okazji wymiarkuję, czy głupota Salomona nie ściągnęła i na mnie niełaski — kalkulował sobie.

Zegar wieżowy wybił dwunastą. Jonasz zamknął akta w stalowej skrytce, zgasił lampę, pozamykał drzwi i wyszedł, jak zwykle ostatni z całego personelu biura. Nawet Ludwik Brin nie wysadywał tu nigdy do północy, chyba gdy zaszło coś nadzwyczajnego. Taką wyjątkową harówkę miał właśnie wczoraj i pienił się ze złości, że diabli wzięli proszony obiad u jakiegoś tam pono milionera. O nazwisko tego nababa Jonasz nie zapytał przez delikatność, niemniej był trochę ciekawy, kto zapragnął w gronie zaproszonych gości mieć także szefa wywiadu.

— Ludwiczek jest chłop zacny, ale wielki lekkoduch — mruzczał, idąc na przelaj przez ogród cesarski; nie chce pamiętać o tym, że na nas obydwóch na każdym kroku czyhają pułapki.

Przeróżne! Niekiedy w formie umizgów pięknych kobiet, no, bo Alicja Rendell kokietowała mnie wyraźnie... A niekiedy... być może... w formie proszonego obiadu u milionera. Ludwiczek powiedziałby naturalnie, że moja podejrzliwość doprowadzi mnie do manii prześladowczej i do zakładu dla obłąkanych, ale on...

Cichy monolog urwał się nagle, bowiem Jonasz skręcił właśnie w szerszą aleję i ujrzał przecinający ją na ukos cień stojącego człowieka. Człowieka bez czapki wojskowej i bez karabinu, czyli nie mógł to być jeden z wartowników rozsianych po ogrodzie. Więc kto? Czyżby pomocnik wojowniczej dziewczyny, którą nieopodal stąd przyłapano trzy godziny temu? Jonasz odsunął kciukiem bezpiecznik rewolweru i zaczął skradać się ku nieruchomej postaci, której tylko cień widział na razie. Podszedł do niej na pięć kroków, na cztery, na trzy, przystanął, delikatnie przycisnął ku sobie gałąź osłaniającą głowę tamtego i straszliwie zaczął w duchu kłać swoją gorliwość. Tam stał negus negesti! Stał, pogrążony w głębokiej zadumie, a jego zawsze smutnawa twarz miała teraz, w poświęcie księżycy wyraz wręcz zbolały, cierpiący, budzący najserdeczniejsze współczucie. Zwłaszcza u tak gorącego patrioty jak Jonasz Mongosza. Lecz gorący patriota na razie myślał przede wszystkim o tym, jakby tu wycofać się niepostrzeżenie, zanim Haile Selassie ocknie się i zauważy intruza. A to nastąpiło przekłęcie rychło.

— Kto tu jest?

Mingosza osunął się na kolana, puścił w ruch wymowny język. On, Jonasz, najpokorniej błaga o przebaczenie. Wracał do domu, jak zwykle, najkrótszą drogą, gdyż ongiś władca pozwolił mu chodzić tędy. On, Jonasz, nie przeczuwał, iż zakłóci rozmyślenia swojego monarchy. Dostrzegł jego cień, sądził, że to może...

— Dosyć, kochany Jonaszu, dosyć — wtrącił cesarz łaskawie i polecił mu wstać. — Wiem dobrze, iżeś mi jest oddany bardziej, niż ktokolwiek inny. Nie tłumacz się więc, idź na spoczynek. Późno już...

— Tak, późno. Północ minęła, a wasza cesarska mość wstaje o piątej!

— Chcesz przez to powiedzieć, że powinienem spać od dawna? Ba, kiedy troski nie pozwalają. A małoż to mam przeróżnych trosk? Setki! Tysiące! Zresztą sam Mussolini wystarczy mi za wszelkie kłopoty.

Tu negus negesti, jak gdyby sądził, że mówienie przyniesie mu ulgę, jał powtarzać rzeczy ogólnie znane. Oto zniósł niewolnictwo, które w innych stronach Afryki potajemnie uprawia się dalej, a które w Abisynii miało formę tylko odrabiania dwudniowej pańszczyzny na tydzień. Oto dobrowolnie zrzekł się części swej absolutnej władzy, nadając krajowi pierwszą konstytucję. Oto wprowadził szereg postępowych reform, nie bacząc na to, że podobne eksperymenty przypłacił utratą tronu władca Afganistanu, Amanullah. Oto pobudował drogi, mosty, szkoły, szpitale, ba, radiostacje, by swój kraj, dziki lat temu dwadzieścia, upodobnić do państw europejskich i by Abisyńczycy mogli korzystać ze zdobyczy cywilizacji. Oto wprowadził Abisynię do Ligi Narodów, by zaznaczyć swoją szczerą chęć współpracy z innymi państwami. I jaka za to wdzięczność? Ta, że skoro jednemu megalomanowi zachciało się laurów Cezara za cenę choćby miliona ofiar w ludziach, wszystkie państwa umywają ręce. Ani jeden członek Ligi, wielkiej rodziny narodów, nie zdobył się na męskie potępienie cynicznego imperializmu. Ani jeden naród nie zaprotestował przeciwko temu, że w Erytrei zupełnie jawnie robi się przygotowania do nowej masowej rzezi niewinnych ludzi. Oby za to Bóg skarał Europę! Oby ją całą ogarnęła pożoga wojenna, stokroć gorsza od tej, jaką można wyobrazić sobie w Abisynii, w której napastnicy gazami bojowymi niewiele wskórają. Niechaj te straszliwe gazy wymordują tych, którzy je wynaleźli, sfabrykowali oraz ich rodziny, miasta, kraje, kontynenty!

— Wasza cesarska mość — odezwał się Jonasz, gdy przebrzmiały pełne goryczy słowa

jego władcy — teraz jest dopiero maj, a wojna nie rozpocznie się wcześniej jak w październiku. Nie traćmy nadziei, że w międzyczasie Anglia... nie z idealnych pobudek oczywiście, ale we własnym interesie...

— Możliwe, Jonaszu, możliwe — wtrącił Haile Selassie — wszelako widzę dziś, że najpewniej liczyć na własne siły. I nie lękałbym się ani Włoch, ani ich cichego sprzymierzenia, Francji, która mnie tak haniebnie zdradziła, gdybyśmy mieli pod dostatkiem nowoczesnej broni. Lecz na to trzeba by złota, złota i jeszcze raz złota...

— Którego, niestety, nie mamy.

— Mamy! Mamy go tyle, że moglibyśmy naszych wojowników zakuć w szczerolote pancerze! I kule łać ze złota, a zapas takich pocisków wystarczyłby nam na prowadzenie wojny przez pięć lat!

— Hm — chrząknął jednooki, nie mogąc w bardziej otwarty sposób wyrazić swoich obaw o stan władz umysłowych cesarza, który mimo wątłego zdrowia pracuje po dwadzieścia godzin na dobę, więc zapewne z przemęczenia...

— Nie wierzysz? Dowiedz się tedy, że nie moje to słowa, lecz wielkiego Menelika! I że wystarczy u nas pchnąć pewien głąz, by dwa sąsiednie państwa przestały istnieć, to także jego autentyczne słowa.

— Słowa, wasza cesarska mość, tylko słowa.

— Prócz słów, były fakty! Jak myślisz, dzięki czemu Etiopia jedyna na świecie zachowała niepodległość przez trzy tysiące lat? Lub, jeśli wolisz nowszy przykład, dzięki czemu Menelik rozgromił Włochów i podbił Gallan, najwaleczniejszy lud Afryki? Skąd brał złoto na broń, za którą chciwi Francuzi kazali sobie płacić ceny wręcz nieprawdopodobne dzisiaj? Właśnie stamtąd je czerpał, z łona Góry Mądrości!

— Góra Mądrości, hm, nie słyszałem o takiej.

— Ale ona jest! Menelik nieraz o niej mówił w gronie rodziny, do której przez swą łaskawość zaliczał także mojego rodzica. Jemu, bądź co bądź, zawdzięczał zwycięstwo pod Aduą, a część tej sympatii przelał na mnie. Wychowywałem się, jak wiesz, wraz z ówczesnym następcą tronu na dworze cesarskim. I na własne oczy oglądałem sterty brył złota, jakie wysypywano z worków, gdy Menelik wracał ze swoich tajemniczych wycieczek.

— O tym opowiadano mi również — przyznał Jonasz — lecz uważałem to zawsze za legendę.

— To nie legenda, ale prawda! — zaperzył się Haile Selassie. — Ja głową ręczę, że prawda, że dzięki tajemnicom Góry Mądrości moglibyśmy do końca świata kpić sobie z zaborczości Białych i że złota mamy w bród!

— A zatem?...

— Ba, gdybym to wiedział, gdzie leży ta góra!

Za żywoplotem alei, obok miejsca, w którym rozmawiali, trzasnęła gałązka. Jonasz, słuchający z powątpiewaniem opowiadania o Górze Mądrości, od razu stał się jakby myśliwskim psem, który wyczuł bliskość zwierzyny. Po chwili wyjął rewolwer, lecz cesarz kazał mu go schować na powrót.

— Zapewne któryś z wartowników — sądził.

— Możliwe. Na wszelki wypadek jednak pokornie proszę waszą cesarską mość, abyśmy dokończyli rozmowy gdzie indziej.

Haile Selassie usłuchał dobrej, choć trochę spóźnionej rady. Kiedy znaleźli się w pałacu, powrócił do tematu, który pasjonował go od lat, a który po raz pierwszy poruszył w rozmowie z człowiekiem nienależącym do rodziny cesarskiej.

— Gdybym to wiedział, gdzie owe piramidy złota są ukryte! Ale cóż. Byłem synem tylko przyjaciela negusa negesti, nie śniło się nikomu, ani nawet mnie, że kiedyś wstąpię na tron. Byłem synem tylko rasa Makonnena, dlatego Menelik nie obdarzył mnie swym najwyższym zaufaniem. — Głos mówiącego stał się nieomal płaczliwy, jak płaczliwa jest mina Haile Selassiego, kiedy bywa zatroskany. — Nie powierzył mi swej tajemnicy.

— I zabrał ją do grobu?

— Nie. — Pomimo to jednak władca westchnął żałośnie.

— No tak, miał przecież żonę i córkę.

— Których nie cierpiał i które po jego zgonie na próżno wśród tysięcy naszych gór szukały tej upragnionej... Tę wielką tajemnicę, od której być może zależą losy Abisynii w przysłej wojnie z Włochami, zna tylko jeden jedyny człowiek, Jonaszu.

— Czy on na pewno jeszcze żyje?

— Tak.

— Czy jest daleko stąd?

— Przebywa w Abisynii, mam go w swojej mocy, lecz jestem ostatnim z ludzi, któremu by on wyświadczył najmniejszą przysługę. Tak mnie nienawidzi... On zresztą nie zdradzi swej tajemnicy nikomu!

— Nnno, ja bym ją z niego wydusił.

— Otóż to właśnie, wydusił. A jemu włos z głowy nie może spaść. Bo jest... ty zapewne w takie rzeczy nie wierzysz, ale moja żona wierzy święcie... jest przepowiednia, że to, co przydarzy się jemu, cierpienie, zgryzota czy śmierć... to samo i o tej samej godzinie spotka mnie albo jedno z moich dzieci.

— Chytry wróżbita tę przepowiednię układał i nie za darmo.

— Możliwe, lecz spróbuj wytłumaczyć to mej małżonce.

— Panie mój i władco, wybac mi zuchwałość... Czy owym człowiekiem nie jest przypadkiem wielkorządca prowincji Tigre?

— Ras Seyum? Sądzisz, że on mi nadal zazdrości władzy?

Jonasz zagalopował się trochę. Wprawdzie ras Seyum dawniej nazbyt sympatyzował z Włochami, wprawdzie żywił wygórowane ambicje już choćby dlatego, że jest wnukiem Johanna IV, jednego z najdzielniejszych cesarzy abisyńskich, trzykrotnego pogromcy silnych armii egipskich, etc., etc., lecz sprytny Haile Selassie znalazł sposób na potężnego wasala. W maju roku 1932 ożenił swojego syna z jego córką i od tej chwili ma spokój. Ma spokój wewnątrz kraju oraz gwarancję, że w chwili najazdu z zewnątrz ras Seyum, najbliższy sąsiad Erytrei, nie zdradzi młodziutkiego zięcia, kiedy Włosi z północy runą do ataku na Tigre.

— Co ci przyszło do głowy? Teść następcy tronu jest obecnie moim przyjacielem, a o Górze Mądrości nie wie nic... na szczęście. Gdyby wiedział, berło nie w moich spoczywałoby rękach, ale w jego...

— Z tego wnoszę, że człowiek, o którego chodzi, nie jest żądny władzy, skoro...

— O, przeciwnie!

— Czemuż tedy nie korzysta z tego, że zna sekret Góry Mądrości?

— Bo nie może. Bo trzymam go pod kluczem.

— Aaaa, to ras Hailu!

— Jonaszu, nie podobasz mi się dzisiaj. Czy mniemasz, że mądry Menelik powierzyłby tajemnicę władców Abisynii szaleńcowi?

O szaleństwach rasa Hailu, byłego króla Godzamu, można by pisać tomy, tu wystarczy przytoczyć jeden przykład. Pewnego razu Hailu, wracając z Paryża, ujrzał w Dżibuti holownik,

który tak mu się spodobał, że kupił go natychmiast za 600.000 franków w złocie. A potem 4.000 ludzi i 700 mułów wlokło ten parowiec łądem przez dzikie wąwozy Godzamu w stronę jeziora Tana, aż po kilku miesiącach takiej drogi statek rozpadł się na kawałki.

Jonasz palnął się w czoło dłonią. Rozjaśniła mu w głowie wzmianka, że tajemnicę prawdziwej czy legendarnej Góry Mądrości poznał ktoś dzięki Menelikowi. Toć ulubieńcem tego cesarza był syn jego nieślubnej córki.

— Zrozumiałem, najjaśniejszy panie, i wstydzę się bardzo, że mi to prędzej na myśl nie przyszło. Sekret musi znać Lidz Jassu.

— Rzekłeś — potwierdził Haile Selassie i zasepił się jeszcze bardziej. — Teraz pojmujesz, dlaczego nie żywię ani krzty nadziei, iż kiedykolwiek odnajdę ową górę.

— A ja wręcz przeciwnie. Lidz Jassu jest mężny, zawzięty, najgorsze tortury nie otworzą mu ust, ale Jassu ma także swoją słabą stronę!

Słowa te nie wywołały żadnego oddźwięku, nie wypogodziły wiecznie zatroskanej twarzy władcy Abisynii. I może właśnie to, może chęć sprawienia choćby jednej radości ukochanemu panu skłoniła Jonasa do nagłego powzięcia decyzji w sprawie, której przed chwilą w ogóle nie znał.

— Najjaśniejszy panie, racz mi powierzyć swojego więźnia na dwa miesiące. Nie będę go bił ani głodził, przysięgam! Nie użyję nigdy przemocy, tylko podstępem spróbuję rozwiązać mu język...

Długo tak mówił i zapewniał, iż *uszanuje przepowiednię*, czyli nie wyrządzi ekscesarzowi Lidz Jassu żadnej krzywdy, aż w końcu Haile Selassie ocknął się z zadumy.

— Dobrze, niechaj tak będzie — pozwolił. — Wspomniałeś przedtem, że mój poprzednik ma jakąś słabą stronę; jaką?

— Błagam o przebaczenie waszą cesarską mość, lecz niech to jedno pozostanie na razie moją tajemnicą.

To niesłychane zuchwalstwo wywołało nadspodziewany skutek; stale smutny negus negesti parsknął śmiechem i śmiał się długo, głośno, serdecznie, ku zdumieniu Jonasa.

— Takiś ty? — rzekł wreszcie, grożąc mu żartobliwie. — Boisz się, bym nie wypaplał żonie lub przyjaciółce? Masz słusność, Jonaszu. Kobiety potrafią mistrzowsko wyłudzać od nas wszelkie sekrety.

— Otóż to właśnie, wasza cesarska mość! — potwierdził Mongosza z takim zapalem, że Haile Silassie pojął w lot, jakiej metody zamierza użyć *wielki inkwizytor etiopski* przy zdobywaniu klucza do zamka tajemnic władców Abisynii.

⁽¹⁾ infirmeria – szpital.

⁽²⁾ casus belli (łac.) – powód do wojny.

⁽³⁾ dyzenteria – czerwonka; ostra choroba zakaźna wywołująca zapalenie jelita grubego, biegunkę ropną i krwawą.

ROZDZIAŁ XXIV

Szalony skok z okna drugiego piętra nie miał tragicznych następstw; Taitu „wylądowała” szczęśliwie w rozwidleniu eukaliptusa rosnącego blisko budynku. Nie zeszła jednak na dół, przeciwnie, wdrapała się niemal na sam wierzchołek drzewa, rozhuśtała go i w odpowiedniej chwili przeskoczyła na sąsiedni eukaliptus odległy o kilka metrów. Ten zaś od impetu jej skoku pochylił się na drugą stronę tak mocno, że od razu mogła dać susa na trzecie drzewo, stamtąd na czwarte i tak dalej, aż znalazła się poza ogrodzeniem dziedzińca, na którym szukano jej gorliwie. Z wyżyn swojej podniebnej drogi widziała biegnące po dziedzińcu latarki, słyszała szczekanie psów oraz przekleństwa miotane pod jej adresem.

— Złapiecie mnie na święty Nigdy — zabelkotała niewyraźnie, bowiem nadal trzymała w zębach nóż, swoją jedyną broń obecnie.

Cała Addis Abeba jest jednym lasem eukaliptusów sprowadzonych tu przez Menelika II aż z Australii. Lecz wielki las pocięły ulice na małe gaiki, a dwudziestometrowy skok przez jezdnię był niemożliwością nawet dla takiej mistrzyni w małych wędrówkach po drzewach, jak Taitu. Rada nierada zeszła na dół, obrzuciła pożegnalnym spojrzeniem dom, z którego uciekła i udała się na poszukiwanie noclegu. Niebawem znalazła „bardzo wygodną” kwatere na lekko pochyłym dachu jakiejś budy. Zasnęła natychmiast i spała twardo do białego dnia. Popędziła do katedry świętego Jerzego, zdecydowana tym razem rzucić się pod koła cesarskiej limuzyny, byle zatrzymać władcę i przedstawić mu swoją prośbę o ułaskawienie ojca, ale pech czuwał. Negus negesti pracował przez całą noc, tego dnia wyjątkowo nie był w kościele. Dowiedziawszy się o tym, Taitu straciła resztki cierpliwości.

— Dziś muszę z nim mówić, choćby mi przyszło wejść do pałacu siłą i pchnąć kogo nożem — postanowiła sobie.

Gdy jednak przybyła do Gibbi przekonała się, że musiałaby *pchnąć nożem* co najmniej z dziesięć osób, by przebyć jedną bramę. A ile takich bram i wart jeszcze, napotka?

— Zaczekam, aż się ściemni, nie ma innej rady.

Po zachodzie słońca zdołała niepostrzeżenie wtargnąć do pałacu negusa negesti. Znowu wędrowała z drzewa na drzewo, aż dotarła do odkrytego miejsca na szczycie wzgórza, gdzie stoi szklany pawilon. Tam przyłapali ją żołnierze, z którymi stoczyła zaciętą bójkę. Zamroczyło ją nagle, straciła czucie, kiedy zaś ocknęła się z omdlenia stwierdziła, że znajduje się w malutkiej izbie posiadającej jedno zakratowane okienko oraz silne drzwi zamknięte z zewnątrz. Zewsząd dobiegało ją wołanie: — Abie! Abie! Abie! — W ten sposób więźniowie w Abisynii wierząc, że ich wycie słyhać aż w pałacu, chcą zmiękczyć serce władcy.

— Jak to, mnie uwięziono? Za co?!

Rano wszedł do celi dozorca i zapytał, kogo ma wezwać do przysyłania żywności dla aresztantki. Bowiem w Abisynii troska o wikt dla więźnia spada wyłącznie na jego rodzinę, tylko najuboższych żywi negus negesti na swój koszt. Taitu odpowiedziała, że ma krewnych w prowincji Kaffa. Ponieważ jednak z Kaffy, ojczyzny kawy, do Addis Abeby jest tydzień drogi, dozorca przyznał Taitu łaskawie prawo ubogich i obiad dostała. Natomiast jej reklamacje z powodu niesłusznego uwięzienia przyjęto drwinami. Nastraszone ją też porządnie jakimś tam

śledztwem, tymczasem było ono nie tyle przykre, ile nudne. Nudne okropnie! Setki głupich pytań, na które musiała odpowiadać, aż w końcu zachrypła od gadania.

— Teraz mnie wypuścicie, prawda? — spytała.

Dwaj sędziwi biurokraci etiopscy, przesłuchujący ją sumiennie, wybuchnęli szyderczym śmiechem.

— Teraz dopiero zaczniesz się sprawdzać, ileś tu nałgała.

To sprawdzanie wypadło jednak na korzyść obwinionej. Wymieniona przez nią i sprowadzona za kark do więzienia „ciotka” Teofila poznała ją przy konfrontacji, potwierdziła, że ta dziewczyna mówiła wciąż, iż musi błagać negusa negesti o ułaskawienie ojca. I tę *przepiękną* suknię od niej dostała, od Teofila, gdyż prawie naga przywlokła się do stolicy. Teofila nie mogła sobie tylko przypomnieć ani rusz, do kogo wysłała dziewczynę w owej sukni, ale ten szczegół nie interesował władz śledczych.

— Widzicie więc, że mówiłam prawdę.

— To się okaże dzisiejszej nocy, gdy mały piorun przejdzie przez ciebie.

Bała się uczciwie *małego pioruna*, a przygotowania do tej nieznaney operacji bynajmniej nie podziały na nią uspakajająco. Wprowadzono Taitu do nieco większego pokoju, przywiązano ją do krzesła przytwierdzonego do podłogi, w dłonie wciśnięto jej jakieś blaszki z drutami i tak siedziała w ciemnościach przez kilka godzin. Wreszcie usłyszała szybkie kroki w korytarzu. Ucichły, coś pstryknęło i powódź oślepiającego światła zalała pół pokoju. Równocześnie skrzypnęły drzwi, ktoś wszedł tutaj. Kto, nie wiadomo, gdyż stał za kotarą przedzielającą pokój na dwie części, a reflektor silnej lampy elektrycznej, którą Taitu nazwała w duchu *białym słońcem* był zwrócony w jej stronę. Przez dłuższą chwilę trwało milczenie, prawdopodobnie przybyły przyglądał się delikwentce. Aż nagle...

— Zaraz włączę prąd — zabrzmiał wysoki, ostry głos.

— Jaki prąd? — zdziwiła się.

— Elektryczny. Inaczej mówiąc, ugodzi w ciebie mały piorun.

Najpierw doznała dziwnego łaskotania na całym ciele, jak gdyby oblaży ją roje mrówek. Jednocześnie padło pytanie:

— Kim jesteś? Twoje nazwisko?

— Taitu, córka Abla Yamgana.

— Powtórz.

Rzuciwszy ten rozkaz, wydatnie zwiększył napięcie elektryczne i od razu owe „mrówki” stały się tak dokuczliwe, że dziewczyna zaczęła krzyczeć wniebogłosy. Zrozumiawszy, iż źródłem dokuczliwego bólu są blaszki przymocowane do drutów, chciała je cisnąć precz, ale na próżno. Nie zdołała rozewrzeć dłoni, coś zacisnęło je kurczowo. Nie mogła też nimi poruszyć, gdyż były przywiązane do poręczy krzesła.

— Powtórz, mówię! A jeśli skłamiesz, piorun cię zabije.

— Taaaitu, córka Abla Yamganaaaaa...

— Dlaczego zakradłaś się do ogrodu cesarza w Gibbi?

Przeszło pół godziny trwało to nowe przesłuchanie i równocześnie dręczenie prądem elektrycznym, po czym inkwizytor dał za wygraną; dziewczyna ani na jotę nie zmieniła swoich pierwotnych zeznań, zatem mówiła prawdę. Wyprowadzono ją z izby tortur na długi korytarz, jego obydwie ściany były w równych odstępach pocięte prostokątami drzwi. Każde drzwi posiadały małe okieneczko, przez które kazano jej zaglądać do wnętrza mijanych cel. Zamknięci w nich więźniowie spali już od dawna, lecz budzono ich umyślnie waleniem pięścią w drzwi. Zrywali się z nędznych barłogów przerażeni, przekonani, że wybiła ich ostatnia godzina i

mrugali osłepieni silnym światłem. Jaki miało to cel, Taitu nie mogła pojąć. Aż w końcu dotarła do drzwi, w których judasz był osłonięty wieczkiem zamkniętym na kłódkę. Odemknął ją brzydki, jednooki mężczyzna, ten sam, który *władał małym piorunem*, podniósł klapę, polecił dziewczynie zbliżyć się do okienka, po czym kopnął w drzwi aż się rozległo. Oczywiście więzień śpiący w tej celi zerwał się na równe nogi, odwrócił głowę ku drzwiom, a Taitu wydała okrzyk zdumienia i radości.

— Mój ojciec tutaj?! Mój dobry ojczulek. Och, puście mnie do niego.

Jednooki dygnitarz spełnił jej życzenie, sam zaś, pozostawszy w korytarzu, przez dłuższy czas obserwował powitanie ojca z córką. Słyszał każde ich słowo i z każdą minutą ta dziewczyna podobała mu się bardziej. Nie tylko pod względem urody, na nią był najmniej wrażliwy, chociaż w zupełności doceniał jej znaczenie. Odkrywał w Taitu inne, ważniejsze zalety i zdolności, nierozwinięte skutkiem braku wykształcenia, ale niewątpliwie ogromne. A to, że była tak szalenie przywiązana do ojca, nad którym przecież krążyło widmo śmierci, dawało najpewniejszą gwarancję, iż dziewczyna będzie posłuszna.

— Znalazłem kandydatkę na pierwszorzędną szpiegowkę — rzekł nazajutrz do Ludwika Brina.. — Nieokrzesana jeszcze, ale materiał świetny.

— Czy ładna?

— Śliczna! A pamięć ma fenomenalną! Wsadziłem do jej celi naszą Mafaldę i po trzygodzinnej lekcji moja pupilka przyswoiła sobie biegle sześćset słów. Wymawia je, powiadam ci, jak rodowita włoszka! Muszę jej tylko stworzyć wygodniejsze warunki życia, gdyż brak słońca i świeżego powietrza przygnębia ją ogromnie.

Tu należy wyjaśnić, że cele przestępców politycznych, znajdowały się w podziemiach gmachu więzienia.

Tegoż dnia późnym wieczorem wywieziono Ablę Yamgana wraz z córką ze stolicy. Po dwugodzinnej podróży kryty samochód ciężarowy, którym jechali pod silną eskortą, zatrzymał się przed parterowym domkiem stojącym samotnie w rozległym ogrodzie otoczonym murem wysokim na dwa metry. Nowe to więzienie było więc bardzo humanitarne, wygodne, miłe, a ostrze specjalnego regulaminu zwracało się wyłącznie przeciwko Ablowi. Pod grozą natychmiastowego powrotu do ponurej celi w Addis Abebie nie wolno mu było wychodzić z domu do ogrodu bez czarnej maski osłaniającej całą twarz. Pod grozą zastrzelenia przez jednego z wartowników, nie wolno mu było zbliżać się do muru okalającego park. Za to Taitu zażywała pełni swobody. Po ukończeniu codziennych lekcji z Mafaldą, która zamieszkała tam również, mogła wychodzić poza obręb muru, mogła wałęsać się po okolicy, byle przed zachodem słońca wróciła do domu. Pod grozą wychłostania jej ojca! Wiedziano, czym ją nastraszyć.

Już podczas swojej pierwszej wycieczki odkryła w pobliżu tor kolejowy. Chodziła tam każdego dnia, by obserwować przebiegające pociągi. Zaśmiewała się do łez na wspomnienie swego pierwszego spotkania z „żelaznym nosorożcem”, którego na próżno usiłowała zastrzelić, a potem, co zabawniejsze, dobić go ciosem noża.

— Byłam wtedy głupia, jak dzicy Murzyni.

Obecnie zaś wiedziała, iż „żelazny nosorożec” nie jest zwierzęciem, ale maszyną, pędzącą po szynach dzięki chytryści Białych, którzy nawet parę z wrzącej wody potrafili zaprząć do roboty. Obecnie umiała także odczytywać napisy na wagonach i łatwiejsze zdania z gazet, jakie pasażerowie niekiedy wyrzucali za okna. Tak, umiała już czytać po włosku oraz troszeczkę po francusku. Nie wiedziała, iż jest to zasługą głównie jej własnych zdolności i przypisywała całą swą dzisiejszą wiedzę jednookiemu, który kazał ją kształcić. Czowała doń za to wdzięczność, ale zasadniczym rysem jej stosunku do Jonasza (którego nawet imienia nie знаła) był paniczny

strach. Nie darmo Mafalda powtarzała ustawicznie, że wyłącznie od niego zależy, czy Abel Yamgan zostanie ułaskawiony, czy nie.

— Zrobię wszystko, co on rozkaże — odpowiadała wtedy — tylko nie zabijajcie mego najlepszego ojczulka.

Stale popełniała tę nieostrożność, że nie tała się ze swym zgoła nieetiopskim przywiązaniem do ojca. Bo o gorącej miłości dzieci wobec rodziców w Abisynii w ogóle mówić nie można, trudno by jej żądać zwłaszcza od córek. Na nie, jak u większości ludów afrykańskich, spycha się wszelkie najcięższe prace w polu czy w domu. A skoro dziewczyna przekroczy dziesiąty rok życia, ojciec rozpoczyna targi z kandydatami do stanu małżeńskiego, którym chodzi nie tyle o remedium concupiscentiae⁽¹⁾, ile o zdobycie taniej siły roboczej dla własnego gospodarstwa. I oddaje córkę za żonę najwięcej ofiarującemu, nie oglądając się na to, czy jest nim starzec, czy kaleka, czy skończony drab, a nowego władcę, narzuconego jej przez apodyktycznego papę, poznaje taka półniewolnica dopiero w noc poślubną. Nie należy się tedy dziwić, że większość tubylek nie żywi żadnych rodzinnych sentymentów wobec swoich ojców.

Lecz Abel Yamgan należał do chlubnych wyjątków. Czy dlatego, że nie miał więcej dzieci, czy dlatego, iż widział w Taitu wierne odbicie własnych cnót i wad, a zewnętrznie żywy portret swej przedwcześnie zmarłej żony, nie wiadomo. Faktem było, że kochał córkę zupełnie inaczej, niż to jest w zwyczaju w Abisynii, i dawał tego dowody. Na przykład, nie ożenił się ponownie, nie obdarzył dziecka macochą. Kiedy zaś dziewczeczka ukończyła dziesięć lat i sąsiedzi rozpoczęli zaloty, Abel oświadczył wszem wobec, że mężem Taitu zostanie ten, którego ona sama wybierze. To jedyne u konserwatywnego Yamgana pogwałcenie tradycji zraziło do niego wielu przyjaciół, lecz pozyskało mu dozgonną wdzięczność córki. Miało też takie następstwa, że Taitu, nie chcąc wygodnego życia u dobrego ojca zamienić na harówkę u przyszłego męża, grymasiła, odkładała termin dokonania wyboru i, mając piętnaście lat, jeszcze nie była mężatką.

— Bacz, iżbyś nie została starą panną — upominał ją Abel niekiedy, ale po dawnemu nie wywierał na nią żadnego nacisku.

W podróży do Addis Abeby ocalił jej życie Salomon Mongosza i po niezapomnianej scenie pod wodospadem powiedziała sobie z radością: — Nareszcie znalazłam męża! — Ale jej szczęście trwało tylko kilka dni, potem zburzył je plotkarz Daniel. Nazajutrz przybyła do stolicy, a przygody, jakie ją tam spotkały nie pozostawiły czasu na tyle, by mogła przeżuwać w myślach swój zawód miłosny i zastanawiać się nad jego przypuszczalnymi następstwami. Dopiero teraz, w trakcie swoich samotnych wycieczek w stronę toru kolejowego, myślała o tym wiele. — No, trudno, zostanę starą panną — powtarzała sobie z pozorną rezygnacją i... płakała. Tęsknota za ukochanym żarła ją coraz mocniej. — Obym mogła zobaczyć go jeszcze kiedy — wzdychała.

Życzenie to spełniło się nadspodziewanie szybko. Salomon Mongosza, otrzymawszy wreszcie zapas żądanych lekarstw, zgodnie z poleceniem negusa negesti wyjechał do Hadamy po dziesięciodniowym pobycie w stolicy. Pora deszczowa rozpoczęła się już, ale co maj, to nie lipiec, jeśli chodzi o środkowe i północne prowincje. Tylko Harrar ma najsilniejsze opady w maju, w okolicach Addis Abeby deszcz wówczas pada jeszcze z przerwami. Korzystając z takiej przerwy, Salomon podniósł szybę i, stojąc w oknie wagonu, patrzył na mijaną okolicę. Wtem dostrzegł na nasypie kolejowym dziewczynę, która na jego widok wydała okrzyk radości.

— Taitu?

Nie był tego pewny zrazu, gdyż strój, jaki obecnie nosiła, nieco zmienił jej wygląd. Podniósł dłoń do czoła, aby nią osłonić oczy przed promieniami słońca chylącego się już ku zachodowi. Ależ tak, to mała, śliczna Taitu! Ona zaś poznała go nawzajem i rozpromieniona, mknęła tuż obok jego wagonu. Na razie nie pozwoliła się prześcignąć, gdyż pociąg szedł

stosunkowa powoli, wdrapując się właśnie na jeden z pagórków rozsianych gęsto pomiędzy stacjami Aceki i Dukliam.

— Niedobra, czemu uciekłaś ode mnie? — rzekł z wyrzutem.

— Bo Daniel powiedział, że...

— Coś ty jej nagadał?!

Chcąc zwymyślać sługę, siedzącego w głębi przedziału, Salomon odwrócił się ku niemu. Wywołało to u dziewczyny przestrasz, że ukochanego znów straci z oczu i kto wie, na jak długo tym razem.

— Najmilszy mój, nie... odchodź... od... okna...

Zadyszła się już, bowiem pociąg jął przyśpieszać biegu.

— Gdzie mieszkasz, Taitu?

— Tam — machnęła ręką w stronę góry Dalota. — Przyjedziesz?

Potknęła się nagle i runęła, jak długa. Pomimo to usłyszała jeszcze jego odpowiedź, usłyszała proste słowa, brzmiące w jej uszach, jak najcudniejsza melodia:

— Przyjadę! Kocham! Oczekuj mnie niebawem...

Czekała nazajutrz obok toru kolejowego od rana do zachodu słońca, wykręciwszy się od lekcji z Mafaldą. Następnego dnia nie udało się ta sztuka, dopiero popołudniu pozwolono jej wyjść na przechadzkę. I znowu przebiegały obok niej pociągi, ale żaden nie przystanął, z żadnego nie wysiadł ukochany. Zawiedziona, smutna, powróciła do domu, gdzie czekała ją wielka niespodzianka. Zaczęło się od uroczystego przemówienia ojca, który raz jeszcze podkreślił, iż wbrew panującym zwyczajom pozostawia córce wolną rękę, choćby jej nowa rekuza⁽²⁾, miała jego, Abła Yamgana, narazić na prześladowanie ze strony obecnego wielbiciela Taitu, człowieka pono bardzo wpływowego.

— Krótko mówiąc, chce cię poślubić młody Mongosza.

— Mongosza?! — krzyknęła. — Był tutaj?!

— Był. Rzekłem mu, iż cenię sobie zaszczyt, jaki nas spotyka, ale nie wiem, czy ty już chcesz wyjść za mąż i...

— Chcę! Chcę! Choćby jutro!

— Hm, czemu tak szybko. Nie znam tego człowieka, ani...

— Lecz ja go znam dobrze, ojczulku. Widziałam go ostatnio onegdaj. To właśnie on wyrwał mnie ze szponów Beni Er-Durusz w drodze do...

— Ach, to on. Opowiadałaś mi o tym, lecz nie wymieniłaś nazwiska.

— Zzapomniałam — skłamała, uroczo zażenowana.

— Ha, skoro mu sprzyjasz i pragniesz zostać jego żoną, to...

— Pragnę bardzo, ojczulku.

— ...to trza mu dać odpowiedź.

— On tu jest? — pisnęła wstydliwie, widząc, że ojciec zmierza ku drzwiom sąsiedniej izby. — I słyszał, cośmy mówili!

— Nie, on zaraz odjechał, ale pozostawił posłańca, który mu zanieś twoje przychylnie słowa.

Posłańcem był po prostu pies, w jego obroży na zewnątrz najeżonej metalowymi kolcami, mieściła się skrytka, do której wygodnie dało się włożyć kartkę papieru zwiniętą w rolkę. Lecz ile Taitu namozoliła się przy pisaniu pierwszego swojego listu, trudno wypowiedzieć. Na domiar złego, gruba Mafalda odjechała z Mongoszą i dziewczyna musiała liczyć tylko na siebie. Nagryzmoliła w końcu tak:

Chcę zostać twoją żoną jak najprędzej. Ale to może stać się dopiero za trzy dni, tak mówi ojciec. Więc trzeba zaczekać. Czekam, tęsknię, kocham... Taitu, córka Yamgana

Błędów ortograficznych było w tym liście niewiele, za to pismo okropnie koślawe. Także i ze wzruszenia, które dziewczynie nie pozwoliło zmrużyć oka aż do świtu, do chwili, gdy zdecydowała się wypuścić psa. Wcześniej nie chciała tego uczynić, bojąc się, by w nocy lew czy inny drapieżnik nie rozszarpał czworonożnego posłańca. Nakarmiła go obficie, wyprowadziła aż za bramę, tam zaś, nim jeszcze zdołała go pogłaskać, niezwykle postillon d'amour⁽³⁾ wyrwał się jej i pomknął drogą, jak strzała. Pomknął nie w stronę Hadamy, gdzie przebywał Salomon Mongosza, ale na północ, w kierunku stolicy.

— Widocznie mój przyszły pan już wrócił do Addis Abeby — sądziła mylnie. — Kolejną jedzie się szybko, mógł wrócić zaraz nazajutrz.

Od rana zaczęły się przygotowania do ślubu. Taitu nie brała w nich udziału. Stosownie do narodowego zwyczaju musiała przez trzy dni leżeć nieruchomo na łożu zupełnie obnażona i wdychać w siebie dym przeróżnych wonnych ziół, które ojciec spalał obok. Ta tradycyjna ceremonia okadzania panny młodej należała do nielicznych zbytków, na jakie w obecnych warunkach Abel Yamgan mógł sobie pozwolić.

— Inaczej wyobrażałem sobie weselisko mej jedynaczki — powtarzał ze smutkiem raz po raz. — Ani krewnych nie będzie, ani sąsiadów, ani uczyty, nic...

Wyprosił w końcu od żołnierzy barana, którego należało zabić tuż przed właściwą ceremonią zaślubin i położyć na progu komnaty małżonków. Wyprosił również niezbędny bat, którym pan młody musi z lekka wychłostać oblubienicę, aby zaznaczyć, że od tej pory tylko on jest jej władcą. Po owym laniu, raczej symbolicznym, mąż zwawo przenosi żonę na rękach do swojego domu, a jej rodzina wśród głośnych wrzasków udaje, że chce mu ją odebrać. Ta znów ceremonia zachowała się na pamiątkę dawnych czasów, w których mężczyzna zamierzający założyć sobie rodzinę musiał upatrzoną kobietę porwać siłą, staczając krwawe walki z członkami jej szczepu.

— A tu jest tylko jeden dom — narzekał Abel Yamgan. — Nie ma innej rady, tylko trzeba jego dom zastąpić drugą izbą, ja zaś, żeby wam nie przeszkadzać, zamieszkać na razie w ogrodzie.

Nie chcąc zmoknąć w poślubną noc córki (bowiem z krótkimi przerwami deszcz lał ciągle), Yamgan sklecił sobie maleńki tukull, czyli okrągłą chatę abisyńską kształtem przypominającą ul albo grzyb.

Wreszcie nadeszła chwila, której Taitu wyglądała niecierpliwie. Na razie musiała leżeć nadal na łożku i tylko słuchem brała udział w ceremonii. Gdy Abel Yamgan wymówił sakramentalne formułki, opierając stopę na zabitym baranie, zabrzmiał dźwięczny szcęk szabel, które mężczyźni, towarzyszący panu młodemu, krzyżowali nad jego głową. Potem głosy i śmiechy zaczęły oddalać się, zanikać. Odchodzili wszyscy prócz oblubieńca, który wkroczył sam do komnaty małżeńskiej, zatraskując za sobą drzwi z łoskotem. Tym bardziej głęboką wydała się cisza, jaka teraz nastąpiła. Taitu, leżąca od chwili na brzuchu, to jest w pozycji, w której świeżo upieczona małżonka ma otrzymać owo symboliczne skórobicie, jeszcze nie miała prawa podnieść głowy. Czekwała.

— Bat stoi w kącie — odezwała się, sądząc, że mąż szuka wzrokiem tego instrumentu — w kącie między oknem, a drzwiami z sieni.

Podszedł do niej z batem i chlasnął ją wcale nie symbolicznie. Syknęła z bólu, skurczyła się w oczekiwaniu na dalszy ciąg chłosty, lecz bat poleciał już na powrót do kąta, ciśnięty tam z

rozmachem. I znów to milczenie.

— Najdroższy, czemu nie całujesz mnie, nie pieścisz?

— To nie sprawia mi żadnej przyjemności — zabrzmiał wysoki, ostry głos, nie Salomona głos, niestety.

— Kto tu jest?! — krzyknęła przeraźliwie.

Zerwała się, odwróciła głowę. Obok łóżka stał brzydki, jednooki mężczyzna, ten sam, który w więzieniu dręczył ją prądem elektrycznym.

— Kto? Twój mąż.

— Mój mąż?! Ty?!!

— No tak. Jam jest Jonasz Mongosza...

Zaświtało jej w głowie na dźwięk tego imienia, wszakże Salomon nieraz wspominał o swym stryjecznym bracie Jonaszu, lecz świadomość, że zaszła tu tak fatalna omyłka, moralnie zdruzgotała dziewczynę, zabiła ją z nóg. Ukrywszy twarz w dłoniach, szlochała rozdzierająco, oplakiwała swój drugi zawód, o ileż gorszy od pierwszego.

— Innego powitania oczekiwałem — przemówił — po twoim czułym liście, całkiem innego!

— Nie do... do... ciebie... list... pisałam,

— Nic do mnie? — zdziwił się. — A do kogo?

— Do... Salomona... Mongoszyyy...

— Ty znasz mojego brata?!

— Znam i miłuję tylko jego, rozumiesz?!

— Teraz rozumiem.

Znowu zapanowała cisza, zakłócana jedynie bębnieniem deszczu o szyby. A biednej Taitu wydało się, że niebo płacze nad jej niedolą i sama załkała tym rzewniej. Tymczasem Jonasz usiadł na krawędzi łoża, zaczął mówić. Stało się, lzy tu nic nie pomogą, dowodził. Skoro ona kocha jego brata, to nie wezmą już ślubu kościelnego, bo małżeństwo zawarte w kościele według koptyjskiego obrządku, nie może być rozwiązane nigdy, nawet po śmierci jednego z małżonków. On, Jonasz chce Taitu iść na rękę, zatem da jej rozwód za trzy miesiące.

— Czemu nie zaraz? — wtrąciła podejrzliwie. — Mylisz się, jeśli sądzisz, że przez trzy miesiące będę ci żoną. Jutro pchnę się nożem. Dzisiaj! Natychmiast! Tylko spróbuj mnie dotknąć!

— Nie mam najmniejszego zamiaru.

— O! Może nie jestem dość piękna dla ciebie, co?!

— Choćbyś była stokroć piękniejsza, choćbyś sama chciała należeć do mnie, nie skorzystałbym z tego — odparł z westchnieniem.

— Dlaczego?

Nie odrzekł od razu, chciał ją nawet ofuknąć, lecz znowu ogarnęła go perwersyjna chęć budzenia grozy i wstrętu do siebie. Jak dziesięć dni temu przeraził Alicję Rendell odsłonięciem swoich ohydnych ran na głowie, tak obecnie wyznał z podobną szczerością.

— Bo nie mogę! Bo jestem eunuchem z winy Beni Er-Durusz! Och, ja im kiedyś zapłacę za to okrucieństwo, jednak...

— Więc tym bardziej — wtrąciła Taitu, ochłonawszy ze zdumienia, żeby nie rzec, z radosnego zdumienia — powinieneś mi dać rozwód zaraz.

— Ba, ale ty mi będziesz potrzebna przez dwa, trzy miesiące.

— Do czego?

— Dowiesz się niebawem. I pomnij, iż życie twojego ojca, a także to, czy dam ci

rozwód, czy nie, zależy wyłącznie od ciebie! Jeśli będziesz mi ślepo posłuszna, jeśli zręcznie i z pomyslnym skutkiem odegrasz rolę, jaką ci przeznaczyłem, odzyskacie wolność oboje, ty i rodzic twój. W przeciwnym razie biada wam! Biada tym, którzy narażają się na moją zemstę! Nie darmo mówią, że na kogo spojrzę złym okiem, ten musi zginąć marnie... A teraz, słuchaj uważnie. Wytłumaczę ci, co masz zrobić, aby zasłużyć sobie na upragniony rozwód....

Rozwód miał być nagrodą za dobre wywiązanie się z roli, jaką Jonasz Mongosza zamierzał powierzyć małżonce. O rozwodzie marzyła Taitu w kilka minut po ceremonii ślubnej. I przez dziesięć godzin, czyli aż do świtu, słuchała fachowego wykładu męża, wiceszefa abisyńskiego kontrwywiadu. Była to więc nader osobliwa noc poślubna...

⁽¹⁾ *remedium concupiscentiae* (łac.) – zaspokojenie pożądania. Kościół katolicki określa następująco cele małżeństwa: rodzenie i wychowanie potomstwa - *procreatio*, wzajemna pomoc - *mutuum adiutorium* i uśmierzanie pożądliwości - *remedium concupiscentiae*.

⁽²⁾ *rekuza* – odrzucenie propozycji wyjścia za mąż za starającego się.

⁽³⁾ *postillon d'amour* (fr.) – posłaniec miłości.

ROZDZIAŁ XXV

Alicja Rendell była bliska rozpacz. Wyjeżdżając z Europy, przewidywała różne trudności, niebezpieczeństwa, ale wierzyła święcie w pomyślny wynik swej podróży. W pomyślny i rychły! Z początku szło gładko. Gaston d'Harcourt przyjął dawną kochankę z otwartymi ramionami, chociaż mógł przecież pokazać jej drzwi, biorąc odwet za krzywdę, jaką mu niegdyś wyrządziła. Byłoby to niesłychanie utrudniło sytuację Madelon-Alicji. Musiałaby była zamieszkać w hotelu, uchodzić za panią Alicję Rendell, rentierkę(?), która dla leczenia przedwczesnego spleenu⁽¹⁾(?) przyjechała do Abisynii. I żyłaby w ciągłej obawie przed aresztowaniem oraz wydaleniem z granic kraju, co niejednego Europejczyka spotkało w tym okresie przedwojennego podniecenia i podejrzewania każdego świeżego przybysza o szpiegostwo. Przychylność Gastona, który dawną przyjaciółkę przedstawił jako swoją owdowiałą siostrę, zabezpieczała ją przed szykanami policji. Co więcej, siostra hrabiego d'Harcourt, prawej ręki posła francuskiego, miała wstęp na salony wszystkich poselstw, gdzie poznawała najwyższych dygnitarzy abisyńskich i jeden z nich wyrobił jej kiedyś poufną audiencję u cesarzowej!

Lecz sprawa, dla której przyjechała do Afryki, nie posunęła się przez to naprzód ani o krok, chociaż upłynęło już tyle czasu. Właśnie dzisiaj mijało sześć tygodni od owej soboty, w którą Gaston d'Harcourt marzył o utraconej przyjaciółce i przeżył taką niespodziankę. Co prawda po miłej niespodziance przyszła kolej na rozczarowanie. Madelon-Alicja, powołując się wciąż na żalobę po mężu, ani słyszeć nie chciała o rychłym wznowieniu z dawnym kochankiem współżycia takiego, jakiego on pożądał gorąco; zdawkowy pocałunek w czoło lub w policzek na dzień dobry i dobranoc musiał wystarczyć Gastonowi, spragnionemu innych czułości. Potem zaś do rozczarowań przybyła zazdrość o Johna Gliwę, zazdrość, która kulminacyjny punkt osiągnęła w ową noc, kiedy to Madelon niepostrzeżenie wymknęła się z willi.

— Jeśli to powtórzy się jeszcze raz, wypędzę cię z domu — oświadczył jej rano, przy śniadaniu.

Na próżno zaklinała się, że nie była na schadzce z Johnem. Nie uwierzył i stał się podejrzliwy jak nigdy dotychczas. Urzędując w pałacu poselstwa francuskiego, pod najrozmaitszymi pretekstami telefonował do Gliwy, by stwierdzić, czy on również siedzi w biurze. Gdy go nie zastał i gdy, powróciwszy do swej willi na obiad, dowiedział się od służby, że pani tego dnia wychodziła na miasto, zadręczał się najgorszymi przypuszczeniami, tracił humor, apetyt, bywało, że chorował nawet.

Ale zmartwień Gastona ani porównać nie można z troskami Madelon-Alicji. Jego nękała samcza zazdrość, zupełnie nieuzasadniona, jeśli chodzi o Gliwę, kochającego się w rzekomej siostrze przyjaciela bez wzajemności, ją torturował istotnie usprawiedliwiony lęk o życie człowieka, do którego była stokroć bardziej przywiązana, niż Taitu do swego ojca. Gdyż nawet najbardziej wzorowa miłość dzieci do rodziców jest niczym wobec innej miłości, zwłaszcza, jeżeli zakwitnie ona na gruncie harmonii temperamentów i poprzez dosyt rozkoszy zmysłowych zapuści korzenie w gorące serce. A serce Madelon-Alicji było tak gorące, tak oddane temu jedynemu na świecie człowiekowi, że dla ratowania ukochanego zdecydowała się odgrywać

nędzną komedię z Gastonem. Och, nie cofnęłaby się przed daleko większym poświęceniem, byle za tę cenę tamtemu ocalić życie. Ba, ale czy on żył jeszcze?

— Raz trzeba skończyć z tą potworną niepewnością.

Powtarzała to sobie codziennie i coraz częściej domagała się rozmowy w cztery oczy z tajemniczym szefem. Jego przeróżne polecenia wykonywała początkowo bez szemrania. Nie tylko dlatego, że na wyjeździe z Europy musiała złożyć przysięgę, iż będzie ślepo posłuszna przywódcy *Hufca Zielonych*, lecz przede wszystkim dlatego, że w zamian za swoje usługi oczekiwała wydatnej pomocy w sprawie, dla której przybyła do Abisynii. Potem zaczęła tracić cierpliwość. Mijały dni, tygodnie, a niewidzialny szef nie działał dla niej nic, tylko sam wciąż żądał wiadomości w kwestiach, które go interesowały. Interesowało go zaś wszystko, co mogło wskazywać na zakulisowe konszachty dygnitarzy abisyńskich z przedstawicielami innych państw. Madelon-Alicja, najpiękniejsza kobieta w Addis Abebie, miała wnet w każdym poselstwie jakiegoś wielbiciela w rodzaju Johna Gliwy i z każdego wyciągała tyle nowin, ile dało się wyciągnąć w toku zręcznych rozmówek, ocukrzonych niewinnym flirtem. Ostatnio wódz *Hufca Zielonych* zażądał, by dowiedziała się co prędzej, dokąd nagle wyjechał Jonasz Mongosza. Nie miała pojęcia, gdzie i jak zdobyć tę informację, której nie mógł jej udzielić żaden z Europejczyków, gdy wtem spotkała w mieście Salomona Mongoszę. Odwołano go już z Hadamy, zapewne w związku z tym, że do stolicy przybył jego ojciec; w tych ciężkich czasach cesarz nie chciał zrażać sobie głowy rodu Mongoszów, ambitnego Józefa, którego rozgoryczyłaby wiadomość, że jego synowi powierzono na dłuższy czas robotę w sam raz dobrą dla felczera. Dlatego Salomon powrócił tak rychło do stolicy. Było mu to na rękę także i dlatego, że z Addis Abeby dwa razy bliżej niż z Hadama jest do Dukliamu, do miejscowości, blisko której ujrzał z pociągu Taitu. Wraciał właśnie z pierwszej nieudanej wycieczki w okolice Dukliamu, kiedy na ulicy Rasa Makonnena zastąpiła mu drogę Alicja Rendell.

— Jak to dobrze, że pana spotykam — zaczęła, darząc go spojrzeniem, które pozwoliło mu na chwilę zapomnieć o Taitu. — Urządzamy w tym tygodniu małe przyjęcie. Pragniemy oczywiście mieć u siebie pana i jego brata, niestety pan Jonasz jak gdyby zapadł się w ziemię.

— To prawda — przyznał młody medyk. Był niezmiernie dumny z tego, że biała kobieta wszczęła z nim rozmowę na ulicy i rozglądał się nieznacznie, by stwierdzić, czy wszyscy to widzą. — Ja również szukam go wszędzie od kilku dni, lecz na próżno. Może wyjechał na urlop... Nie — dodał po namyśle — urlopów w ogóle w tym roku nie będzie, sam mi to mówił.

— A widzi pan, widzi pan! Jestem poważnie zaniepokojona jego nagłym zniknięciem. Ten dzielny człowiek ma tylu wrogów, że...

— I to racja.

— Nie wyobraża pan sobie, jakie tu krążą pogłoski na ten temat. Onegdaj na przykład obilo mi się o uszy, że pana Jonasza pokąsał na śmierć jadowity wąż, którego ktoś wsunął mu pod prześcieradło...

Plotkę tę sfabrykowała sobie na poczekaniu. Ponieważ zaś węzów jest w Abisynii co niemiara, młodzieniec uwierzył, zaniepokojony pośpieszył z tym do ojca, a Józef Mongosza do cesarza. Nazajutrz Salomon zawiadomił Alicję telefonicznie, że historia o wężu pod prześcieradłem jest wyssaną z palca bajeczką; jego brat żyje, jednak na przyjęciu u hrabiego d'Harcourt nie będzie mógł być obecnym, gdyż powróci do Addis Abeby dopiero w połowie czerwca. Oczywiście Madelon-Alicja nie poprzestała na tej wiadomości, pragnęła zdobyć bardziej szczegółowe informacje o powodach i celu wyjazdu Jonasza. Zauważywszy wczoraj, jak bardzo Salomonowi pochlebia afiszowanie się z nią w miejscach publicznych, zaproponowała mu spotkanie w znanym lokalu stołecznym *La Confiance*⁽²⁾. Tam, bez większych

trudności dowiedziała się, dokąd wyjechał jednooki as kontrwywiadu abisyńskiego. To tylko wyjawiał cesarz Józefowi Mongoszy, ten Salomonowi, ów zaś Madelon-Alicji. Każdy z nich, rozumie się, w największym zaufaniu i po otrzymaniu zapewnienia, że absolutnie nikt więcej nie dowie się o tym.

— Niepotrzebnie prosi mnie pan o dyskrecję. Wyręczyła pana już w tem sama nazwa lokalu, gdzie gruchało się nam tak miło, — zażartowała, gdy odprowadził ją do samochodu i parasolką wskazała zawieszony na balkoniku domu szyld. Widniał na nim napis:

CAFÉ - RESTAURANT

LA CONFIANCE

Powróciwszy do willi dzierżawionej przez Gastona, wywołała do garażyku żółtowołosego Dżida. Bowiem Somalijczyk pracował nadal u hrabiego d'Harcourt. To znaczy pracował, jak pracował. Drogę możliwą dla aut ukończono już dawno, w ogrodzie nie było nic do roboty z powodu pory deszczowej, w willi obijało się aż czterech próżniaków, z czarnym Affarem na czele. Ponieważ jednak należy do dobrego tonu trzymać jak najwięcej kolorowej służby, Gaston chętnie powiększył ilość swoich darmozjadów o protegowanego Madelon-Alicji. Że Dżid jest łącznikiem pomiędzy nią, a wodzem *Hufca Zielonych* oczywiście nie wiedział, jak nie wiedział, iż ona również należy do tej podziemnej organizacji, cieszącej się okropnie złą sławą w Abisynii. Och, podobne przypuszczenie nigdy by Gastonowi przez myśl nie przeszło. Podejrzewał swoją eks-przyjaciółkę o romans z Johnem Gliwą, o flirt z Salomonem Mongoszą, raczej o wszystko mógł ją posądzić pod wpływem szalonej zazdrości, tylko nie o to, że jego słodka Madelon-Alicja dała się wciągnąć do *Hufca Zielonych*, który miał na sumieniu już tyle skrytobójstw. Po uśmiechu, tak rzadko w ostatnich czasach goszczącym na twarzy białej pani, Dżid poznał od razu, że nareszcie zdobyła pożądaną wiadomość.

— Dokąd on wyjechał? — spytał.

— Nigdy byś nie zgadł, dokąd. Ani szef również.

— Dlatego szef zlecił to białej woizero.

— Tak. Wykonałam jego zlecenie i obecnie wiem, gdzie przebywa Jonasz Mongosza.

Gdzie pozostanie — dodała z naciskiem — przez miesiąc!

— Więc gdzie?

— Tego ci nie powiem.

Dżid zrobił minę człowieka, którego ciężko obrażono.

— Biała woizero straciła do mnie zaufanie?

— Ależ nie, Dżid. Jesteś jedynym człowiekiem, na którego pomoc mogę tutaj liczyć w każdej potrzebie. W każdej! — powtórzyła i dodała z goryczą: — Bo nawet ci dwaj, co niby to kochają mnie do szaleństwa, od razu staliby się moimi wrogami, gdyby wiedzieli, że... Ech, mniejsza z tym — machnęła ręką. — Wierzę ci, Dżid, i wiem, iż należysz do najbardziej zaufanych ludzi wodza, ale tego, dokąd wyjechał Jonasz, nie dowiesz się ode mnie.

— Dlaczego?

— Dlatego, że w takim razie szef znowu wykręciłby się od spotkania ze mną. A ja chcę z nim mówić za wszelką cenę i zmuszę go do tego!

— Jak?

— Właśnie tak, iż nie zdradzę nikomu miejsca pobytu Jonasza, tylko osobiście jemu,

szefowi. Możesz mu to powtórzyć, Dżid.

Somalijczyk spełnił to życzenie, a nazajutrz zakomunikował białej pani, że szef wzywa ją do posłuszeństwa w imię przysięgi, jaką złożyła w Europie, że grozi jej śmiercią na wypadek, gdyby nadal wzbraniała się wykonać jego rozkaz, że daje jej dzień czasu do namysłu-

— Powiedz mu, iż nie zależy mi nic na życiu. Na **moim** życiu. I dodaj, że jeśli zginę, on nie dowie się nigdy, gdzie jest Jonasz, względnie dowie się, gdy będzie za późno.

Odniosło to snadź pożądaný skutek, bowiem po całodziennej nieobecności Dżid zjawił się w willi i oznajmił *białej woizero*, iż dzisiejszej nocy zaprowadzi ją do szefa, który pono pieni się ze złości.

— Boję się o białą woizero okropnie — powtarzał Somalijczyk.

Madelon-Alicja bała się na razie tylko tego, by Gaston znowu nie zauważył jej nieobecności w nocy. Aby uspić jego podejrzenia, poprosiła go o radę, jaką ma wziąć powieść na lekturę *do poduszki*. Wiedząc, że niektóre stopnie schodów w hallu skrzypią, wyślizgnęła się z willi oknem, po drabince, którą Dżid skądś wytrzasnął. Uprzednio zamknęła na klucz drzwi od swojego pokoju, a światło zgasiła. Była przekonana, iż przy zachowaniu tylu ostrożności, o jej eskapadzie nie dowie się nikt. Czyż mogła przewidzieć, że o północy zerwie się wiatr i rozpocznie harce z jej oknem, którego od wewnątrz przecież nie mogła zamknąć? Albo, że te łoskoty obudzą Jonaszowego szpicla, który zasnął sobie w altanie?

Wzięła na tę wyprawę wysokie, nieprzemakalne trzewiki z gumowymi podeszwami, czarny, ceratowy płaszcz i laskę, której szpic owinęła grubo kawałkiem sukna, aby nie zadźwięczał o kamień. Ta przezorność była właściwie zbędna, gdyż szum deszczu głużył odgłosy kroków wystarczająco. Współczuła Somalijcykowi, którego cały strój tworzyła, jak zawsze przepaska na biodrach, lecz ów wyśmiał jej obawy, że dostanie kataru. Nie znał tej dolegliwości, za to lękał się, czy deszcz nie przywróci naturalnego koloru jego włosom ufarbowanym wapnem na żółto; dlatego utkał sobie z bananowych liści malowniczy hełm i, zabezpieczywszy nim fryzurę, nie dbał o słotę.

— Teraz muszę białej woizero zawiązać oczy — rzekł, skoro dotarli do pierwszych domków dzielnicy sąsiadującej z rozległym torem wyścigowym Addis Abeby. — Sam muszę zawiązać, sam!

Przygotował ją na tę konieczność jeszcze w willi, zabrała więc z sobą chustę dużą i możliwie najbardziej... przezroczystą. Niewiele jej to pomogło na razie. Po nagłym przejściu spod tuszu ulewy i z atmosfery rzeńskiego powietrza w okropny zaduch poznała wprawdzie, że Dżid wprowadził ją do chaty tubylczej, lecz w izbie panował mrok. W ciemnościach zapytano ją o trzy hasła. W ciemnościach przyłożył jej ktoś do gardła ostrze sztyletu i wątpliwą francuszczyzną przypomniał, że *Hufiec Zielonych* zdradę karze śmiercią. Odetchnęła z ulgą, kiedy skończyły się te denerwujące błazeństwa i kiedy po oślizgłej drabinie kazano im zstępować na dół. W chwilę później Dżid pozwolił Alicji zdjąć z oczu opaskę i zapalił latarkę. W jej mdłym świetle ujrzała drabinę, której górna część ginęła w ciemnościach, co dowodziło, że szyb, nazwany przez niego suchą studnią, musiał być dość głęboki.

— O, tak — potwierdził Dżid, rozpoczynając marsz długim gankiem podziemnym. — Najcięższa bomba z samolotu tutaj nie wpadnie, chyba że trafiłaby akurat w tukull i zleciała na dół przez suchą studnię. Tu możemy siedzieć całkiem bezpiecznie, gdy wojna wybuchnie. Tak mówi wódz.

— Aha, więc ten korytarz ma służyć za schron przeciwgazowy! Szef jest, jak widzę, bardzo przewidującym człowiekiem.

Ganek posiadał sporo rozgałęzień, co zdawało się wskazywać na to, że jest on tylko

częścią podziemnego labiryntu.

— Uszliśmy już chyba z kilometr od owej chaty — odezwała się w pewnej chwili Alicja.

— Wykonanie tak długiego podkopu musiało szefa słono kosztować, przypuszczam.

— Gotówką ani talara, tylko parę tysięcy worków kukurydzy i jęczmienia na placki dla niewolników.

— Niewolników?! Rozumiem; korytarz ten wykopano dawniej, kilkanaście lat temu...

— O, znacznie później. Ukończono go zaledwie przed rokiem. A jeden z ganków jeszcze teraz jest w robocie...

— Jak to! Tu, w stolicy, w sercu kraju dotychczas kwitnie niewolnictwo, które Haile Selassie niby to zniósł przed przyjęciem Abisynii do Ligi Narodów?!

— Haile Selassie zniósł niejeden taki stary, dobry zwyczaj i wciąż małpuje Białych, ale my nie uznajemy jego re... ref...

— Reform?

— Reform... My nie zrezygnujemy z niewolników nigdy!

— My, to znaczy, kto?

— Kto? — powtórzył Somalijczyk, zdziwiony niedomyślnością czy roztargnieniem białej pani. No my, huf zielonych!

Z dalszych wywodów Dżida wynikało, że głównym punktem programu społecznego *Zielonych* jest przywrócenie jawnego handlu niewolnikami.

— Och, jak świetnie zarabia się na tym!

Alicja zaczerwieniła się po uszy. Po raz pierwszy ujrzała odwrotną stronę medalu.

Całkiem inaczej przedstawiono jej w Europie ideowy program *patriotycznej organizacji abisyńskiej*, której założyciele, mahometanie, pożyczili sobie dla niej nazwę *Hufca zielonych* prawdopodobnie od zielonego sztandaru Proroka. — W ładne weszłam towarzystwo, ani słowa! — Zawstydzona, na próżno usiłowała stłumić swą odrazę powtarzaniem komunału: *cel uświęca środki*. Nazbyt ohydny był proceder, jaki uprawiali ci ludzie, aby przynależność do nich mogła uświęcić jakikolwiek cel. Nie, nie. W inny sposób należało zagłuszyć skrupuły. — Łże Czarny, ot co! Własne „pobożne” życzenia przypisuje organizacji. A jej kierownicy nie będą przecież wtajemniczali w swoje zamiary takiego prostaka jak Dżid. Mają tysiąc ważniejszych trosk — myślała.

Stwierdziła jednak niebawem naocznie, że Somalijczyk nie kłamie. Od chwili już intrygował ją szum jak gdyby wodospadu, kiedy zaś minęli zakręt korytarza, ujrzała przed sobą pieczarę, której obydwie końce ginęły w nieprzebitych ciemnościach. Ganek przecinał ją pod kątem prostym z pomocą drewnianego mostu, pochyłego, gdyż drugi wylot ganku znajdował się o kilka metrów niżej niż ten, w którym przystanęła Alicja wraz ze swoim przewodnikiem. Na dnie pieczary ryczał górski strumień. On właśnie wyłobił sobie to podziemne koryto, wąskie, lecz bardzo snadź głębokie, skoro światło silnej acetylenowej lampy, zawieszanej nad mostkiem, nie docierało do strugi wodnej.

— Wyobrażam sobie, jakeście klęli, gdy przy kopaniu korytarza zagroził wam drogę tak rwący potok.

— Nic podobnego, biała woizero. On nam tu najbardziej pomaga. On zabiera stąd całą... O, patrz, patrz, nadchodzą.

Spojrzała. W niższym wylocie ganku zamajaczyły mdłe światełka okopconych latarek. Przybywało ich coraz więcej, widocznie po tamtej stronie mostku ganek również miał zakręt lub rozgałęzienie. Wreszcie idący na przodzie weszli w krąg jasnego światła acetylenowej lampy. Z trzech otwierających pochód dozorców jeden przeszedł przez most i tu stanął obok Alicji z

karabinem gotowym do strzału, pozostali rozstąpili się na boki, aby idącym gęsiego robotnikom dać dostęp do mostu. Teraz dopiero Alicja ujrzała pierwszego z nieszczęśników przykutych łańcuchem do taczek. Czekala go tu najcięższa robota, gdyż mostek był stromy oraz śliski od wilgoci. Na obnażony, zgięty w łuk grzbiet niewolnika posypały się ciosy batów i pod ich tuszem musiał nieborak wypchnąć taczki aż do połowy mostu, gdzie je przewrócił, a cała ich zawartość runęła w przepaść. W taki sam sposób opróżnił swoje taczki drugi niewolnik, trzeci, czwarty, dziesiąty, dwudziesty. Niektórzy z nich, chłostani niemiłosiernie, skręcali się z bólu, otwierali szeroko usta, zapewne krzyczeli, jęczeli, wyli, lecz wszelkie te odgłosy zagłuszył ryk wodospadu. I może właśnie to czyniło scenę potwornego znęcania się nad ludźmi jeszcze bardziej upiorną.

— Oho, ten już gotów — wrzasnął Dżid do ucha swej towarzyszce.

Miał na myśli chudego jak szkielet niewolnika, który zwałił się na swoje taczki i leżał na nich nieruchomo, chociaż biczowano go przez parę minut bez przerwy. Nie powstał, nie mógł, tylko słabe podrygi jego rąk i nóg świadczyły, że jeszcze żyje, że **czuje**. Nie wskórawszy nic biciem, dozorczy zdecydowali się zbadać stan zdrowia swej ofiary. Z bezprzykładną brutalnością odwrócili chorego na wznak, obejrżeli go pobieżnie i zerwali mu z nóg łańcuchy. Potem ułożyli go na jego pełnych kamieni taczkach, zawlekli je wspólnymi siłami na środek mostka i przewrócili. Kamienie spadły w przepaść od razu, nieszczęsny Murzyn znalazł jeszcze sił na tyle, że, uczepiwszy się jakiejś deski, wisiał na niej przez kilka sekund. Wisiał do chwili, w której jeden ze zwyrodniałych dozorców trzepnął go kamieniem po palcach. Wtedy dla chorego niewolnika nadszedł kres mąk. Nie koziołkując w powietrzu, nie wymachując rękami rozpaczliwie, spadł w stojącej pozycji w ciemną otchłań.

— Czy ja mam halucynacje?

Madelon-Alicja przetarła sobie oczy, spojrzała w stronę swojego przewodnika, by upewnić się, że go tu nie ma, że wszystko to jest koszmarnym snem. Niestety! Somalijczyk Dżid stał obok, z kamienną obojętnością spoglądał na bestialskie zlikwidowanie ziomka, który już nie mógł pracować na swoich panów. Potem zaś, jak gdyby nigdy nic, zaczął opowiadać, wśród jakich okoliczności przypadkowo odkryto ten rwący potok podziemny. On stał się ich głównym pomocnikiem, on bowiem unosi stąd cały zapas wykopanej ziemi, której górą nie można by wywozić za miasto bez zwrócenia uwagi policji. Dzięki temu strumieniowi początkowy plan zbudowania jednego tylko ganeczku uległ tak znacznemu rozszerzeniu. Dzięki temu strumieniowi niewolnicy mają właściwie bardzo lekką robotę tutaj i...

— Zamilcz! — wtrąciła Alicja, wzburzona do głębi.

Ruszyli w dalszą drogę. Niemal tuż za mostkiem korytarz posiadał rozgałęzienie. Tu rozpoczynał się nowy ganek boczny, będący właśnie w robocie, a zmierzający w kierunku pałacu cesarskiego! Lecz Dżid minął szybko wylot tego ganku i prowadził białą woizero głównym korytarzem, który po tej stronie podziemnego strumienia był krótki. Uszli niespełna sto kroków, licząc od przepaści, w którą zepchnięto chorego niewolnika, gdy ukazały się drewniane schodki spiralnie biegnące w górę. Tu Dżid ponownie zawiązał oczy swej towarzyszce. Wnosząc z ilości stopni, ta część podkopu znajdowała się na głębokości ośmiu do dziesięciu metrów pod powierzchnią ziemi. Madelon-Alicja wyjęła z kieszeni płaszczka naperfumowaną chusteczkę, sądząc, że znów przejdą przez jaki tukull, tymczasem zamiast okropnego zaduchu tubylczych chat, poczuła woń palonej kawy.

— Czyżby to był magazyn sklepu kolonialnego? — zastanawiała się, dostrzegając poprzez dość przezroczystą chustę sterty skrzyń, skrzynek, beczulek i wypchanych czymś worków, od których zalatywał zapach przeróżnych korzeni.

Jeszcze jedne kręte schody, potem szeroki balkon obiegający od wewnątrz całą halę dokoła, a również zawalony skrzyniami, potem niedługi korytarzyk, jak w starych mieszkaniach, i wreszcie znalazła się w urządzonyj ze zbytkiem wschodniej komnacie. Tu Dżid powierzył swą towarzyszkę pieczyj jednorękiego Negra, sam zaś poszedł dalej, prawdopodobnie żeby zameldować swojemu panu, iż przyprorowadził już Alicję Rendell. A tymczasem Murzyn pomógł jej zdjąć płaszcz i przy tej sposobności skonfiskował rewolwer, który miała przy sobie.

— To niepotrzebne tu, całkiem niepotrzebne — zapewniał z szyderyczym uśmiechem. — Później oddam, jeśli nasz pan pozwoli ci wrócić, skądś przysła... W co wątpię, bardzo wątpię!

Wstęp nie był nazbyt zachęcający, lecz Madelon-Alicja przygotowała się zawczasu na gorsze przykrości. Ich seria rozpoczęła się od tego, że Murzyn skuł jej dłonie kajdankami. Potem zgasło światło. Przez dłuższą chwilę panowała niezamacona niczym cisza, z której w końcu zaczęły wylęgać się delikatne szmery, syki, szelesty, trudne do określenia i przez to tym bardziej denerwujące. Zżymała się na te błazeństwa, zmierzające do nastraszenia jej, jakby dzieciaka, ślubowała sobie w duchu, iż zachowa spokój, jednakże w pewnej chwili wrzasnęła na całe gardło. Poczwszy bowiem, że coś ociera się o jej kolana, opuściła gwałtownie skrępowane dłonie, które natrafiły na sierść jakiegoś zwierzęcia, lamparta lub młodego lwa. Ten „kotek” musiał być oswojony, skoro na jej uderzenie zareagował tylko warknięciem, a nie ciosem łapy uzbrojonej w potężne pazury. Niemniej przeraziła się mocno i zaciskała zęby, żeby nie krzyknąć ponownie, ilekroć fosforyzujące ślepią zwracały się ku niej. Na szczęście nie podeszły już drugi raz tak blisko. Oswojony drapieznik po owym szturchańcu stracił zaufanie do obcej kobiety, do której kazano mu iść i okrażał ją, pomrukując gniewnie. Raptem przyskoczył do drzwi, zaczął je drapać, mruzczyć, lecz tym razem były to radosne pomruki. Równocześnie wszedł ktoś do pokoju, zapalił dużą acetylenową lampę, której białe światło skierował na Madelon-Alicję.

— O, nie zemdlala pani? — zabrzmiał mało sympatyczny głos męski. Wypowiedział te słowa nie po francusku, tylko po włosku.

— Zdarza mi się to bardzo rzadko — odparła w tym samym języku.

— Ale wrzasnęła pani rzetelnie.

— Tak. Chciałam panu zrobić przyjemność. Proszę mi wierzyć nadal, że umierałam ze strachu, gdy pański kot w ciemnościach ocierał się o mnie.

— No, no, nie przypuszczałam, iż pani jest aż tak odważna.

— Ja zaś nie przypuszczałam, że potraktuje się tu mnie w taki sposób. Czy pan nie mógłby zwrócić reflektora w inną stronę?

— Nie. Modę oślepienia przesłuchiwanym zaprowadził w Abisynii Jonasz Mongosza i jest to jedyna rzecz, co do której zgadzam się z tym łotrem. Gdzie on jest obecnie? Dlaczego pani nie chciała tego powiedzieć mojemu człowiekowi?

— Ponieważ postanowiłam zobaczyć się z panem.

— Mojej twarzy nie ujrzy pani i tak.

— Nie zależy mi na tym bynajmniej. Chcę z panem tylko mówić.

— O czym?

— Raczej o kim — westchnęła. — Chodzi mi o człowieka, który pod przybranym nazwiskiem *Valentin Duroc* przybył do Abisynii ubiegłego roku. Dopóki nie dowiem się o nim czegoś pewnego, palcem nie kiwnę i...

— Dosyć! — wtrącił ostro. — Nie wierzyłem, kiedy mi Dżid mówił o tym niesłychanym ultimatum. Teraz widzę, że nie kłamał. Ale ja nie takich buntowników poskramiałem! **I poskromię!** Po raz ostatni zapytuję, dokąd wyjechał Jonasz... No?!

— Nie powiem, zanim...

— Zobaczymy! — ryknął.

Podniesionym głosem wymówił kilka słów w jakimś charczącym języku, poklepał czworonożnego ulubieńca i z cienia wkroczył w strefę oślepiającego światła młody lew. Podjudzany przez swego pana, szedł powoli chodem kota skradającego się ku wróblom, a Madelon-Alicja bezwiednie cofała się krok za krokiem, dopóki nie podcięła jej nóg szeroka sofa zasypana skórzanymi poduszkami. Niezbyt odważny lewek dostrzegł natychmiast, że kobieta zachwiała się, straciła równowagę, uznał ten moment za najstosowniejszy do natarcia, dał susa...

Szef nie śpieszył się wcale. Wiedział, że jego ulubieniec nie użyje kłów ani pazurów, dopóki mu ktoś nie wyrządzi krzywdy, a o to nie było obawy w tym wypadku; przecież *nieszforna Europejka* nie posiadała już przy sobie żadnej broni, ręce miała skute kajdankami, przygniecione do brzucha przez młodego lwa, który leżał na niej i porykiwał wojowniczo. Natomiast jej głosu szef nie słyszał; nie krzyczała, nie błagała, żeby odwołać groźnego napastnika, prawdopodobnie więc zemdląca z przerażenia. Tak był tego pewny, że wraz z lampą zabrał ze sobą zwilżony w wodzie ręcznik, podszedł do sofy i zdziwił się niezmiernie; Madelon-Alicja nie straciła przytomności, leżała pod lwem blada, z kurczowo zaciśniętymi ustami, z oczyma pełnymi łez. Aha, płakała! Zatem jej zawzięty upór skruszał w końcu...

— Sądzę, że teraz nareszcie dogadamy się ze sobą.

— Tttak — odparła z wysiłkiem, gdyż gnioący ją ciężar tamował jej oddech — bardzo... tego... pragnę.

— Więc?...

— Gdzie jest... Valentin Duroc?

Szef zaklął straszliwie, lecz równocześnie spojrzął z uznaniem na mówiącą. Zasługiwała na nie jej determinacja, jej pogarda śmierci. Toć wystarczało mu ukłuć lwa szpilką, żeby rozszarpał tę kobietę na strzępy i ona musiała być przygotowana na to.

— Gardłem mi już wychodzi ten Valentin Duroc — krzyknął. — Czy to pani ojciec, że wciąż słyszę to pytanie? Albo brat? Kochanek?

— Nie — odrzekła Madelon-Alicja, a jej oczy znowu napełniły się łzami. — To... **mój... mąż!**

⁽¹⁾ spleen (ang.) – stan przygnębienia, apatii; uczucie beznadziejności, znudzenia.

⁽²⁾ *La Confiance* (fr.) – Zaufanie.

ROZDZIAŁ XXVI

Spełniły się marzenia Józefa Mongoszy. Jego ukochany syn, Salomon, otrzymał wprost od cesarza misję, o której nie wiedział nawet żaden z ministrów, co było dowodem wielkiego zaufania monarchy. Wprawdzie misja ta bynajmniej nie wchodziła w zakres medycznych studiów młodzieńca, ale to właśnie najbardziej cieszyło Józefa. Dawało mu to w jego mniemaniu satysfakcję za dotychczasowy stan rzeczy, nad którym szczerze bolał w głębi ducha; bo raczej wszystkiego spodziewał się ongiś, niż tego, że władca każe Salomona kształcić w Paryżu na „znachora”.

— Żaden Mongosza nie zhańbił się takim zawodem. Jestem więc rad, że negus negesti zrozumiał to wreszcie i dał ci inne stanowisko.

— Stanowisko szpicla, prowokatora!

Salomon w przeciwstawieniu do ojca nie był zadowolony z roboty, jaką mu zlecono. Chciał zrazu odmówić jej przyjęcia, ale ustąpił wobec „subtelnych” perswazji Józefa, który oświadczył mu spokojnie, nieomal z czułością, lecz diabelnie stanowczo:

— Chcesz znów sprawić zawód monarsze? Ano spróbuj, syneczku, spróbuj, a każe służbie zdjąć ci portki na rynku w dzień targowy i tam połamię na tobie trzy... no, powiedzmy, dwa bambusy...

Z dwojga złego Salomon wolał niemiłą rolę prowokatora, niż lanie na rynku. Prowokatora, należy dodać, dla dobra ojczyzny, której zagrażało wielkie niebezpieczeństwo z zewnątrz i która na te ciężkie chwile musiała zabezpieczyć się przed niespodziankami wewnątrz kraju. A takie niespodzianki są możliwe przy feudalnej strukturze Abisynii, przy słabości jej władzy centralnej, przy nadmiernym rozroście uprawnień i ambicji poszczególnych rasów, czyli książąt, oraz negusów, to jest królów. Nie należy bowiem zapominać, że cesarstwo etiopskie składa się z pięciu królestw. Wallamo, Dzimma, Kaffa, Szoa, Godzam i kilkunastu księstw, nie licząc podziału dokonanego przez Menelika II na 26 obwodów i prowincji. Każdy ras chełpi się tym, że jest potomkiem któregoś z cesarzy i sam w duchu rości sobie pretensje do tronu. — Udało się Teodorosowi, Johannesowi, Menelikowi, Haile Selassiemu, może udać się mnie również — rozumują nie bez słuszności, gdyż żaden z tych czterech cesarzy, najznakomitszych na przestrzeni ostatnich osiemdziesięciu lat, nie otrzymał berła w drodze dziedziczenia, tylko zdobył je sobie dzięki własnej przedsiębiorczości. A nieco przedtem miała Abisynia w ciągu pięćdziesięciu pięciu lat aż dwudziestu dwóch cesarzy! Nie z jednej dynastii, tej w ogóle nie ma, po prostu najdzielniejszy ras brał za łeb innych i trzymał ich w ryzach, dopóki nie padł ofiarą jakiego spisku. Nic tedy dziwnego, że w tych warunkach dziś każdy ras ma w swoim drzewku genealogicznym przynajmniej jednego cesarza i marzy o tym, by swoją osobą przysporzyć potomkom cesarskich przodków.

Oczywiście najłatwiej o zamach stanu wówczas, gdy krajowi zagraża wróg zewnętrzny. Doświadczył tego na własnej skórze cesarz Teodoros I w roku 1868 podczas wojny z Wielką Brytanią. Ze słabej, niespełna 20.000 żołnierzy liczącej armii generała angielskiego Napiera, która zapuściła się w głąb Abisynii aż po Magdałę, nie byłby uszedł cało nikt, gdyby nie zdrada gubernatora prowincji Tigre. Za tę przysługę Anglicy dopomogli zdrajcy do zajęcia cesarskiego

tronu, na którym zasiadł jako Johannes IV i, nawiasem mówiąc, okazał się dobrym władcą. Dlatego właśnie Haile Selassie, znający dobrze dzieje ojczyste, był przygotowany na to, że w razie wybuchu wojny z Włochami, Johannes IV znajdzie naśladowcę wśród dzisiejszych kacyków abisyńskich. Lecz który z nich zdradzi ojczyznę, byle zaspokoić osobiste ambicje? Czy wnuk Johannesesa, ras Scyum, teść obecnego następcy tronu? Czy ras Gugsza, cesarski zięć? Nie, nie, to przecież rodzina. Raczej już ras Nazibu, albo ras Kassa. Tych trzeba by wybadać, a przede wszystkim emira Abu Dżiffara...

— Tak, najjaśniejszy panie, przede wszystkim jego — powtórzył jak echo Józef Mongosza i marzącemu o Taitu synalkowi zaaplikował dyskretnie szturchańca. — Słuchaj uważnie — szepnął mu na ucho, korzystając, że negus negesti zaczął z kimś rozmawiać przez telefon — bo jeśli się zbłąznisz, to każe służbie, by na rynku...

— W dzień targowy, wiem, wiem i słucham bardzo uważnie.

— O czym to mówiliśmy?

— O sułtanie Dżimmy, wasza cesarska mość. O starym Abu Dżiffarze, który jako mahometanin nienawidzi nas, chrześcijan, i gotów skorzystać ze sposobności...

— Tym bardziej, że już raz skorzystał, choć bez powodzenia.

To było prawdą. Abu Dżiffar Mohammed ibn David próbował ongiś podbić krainy sąsiadujące z jego Dżimma, lecz Menelik II poskromił go stosunkowo łatwo. Po tej porażce Dżiffar stał się od razu potulnym barankiem i z wzorową punktualnością posyłał do Addis Abeby należny haracz. Lecz kto wie, czy wytrwa w tej lojalności, skoro wybuchnie wojna z Włochami? Może zachowa na razie neutralność, by w stosownym momencie przechylić się na stronę zwycięzcy? Może zdradzi od razu i od tyłu zaatakuje stolicę? Może ograniczy się do rabowania karawan, które będą przywoziły broń z Sudanu? A może wreszcie pozostawi w spokoju cesarza, który mu zawsze okazywał tyle życzliwości, natomiast skoczy do gardła któremuś z rasów w sąsiedztwie, przyczyniając się przez to do powiększenia zamętu w kraju?

— Wszystko to musisz sumiennie wybadać — rzekł negus negesti do Salomona. — Hojnie cię wynagrodzę, jeśli spiszesz się dobrze.

— A jeśli źle — dorzucił Józef Mongosza — to na rynku w...

— Zdaje się, że mówiłeś już o tym, czcigodny ojczu.

— Chciałem ci tylko przypomnieć.

Cesarz przy pożegnaniu przypomniał młodzieńcowi co innego:

— Oczerniaj mnie tak, jak gdybyś był rodowitym Włochem.

To właśnie stanowiło ciemną stronę delikatnej misji. To, że Salomon Mongosza, gorący patriota, musiał odegrać rolę nie tylko prowokatora, ale i zwolennika Włoch, czyli zdrajcy. Aby mu ułatwić zadanie, zaopatrzone go w sfalszowany paszport, opiewający na nazwisko Mateusza Tullima, aptekarza z Massauy w Erytrei. Jako taki wynajął sobie w mieście przewodnika oraz pięć mułów z poganiaczem, natomiast nie zabrał w podróż gaduły Daniela, ani w ogóle nikogo ze służby swojego ojca. Incognito musiało być pewne.

Na przebycie niespełna trzystu kilometrów, dzielących Addis Abebę od Dżirenu zużył aż czternaście dni, a to z powodu pory deszczowej, po czym przez dalszy tydzień czekał na audiencję u władcy małego sułtanatu. Bo małą jest Dżimma, lecz zamożną krainą. Zamożną, dzięki swojemu położeniu, które uczyniło ją pośrednikiem w wymianie produktów pomiędzy o taczającymi ją prowincjami. Bawełnę z pogranicza Sudanu, kawę z jej ojczyzny, królestwa Kaffa, wyroby rzemieślników z Gurage, najlepsze konie abisyńskie z Szoa, zboże z Godzamu, złoto i platynę z legendarnego Ofiru, wszystko to kupuje się i sprzedaje najkorzystniej w Dżimmie.

Nic tedy dziwnego, że niemal wszyscy jej mieszkańcy trudnią się głównie handlem. Wszyscy, prócz 120.000 eks-niewolników sułtana. Ci ni to wyzwoleńcy, ni to glebae adscripti⁽¹⁾ wieśniacy pracują obecnie na plantacjach bawełny. A bawełna stała się ostatnio dzięki Japończykom prawie tak wielkim źródłem dochodów, jakim był doniedawna handel niewolnikami, zwłaszcza płci żeńskiej. Najpiękniejsze Gallanki właśnie tutaj sprzedawano dostawcom haremów. Mile wspomina się te czasy na jarmarkach w Hirmacie i w Menderze, dwóch dzielnicach „stołecznego miasta” Dżiren, tak od niego odległych, że właściwie tworzą dwie odrębne miejsciny.

W tych warunkach władca Dżimmy musiał stać się najbogatszym ze wszystkich rasów i negusów Abisynii. Takiego przepychu Salomon nie widział przedtem ani w Addis Abebie, ani nigdzie w Europie. Nie stropił się tym jednak, kiedy rozpoczęła się audyencja i gładko ją recytował wszystkie te łgarstwa, które mu mądry rodzic wbił do głowy: Jest aptekarzem, mieszka w portowym mieście Massaua. Jechał statkiem do Dżibuti, koleją do Addis Abeby, stamtąd zaś na mule przez góry, doliny, lasy i wezbrane strumienie. A dlatego odbył tę daleką podróż, że tylko w błogosławionej krainie Dżimma rośnie ziele, którego mu trzeba na gwałt. Zatem on, Mateusz Tullim, najpokorniej prosi, by wielki sułtan dał mu swój glejt na podróż po całym kraju i pozwolenie na wywiezienie kilkunastu worków ziele, cenniejszego niż złoto.

— Jakież to ziele? — spytał z zainteresowaniem stary chciwiec.

Salomon, uszczęśliwiony, że rybka gładko połknęła haczyk, wymienił pierwszą lepszą nazwę łacińską.

— To ziele w mig powstrzymuje upływ krwi z ran, dlatego jest mi potrzebne tak pilnie — zmyślał dalej z zapalem. — Bo wojna wybuchnie z całą pewnością we wrześniu. Już nic jej zapobiec nie może. Nic i nikt!

— Allah jest wielki, młodzieńcze.

Młodzieniec przystał na to dla świętej zgody, po czym znowu zaczął mówić o wojnie. Przechodzi ludzkie wyobrażenie, twierdził, co wyrabiają ci Biali. W Massaua dzień w dzień ląduje tysiąc żołnierzy. Z olbrzymich statków wyładowuje się muły, wielbłądy, armaty, pociski i wszelki sprzęt wojenny. Setki robotników budują tam domy, magazyny, drogi z szaleńczym pośpiechem...

— Z pośpiechem, hum — wtrącił sułtan sceptycznie. — Młodzieńcze, czy znasz przysłowie: *Allachu, po co ci było jeszcze stwarzać piekło, skoro już miałeś na ziemi Massauę?!* Znasz to?

Salomon dał odpowiedź twierdzącą, ale zaklął się, że nie łże, Biali naprawdę rozbudowują Massauę. Upały są tam piekielne, nikt by ich nie zniósł przy pracy, dlatego Biali za dnia śpią. Za to po zachodzie słońca wre robota aż do świtu. Przy ogromnych lampach, jasnych jak małe słońca. A podobnie jak w Massaua jest w całej Erytrei, która przemieniła się w jeden wielki obóz. Oczywiście z nie mniejszym zapalem gotują się do wojny Abisyńczycy. Jeżeli zaś chodzi o wynik przyszłej wojny, to zdaje się nie ulegać najmniejszej wątpliwości, że zwycięstwo...

— Powoli, młodzieńcze, powoli. Jeszcze nie skończyliśmy z tym twoim zielem. Ciekaw jestem, czy nie ma go w moim ogrodzie. Pójdź ze mną...

Sułtanowi nie chodziło o ziele, tylko o to, by o szansach zwycięstwa nie mówić w obecności świty. Do ogrodu udali się więc sami, co Salomona wprawiło w zachwyty. Nie przypuszczał, że tak rychło będzie mógł pogadać z kacykiem bez świadków. I z nadmiaru radości palnął głupstwo. Zamiast powoli snuć nić intrygi, „rąbnął” prosto z mostu:

— Nie jestem aptekarzem, tylko wysłannikiem gubernatora de Bono⁽²⁾, który przeze mnie

śle ci, dostojny emirze, swe pozdrowienie. I zapytuje, czy za cenę przyłączenia do Dżimmy całego królestwa Kaffa zgodzi się wasza królewska mość uderzyć na Addis Abebę najpóźniej w miesiąc po wybuchu wojny z Włochami.

Ochłonawszy ze zdumienia, sułtan zapytał, dlaczego generał de Bono nie przedłożył mu tych propozycji formalnie, na piśmie.

— Dostojny emirze, zwykła przezorność wymaga, by...

— Przezorność, otóż to! O przezorności powiada przysłowie: *Nie poznasz na wskroś człowieka, pókiś z nim nie zjadł beczki soli*. A żeby spożyć beczkę soli, trzeba z kimś jeść i żyć razem przez wiele, wiele lat.

— Czy emir posądza gubernatora Erytrei o zamiar niedotrzymania danych obietnic?!

— Młodzińcze, nie przywykłem do tego, by **mnie** zadawano pytania. Nie przystoi to zwłaszcza tobie, który mógłbyś być moim prawnukiem!... I na tym kończę naszą rozmowę.

— A jaką odpowiedź mam zanieść mojemu panu?

— Dowiesz się tego za kilka dni.

— Dobrze. Proszę tylko pokornie, aby odpowiedź była jasna, niedwuznaczna; *Tak* albo *nie*. Bo mój pan kazał mi oświadczyć: *Kto nie jest z nami, ten przeciw nam, ten nasz wróg!*

Zakończywszy tak patetycznie te nieudolne wywody, Salomon pełen najlepszych myśli odszedł na swą kwaterę w miasteczku. Natomiast Abba Koro (*Ojciec kraju*) długo, długo błędził po ogrodzie i przeżuwał w myślach to, co usłyszał tutaj, aż w końcu jeden z ulubieńców ośmielił się podejść i przypomnieć:

— Najczcigodniejszy emirze, gość czeka.

— Jaki gość?

— Sidi Syozo Miyazaki.

— Ach, prawda, prawda! Zupełnie zapomniałem, że mam dziś spożyć wieczerzę z moim najlepszym gościem...

Syozo Miyazaki należał do spółki, która na 99 lat wydzierżawiła w Abisynii pod uprawę bawełny milion hektarów ziemi, z czego ósma część leży w obrębie królestwa Dżimma i władca tej krainy otrzymuje rokrocznie piękny czynsz dzierżawny. Ale to jeszcze nie wszystko. Po zniesieniu niewolnictwa 120.000 wyzwoleńców domagało się nadal utrzymania. Rad nie rad sułtan musiał ich żywić, aby zaś darmo chleba nie jedli, wymyślał im przeróżne roboty nie przynoszące mu żadnych zysków. Wtem zjawili się kapitaliści japońscy. Wydzierżawili ziemię i zaczęli rozglądać się za robotnikiem, oczywiście jak najtańszym. Rozumie się, emir Dżiffar wpakował im co prędzej swoich wyzwoleńców, i rozumie się także, iż połowę ich nędznych zarobków robotniczych zabierał dla siebie, jako *Ojciec kraju*. Dlatego to właśnie Syozo Miyazaki, bawiący na objeździe plantacji abisyńskich, był istotnie najmiłszym gościem sułtana, któremu (co tu owijać w bawełnę!) bawełniane interesy przyniosły dotychczas ponad milion talarów netto.

Wieczera dobiegała końca, kiedy gospodarz spytał znienacka:

— Sidi Miyazaki, co sądzisz o wojnie?

— Że dla jednych jest przekleństwem, dla drugich okresem najlepszych interesów, dostojny emirze.

— A siebie, efendi, do której zaliczyłbyś grupy?

— Obecnie raczej do pierwszej, za parę lat do drugiej.

— Ponieważ zaś łączą nas rozliczne interesy, muszę chyba i siebie wliczyć do twojej grupy, co?

— Tak jest, najczcigodniejszy. Dzisiaj nie jesteśmy jeszcze nie przygotowani do ponętnej

roli dostawców wojennych.

— Niestety — wypsnęło się sułtanowi.

— Bowiem na wojnie mogą zyskać tylko dostawcy wojskowi, przede wszystkim fabrykanci broni no i ci, którzy nie mają nic do stracenia. Hołota.

— Otóż to, otóż to.

— A ty, emirze mógłbyś stracić bardzo wiele! Wszystko!

— Otóż to właśnie — potakiwał wciąż starzec, głaszcząc swoją długą brodę, białą jak mleko. — I, co najgorsze, wbrew własnej woli będę wciągnięty do wojny... Sidi Miyazaki, po czyjej stronie ty byś wystąpił, będąc na moim miejscu? I gdybyś wystąpić musiał.

— Zawsze po stronie zwycięzcy.

— Ba, gdyby to Allah zechciał mi objawić, komu da zwycięstwo.

— Co do tego nie ma najmniejszych wątpliwości.

— Jakże to?

— Zwycięży, jak zawsze Anglia. To stulecie należy jeszcze do niej, później przyjdzie kolej na nas, na Japonię!

Sułtan spojrział ze zgorzaniem na gościa.

— Nie posądzam cię, efendi, iż stroisz sobie żarty — odezwał się strofująco. — Wojna wybuchnie pomiędzy Etiopią a Włochami, ty zaś powiadasz mi z poważną miną: *Zwycięży Anglia*.

— Gdzie się dwóch bije, tam trzeci korzysta, a tym trzecim najczęściej bywa Anglia. Ponieważ zaś Włosi są silniejsi, Anglia stanie po stronie słabszych i walczyć będzie aż do ostatniego... **Abisyńczyka!** Po czym wszystkie korzyści z tej wojny zgarnie sama. Twoja Dżimma stanie się częścią brytyjskiego Sudanu.

— Wnoszę stąd, że ty, efendi, na moim miejscu nie okazywałbyś żadnej przychylności Włochom.

— Oczywiście, że nie! Narzącać się Anglii?!

Sułtan, który przed chwilą tarosił swoją piękną brodę niemiłosiernie, znów zaczął ją gładzić z czułością i uśmiechać się z zadowoleniem.

— Mądrze tedy postąpiłem z... chi, chi, chi, agentem włoskim.

— Przysłali agenta?

— Dwóch! Drugi właśnie dzisiaj przedstawił mi podobną propozycję, jak ongiś pierwszy. I tego drugiego, chi, chi, chi... — piskliwy, starczy chichot zabrzmiał dziwnie złowrogo, — tak samiuteńko urzędzę, chi, chi, chi...

Nazajutrz rano wezwano do pałacu *Mateusza Tullima*, aptekarza z *Massauy*. Sułtan osobiście wręczył mu list opatrzony pieczęciami.

— Oto moja odpowiedź dla twojego pana — rzekł.

Uśmiechał się przy tym tak przyjaźnie, że ośmielony tym Salomon zapytał wręcz, czy odpowiedź dla generała de Bono jest pomyslna.

— Gdyby było inaczej, nie dałbym ci listu, który już sam przez się stanowi dowód moich konszachtów z twoim panem.

Salomon Mongosza nie mógł temu odmówić słuszności i szalał z radości. Jadąc do Dżirenu, nie przypuszczał, że zdoła wywiązać się z poruczonego sobie zadania tak szybko i tak świetnie. Ten list przeszedł jego najśmielsze oczekiwania. Ten list to przecież najbardziej przekonujący dowód zamierzonej zdrady sułtana. Już tam negus negesti obmyśli odpowiednio surową karę dla niewiernego wasala oraz nagrodę dla młodego medyka, który w imię miłości ojczyzny musiał odegrać rolę prowokatora.

— Byle mnie znowu nie wysłał w podobnej misji do jakiego rasa. Chciałbym nareszcie pozostać dłużej w stolicy. Odszukałbym ją, i...

Ją, to znaczy Taitu, córkę Abła Yamgana. O niej młodzieniec najwięcej myślał, jadąc na czele swej maleńkiej karawany. O pięknej Taitu marzył teraz, chociaż podróż podczas ulewy niezbyt nastrojała do marzeń. Drzewa nie były jeszcze obdarte ze swej zielonej szaty, jak przy końcu pory deszczowej, a szum liści chłostanych nawałnicą zagłuszał inne odgłosy. Człapiący na końcu właściciel mułów zauważył oddziałek konnych dopiero wtedy, gdy ten był tuż za nimi.

— Panie, jacyś ludzie.

Rozmarzony Salomon Mongosza nawet nie raczył spojrzeć, nie lękał się napadu w biały dzień na uczęszczanym szlaku karawan, nie przeczuwał...

— Mają miejsca dosyć, nie myślę zjeżdżać w las — odburknął.

Konni jadący dwójkami rozdzielili się tak, że przy mijaniu idących gęsiego mułów wzięli je w środek. Nagle świsnęły trzy arkany i trzech podróżnicy spadli z mułów w błoto, gdyż napastnicy w momencie ataku podcięli konie. Salomon, kiedy go przez chwilę wleczono po ziemi, uderzył głową o kamień, zemdlął. Po odzyskaniu przytomności stwierdził, że jedzie znowu na swoim mule, ale związany jak baran. Podobny los spotkał jego dwóch towarzyszy, przewodnika i poganiacza. Po kilkugodzinnej podróży przez zakazane wertepy górskie dotarli do otoczonych lasem ruin jakiegoś zamku, którego tylko jedna baszta zachowała się dobrze. Przybywającym wyszedł naprzeciw ponury dryblas, prowadząc na łańcuszkach dwa niezmiernie hałaśliwe psy. Poszwargotał z konnymi w nieznanym języku, z ich pomocą odsunął potężny głaz zasłaniający wejście do lochu, do którego zrzucano trzech więźniów tak, jakby to były kłody drewna i głaz zasunięto na powrót.

— A to niespodzianka, no!

— Niech ją zaraza! Przez tyle miesięcy nic, aż teraz nagle... Właśnie teraz diabli musieli tu przynieść kogoś.

— Trzech, panie profesorze.

Salomon Mongosza nie wierzył uszom. Ludzie, którzy prócz nich byli uwięzieni w tej piwnicy rozmawiali z sobą po francusku!

— Hallo, panowie — zawołał — rozwiążcie mnie, bo ręce mi...

— Co, u licha?! Europejczyk?!

Dwóch mężczyzn przeniosło Salomona w inny kąt piwnicy, pod małe zakratowane okienko i zaczęło go rozwiązywać, podczas gdy on przyglądał się im ze zrozumiałą ciekawością. Czarni od brudu, cuchnący kałem, zarośnięci tak, jak gdyby nie golili się od roku, powinni byli wzbudzić w nim odrazę, tymczasem z miejsca poczuł do nich sympatię jako do przyszłych towarzyszy niedoli. Dość prędko zdołał odróżnić Negra od Europejczyka, którego Murzyn tytułował profesorem. Profesor był wcale rozmowny. Zasypywał Salomona pytaniami, a dowiedziawszy się, że napadnięto go w powrotnej drodze z Dżiren, jał dowodzić, iż właściwym organizatorem napadu jest sułtan. Mongosza nie chciał w to uwierzyć.

— Jakże, przecież on sam dał mi dziś rano ważny list.

— Koperta bez adresu, za to z mnóstwem pieczęci, co? A wewnątrz czysta kartka papieru. Taki „ważny” list ja również dostałem od niego.

Mimo prośb Salomona, nazbyt osłabionego, by móc się zdobyć na czynny opór, profesor wyjął mu z kieszeni list sułtana, złamał pieczęcie, rozdarł kopertę i wyjął z niej zupełnie niezapisany świstek papieru.

— Czy wątpi pan jeszcze nadal, że emir...

— Nie! — wtrącił młodzieniec gwałtownie. — Wystrychnął mnie na dudka ten chytry

dziadyga, ale ja mu za to kiedyś zapłacę!

— O, co to, to nie! Ja mam z nim dawniejsze porachunki. Ja tu przez niego gniję od tyłu miesiący, że straciłem rachubę czasu. Przez łajdacką perfidię tego dziada z pewnością uznano mnie już za zmarłego i moja najdroższa... och... głos mu zadrgał od nagłego wzruszenia, które jednak szybko pokrył sztuczną żartobliwością: — Dzielimy skórę na lwie, a lew jeszcze żyje i nie wiadomo, czy losy pozwolą nam zapolować na niego. Pierw trzeba wydostać się stąd...

— Wydostaniemy się na pewno. Ręczę!

Salomon przypuszczał, że jeśli jego powrót do Addis Abeby nie nastąpi w ciągu tego miesiąca, cesarz poleci go szukać albo zażąda od sułtana wysokiego odszkodowania za zaginionego. Że zaś stary kutwa płacić nie lubi, każe co prędzej wypuścić więźnia na wolność.

— Liczę na pomoc z zewnątrz.

— Najpewniej zawsze liczyć na siebie.

— A wierzy pan w możliwość ucieczki z tej piwnicy?

— Gdybym nie wierzył, byłbym się już dawno powiesił na rzemieniach swojego plecaka...

— W którym doskonale nosi się ziemię — wtrącił Murzyn.

— Wnoszę stąd — ożywił się Salomon — że przygotowania do ucieczki są w toku.

Kiedy spodziewacie się je ukończyć?

— Za sześć, siedem dni. Może wcześniej, jeśli wy nam pomożecie.

— Oczywiście! Proszę mną dysponować jak swoim pomocnikiem.

— A zatem jesteśmy sprzymierzeńcami. Oto moja dłoń, panie?...

Aha, teraz należało przedstawić się. Salomon już miał na języku: *Jestem Mongosza*, kiedy przypomniał sobie dyplomatyczno-prowokatorską misję, z jaką go wysłano; misja nie powiodła się wprawdzie, lecz bez pozwolenia cesarza nie miał prawa zdradzać swego incognito, sądził.

— Jestem Mateusz Tullim — rzekł, uważając, iż najwłaściwiej będzie wymienić nazwisko, na jakie opiewał fałszywy paszport.

Kubek w kubek to samo przyszło na myśl Europejczykowi, zwanemu przez czarnego sługę profesorem i również podał swe przybrane nazwisko:

— A ja nazywam się Valentin Duroc.

⁽¹⁾ *glebae adscripti* (łac.) – przypisani do ziemi; bez prawa zmiany miejsca zamieszkania.

⁽²⁾ Emilio De Bono (1866-1944) – włoski marszałek. Uczestnik I wojny światowej, współorganizator partii faszystowskiej. Członek Wielkiej Rady Faszystowskiej. W latach 1925-1929 gubernator Trypolitanii. W latach 1929-1935 minister do spraw kolonii Królestwa Włoch. 1932-1933 opracowywał plan podboju Etiopii. W 1935 przez kilka miesięcy piastował stanowisko gubernatora Erytrei.

ROZDZIAŁ XXVII

W pierwszej chwili Taitu rozczarowała się bardzo...

Cesarz Lidż Jassu był ongiś smukłym, wybitnie przystojnym młodzieńcem, o szczupłej, rasowej twarzy i czarnych niby węgiel oczach potwierdzających swym wyrazem opinię dzielnego awanturnika, jaką cieszył się w kraju. Takiego знаła go z oleodruku, który Abel Yamgan pieczołowicie przechowywał w swojej izbie. W takim kochała się długo, jak zresztą tysiące jej rówieśniczek, a wieść o jego uwięzieniu uwieńczyła mu skronie aureolą męczeństwa. Lidż Jassu stracił tron z wielu powodów. Przede wszystkim przez swe sympatie dla mocarstw centralnych, po których stronie zamierzał czynnie wystąpić podczas wojny światowej. Lecz dla Taitu najbardziej zrozumiała ze wszystkich przyczyn upadku cesarza Jassu była ta romantyczna. Oto zakochał się na zabój w młodziutkiej dziewczynie, córce prawie biedaka, mahometanina. Dla niej porzucił żonę. Dla niej przeszedł na islam. Dla niej zraził sobie wszechwładne w Abisynii duchowieństwo. Za to w oczach Taitu wyrósł na bohatera, na bożka, do którego modliła się przez całe lata.

Kiedy Jonasz Mongosza częściowo wtajemniczył żonę w swoje plany, zaprotestowała z oburzeniem. Jak to, ona miała by wyrządzić krzywdę nieszczęśliwemu władcy więzionemu od dziesiętnastu lat?! Przenigdy!

— Ha, wobec tego również przenigdy nie otrzymasz ode mnie rozwodu, przenigdy nie ujrzysz mojego brata, którego pono kochasz tak gorąco i z wzajemnością — odparł Jonasz, po czym dorzucił drugą pogroźkę, jeszcze straszniejszą — a twój ojciec zawisnie na szubienicy! Nie zapominaj, iż życie Abla Yamgana jest w moich rękach. Tak rozporządził negus negesti. Nie wierzysz? Patrz, oto dwa pisma kancelarii cesarskiej: zatwierdzenie wyroku śmierci i ułaskawienie. Tylko ode mnie zależy, który z tych dokumentów zniszczę. Ode mnie lub raczej od ciebie!

Dla ratowania ojca Taitu zgodziła się na wszelkie żądania pozbawionego skrupułów męża. Rano, po owej niezwyklej nocy poślubnej udali się do Dukliamu, stamtąd pociągiem do Diredauy, potem konno do Hararu, gdzie rączę rumaki zmienili na muły, znacznie powolniejsze, ale lepsze do drogi w górach. A czekała ich na zakończenie podróży trudna wspinaczka na Gara Mulata, masyw górski, średnio, jak na Abisynię, bo na 3.000 metrów wysoki, lecz bardzo rozległy, postrzępiony jarami i dziki. Kiedy ukazały się kontury zabudowań Kerauy, Jonasz Mongosza raz jeszcze przypomniał żonie, iż zamieszkają tam pod nazwiskiem *Brehan*. On, Jonasz nazywa się obecnie Hafid Brehan, ona zaś Yamina Brehan.

— Czy imię także muszę zmienić? — skrzywiła się. — *Taitu* to śliczne imię. Nosiła je nawet jedna cesarzowa!

— Właśnie dlatego, że nosiła je żona Menelika, musisz je zmienić. Lidż Jassu w dzieciństwie dużo od niej wycierpiał, a ty nie masz w nim budzić przykrych wspomnień, tylko najpiękniejsze, najmiłsze!

— Rozumiem. Lecz skoro już mam przybrać imię muzułmańskie, to wołałabym jakieś ładniejsze niż *Yamina*.

— Powiedziałem ci, że masz w nim budzić najrozkoszniejsze wspomnienia. A *Yamina*

było na imię drugiej żonie Lidź Jassu... I upominam po raz ostatni, iżbyś postępowała z nim ściśle tak, jak cię uczyłem przez te cztery dni naszej podróży...

Nazajutrz rano komendant straży pilnującej cesarskiego więźnia oznajmił wszem wobec, że wyjeżdża na urlop, podczas którego zastępować go tu będzie pan Hafid Brehan, przybyły do Kerauy wczoraj wieczorem. Nowy komendant bezzwłocznie rozpoczął swoje twarde rządy. Rozpróżniaczeni żołnierze-wartownicy, którzy prawie zapomnieli, jak wygląda musztra, musieli przez sześć godzin podczas ulewnego deszczu odbywać ćwiczenia i to pod oknami domu Lidź Jassu. Wrzaski komenderujących podoficerów rozdzierały mu uszy rozmiłowane w ciszy, jaka panowała tu od niepamiętnych czasów, lecz nie rzekł nic. Wytrącił go z równowagi dopiero obiad, jaki mu przyniesiono.

— To jest żarcie dobre dla psów, nie dla człowieka — „wsiadł” na nowego komendanta, który stawił się na wezwanie umyślnie z godzinnym opóźnieniem — a cóż dopiero dla cesarza!

— Dla **byłego** cesarza, obecnie mojego więźnia!

— Zuchwalcze, ty śmiesz do...

— Nie podnosić głosu!... Ja za to zwykłem karać postem!

Lidź Jassu osłupiał. Coś podobnego nie wydarzyło mu się nigdy, ani tutaj, ani tym bardziej w poprzednim więzieniu w Fitsze, gdzie codziennie wożono go autem na spacer. Na wyraźny rozkaz Hailego Selassiego był zawsze traktowany z największymi względami, a każde jego zażalenie powodowało natychmiastowe usunięcie złego dozorczy. Aż dzisiaj ten jednooki Hafid ośmielił się... Nieee, tego płazem puścić nie można!

— Za godzinę żeby mi goniec był gotowy do drogi. Zawiezie do Addis Abeby mój list z zażaleniem.

— Może zawieźć, ale dopiero gdy ja wyjadę z Kerauy. Dopóki zaś trwają tu moje rządy, żadnego listu stąd nie wypuszczę. I żegnam.

Ponownie został wezwany tegoż dnia po zachodzie słońca. Lidź Jassu, siedzący po turecku na szerokim, bambusowym łożu, na którym wylegiwał się całymi dniami, dramatycznym ruchem ręki wskazał pusty talerz.

— Co, znowu jedzenie niedobre?! — obruszył się jednooki.

— Ależ świetne tym razem, tylko mało!

— No myślę, że świetne. Moja żona sama piekła te kurczęta.

— Lecz przysłała mi zaledwie pół małego kurczaka. Dziecko nasyciłoby się tym może, ale nigdy mężczyzna taki, jak ja. Dawniej, jeśli były kurczęta na wieczerzę, dostawałem ich zawsze trzy, a poza tym chleb, pieróg, jarzyny, owoce i...

— Eeech, ja mam ważniejsze sprawy na głowie. Kuchnią zarządza moja żona, jej proszę wymienić swe życzenia w tym względzie. — Jednooki podszedł do okna, przywołał któregoś z wartowników. — Powiedz mojej małżonce, że wzywam ją tu natychmiast — rozkazał.

Lidź Jassu ostentacyjnie odwrócił się tyłem do drzwi. Bezsilny wobec brutalności komendanta, chciał przynajmniej teraz, przy jego żonie zaznaczyć, że uważa ich oboje za parszywe psy, których widok wywołuje w nim największy wstręt. Sądząc po jednookim, wyobrażał sobie, iż jego małżonka musi być równie brzydka, antypatyczna i musi mieć podobnie skrzecząco piskliwy głos. Tymczasem spotkała go niespodzianka. Gdy ustało przeraźliwe skrzypienie drzwi, oznajmiające, że ktoś wszedł tutaj, zadźwięczał niby srebrne dzwoneczki świeży, melodyjny głosik. Pani Hafidowa pytała właśnie męża, dlaczego ją przywołał, co jej rozkaże.

— Ja? Nic. To on ma jakieś życzenie — odparł jednooki, wskazawszy na zdetronizowanego władcę, którego to pogardliwe *on* zapiekło, jak siarczysty policzek. —

Wysłuchasz go i powtórzysz mi wiernie jego słowa. Później ja rozstrzygnę, co z tego można uwzględnić, a czego nie... Idę teraz rozstawić nocne strażę. Za godzinę wrócę do mieszkania. Biada, jeżeli cię tam już nie zastanę, biada ci!

Znowu ten okropny jęk drzwi posiadających zamiast żelaznych zawiasów dwa drewniane kołki wpuszczone w odpowiednie otwory, jeden w progu, drugi w górnej futrynie. Przy budowie domu-więzienia przeznaczonego dla Lidza Jassu nie zużyto ani jednego gwoźdźdź, ani jednej cegły czy kamienia. Wyłącznie drewno! Gdyż według abisyńskiego przesądu tylko drewno chroni przed demonami, które podszeptują ludziom złe myśli. A przecież w pozbawionym tronu władcy owe demony znalazłyby wdzięcznego słuchacza. Zaraz by zaczął rozmyślać o ucieczce, o zemście, o zamachu stanu. I właśnie aby zabezpieczyć się przed tym, zbudowano mu dom z samego drewna, nawet klamki nie były metalowe, ani zawiasy, zasuwki, kraty w oknach czy choćby świeczniki.

Gdy ustało okropne skrzypienie drzwi i ucichły kroki odchodzącego komendanta, zabrzmiał ów śpiewny głosik:

— Łaski, wasza cesarska mość! Racz puścić w niepamięć bluźnierstwa mego szalonego małżonka... Łaski... łaski...

Lidz Jassu nie wierzył uszom: ani najgrzeczniejsi z dozorców nie tytułowali go *cesarską mością*, to było surowo wzbronione, tymczasem teraz żona tego brutalą... Niesłychane! Odwrócił głowę, spojrzął, zdziwił się jeszcze bardziej. Na środku izby, pod drewnianym żyrandolem, klęczała szczupła, zgrabna niewiastka i czołem tłukła o podłogę. Westchnął. Tak niskie pokłony ongiś bili mu wszyscy, od dziewiętnastu lat nikt. Ona pierwsza! Mile ujęty tym hołdem, opuścił bambusowe łożo, podszedł do klęczącej, podniósł ją łaskawie i aż cmoknął z zachwytem; podobnie urodziwej kobiety nie widział od czasów swojego panowania.

Natomiast Taitu w pierwszej chwili rozczarowała się bardzo!

Przedtem, kiedy weszła tutaj, Lidz Jassu siedział plecami odwrócony do drzwi, na dobitek w cieniu, jaki rzucał baldachim rozpięty nad łożem. Dopiero teraz zobaczyła go i to z bliska. Zobaczyła bezlitośnie złośliwą karykaturę człowieka, którego przez całe swoje dzieciństwo uważała słusznie za ideał męskiej urody. Bowiem cesarz Jassu był naprawdę bardzo pięknym mężczyzną... ongiś i z tych czasów pochodził oleodruk z nabożeństwem podziwiany przez Taitu. Na nim wnuk wielkiego Menelika, nie miał jeszcze ani śladu zarostu, był szczupłym młodzieńcem odzianym we wspaniałą koronacyjny strój. Teraz zaś stał przed nią otyły brodaczek, o zgąszłym spojrzeniu i smutnej twarzy nieszczęśnika skazanego na dożywotnie więzienie i siedzącego za kratami już od dziewiętnastu lat. Teraz eks-cesarz Jassu, urodzony, jak wiadomo, w roku 1895, był już czterdziestoletnim mężczyzną, a wyglądał nieomal na starca. Teraz miał na sobie takie same obcisłe spodnie i taką samą szamkę, co wszyscy zwyczajni śmiertelnicy w Abisynii.

— Ooooch — westchnęła i zasłoniła sobie oczy dłońmi.

Biedny więzień zrozumiał ten gest opacznie.

— Możesz patrzeć w moje oblicze — rzekł łaskawie — pozwalam ci, piękna... ba, przecież nie wiem, jakie nosisz imię?

— Yamina.

— Co?! Jak?! — aż się zatoczył.

— Yamina, wasza cesarska mość.

— Jaminia... Jaminia... Jaminia...

W ten właśnie sposób wymawiał to imię i z tak bezmierną tkliwością, jak gdyby witał nim kochankę po wieloletniej rozłące.

— Nieładne imię, prawda?

— Nie bluźnij! — oburzył się Jassu. — Piękniejszego imienia nie ma na ziemi ani w raju Mahometa! Jaminia... Jaminia... Jaminia...

— Co wasza cesarska mość rozkaże? — spytała Taitu, udając, że bierze to do siebie. — Słucham.

— Myślałem o mojej małżonce, której także było *Jaminia*. I głos masz do niej bardzo podobny — wmawiał w siebie. — Przeto będę rad, jeśli przyjdiesz tu niekiedy, Jaminio...

Przychodziła co najmniej raz na dzień. Jeżeli zasiedziała się dłużej, mąż przybiegał po nią i urządzał jej piekielną scenę zazdrości pod oknami domu cesarskiego więźnia. Na tej komedii Jonasz Mongosza nie poprzestał oczywiście. Codziennie wymyślał dla Lidza Jassu jakąś nową szykanę, której ostrze Taitu natychmiast łagodziła, rzekomo w tajemnicy przed mężem. Dzięki tej metodzie, na tle brutalności *Hafida Brehana* dobroć *Yaminy Brehan* była tym bardziej anielska, tym bardziej zasługująca na wdzięczność więźnia. Skutek chytrej kalkulacji Jonasza musiał być niezawodny i szybki. Lidz Jassu istotnie czuł wdzięczność do Taitu za jej dobroć i za to, że przypominała mu ukochaną żonę, i za to, że rozbudziła w nim nadzieje, z których zrezygnował już dawno.

— Głową rękę, że wasza cesarska mość odzyska tron — rzekła już na trzeci dzień po swoim przybyciu do Kerauy. — Takich, którzy tego równie gorąco pragną, jak ja, jest w Etiopii dziesięć milionów! Haile Selassie ma za sobą tylko gwardzistów, którym płaci piękny żołąd, i duchowieństwo, które waszej cesarskiej mości nie może zapomnieć zmiany religii. Za to cały naród przeklina reformy uzurpatora i z niecierpliwością wygląda powrotu waszej cesarskiej mości.

Dzięki swej fenomenalnej pamięci powtarzała bez błędu wszystko, co Jonasz kazał jej tu powiedzieć, choć nie rozumiała znaczenia niektórych wyrazów, jak *reformy*, *uzurpator*, *religia* itp. A Lidz Jassu pochłaniał te nieprawdziwe nowiny chciwie, upajał się nimi i tę, która mu je pierwsza zwiastowała lubił coraz bardziej. Nazajutrz po owej rozmowie zażądał od jednookiego nożyczek, brzytwy oraz mydła.

— Mydło każę przynieść, lecz nic więcej. Żadnego żelaziwa.

— Ależ ja nie zamierzam popełnić samobójstwa. O, przeciwnie, teraz pragnę żyć bardziej niż kiedykolwiek!

— To szkoda. Gdybyś umarł, nie potrzebowałbym siedzieć w tym pustkowiu, wróciłbym do stolicy... Nożyczek ci jednak nie dam, ani brzytwy.

Tak dosłownie powiedział *zuchwały brutal*, za o „anielska Yamina natychmiast dostarczyła więźniowi żądanych przedmiotów. Kiedy tegoż dnia po raz drugi zajrzała tutaj, wybałuszyła oczy ze zdziwienia. Lidz Jassu zgolił sobie bokobrody, długie wąsiska przystrzygł na małą szczoteczkę, brodę skrócił o połowę i starannie wyrównał, uczesał, a głowę nakrył białym turbanem, który przyczynił mu wzrostu. Lidz Jassu nagle odmłodził o piętnaście lat, wyprzystojniał. Jego twarz stała się jakby szczuplejsza. Jego piękne czarne oczy błyszczały z podniecenia na myśl o tryumfalnym wjeździe do stolicy, jaki odbył dzisiejszej nocy w rozkosznym śnie. Czy ogolił się przez wzgląd na możliwość urzeczywistnienia się tego snu, czy aby przypodobać się rzekomej Yaminie, nie wiadomo. Faktem jednak było, iż od tego dnia Lidz Jassu, ongiś abisyński arbiter elegantiarum⁽¹⁾ zaczął znowu dbać o swój wygląd zewnętrzny. Zaczął dbać nawet o *linię*. Nie objadał się już tak, jak dotychczas, nie wylegiwał się na szerokim łożu z bambusów, za to coraz więcej czasu spędzał na „pojedyńkach” ze swoim śmiertelnym wrogiem. Wyobrażał tu Hailego Selassiego zawieszony na żyrandolu worek wypchany słomą. Jassu uzbrojony w drewniany pałasz własnej fabrykacji godzinami walczył z tym manekinem, a

ta gimnastka była znakomitą kuracją odtłuszczającą.

— On z każdym dniem jest przystojniejszy — rzekła któregoś dnia Taitu do Jonasza.

— Tym lepiej — odparł cynicznie — nie będziesz miała powodów do narzekania, kiedy Jassu nareszcie zacznie mnie wyręczać w spełnianiu obowiązków małżeńskich.

— Co to znaczy?

— Nie rozumiesz, naiwne cielątko?

Gdy zrozumiała, spłonęła rumieńcem, oburzyła się.

— Do tego nie masz prawa mnie zmuszać! — zawołała.

— Nie zmuszam cię bynajmniej. Żądam tylko jednego: byś od niego wyłudziła wiadomość, gdzie znajduje się Góra Mądrości. A za jaką cenę uzyskasz tę cenną informację, to już twoja rzecz. I spiesz się, bo czas ucieka szybko!... Mam myśl. Kiedy mu dzisiaj zaniesiesz wieszczę, powiedz, że wyjechałem na inspekcję najdalszych posterunków i powrócę dopiero nad ranem, że więc możesz gawędzić z nim przez całą noc.

— O czym? Poucz mnie, jak doprowadzić do tego, aby rozmowa niepostrzeżenie zesłała na Górę Mądrości?

Jonasz chętnie spełnił to życzenie, ona zaś wchłaniała jego instrukcje, jak gąbka wodę, jak elektryczny odkurzacz pył z dywanu; ani jedno słowo nie zaginęło, nie mogło zagać przy takiej pamięci, jaką posiadała Taitu. Stosownie do rady męża, poleciła przygotować wieszczę szczególnie wystawną oraz gąsiorek tedżu, wystroiła się odświętnie, namaściła twarz wonnym olejkiem i, skoro słońce zaszło, udała się do więzienia, a za nią dwie służebne niosące dla niego wieszczę. Odprawiła je co prędzej.

— Wasza cesarska mość, dzisiaj — zaczęła z wielce tajemniczą miną — dzisiaj możemy rozmawiać nieco dłużej. Małżonek mój wyjechał na objazd dalekich posterunków i powróci dopiero z brzaskiem dnia.

— Oby nigdy nie wrócił, oby skreślił kark — wybuchnął Jassu.

Nic dziwnego, że wybuchnął. Wierny taktyce podkreślania kontrastu pomiędzy swoją złośliwością, a dobrocią „Yaminy”, Jonasz dzisiejszego popołudnia zaszedł więźniowi za skórę głęboko, jak nigdy dotychczas. Wywołało to obecnie chęć odwetu. — Wyjechał? Wróci aż rano? No, to mam świetną sposobność do przyprawienia mu rogów. Zasłużył łotr na nie, ona zaś jest materiałem na kochankę, która nie przyniosłaby ujmy nawet cesarzowi. Zwłaszcza uwięzionemu. — Pomyślawszy sobie tak, Lidz Jassu od razu „nastawił się” na spodziewaną przygodę miłosną, co oczywiście nie sprzyjało skupieniu potrzebnemu do rozmowy na temat, który Taitu pragnęła omówić dziś wyczerpująco.

— Podobasz mi się, Jaminio.

— Wasza cesarska mość, kiedyż nadejdzie dzień twojego powrotu do stolicy?! Cały naród oczekuje tej chwili z niecierpliwością.

— Nie wystarczy oczekiwać, trzeba działać... Jaminio, jesteś...

— Gołymi rękami walczyć dziś nie można.

— Pleciesz, ślicznotko. Co drugi Abisyńczyk ma strzelbę.

— Ma stary gruchot i ledwie tuzin ładunków do niego. A gwardia Hailego Selassiego posiada najnowsze karabiny, kulomioty, armaty i miliony pocisków. Bez podobnego uzbrojenia nic nie wskóramy z nimi.

— Jaminio, nigdy jeszcze nie byłaś tak piękna, jak dzisiaj.

— Musimy mieć broń, musimy!

— Więc kupcie ją u Białych.

— Za co? Wasza cesarska mość nie wyobraża sobie, jak bardzo zubożeliśmy wszyscy

pod rządami Hailego Selassiego. Wszyscy, prócz jego ludzi. A przemycana broń kosztuje trzy razy drożej. Och, mieć złoto!

— Ty je masz.

— Jaaa?!

— Poprzez tę cienką tkaninę twoje ciało złoci się precudnie.

Zaczął jej prawić komplementy i zmuszał ją, by piła też wraz z nim. Taitu, popędliwa z natury. zniecierpliwiła się szybko. Tupnęła.

— Panie mój, czy ty nie chcesz wrócić na tron?!

— Owszem, maleńka, owszem, lecz teraz chcę ciebie!

Chociaż miała się na baczości, schwycił ją za rękę i przyciągnął do siebie. Znowu napelnił kubki tedżem, a drugim ramieniem trzymał ją w pół, bez trudu łamiąc jej opór.

— Czy ty wiesz, co to jest pocałunek? — spytał z uśmiechem. — Nie wiesz na pewno, bo to wynalazek Białych. Wynalazek bardzo przyjemny, jak stwierdzisz niebawem i...

— Wasza cesarsss...

Dalsze słowa stłumił *przyjemny wynalazek Białych*. Był nieco inny niż w wersji Salomona Mongoszy, lecz nie mniej oszałamiający. Taitu miała gorącą krew Gallanki, a dwa kubki tedżu także zrobiły swoje.

— Smakowało?

— Bardzo — przyznała szczerze — ale...

— Pierw powtórzmy.

Powtarzał, dopóki mu tchu nie zabrakło, po czym wyciągnął dłoń po gąsiorek.

Skorzystała z przerwy, by ponowić recytację Jonaszowej lekcji.

— Żeby mieć nowoczesną broń potrzebną do zwalczenia gwardii Selassiego, musimy posiadać złoto. Tak mawia zawsze mój ojciec, najwierniejszy poddany waszej cesarskiej mości.

— Rad poznam go kiedyś, teraz wolę nacieszyć się jego córą.

— Nigdy! — zawołała rozpaczliwie. — Nigdy wasza cesarska mość nie odzyska berła, jeżeli nie ma złota...

— Jest. Jest złota tyle, że można by z niego zrobić podkowy dla wszystkich naszych koni i tarcze dla całego wojska.

— Czyż to możliwe? — spytała z dobrze udanym niedowierzaniem, a wewnątrz szalała z radości. Nareszcie zbliżyła się do celu!

— Nie tylko możliwe, ale pewne. Na własne oczy widziałem ten największy skarbiec świata, kiedy dziad mój Menelik zawiózł mnie do...

— Dddooo?!...

— Ech, czemu ja tracę czas na gadanie, zamiast korzystać z tego, że Allah ulitował się nad moją samotnością i zesłał mi najpiękniejszą hurysę⁽²⁾ swojego raję... Daj mi twoje słodkie usteczka...

Jego zmysłowe usta także były słodkie i nienasycone. Jego dłonie zniewieściałe w długiej bezczynności, miękkie jak aksamit, umiały pieścić przedziwnie. Jego palący wzrok obezwładniał, unicestwiał chęć oporu. Taitu czuła, że ulegnie i nie wiedziała, czy ma się cieszyć z tego, czy smucić. Jakiż mógłby być powód do smutku? Wzgląd na Salomona Mongoszę? Kochała go, lecz w cesarzu Lidżu Jassu kochała się jeszcze wcześniej. Kochała ich obu. Po swojemu, po abisyńsku. Kobieta abisyńska ma zazwyczaj dwóch kochanków prócz męża. Wszystkich trzech tak samo darzy swą miłością, nie zdradzi ich z nikim czwartym. Czwarty ma szansę dopiero wtedy, gdy triumwirat straci jednego członka. Wtedy czwarty zajmuje jego miejsce, staje się po prostu tym trzecim.

— Powstań, Jaminio, przeniosę cię na łożo.

— Po co? Tak mi dobrze jest tutaj. Gdybym jeszcze wiedziała, gdzie jest to złoto, które...

— Ach, znowu!

— ...które przywróci tron waszej...

— Powiem ci to kiedyś... może.

Tylko *może*?! Więc nie na pewno?! A jeśli nie powie, mściwy Jonasz wykona swą groźbę. Zniszczy dokument zawierający ułaskawienie Abła Yamgana i wyrok śmierci zostanie wykonany. Jej ukochany ojczulek zginie! Zginie! Lidź Jassu musi powiedzieć wszystko! Ona musi mu wydrzeć tajemnicę władców Abisynii, za wszelką cenę! Chociażby za to, czego spodziewał się teraz. Będzie do niego należała, nie prędzej jednak, aż zdobędzie wiadomość upragnioną przez Jonasza. O, nie prędzej, nie ma głupich!

Te i podobne myśli wirowały w głowie Taitu, podczas gdy Lidź Jassu, zupełnie pewny jej uległości, rozkładał na łożu najpiękniejsze skóry, najbardziej miękkie poduszki. Wtem zaskrzypiały drzwi, jeszcze przeraźliwiej, niż zwykle. Jassu odwrócił głowę i zdumiał się bardziej, niż gdyby na progu ujrzał jednookiego Hafida spieszącego pomścić swą krzywdę. W otwartych drzwiach stała ona!

— Jaminio, ty odchodzisz?! **Teraz!!**

Zdziwienie, smutek, gniew z powodu doznanego zawodu zabrzmiały zgodnym akordem w jego okrzyku. Potem zniżył się nawet do prośb, pojawiwszy, iż przemocą nie wskóra nic, gdyż nie dopędzi jej tutaj, a z domu warta nie pozwoli mu wybiec.

— Zostań, błagam! Czyż nie mówiłaś sama, że ci dobrze ze mną, że będziesz należała do mnie?

— Tak, będę kiedyś... **może!**

Odwzajemniwszy mu się w ten sposób, wybiegła z domu. Trzej wartownicy zachichotali na jej widok głośno, dając świadectwo swej domyślności; byli pewni, że *przeklęty pies*, nowy komendant, został dziś rogakcem i cieszyli się z tego. A komendant już spał. Po raz pierwszy zasnął wcześniej niż Taitu, zawsze coś czytał lub pisał wieczorami, kiedy ona już zasypiała i również wcześniej zrywał się z łóżka rano. Po raz pierwszy więc widziała go śpiącego. Właśnie dziś, gdy miała ochotę z nim pomówić o postępach swojej roboty wywiadowczej. Czy śpi na pewno? Pochyliła się nad nim i odskoczyła przestraszona. Jonasz miał jak gdyby rozłupaną głowę! Tak to określiła w myśli, gdyż nigdy jeszcze nie widziała zwyczajnej peruki. Czyżby go kto zamordował?! Nie. Mongosza chrapał aż miło, czego zabici *na ogół nie czynią*. Nieśmiało, delikatnie ujęła perukę za włosy, podniosła ją, obejrzała ze wszystkich stron, potem chcąc ją położyć na dawnym miejscu, spojrzała na jego głowę. Wrzasnęła.

— Co się stało?!

Jonasz wyrwany ze snu jej krzykiem dopiero po chwili zauważył, że Taitu trzyma w dłoni jego perukę. Zmarszczył brwi groźnie.

— Ttto leżało na podłodze — skłamała co prędzej.

Rozchmurzył się od razu, wskazał na swą sztuczną łysinę, oszpeconą w pośrodku trzema wytatuowanymi na skórze półksiężycami.

— Ohydne, co? — spytał z goryczą. — Teraz już nie będziesz mogła na mnie spojrzeć bez wstrętu... No, mów, przyznaj, że potworne!

— Ładne nie jest, ale tamten jeszcze gorzej miał łeb poznaczony. Tylko nie półksiężycem, lecz trzema krzyżykami...

Jonasz wyskoczył z łóżka, jak wystrzelony z katapuły. Pochwyciwszy Taitu za ramiona, zaczął nią potrząsać z dziką gwałtownością.

— Trzema krzyżkami?! Na pewno trzema krzyżkami?!
— Na pewno. Dlaczego...
— Milcz. Teraz ja pytam. Kiedy widziałś tego człowieka?
— W tamtym miesiącu. Chciał mi zrobić krzywdę, więc palnęłam go czymś twardym w łeb tak, że zemdlał i te sztuczne włosy mu spadły.
— Aha, Gdzie to było?
— No, po prostu w Addis Abebie.
— Po prostu! Kobieto, czemu nie powiedziałaś mi o tym wcześniej. Boże, Boże, ten arcyzbrodniarz w stolicy! Pod bokiem cesarza! Oooo...
— Na łotra wyglądał, owszem. A kto on?
— Kto, pytasz? Śmiertelny wróg rodu Mongoszów! Handlarz żywym towarem! Zakąła Abisynii, która zniosła niewolnictwo, a przez niego wciąż stoi pod zarzutem uprawiania tego haniebnego procederu! Wódz terrorystycznej szajki *Zielonych*! Filar włoskiego wywiadu! Sadysta!...

Wymieniając długi spis grzechów swego najgroźniejszego przeciwnika, Jonasz wzburzony do ostatnich granic krążył po izbie i oburącz ścisnął sobie głowę.

— I ten szatan siedzi w Addis Abebie, a my szukamy go po całej Etiopii — zabelkotał z wściekłością. Nagle przystanął. — Ale tym razem odnajdę jego kryjówkę. Przy twojej pomocy, droga Taitu, przy twojej. Cesarz wynagrodzi cię hojnie za tę przysługę. Ja w tym.

— No dobrze, lecz powiedz mi wreszcie, jak nazywa się ów...

— Er-Durusz! Ibrahim Er-Durusz, rodzony brat Selima, w którego szpony omal nie wpadłaś, jadąc do stolicy... Ach, Taitu, kochana Taitu, powiedziałaś mi dzisiaj wielką sensację. A jeszcze większą będzie mój ostatni pojedynek z Ibrahimem Er-Durusz.

— Już cieszę się na to.

Cieszyła się naprawdę. Była nieodrodną córą plemienia Gallan, dla których nie masz większej rozkoszy nad bój. Czyż mogła przeczuć tragiczny wynik walki Ibrahima Er-Durusz z Jonaszem?!

⁽¹⁾ arbiter elegantiarum (łac.) – wzór dobrego smaku w doborze stroju; uosobienie elegancji.

⁽²⁾ hurysa – według wierzeń muzułmańskich to wiecznie młoda i piękna dziewczyna rajska. Hurysy stanowią w raju małżonki wiernych.

ROZDZIAŁ XXVIII

Starzec zaklął w duchu. Wygłodzony był, co się zowie. Nareszcie miał przed sobą zamiast abisyńskich potraw arabski kuskus i już chyba po raz dziesiąty podnosił do ust pierwszą garść ulubionej potrawy po to tylko, aby znów rękę opuścić. Bo przecież nie przystoi słudze rozmawiać z panem, mając usta pełne jadła. A pan spragniony nowin, bez końca zasypywał go pytaniami.

— Czy nas ścigano? O, tak, sidi Ibrahim, wielkorządca Kaffy, gdy Józef Mongosza przybył do niego, ścigał nas zawzięcie, a od Abu Dżiffara zażądał, aby przeciął nam drogę nad rzeką Godżeb. Na szczęście sułtan nadal lubi pieniądze. Otrzymałszy łapówkę, pozwolił nam uciec przez południowo-zachodnią część swojej Dżimmy. Musieliśmy tylko przysiąc, że nie będziemy niszczyć japońskich plantacji bawełny. Dotrzyliśmy przysięgi, bo na razie jeszcze nie ma zbytu na niewolników, których tam można by łowić tysiącami. Zresztą przezorność nakazywała pośpiech jak największy, gdyż Józef deptał nam po piętach. Odetchnęliśmy dopiero w naszych okolicach. — Udzieliwszy tak wyczerpującej odpowiedzi, zanurzył w sosie utoczoną w dłoniach kulę ryżu nadziewanego kawałkami pieczonej kury, podniósł ją ku ustom, gdy wtem padło nowe pytanie;

— Czy mój brat przebywa jeszcze w stepach?

— Nie, efendi. Wyruszyliśmy stamtąd tego samego dnia. Ja do Addis Abeby, mój pan, sidi Seliman, na północ.

— Dokąd? Po co?

Stary Arab wyczuł nutę niepokoju w głosie mówiącego.

— Sidi Ibrahim, proszę być bez obaw. Twój brat wie, że poszukiwacze złota mają kulomioty, a Murzyni Szangalla zatrute strzały, których najłżejsze draśnięcie sprowadza śmierć w mękach.

— Na kogo tedy zamierza polować nad Nilem Niebieskim?

— Na tych, co teraz przekradają się tutaj z Sudanu.

— Kiepski interes.

— Mylisz się, efendi. Jest ich obecnie tylu, że...

— Ale sami golcy. Kto z jadących do Abisynii awanturników posiada choć trochę grosza, wybiera wygodniejszą drogę przez Suez i Dżibuti, wykupuje szyfkartę⁽¹⁾ oraz bilet kolejowy do Addis Abeby. Tylko spłukani do czysta wędrują miesiącami wzdłuż Nilu. Mój brat nie znajdzie wśród nich ani jednego bogacza, za którego rodzina zapłaciłaby hojny okup.

— Wbrew temu, co przypuszczasz, efendi, mój pan ma już takiego, który płynął po Nilu własną motorówką, czyli stać go na okup.

— Jak to! Seliman nie mógł nawet dotrzeć do dżungli, skoro wyruszył w drogę równo z tobą, a ty powiadasz, że złapał...

— Złapał go jeden z murzyńskich kacyków, od którego sidi Seliman zawsze kupuje niewolników w zamian za stare strzelby.

— Ach tak. I kim jest ów bogacz?

— Podaje się za angielskiego turystę, ale warto by stwierdzić, czy jest turysty naprawdę,

i o to brat cię prosi, sidi Ibrahim.

— Dobrze, zbadam.

— Jego nazwisko brzmi: Clyde Eyston.

— Eyston? Nie słyszałem o takim, lecz cóż znaczy nazwisko; każdy podejrzany typ miewa tyle nazwisk, ile lat. Znacznie więcej mogłaby mi o nim powiedzieć jego fotografia. Masz jaką?

— Nie, sidi Ibrahim. Głupi kacyk nie przysłał mojemu panu paszportów, jakie odebrał jeńcom, tylko śmieszną koronkową koszulkę bez rękawów.

— O, zatem ów Eyston ma przy sobie kobietę?

— Dwie! Młodsza, chuda była przebrana za chłopca, tak powiedział goniec kacyka i bardzo zachwycał się starszą, pięknie tłąstą.

— Aha. Tym lepiej, że są kobiety. Seliman będzie je mógł zatrzymać jako zakładniczki, dopóki Eyston nie przywiezie okupu... Ale czemu ty nic nie jesz, wierny nasz słuگو? Czy ci nie smakuje mój kuskus?

Starzec zaprzeczył żywo, wbił obie dłonie w stertę jadła, lecz zanim zdążył spożyć cokolwiek, zabrzmiało dalsze pytanie:

— Co mój brat uczynił z Michałem Mongoszą? Czy już zadręczył go na śmierć?

— Tobie to pozostawił, sidi Ibrahim, albowiem tobie należy się pierwszeństwo w dokonaniu zemsty. Dlatego przywiozłem ci więźnia.

— Przywiozłeś go tutaj?! Jak dokazałeś tej sztuki?

— Jechał dobrze związany w lektyce z firankami. Spotykany po drodze karawanom mówiliśmy, że to obłąkana kobieta, którą wieziemy do cudotwórcy. Im bardziej miotał się w swej klatce, tym mocniej ludzie wierzyli, iż ma pomieszanie zmysłów. A mówić przecież nie mógł.

— Rozumiem. Usta miał zakneblowane.

— Nie, efendi. Twój mądry brat lepiej zabezpieczył mnie przed tym, aby w drodze jeniec nie wzywał pomocy. Po prostu wyrwał mu język.

— Niezły pomysł, ale ja temu niewolnikowi zadam stokroć gorsze męki, aż przeklnie swój dzień urodzenia i matkę swoją, że go na świat wydała. Już ja mu obmyślę to, czego by nie wymyślił szatan!

Długo jeszcze po odprawieniu sługi zastanawiał się nad kolejnością różnych wyrafinowanych tortur, jakim zamierzał poddać nieszczęsnego jeńca; chodziło mu bowiem o to, by nie zmarł za wcześnie, by cierpiał jak najdłużej i jak najwięcej.

— Miesiącami będę go dręczył — powtarzał z zawziętością.

A przecież Ibrahim Er-Durusz nigdy w życiu nawet nie widział swej przyszłej ofiary i krzywdy od niej żadnej nie doznał. Ibrahim ongiś nie potrafił zabić muchy. Gdy z nakazu ojca musiał brać udział w polowaniach, strzelał zawsze tak, aby żadnej zwierzyny nie trafić. Po każdym łowach na czarnych niewolników płakał nad ich niedolą, narażając się na srogie drwiny ze strony swoich braci. *Babą* go nazywali lub *tchórzliwym szakalem*. Aby zniewieściałego synalka zahartować, zabrał go ojciec na szczególnie niebezpieczną wyprawę w głąb Abisynii. Tu, kiedy pewnego razu we dwóch oddalili się od obozu, pochwycili ich ludzie Metrodora Mongoszy. Z jego rozkazu stracono zatwardziałego herszta łowców niewolników w obecności jego synka, którego po tej egzekucji wypuszczono na wolność. Ale przedtem oszepeciono mu straszliwie górną część głowy i wytatuowano na niej trzy krzyżyki. Czyż mogła mahometanina spotkać większa od tej zniewaga?

Młody Ibrahim nie otrząsnął się jeszcze z wrażenia, jakie na nim wywarła śmierć ojca,

gdy nadeszła wieść o zgonie najstarszego brata. Zginął w potyczce z oddziałem Metrodora Mongoszy, któremu regent (dzisiejszy cesarz) zlecił tępienie rozbójników oraz zwalczanie handlu niewolnikami. Beni Er-Durusz uznali to zarządzenie za wymierzone przeciwko nim. Bowiem od niepamiętnych czasów ich ród trudnił się rozbojem i handlem żywym towarem. Rozpoczęli więc homeryckie boje z wykonawcą woli regenta, z Metrodorem, który w dodatku był ich osobistym wrogiem. Wynik tej długoletniej „wojny” był smutny dla Beni Er-Durusz. Z dwunastu braci, nie licząc dawniej zgładzonego ojca, pozostało przy życiu tylko dwóch najmłodszych, Ibrahim i Seliman. Im jednak powiodło się w końcu to, co starsi bracia śmiercią przypłacili. Im udało się dzięki podstępowi Ibrahima pojmać Metrodora Mongoszę.

Porwali go wraz z jego młodszym synem Jonaszem i pierw na nim zaczęli znęcać się straszliwie, aby Metrodor musiał na to patrzeć. Wytatuowali chłopakowi na głowie trzy półksiężyce, jako odwet za owe krzyżyki, potem uczynili go eunuchem, wreszcie wypalili mu oko. Ibrahim, który z młodzieńca o gołęim sercu dawno już stał się krwiożerczą bestią, miał jeszcze dalsze okrucieństwa w programie, gdy wtem u wylotu wąwozu zagrzmiała salwa. To Michał Mongosza z oddziałem regularnej armii abisyńskiej spieszył na pomoc młodszemu bratu i ojcu. Ostatni dwaj Beni Er-Durusz ledwie zdążyli zastrzelić Metrodora i po wielu przygodach zbiec do Sudanu. Tam Seliman postanowił zostać na stałe, uważając początkowo, iż zemsty dokonał. Ibrahim był innego zdania. On przeniósł swą nienawiść na wszystkich Mongoszów oraz na ich protektora, regenta. Nie mogąc marzyć o walce orężnej, wybrał inne metody szkodenia swoim przeciwnikom i niebawem znalazł sobie potężnych sprzymierzeńców.

W styczniu roku 1932 pułkownik Peluso, szef włoskiego wywiadu w Abisynii, zelektryzował swoich zwierzchników w Rzymie raportem, którego część środkowa brzmiała następująco:

...a wobec notorycznej głupoty młodego rasa Guksy liczyć na to nie warto.

Natomiast wyłoniła się niespodziewanie inna koncepcja, o wiele korzystniejsza dla nas. Jej autorem jest kupiec Abdul Gamal, który tyle przysług oddał nam ostatnio, a którego jedyną wadą jest pasja do samodzielnych poczynań.

Dzisiaj Abdul Gamal oznajmił mi, że na własną rękę przygotował dla nas taką niespodziankę:

Bawiąc przez kilka miesięcy w Godżamie, na dworze rasa Hailu, tak go podjudził przeciwko Haile Selassiemu, że ras przyrzekł mu uroczyście wykonać to, czego na próżno oczekiwaliśmy od Guksy.

Abdul Gamal był również w Fitsze, gdzie przekupił pilnujących eks-cesarza Lidza Jassu dozorców. Ich zwierzchnik, ras Kassa jest niestety stronnikiem Selassiego, lecz w maju wyjedzie do Addis Abeby na ślub następcy tronu.

Z tych powodów Gamal uważa maj za najodpowiedniejszy moment do wykonania przewrotu. W lutym zbadam osobiście stan przygotowań w królestwie Godżam. Jeśli jest naprawdę tak, jak mówi Gamal, to jego nowa przysługa powinna być sowicie wynagrodzona.

Że pod nazwiskiem *Abdul Gamal* występował w Addis Abebie mściwy Ibrahim Er-Durusz, nie trzeba chyba dodawać. Inspirowany przez niego bunt szalonego rasa Hailu wybuchnął rzeczywiście w maju 1932 podczas ślubu następcy tronu, a równocześnie uciekł z więzienia w Fitsze eks-cesarz Lidz Jassu. I kto wie, do czego byłoby wówczas doszło, gdyby nie to, że w kontrwywiadzie abisyńskim pod kierownictwem Ludwika Brina pracował już jednooki Jonasz Mongosza. Jonaszowi wprawdzie ani przez myśl nie przeszło, iż jego śmiertelny wróg

Ibrahim Er-Durusz przebywa w stolicy. Za to Jonasz od kilku miesięcy nie spuszczał z oka pułkownika Peluso, a jego wycieczki do Godżamu naprowadziły go na ślad spisku. Jeden ze spiskowców przesłuchiwany przez Jonasza jego bolesną metodą, wyśpiewał całą prawdę. Dzięki temu Haile Selassie przygotował się zawczasu. Mógł uwięzić spiskowców przed wybuchem powstania, ale chodziło mu o jawny dowód ich winy. Pozwolił im działać przez kilka dni, po czym zlikwidował pucz błyskawicznie. I krwawo! Wprawdzie darował życie pechowemu kuzynkowi i Lidż Jassu został osadzony w nowym więzieniu, w forcie Keraua, wprawdzie rasowi Hailu zamienił karę śmierci na dożywotnie więzienie, za to ich pomocnicy zawisli na szubienicach ustawionych na placach publicznych w swych rodzinnych miastach. Ich ciała wisiały tam długo, budząc grozę i odrazę potwornym odorem. A pułkownika Peluso znaleziono zasztyletowanego w jego namiocie. Ponieważ podobny los spotkał później jego dwóch następców, faktycznym szefem włoskiego wywiadu stał się tubylec, kupiec Abdul Gamal, czyli Ibrahim Er-Durusz. Wiedział on dobrze, że zdemaskowanie spisku było zasługą Jonasza, co oczywiście podsyciło jego nienawiść do wszystkich Mongosów.

— Nie spocznę, dopóki was nie wytepię do nogi — ślubował sobie.

Niegdyś własnoręcznie zastrzelił Metrodora Mongoszę, dzisiaj miał w swojej mocy jego starszego syna Michała, mógł więc uważać go już za trupa, mógł myśleć o następnym. O Jonaszu! O nim przede wszystkim, gdyż był to jedyny człowiek na świecie, który Ibrahima napawał lękiem. — On jest w zмовie z szejtanem! — mawiano o Jonaszu. Ibrahim starał się wykorzenić to mniemanie u swoich ludzi, lecz w końcu sam zaczął posadzać wroga o „przyjazne stosunki” z diabłami. Wpłynął na to następujący wypadek: Jeden z agentów Ibrahima znajdował się wśród ogrodników w Gibbi. Za zgładzenie cesarza miał przyrzeczoną olbrzymią nagrodę pieniężną, ale cóż przyjdzie z pieniędzy nieboszczykowi. Dlatego zbir nie reflektował na jawny zamach, za który musiałby zapłacić swoją głową, tylko na skrytobójstwo. Broń palna jest hałaśliwa, trucizny użyć nie mógł, gdyż nie miał dostępu do kuchni cesarskiej, zresztą każdej potrawy musi ochmistrz skosztować, pozostał zatem tylko sztylet. I pozostało czyhać na taką sposobność, kiedy Haile Selassie będzie absolutnie sam. Po wielu tygodniach i miesiącach nadeszła taka chwila. Pewnej nocy negus negesti wyszedł z pałacu do swojego parku bez nieodstępnej warty, bez wiernego sługi, nawet bez ulubionych piesków, niegroźnych, lecz diabelnie czujnych. Zrazu spacerował koło szklanego pawilonu, gdzie zawsze stoi posterunek, potem przystanął w pustej alei, zadumał się smętnie. Zbir czołgał się ku niemu jak wąż, aż dotarł do dzielącego ich żywopłotu, który nieopodal miał wąską przerwę. I w momencie, gdy widmo śmierci krążyło już nad głową Haile Selassiego, nadszedł Jonasz Mongosza.

— Diabeł go tam przyniósł — twierdził stanowczo niedoszły królóbójca, zdając Ibrahimowi relację z nieudanej wyprawy.

Powtórzył też, ile spamiętał z podsłuchanej rozmowy, jaką cesarz prowadził tam z Jonaszem. Negus negesti mówił podobno o olbrzymich skarbach królowej Saby ukrytych w łonie *Góry Mądrości*, zapewniał Jonasza, iż na własne oczy widział sterty brył złota przywiezionych stamtąd przez cesarza Menelika II i prawie rozpaczał, że on, Haile Selassie, nie wie, gdzie znajduje się ta góra. Gdyby to wiedział: — Moglibyśmy do końca świata kpić sobie z zaborczości Białych — miał rzec dosłownie, rozumując, że państwo, które złota ma w bród, może uzbroić się aż po zęby, a równocześnie dzięki hojnym łapówkom zdemoralizować zastępy wrogów.

Ibrahim Er-Durusz początkowo nie przywiązywał żadnej wagi do tej rozmowy, wiedząc, jak bardzo kochają się w bajkach, legendach wszyscy Kolorowi, nie wyłączając tak wykształconych, jak Haile Selassie. Stokroć bardziej zaintrygowało go nagłe zniknięcie Jonasza

Mongoszy. Nie ulegało wątpliwości, że jednooki wyjechał w jakiejś tajemniczej misji. Ale w jakiej? Dokąd? Ibrahim na próżno wypytywał o to tych dygnitarzy abisyńskich, którzy byli jego dłużnikami. W końcu Alicja Rendell otrzymała od niego rozkaz zbadania, gdzie przebywa Jonasz. Wykonała to zlecenie szybko, jak zawsze, ale „stanęła dęba”. Oświadczyła, że nie zdradzi, dokąd wyjechał jednooki, jeśli nie dowie się nareszcie czegoś pewnego o losach podróżnika nazwiskiem Valentin Duroc, który, jak okazało się niebawem, był jej mężem. Ibrahim nie wskórał nic groźbami, a wprowadzać ich w czyn nie chciał. Alicja obracająca się w najwyższych sferach stolicy była mu nazbyt potrzebna. Rad nie rad ustąpił pozornie. Przynależ, że w ciągu tygodnia odnajdzie rzekomego profesora Duroca, choćby go miał spod ziemi wyciągnąć. W zamian za tę obietnicę, której dotrzymać nie myślał, dowiedział się od Alicji, że Jonasz Mongosza przebywa w Keraua.

— Chodzi tu prawdopodobnie o zgładzenie nieszczęsnego więźnia, który obecnie mógłby się stać groźnym dla Selassiego — dodała Alicja.

Ibrahim nie podzielał jej zdania. Gdyby chciano sprzątnąć eks-cesarza Jassu, wystarczyłoby wydać odpowiednią instrukcję komendantowi fortu Keraua. Gdyby zaś musiał to uczynić koniecznie Jonasz, specjalista od nadawania morderstwom politycznym cech naturalnej śmierci lub nieszczęśliwego wypadku, wystarczyłoby na to parę dni. Tymczasem nieobecność jednookiego w stolicy trwała już trzeci tydzień, kiedy Ibrahim otrzymał od Alicji tę cenną informację. A w obecnej dobie wiceszef abisyńskiego kontrwywiadu powinien był trwać na swoim posterunku w Addis Abebie. Do przedłużenia sobie pobytu w Keraua mogła go upoważnić tylko arcyważna przyczyna. Lecz jaka?

— Postaraj się wy badać, co ten łotr tam robi — polecił Ibrahim Negrowi, który swego czasu pierwszy tu zauważył ucieczkę Taitu.

Jego wysłał do Kerauy, jego wybrał spośród swoich licznych pomocników, gdyż Murzyn, okrutnie niegdyś ukarany za rozbój przez Metrodora, nienawidził wszystkich Mongosów nie mniej, niż jego pan. W dniu, w którym przybył posłaniec od Selima Er-Durusz, od wyjazdu jednorękiego Negra do Kerauy upływał dziesiąty dzień. Ibrahim niecierpliwił się tym bardziej, że przyszła mu do głowy koncepcja na pozór fantastyczna: — Może pobyt Jonasza w Keraua ma pewien związek z rozmową, jaką prowadził z negusem w ową noc? Może przypuszcza, iż Lidz Jassu wie, gdzie są ukryte skarby królowej Saby i chce mu tę tajemnicę wydrzeć z pomocą tortur?! — Od puczu z maja 1932 roku Ibrahim Er-Durusz po raz pierwszy zatroskał się o zdeponowanego cesarza Jassu.

Jedenastego dnia powrócił do Addis Abeby rannym pociągiem Murzyn wysłany do Kerauy. Stanąwszy przed obliczem swojego pana, wyrecytował jednym tchem wiadomość, którą uważał za najbardziej sensacyjną.

— Ta, którą przysłała „ciotka” Teofila? — powtórzył Ibrahim. — Ta jest, powiadasz, w Keraua z Jonaszem?!

— Tak, efendi. Uchodzi tam za jego żonę, a to pewnie agentka.

Ibrahim zamyślił się. Gdyby Taitu była od dawna agentką Jonasza, ten byłby już przed miesiącem zlikwidował szajkę *Zielonych*. Przecież tutaj, w siedzibie ich szefa, Taitu spędziła kilka godzin i zdołała stąd uciec. A Teofila... prawda, Teofila mówiła, że kiedyś wezwano ją do więzienia i skonfrontowano z aresztowaną Gallanką, której przez kilka dni udzielała gościny w swoim domu. Wynikałoby stąd, że Taitu dopiero z więzienia przeszła do szkoły wywiadu. Ale na wszelki wypadek...

— Teofila musi jutro wyjechać do... do Erytrei. Ty mi tego dopilnujesz... A teraz gadaj, coś jeszcze zauważył w Keraua.

Murzyn złożył dokładne sprawozdanie. Wysłuchawszy go, Ibrahim utwierdził się w swoich podejrzeniach. Do owej na pozór fantastycznej hipotezy wprowadził tylko jedną poprawkę, że nie torturami chce Jonasz wydobyć z więźnia interesującą go wiadomość, lecz **podstępem**. Dlatego przybrał sobie inne nazwisko, dlatego Taitu używała tam imienia *Yamina*, dlatego Jonasz podsuwa ją eks-cesarzowi na kochankę, dlatego oboje odgrywają całą tę komedię. Zaimponowała zaś Ibrahimowi wiadomość, iż żołnierze z fortu Keraua dotychczas nie wiedzieli nic o grożącej Abisynii wojnie. Tym samym nie mógł o niej wiedzieć Lidz Jassu. To hermetyczne odseparowanie więźnia od świata musiało mieć również swój cel. I mogło bardzo utrudnić nawiązanie kontaktu z więźniem...

— Eee, nie ma takiej przeszkody, której by nie przeskoczył człowiek z kieszą pełną złota. A swoją drogą poproszę Włochów, by... che, che, che, Jonasza krew zaleje z wściekłości, che, che, che...

— Co chcesz uczynić, sidi Ibrahim?

— Chcę... — zaczął i urwał, gdyż do drzwi zapukano. — Co tam?

— Przybiegł Dżid.

— O, nie przyszedł, tylko przybiegł, czyli zaszło coś ważnego. Niech wejdzie. A ty — zwrócił się do Negra — idź wypocznij, a potem zejdź do podziemi nacieszyć oczy widokiem nowego niewolnika. Jest nim syn tego, który kazał ci odjąć rękę, Michał Mongosza.

Po chwili wszedł Dżid, był wyraźnie zdenerwowany.

— Ona cię przysłała?

— Ona, sidi Ibrahim. Powiedziała, że umówiony tydzień minął już trzy dni temu, a ty, efendi, jeszcze nie dałeś jej wiadomości o zaginionym.

— Wiem. Niech czeka dalej.

— Ona nie chce czekać dłużej ani chwili. Powiedziała, że jeśli dziś nic dowie się prawdy, nie ręczy za siebie.

— Babskie gadanie.

— Efendi, ona jest zdolna do wszystkiego. Nuż zdradzi?!

Złe błyski strzeliły z oczu Ibrahima Er-Durusz. Przywykł do tego, że podwładni byli mu ślepo posłuszni i pokorni niemal tak, jak niewolnicy. Do Alicji odnosił się ze specjalnymi względami z kilku powodów, lecz jej „kaprysy” zaczęły go już gniewać nie na żarty.

— Dziś bym ją poskromił, gdyby nie to, że mam pilniejsze sprawy. Dlatego, Dżid, musi na razie pozostać wszystko tak, jak jest. Powiesz Alicji, że leżę chory i lada dzień przysłę jej pomyślną wiadomość.

— Lecz jeśli to nie pomoże, efendi?

— To pomoże bat! — ryknął Ibrahim. — Słuchaj, Dżid. Gdybyś zauważył oznaki buntu u tej kobiety, sprowadź ją natychmiast do podziemi, z których oczywiście nie powróci już do świata. A jej namiętą tęsknotę za mężem zaspokoje ja sam!

Podnieciła go nagle ta pogróżka. Spojrzał w stronę sof, na której dziesięć dni temu leżała Alicja obalona przez czworonożnego napastnika. Westchnął. Tę piękną, białą kobietę miał tutaj w swojej mocy i nie skorzystał ze sposobności, gdyż nie istniało dlań wtedy nic poza jednym życzeniem: dowiedzieć się, dokąd wyjechał Jonasz Mongosza... Zaklął, jak klną Biali.

— Efendi, ona będzie spokojna. — Dżid chciał go pocieszyć. — Skoro jej opowiem, jak kłamię, jak zgrzytałeś zębami, przerazi się i...

— Nic jej o tym nie mów. — Ibrahim Er-Durusz uśmiechnął się złowrogo. — Przeciwnie, będę rad, jeśli Alicja Rendell swą krnąbrnością zasłuży sobie na moje represje. Oby to nastąpiło jak najrychlej!

⁽¹⁾ szyfkaarta – bilet na przejazd statkiem.

ROZDZIAŁ XXIX

Od chwili, gdy Taitu-Yamina takiego figla spletała zdetronizowanemu cesarzowi, ten wręcz szalał za nią. Gryzł palce w bezsilnej złości, kiedy przez okno widział jednookiego komendanta czującego się do żony. Ale to jeszcze nic. Po zachodzie słońca Taitu przynosiła wieczerzę, lecz zaledwie zdążyła zamienić z więźniem kilka słów, wpadał „zazdrosny” mąż i zabierał ją do mieszkania. mówiąc, że spragniony jest jej pieszczot, o których oczywiście ani im się nie śniło. Lidź Jassu cierpiał wówczas niewypowiedziane katusze i marzył o wyjeździe „Hafida Brehana”. Bowiem Taitu szepnęła mu kiedyś: — Będę twoją, skoro mąż znów kiedyś wyjedzie.

Jonasz istotnie nosił się z zamiarem wyjazdu do Hararu, skąd mógłby rozmówić się telefonicznie z Hailem Selassiem. Chciał mianowicie zaproponować swojemu władcy przewiezienie więźnia do innej prowincji lub wydatne wzmocnienie załogi w Keraua. Z dnia na dzień odkładał wypad do Hararu, sądząc, że Taitu uda się wreszcie zdobyć upragnioną wiadomość i on w toku telefonicznej rozmowy z cesarzem będzie mu mógł zwiastować miłą nowinę. Zrezygnował jednak z tego, kiedy pewnego popołudnia zoczył ponad Kerauą samolot! Nie posiadał on żadnych liter ani oznak, ale nie ulegało wątpliwości, że to jest aeroplan włoski. Że krążył tu na skutek żądania Ibrahima Er-Durusz, tego Jonasz wiedzieć nie mógł, wystarczyło mu najzupełniej, iż obcy samolot pojawił się w tych okolicach. Nie przyleciał chyba tak daleko dla fotografowania stad owiec na pastwiskach z rzadka rozsianych wśród bazaltowych skał Gara Mulata. Tegoż dnia Jonasz odbył dłuższą naradę z Taitu, która potem udała się do więźnia.

— Jutro mąż wyjeżdża, nie będzie go przez cztery dni!

Nazajutrz Lidź Jassu na własne oczy widział odjazd jednookiego komendanta fortu i omal nie krzyknął z radości. Nareszcie! Nie liczył na to, że *Jaminia* przybiegnie tu natychmiast. — Musi dbać o pozory, ten zazdrośnik na pewno kazał ją śledzić strażnikom — przypuszczał. Za to był święcie przekonany, iż ona sama przyniesie mu dziś obiad. Niestety, nie przyszła ani w południe, ani popołudniu, ani o zachodzie słońca, chociaż podczas wieczerzy wpadała tu zawsze. — Rozumiem, boi się obmowy, odwiedzi mnie dopiero pod osłoną zmroku — pocieszał się i czekał aż do północy. Na próżno! Rano posłyszał jej głos. Łajała wartownika nie gorzej od męża. Lidź Jassu podbiegł do okna.

— Niedobra! Zmarnowaliśmy całą dobę, rzekł z wyrzutem.

— Za dnia przyjść nie mogę, każdy by zauważył i mąż...

— Ale w nocy, w nocy!

— Byłam w nocy, lecz wasza cesarska mość tak smacznie spa...

— Kłamiesz!

— Nie kłamie, byłam, tylko nie śmiałam zbudzić.

Nie uwierzył w to. Zawsze lękał się skrytobójczych zamachów, zawsze sypiał czujnie. Budził go najlżejszy szelest, a przecież sławetne drzwi jego sypialnej komnaty skrzypiały przeraźliwie, tak że mogłyby przerwać nawet letarg.

— Kiedy przyjdiesz dzisiaj?

— Nie wiem. Mam tyle zajęcia.

— Łzesz!

Przyniosła sztukę jedwabiu, usiadła pod oknem i szyła odświętną szamkę dla męża, dopóki jej deszcz stamtąd nie wypłoszył. Znowu nie przysła ani w południe, ani wieczorem; jedzenie przyniosły więźniowi służebne. Lidź Jassu stracił cierpliwość. Udał chorego, polecił wezwać natychmiast panią komendantową. Zjawiała się w asyście miejscowego znachora oraz dwóch strażników.

— Pragnę z tobą pomówić bez świadków — oświadczył stanowczo.

Po długich ceregielach przystała na to, ale poleciła tamtym trzem, by czekali tuż za drzwiami. Lidź Jassu musiał więc mówić szeptem.

— Miej odwagę wyznać mi prawdę — rzekł, wyczerpawszy zapas ostrych wymówek — ty kochasz męża.

— Nie. Budzi we mnie wstręt, chwilami nienawidzę go nawet.

— A ja, podobam ci się, czy...

— O, bardzo, bardzo!

— Czemu więc stronisz ode mnie teraz, gdy Hafida nie ma?

W odpowiedzi na to Taitu znów jeła recytować wykład swojego nauczyciela... Czemu stroni i wynajduje sobie różne preteksty, by nie przyjść? Gdyż Lidź Jassu zawiódł jej oczekiwania. Tak, nie cofnie tych słów, **zawiódł!** Jest bardzo urodziwym mężczyzną, ale to za mało. Ona, Yamina, sądziła, że on pozostał nadal rycerzem, bohaterem, jakim go znała z opowiadań ojca, że on pragnie odzyskać wolność i tron, że będzie o to walczył albo dostarczy środków na zakup broni dla tych, którzy pragną bić się w jego sprawie na śmierć i życie. Tymczasem on myśli tylko o miłostkach... Na to będzie czas później, skoro na powrót uwieńczy skronie koroną negusa negesti. Wówczas każda niewiasta w Abisynii będzie sobie uważała za największy zaszczyt, jeżeli on zwróci na nią uwagę. A nawet dzisiaj, chociaż jeszcze jest więźniem, mógłby liczyć na zupełną uległość niejednej kobiety, gdyby dowiódł, że pragnie wyrwać się stąd i rozpocząć bój z Hailem Selassiem o swoje słuszne prawa.

Gorzkie to przemówienie odniosło skutek, upragniony przez jego rzeczywistego autora, przez Jonasza. Następnego dnia, gdy Taitu przyniosła śniadanie, Lidź Jassu przyjął ją z miną uroczystą.

— Masz słuszość, Jaminio — rzekł — muszę pomóc tym, którzy chcą dla mnie wywalczyć tron. Niech te olbrzymie pokłady złota nie leżą bezużytecznie, niechaj służą swojemu panu.

Z największym trudem powstrzymała się od żywiołowego wybuchu radości. Wreszcie, wreszcie dowie się, gdzie jest *Góra Mądrości*, a w zamian za zdobycie tej informacji uzyska dla ukochanego ojca ułaskawienie.

— Wasza cesarska mość, cieszę mnie te słowa — rzekła — jednak radziłabym pośpiech. Skoro mój mąż wróci, a wraca jutro po południu, nie będę mogła wysłać listu do mojego ojca i...

— Dzisiaj — wtrącił Lidź Jassu — dziś wyjawię ci, gdzie są ukryte skarby władców Abisynii i któreś można do nich dotrzeć... No, Jaminio? Jesteś już zadowolona?

— Jestem bezgranicznie szczęśliwa!

— Szczęśliwa będziesz dopiero wieczorem... w moich ramionach.

— Lecz przedtem wasza cesarska mość zdejmie kajdany. Niechaj ich dźwięk zamilknie choćby na dzisiejszą noc. Niech nam nie przypomina, że jeszcze nie jesteśmy w Addis Abebie.

Wygłosiwszy to zdanie z należyty patosem, Taitu, pojętna uczennica Jonasza Mongoszy wręczyła więźniowi mały kluczyczek. Lidź Jassu miał ręce wolne zawsze, za to nogi skuto mu po nieudanej ucieczce z Fitsze i od tego czasu, od trzech lat, włókł za sobą ten

diabelnie ciężki łańcuch. Ciężki, bo szczerozłoty. Żelaznych kajdan nie znają w Abisynii. Do skrępowania zwykłych śmiertelników używa się zwykłych postronków, wysoko urodzeni skazańcy paradują w złotych okowach. Złoty był nie tylko łańcuch, lecz również dwie kłódki, łączące jego końcowe ogniwa ze złotymi bransoletami, które obejmowały jego nogi w kostce. Pozbywszy się obecnie tego balastu, Lidz Jassu, czterdziestoletni mężczyzna, zaczął dokazywać jak mały chłopak. Po trzech latach krótkiego, posuwistego kroku, mógł swobodnie biegać po swym więzieniu, mógł skakać! I nogi stały się nagle tak lekkie, sprężyste, a chód taki cichy. Och, to monotonne brzęczenie łańcucha przypominające zdezonizowanemu władcy co krok, że jest więźniem, nie zachęcało do spacerów nawet po dywanach. A teraz umilkło nareszcie. Dzięki niej!

— Hojnie cię wynagrodzę, Jaminio — powtarzał z rozczuleniem i wzrokiem popędał słońce, które dziś jakby na złość wlokło się po niebie tak ospale. — Będiesz moją pierwszą faworytą, gdy odzyskam tron — przyrzekał nieobecnej i niecierpliwie wyglądał nocy.

Do nocy było jednak daleko. Zanim zaś mrok zapadł, wydarzyło się coś, czego nie oczekiwał nikt. Oprócz Ibrahima Er-Durusz!

W samo południe, gdy Taitu robiła przegląd biżuterii, w której zamierzała wystąpić dziś wieczór, wywołano ją z mieszkania. Pod strażą czterech żołnierzy stał sędziwy mnich, trzymając w rękach lirę. Taitu zmarszczyła brwi.

— Kto śmiał wpuścić do fortu obcego? — zapytała.

— On mówi — usprawiedliwiał się oficer — że spotkał po drodze pana komendanta, który pozwolił mu przyjść do Kerauy.

— Pozwolił, klnę się na negusa negesti!

Pomimo tak uroczystej przysięgi Taitu miała pewne wątpliwości.

— Małżonek mój wyjechał stąd trzy dni temu!

— Ale on ma dobre wierzchowce, a ja, kulawy starzec szedłem pieszo i pod górę.

Małżonek twój, nadobna woizero, przeze mnie śle ci pozdrowienia. To hojny pan. Dał mi...

— Aha, o to chodzi.

Taitu, zadowolona, że nazwał ją *woizero*, który to tytuł przysługuje tylko amharskim damom *ze sfer rządowych*, dała mu aż pół talara.

— I wyprowadźcie go za bramę.

Mnich padł na kolana, jał błagać, aby pozwolono mu tutaj odpocząć i przeczekać deszcz, który znów lunie lada moment.

— Psa nie wypędza się na taką pogodę, a cóż dopiero służę bożego! Czy chcesz narazić się na gniew niebios?!

— Niebios — wtrącił oficer — nie mogą karać nikogo za przestrzeganie regulaminu.

— Gdyby ciebie tu nie było — odparł mnich — mógłbym dostojnej woizero powtórzyć to, co kazał mi powiedzieć jej małżonek.

Mrugał przy tym tak znacząco, że Taitu poleciła żołnierzom odsunąć się od niego.

— Teraz gadaj — rozkazała.

— Ja znam nie tylko kościelne psalmy — rzekł zniżonym głosem i na kolanach przysunął się do niej — znam również piosenki miłosne. Twój małżonek, przecudna woizero, kazał mi je śpiewać tobie i... jemu, gdy będziecie z sobą razem!

Taitu była zdezorientowana. Pośród całej załogi fortu, liczącej dwustu ludzi, nie wiedział absolutnie nikt, że ona „flirtuje” z więźniem za wiedzą, ba, na rozkaz męża. Tymczasem wędrowny śpiewak... ha, może to jeden z tajnych agentów Jonasza? Tak, tak, na pewno. Skinęła na oficera.

— Ten bogobojny człowiek może pozostać w Keraua aż do zmroku. Może też śpiewać więźniowi, byle nie wchodził do niego.

Zarządzenie to było jawnym pogwałceniem regulaminu fortecznego, lecz oficer nie ośmielił się powiedzieć tego pięknej pani komendantowej. Toć właściwie ona zastępowała tutaj męża, jej co wieczór odnoszono klucze od bram, jej tylko pozwolił jednooki odwiedzać więźnia o każdej porze.

— Rozkaz. — Oficer stanął na baczność. Potem ujął *bogobojnego* za kark. Chodź, dziadu — rzekł „uprzejmie”.

Lidź Jassu, krążąc po pokojach swego domu, rozkoszował się wciąż jeszcze tym, że nie ściga go obmierzły brzęk łańcuchów, kiedy błogą ciszę rozdarła salwa prostackiego śmiechu żołnierzy. Po niej zaś zabrzmiał śpiew i dźwięki liry. Akompaniując sobie na tym instrumencie, zawodził ktoś nosowym głosem tuż pod oknami budynku.

— Kto to i po jakiemu śpiewa? Czyżby?... — Jassu zaklął.

Lirnik, który w rozmowie z Taitu posługiwał się amharinią, teraz używał języka gyyz, niezrozumiałego dla świeckich, Ale Lidź Jassu, gdy Menelik zamianował go następcą tronu, musiał wkuwać nie tylko gramatykę tego martwego, niepotrzebnego języka, lecz również całe długie psalmy. Znienawidził go więc tak, jak później znienawidził koptyjski kler, dla którego liturgiczny gyyz jest jedną z oznak przynależności do uprzywilejowanej kasty duchowieństwa. Poznawszy teraz *przekłątą mowę klechów*, Lidź Jassu podbiegł do okna, spojrzął i gniew w nim zawrzał straszliwy na widok człowieka w mnisim habicie.

— Precz, cuchnący szakalu — krzyknął. — Ja jestem muzułmaninem, słyszysz? Wrzasku hien wolę słuchać, niż wycia klechy. Precz!

Nie odniosło skutku ani to łajanie, ani drwiny żołnierzy, nie odpędził starca spod okna nawet deszcz szybko zmieniający się w ulewę. Żołnierze schronili się do wartowni, dwaj strażnicy weszli do swoich budek, Lidź Jassu zatrzaskał okno, a starzec z odkrytą głową stał na deszczu i wciąż śpiewał ponury psalm. Jego nosowy głos, tak charakterystyczny dla abisyńskich śpiewaków, przeszedł w falset, który przenikał drewniane ściany budynku i doprowadzał eks-cesarza do pasji.

— Zamilcz, dziadu, lub grzmotnąć czym...

Ba, ale czym tu „grzmotnąć” natręta, skoro wszystkie meble, sprzęty, przedmioty były przytwierdzone nieruchomo do ścian, albo do podłogi. Nie, nie wszystkie! Z powodu ulewy służba nie przyszła jeszcze po talerze i półmiski, jakie tu pozostały od obiadu. Lidź Jassu pochwycił kilka talerzy, podszedł z nimi do okna, skąd rozpoczął „bombardowanie” śpiewaka. Za pierwszym razem chybił, za to drugi talerz trafił tamtego w głowę, rozbił się na kawałki. Po czole mnicha wraz z deszczem zaczęła spływać krew, lecz nawet to nie zmusiło go do milczenia.

— Będzie wojna z Włochaaaa-mi. Wojna rozpocznie się za dwa, lub trzy miesiaaaaa-ce aaamen — zaśpiewał lirnik fortissimo. — Słuchaj bacznie, o Jassu, gdyż do ciebie jestem wysłaany. Aby ci dodać otuchy i oznajmić bliski kres Seeeee-ela-aaa-sieeee-go, a-men.

— He?

— Azaliś widział włoski samolot? Azali nie wiesz, że dwieście tysięcy Włochów stoi nad granicą? Alleluja! Alleluja!

Po kilku minutach takiego „śpiewu” Lidź Jassu był już nieźle zorientowany w sytuacji politycznej.

— Wojna? — mruknął z niedowierzaniem. — Nigdy ani słowem nie wspomniała mi o tym Jaminia.

— Taka ona Jaminia, jako ja Pafnucy, aaaa-men. Prawdziwe imię tej chytrej dziewy

brzmi Taitu. Strzeż się jej, Jassu, strzeż się, strzeż!

— Skąd wiesz, że Taitu? Kto cię przysłała?

— Iiiibrahim Er-Durusz, Alleluja!

Wyśpiewawszy to nazwisko, lirnik łypnął okiem niespokojnie w stronę bliższej budki, ale wartownik wcale nie patrzył na nich. Zresztą szum ulewy zagłuszał „nabożne pienia”, które trwały jeszcze długo, długo...

Dopiero pod wieczór Taitu przypomniała sobie kulawego mnicha. Powiedziano jej, że odszedł już dawno temu, co ucieszyło ją nawet; chciała pokazać Jonaszowi, iż bez niczyjej pomocy wykonała ową misję, chciała tylko sobie zawdzięczać ocalenie ojca. Wystrojona, pachnąca udała się do budynku zamieszkanego przez więźnia, a z nią dwie służebne niosące wieczerzę. Odprawiła je zaraz, zamknęła główne drzwi od wewnątrz na zasuwę i uśmiechnięta zwycięsko weszła do sypialni. Lidź Jassu miał tu kilka izb do swojej dyspozycji, lecz tę lubił najbardziej, najczęściej w niej przebywał. Był dziś mniej rozmowny niż zwykle i niezbyt skory do pocałunków, Taitu sama musiała dopraszać się o nie.

— Wtedy szło nam jakoś lepiej, przyjemniej — westchnęła.

— Dziś będzie jeszcze lepiej... tam — wskazał łożo.

Mimo wszystko bała się trochę tej chwili, więc nie żałowała sobie tedżu, natomiast Jassu pił dziś umiarkowanie. Gdy zapytała go o *Górze Mądrości*, odparł szorstko, że chce zjeść wieczerzę w spokoju, później będzie mówił. Dużo! Bardzo dużo ma jej dziś do powiedzenia...

— Czekam na to z niecierpliwością.

— Ja także — warknął, powstając — a wobec tego możemy zacząć.

Powstała również, okręciła się dokoła na pięcie, żądając, aby pochwalił jej nowy strój i świecidełka.

— Kiedy zrzucisz z siebie to wszystko, będę mógł osądzić, czy nie jesteś przypadkiem garbata.

Dotknięta tym posądzeniem obnażyła się żwawo. On tymczasem podniósł z podłogi swoje złote kajdany, zważył je w ręce.

— Czy pokazać ci, jak byłem skuty dawniej?

Wychodząc snadź z założenia, iż odpowiedź na pytanie władcy musi być zawsze twierdząca, wykręcił dziewczynie ręce w tył, ścisnął je razem w przegubach dłoni jedną bransoletą i zatrzasnął kłódkę. Potem rzucił Taitu na łóżko, jak kłodę. Zanim zrozumiała, o co chodzi, przytwierdził drugi koniec łańcucha do jej prawej nogi.

— Na wznak — rozkazał i pomógł rzekomej Yaminie odwrócić się tak, że legła na plecach, na skrępowanych rękach. — Zamknij na chwilkę oczy, za to otwórz jak najszerzej swoje słodkie usteczka.

Usłuchała, chociaż te przygotowania dziwiły ją coraz bardziej. Rozchyliła wargi w oczekiwaniu pocałunku i wtedy Jassu wepchnął jej do ust zawczasu przygotowany knebel. Otworzyła oczy, wybałuszyła je nieprawdopodobnie, zadrżała. Nigdy jeszcze nie widziała twarzy cesarza-więźnia tak zmienionej, tak brzydkiej, nigdy z jego pięknych oczu nie wyzierało tyle nienawiści i pogardy.

— Chciałaś mi wydrzeć tajemnicę władców Abisynii — rzekł Lidź Jassu lekko zachrypłym głosem. — Jonasz Mongosza hojną nagrodę przyrzekł ci za to, prawda, nadobna Taitu? Ja wynagrodzę cię jeszcze hojniej.

Teraz dopiero ujrzała w jego dłoni skórzany pas, narzędzie przyszłej chłosty. — Wie wszystko! Ubiczuje mnie na śmierć!! Uciekać!!! — przemknęło jej przez myśl. Była bajecznie zwinna, umiała skakać z drzewa na drzewo, jak małpa, umiała z leżącej pozycji błyskawicznie

powstać bez zginania nóg. Dała więc szczupaka, chcąc zeskoczyć na drugą stronę szerokiego łoża, zanim spadnie pierwszy cios i... przesunęła się zaledwie o parę cali. Próbę ucieczki sparaliżowały złote kajdany...

ROZDZIAŁ XXX

Spośród wszystkich jeńców kacyka N'Bunno tylko Olga Atherton nie narzekała na „nadprogramowy postój”, który trwał już prawie miesiąc.

— To raj, a nie więzienie — powtarzała.

Miała słuszość... do pewnego stopnia. Mieszkali na skraju olbrzymiej dziewiczej puszczy, jaka leży w widłach rzecznych Nilu Niebieskiego i Didessy, a zajmuje obszar większy niż niejedno księstwo w Europie. Rozłożyste korony drzew chroniły wioskę murzyńską zarówno przed deszczami jak i przed słońcem, które tu, o dziesięć stopni od równika, prażyło niemilosiernie. Ryb, zwierzyny, jagód, owoców mieli w bród, a „na deser” cudną panoramę z trzech stron. Bo tylko na wschód widok zasłaniała dżungla. Od południa ich wyżynny półwysep opadał stromo ku głębokiemu korytu Didessy, na której drugim brzegu góry piętrzyły się do wysokości trzech tysięcy metrów. Trochę niższe są szczyty Sarebanti i Dżelladura, które widzieli, gdy spoglądali na północ, a od których dzieliła ich kręta wstęga Niebieskiego Nilu. Obydwie te rzeki łączyły się w odległości niespełna dziewięciu kilometrów na zachód od „stolicy”, a zarazem jedynej wsi kacyka N'Bunno. Tak więc jeńcom nie brakowało tu niczego prócz... wolności.

— I oprócz łaźienki — dodawała Lisette, po czym przypominała sobie zaraz sto innych braków — prócz fryzjera, auta, telefonu, kina, dancingu, kawiarni, teatru, operetki, no, a przede wszystkim gazet.

— Część z tego wszystkiego zastępuje nam radio.

W Assuanie Olga kupiła sobie sześciolampowy odbiornik, który kacyk pozwolił tu przenieść z kutra. Mogli więc słuchać różnych komunikatów, co zazwyczaj kończyło się wybuchami rozpacz u Eystona.

— Wojna wisi na włosku, a ja tutaj siedzę beczynnienie — biadał i obmyślał nowy plan ucieczki.

Plany te jednak stale bywały niewykonalne. Kacyk N'Bunno skonfiskował im broń i ukrył ją równie dobrze, jak motorowy kuter, który Olga wynajęła w Chartumie. Bez łodzi nie mogli marzyć o przeprawie przez Nil czy Didessę, gdyż obydwie rzeki wezbrały już potężnie. Bez broni byłoby szaleństwem zapuszczać się w dżunglę. Dwóch młodych Greków zrobiło wprawdzie ten eksperyment, lecz z żalonym wynikiem: jednego rozszarpał lew, drugi powrócił z tą wieścią do wioski, powrócił po tygodniu, osiwiwały, na pół obłąkany. Przykład ten podziałał odstrasżająco na innych, nawet na Eystona.

— Nie jestem tchórzem, ale też nie jestem szaleńcem — powiedział do Lisette, która zaklinała go, by zorganizował ucieczkę. — Pani nie zdaje sobie sprawy z tego, czym są dziewicze puszcze Afryki, lecz ja przemierzałem je już nieraz.

— Pomimo to żyje pan jeszcze.

— Nie żyłbym od dawna, gdybym odbył taką podróż z gołymi rękami i bez karawany Negrów niosących niezbędny bagaż. A tutaj...

— Wiem, wiem. Lecz przecież...

— Niestety, panno Lisette, nic zrobić nie można, trzeba czekać.

— Na co?

Clyde Eyston nie odrzekł nic, zwiesił głowę z rezygnacją. W jakże innym humorze był dwa miesiące temu, kiedy wysyłał z Luksoru do Londynu łobuzerski list następującej treści:

Wielce Szanowny Pułkowniku, a oficjalnie: Nieboszczyku!

Śledziłem Cię od Aleksandrii aż do el-Kasr, a łaskawe losy pozwoliły mi podsłuchać Twą rozmowę z kapitanem statku, który przywiózł Ci karabiny francuskie. Abyś nie sądził, że bujam, dodaję, iż ta rozmowa odbyła się w grocie na zachód od Biban el-Harim.

Wiem, że wyjechałeś z olbrzymim transportem broni dla Arabów w oazach Kufara i Fezzan. Wiem, że chcesz ich podjudzić przeciw Włochom, tak jak to ongiś w Azji robiłeś na szkodę Turcji. Wiem wszystko i, dzięki mojemu doniesieniu, wiedzą to również Włosi!

Nie czuję do nich żadnej sympatii. Nie daruję im nigdy haniebnej zdrady, jakiej dopuścili się wobec mojej ojczyzny podczas wojny światowej.

Ponieważ jednak bardziej nienawidzę Ciebie, musiałem w tym wypadku wyjątkowo dopomóc makaroniarzom. Krótko mówiąc, zawiadomiłem o Twej wyprawie marszałka Balbo⁽¹⁾, który niewątpliwie zgotuje Ci gorące przyjęcie na gorącej Saharze.

Będę niepokieszony, jeśli zginiesz od włoskiej bomby lotniczej. Będę rozpacział, gdyż marzyłem zawsze o tym, aby być przy Twojej (faktycznej, nie komedianckiej) śmierci. I być jej bezpośrednim sprawcą, „Kochany” Pułkowniku-Farysie⁽²⁾.

Nie znając twego obecnego adresu, wysyłam ten list do centrali Intelligence Service. Nie wątpię bowiem, że Twój szefowie potrafią doręczyć Ci go wszędzie, nawet w piekle, którego życzy Ci z całego serca dawny znajomy z Arabii i Afganistanu...

Pod tym listem Clyde Eyston podpisał się swoim prawdziwym nazwiskiem. Ponieważ znajdował się już w Luksorze, a celem jego podróży była Addis Abeba, zrezygnował z powrotu do Aleksandrii dla wygodniejszej drogi morzem i postanowił dostać się do Abisynii przez Sudan. Figiel (mówiąc delikatnie), jakiego spletał swojemu wrogowi, wprowadził go w tak świetny humor, że z kolei zażartował sobie z panny Lisette, a przede wszystkim z Halefa, który uważał swojego chlebodawcę za rodowitego Araba. Ujrawszy go nagle „odmłodzonego” o dwadzieścia lat i w europejskim stroju, Halef osłupiał, wypuścił z rąk półmisek z kuskusem.

— Panie mój, kto cię tak zaczarował! Gdzie twoja broda?

— Zgoliłem ją. Okoliczności, uważasz, wymagają, abym od dzisiaj udawał niewiernego.

— Allach jihfazak! (Bóg niech cię ma w swej opiece!)

— Będę teraz mieszkał i jadał wraz z giaurami.

— O, panie, a jeśli podadzą ci mięso nieczystego zwierzęcia albo wino?

— Trudno, poświęcę się. Okoliczności tego wymagają.

— Wielki zaiste jest cel, dla którego musisz tak grzeszyć. Bardzo wielki i święty, prawda, efendi?

— Rzekłeś, Halefie — potwierdzał uroczyście.

By osiągnąć ów „święty cel”, czyli zarobić kilka milionów prowizji, Clyde Eyston powinien był działać w Abisynii już od dawna. Tymczasem stracił sporo czasu na śledzenie swojego wroga w Egipcie, jechał uciążliwą drogą, a na dobytek dostał się do niewoli kacyka N’Bunno. Nic nie wróżyło takiej niespodzianki na początku wspólnej podróży. Wspólnej, gdyż już w Assuanie Clyde zawarł znajomość z Olgą Atherton i z jej towarzyszką, korpulentną mademoiselle Lisette. Razem przybyli do Chartumu, gdzie Olga wynajęła kuter oraz... Eystona w charakterze kierownika wyprawy. Ich ekspedycja składała się zrazu z pięciu osób, z Olgi,

Lisette, Eystona, Halefa i mechanika, który później miał odprowadzić kuter do Chartumu. Lecz blisko granicy abisyńskiej przyjęli na pokład dziewięciu oficerów greckich, stronników Wenizelosa⁽³⁾, którzy po stłumieniu rewolucji woleli nie wracać do ojczyzny i pragnęli ofiarować swe usługi Hailemu Selassiemu. Wychodząc z założenia, że w liczniejszej kompanii podróżować bezpieczniej, Olga zaprosiła ich na swój „jacht”. W zamian za to pomogli jej przekroczyć nielegalnie granicę, gdyż Olga, jak wiemy, nie miała w swym paszporcie wizy abisyńskiej.

Od granicy płynęli więcej pod żaglem niż z pomocą silnika, wiedząc, że gazoliny nie dostaną tu nigdzie, aż chyba w Godzampie. Żegluga odbywała się tylko za dnia, pod wieczór zawsze przybijali do brzegu. Do południowego! Ten wydawał im się pewniejszym niż północny, zamieszkały przez dzikie plemiona negroidalne Szankalla. Czwartego czy piątego dnia dotarli do ujścia Didessy. Nieco powyżej ujrzeli małe wgłębienie w lewym brzegu niebieskiego Nilu, w tym „bezpiecznym” brzegu. Płosząc łoskotem motoru stado hipopotamów, wpłynęli do owej zatoczki, w jej środku zakotwiczyli się i zasnęli, jak zwykle kobiety w kabinie, mężczyźni na pokładzie. Jak zwykle jeden z oficerów greckich stanął na straży pod masztem, do którego o północy dosłownie przyspiliła go strzała murzyńska. Potem chmara Negrów wdarła się na motorówkę. Biali, rozbrojeni i napadnięci podczas snu, ulegli łatwo, a nazajutrz stanęli przed obliczem kacyka N'Bunno. Ani nawet Halef nie mógł się z nim dogadać, nikt nie rozumiał języka tych Murzynów, za to przerażała wszystkich jeńców obfitość jadała, jakie w nich wmuszano.

— Chcą nas utuczyć i pożreć! — sądziła panna Lisette.

Jako najpulchniejsza z całego grona miała prawo liczyć na pierwszeństwo, więc na gwałt zaczęła się głodzić. Lecz dni grozy minęły szybko. Ci Czarni nie byli ludożercami. Obchodzili się dobrze ze swoimi więźniami, pozwalali im na dłuższe spacery nawet poza obrębem wsi, dopiero niefortunna ucieczka dwóch Greków wywołała znaczne ograniczenie dotychczasowej swobody ruchów. Od tej chwili każdy z Białych miał własnego strażnika, który chodził za nim jak cień. Doprowadziło to do wielkiej awantury już w kilka godzin po zastosowaniu tego nowego regulaminu. Niedyskretny dozorca Olgi zrobił odkrycie, że powierzony jego pieczy więzień jest przebraną po męsku kobietą. Chcąc o tym przekonać swojego władcę, zaczął przemocą ściągać z niej odzież. Zaledwie jednak zdarł z niej marynarkę, oberwał takiego kopniaka w brzuch, że nakrył się nogami. Ale to był dopiero początek odwetu. Olga, która w ciągu długiego pobytu w Ameryce przesiąkła tamtejszą pogardą dla Kolorowych, wpadła w szał. Pochwyciwszy połówkę jakiejś złamanej włóczni, zaczęła nią okładać Negra, gdzie popadło, łeb nie łeb, potem z takim samym temperamentem natarła na dwóch innych Murzynów, którzy poranionemu do krwi towarzyszowi pospieszyli na pomoc. Żle byłaby wyszła na tym, gdyby nie to, że jej wojowniczość zaimponowała kacykowi. W dowód swojego uznania obdarzył ją łukiem, z którego uczyła się strzelać po całych dniach. Niebawem doszła w tym sporcie do bajecznej wprawy, a jej towarzysze niedoli mieli z tego niemalą korzyść. Karmiono ich bowiem do tej pory głównie cuchnącym mięsem hipopotamów, teraz zaś dzięki Oldze jadłospis mięsnych potraw stał się bardzo urozmaicony.

Ale podczas gdy panna Atherton wypełniała sobie czas łowami, znajdując w tym wielką przyjemność, Lisette nudziła się straszliwie, a Clyde Eyston wręcz rozpaczał. Początkowo sądził, że N'Bunno porwał ich dla wymuszenia od nich okupu. Zaczął więc pilnie uczyć się miejscowego języka, by móc przeprowadzić odnośne pertraktacje z kacykiem, lecz spotkał go zawód; nieufny N'Bunno w ogóle nie chciał gadać z Białymi.

— Więc po co on nas tu więzi?

Wyjaśniło się to dopiero po pięciu tygodniach niewoli u czarnego N'Bunno. Po raz

pierwszy nie wypuszczono jeńców rano z obszernej a pozbawionej okien chaty, w której zamykano ich co wieczór. Przez szpary w bambusowych ścianach ujrzeli kilkunastu Arabów, których białe burnusy odrzynały się wyraźnie od tłumu czarnych nagusów, poddanych „jego wysokości” N’ Bunno.

— Nowi jeńcy — przypuszczała Lisette.

— Raczej nowi nasi władcy — mruknął Clyde Eyston, pochwywszy snadź uchem strzęp rozmowy, jaką prowadziło dwóch Arabów, pilnujących koni. — Halef, może ty lepiej rozumiesz ten dialekt?

W tej chwili otworzyły się drzwi, weszło kilku Negrów i wyprowadziło Halefa oraz mechanika. Ci dwaj byli najszcuplejsi, najślabsi, więc chytry N’ Bunno od nich chciał rozpocząć handel wymienny, aby móc stopniowo podnosić cenę. Potem kolejno wyprowadzano siedmiu Greków, po nich kobiety. Z początku Lisette trzęsa się ze strachu, natomiast Olga szła pewnie, śmiało, pocieszając swą towarzyszkę, że Arab to bądź co bądź nie taki znów dzikus jak Murzyn, że zatem w ich położeniu zajdzie poprawa. Cała ludność wioski zgromadzona na „reprezentacyjnym” placu, utworzyła tu koło, w środku którego leżały dwie sterty strzelb, skrzynek z ładunkami, jaskrawych chust, koszul, fartuchów, sztywnych kapeluszy, jakie noszą Biali, oraz równie tandetnych paciorków, bransolet, naszyjników. Przy mniejszej stercie, będącej ceną sprzedaży Halefa, mechanika i siedmiu Greków stał N’ Bunno z czerwonym parasolem w dłoni, w starym cylindrze na głowie, niezmiernie dumny z nabycia tych skarbów. Przy większej ujrziała Olga Araba, którego wzrok wpił się w nią pożądliwie.

— Bardzo przystojny mężczyzna, prawda? — szepnęła jej Lisette do ucha i zaczęła pośpiesznie malować sobie rumieńce na policzkach.

— Owszem, przystojny, ale może być łotrem wysokiej klasy, Ta jego drapieżna twarz świadczy o...

— ...o temperamentcie, przede wszystkim o temperamentcie. Kochanie, czy nie masz przy sobie kredki do warg?

— Chcesz go oczarować, widzę.

Długo tak rozmawiały ze sobą, gdyż bardzo długo trwały targi tym razem. W końcu z większej sterty przeniesiono tyle „skarbów” na mniejszą, że zrównały się obydwie, a równocześnie Olgę i Lisette dołączono do grupy jeńców nabytych przez Araba. Nareszcie przysłała kolej na Eystona. Uważając go za właściciela „ryczącego statku” i spodziewając się za takiego bogacza otrzymać największy okup, kacyk N’ Bunno zachował go na koniec. Clyde Eyston, eskortowany przez dwóch Negrów, szedł przez plac ze zwieszoną głową, zgarbiony, zrezygnowany. Lisette, która nie spuszczała z oka przystojnego Araba, zauważyła, że nagle pochylił się naprzód, jakby coś nadzwyczajnego dostrzegł. Potem wymówił głośno kilka słów w nieznanym jej języku i oto stał się „cud”; przygnębienie Eystona zniknęło bez śladu! Rozpromieniony podbiegł do Araba, zaczęli witać się i ścisnąć serdecznie jak przyjaciele. U jeńców wywołał ten widok zupełnie zrozumiałą radość.

— Clyde zna go, więc nic nam nie grozi — rzekła Olga, — trafnie przepowiedział ci ów wróżbita w Kairze: *Gdy spotkasz na swej drodze tysego giaura, zaufaj mu bez granic, albowiem on ocali wam życie.* Tak jakoś mówił, pamiętasz? Kiedy w Assuanie poznaliśmy Eystona, zaraz pomyślałam sobie, że to on...

— Tak, tak — wtrąciła Lisette z zapalem — wróżył mi też miłosne przygody, co także spełnić się powinno. Och, to był genialny prorok!

Obydwie nie wiedziały dotychczas, że „genialnym prorokiem” był sam Clyde Eyston, który nie bez pewnego wyrachowania tak sobie z nich zakpił w Kairze. Obecnie zaś szwargotał

po arabsku, aż raptem przeszli na język francuski, którym Arab władał całkiem poprawnie.

— Zrobiliśmy, majorze, wielkie głupstwo — rzekł — teraz, skoro kacyk już wie, że się znamy, każe mi za ciebie słono zapłacić.

— Wszystko ci zwrócę, kochany Selimie. A gdzie twój brat?

— W Addis... o tym pogadamy później. Pierw ubiję interes z tym czarnym psem, którego cuchnącą wieś puszczy kiedyś z dymem, jeżeli zaśpiewa mi bezczelną cenę za ciebie i za twoją motorówkę.

Jak słusznie Selim Er-Durusz przewidywał, N'Bunno postanowił wykorzystać sytuację. Zawzięte targi przeplatane pogroźkami i straszliwym wrzaskiem trwały niemal do południa, po czym przybysze wraz z jeńcami opuścili się w dolinę Niebieskiego Nilu. Tu rozbito obóz w cieniu drzew, obok zatoczki, w której N'Bunno ukrył kuter. Na prośby Olgi, Clyde już podczas obiadu skierował rozmowę na temat najbardziej aktualny.

— Kochany Selimie — zaczął — mam w Addis Abebie pilne sprawy do załatwienia, a straciłem już moc czasu. Nie wątpię jednak, że bez trudności pozwolisz mi odejść.

— Oczywiście, że pozwolę... **tobie!** Różne rzeczy nam zarzucają, ale nikt jeszcze nie ośmielił się twierdzić, że Beni Er-Durusz są niewdzięcznikami. A ponieważ ty ocaliłeś życie mojemu bratu, więc...

— Skoro już o tym wspomniałeś — wtrącił Clyde skwapliwie — to muszę dodać, iż prócz Ibrahima ocaliłem życie jego towarzyszowi!

— Rozumiem. Aby tedy wyrównać ten dług wdzięczności, pozwalam ci zabrać ze sobą jednego z moich jeńców, tego mechanika lub Halefa.

— Jednego tylko? — westchnął. — A pozostali?

— Kobietom źle nie będzie. Młodszą wezmę do swojego haremu, starszą podaruję któremuś z moich ludzi, jeśli kto w ogóle zechce wziąć to stare, wymalowane pudło... Za to Grecy poczują moją twardą rękę! Chcieli walczyć po stronie Selassiego, opiekuna Mongoszów, naszych śmiertelnych wrogów! Nie z przymusu, dobrowolnie tu przyleżli wojować!

— Jaki los ich czeka?

— Dożywotnie roboty w łańcuchach! Możesz im to powtórzyć.

Rad nie rad musiał Clyde wykonać to przykre zlecenie. Powtórzył wszystko wiernie, prócz niekorzystnego sądu Selima o Lisette, która była święcie przekonana, że oczarowała swoją urodą Araba.

— Nie martwcie się, moi drodzy — powtarzała — skoro rozkocham go w sobie, zrobi wszystko, czego zażądam i odzyskacie wolność.

Oczywiście tak wybujałym optymizmem nikt tu nie grzeszył. Z drugiej jednak strony Eyston nie zauważył spodziewanych oznak rozpacz. Grecy milczeli zawzięcie, Olga uśmiechała się wzgardliwie i była w tym uśmiechu łudząco podobna do Alicji Rendell, z którą Clyde zawarł znajomość w czasie podróży przez Morze Śródziemne. Genezę podobieństwa tych dwóch kobiet poznał już dawno dzięki Lisette, nie mającej żadnych tajemnic wobec *opatrznościowego męża*, którego „genialny prorok” z Kairu kazał jej darzyć największym zaufaniem.

— Bardzo mi pani żal — przemówił do Olgi.

— Na współczucie jeszcze za wcześnie.

— A co pani zamierza uczynić, by...

— Walczyć i zwyciężyć lub zginąć.

Nie mógł tego uważać za nic innego jak frazes. Walczyć? Nawet łuk odebrano dziewczynie, mogła więc walczyć tylko gołymi rękami przeciwko piętnastu drabom uzbrojonym świetnie. Jeden z nich nadszedł właśnie, przynosząc dwa haiki, azary i inne części stroju kobiet

arabskich. Z nakazu Selima zarówno Olga jak i Lisette miały przebrać się w to natychmiast.

— Wynikałoby stąd, iż zaraz wyruszymy w drogę.

— Wątpię, panno Olgo. Selim mówił mi, że konie muszą wypocząć. Zresztą jutro ma tu nadciągnąć główna część jego bandy, blisko stu ludzi.

— Ach tak?! Dziękuję panu za tę cenną wiadomość.

Dalszej rozmowie położył kres Selim Er-Durusz. Obejrzał już kuter i pragnął odbyć nim małą przejażdżkę po Nilu w towarzystwie Eystona. Przeprawili się na północny brzeg, polowali tam do zachodu słońca, po czym wrócili do obozu. Podczas ich nieobecności rozbito namioty, gdyż zanosiło się znowu na deszcz. Eystona umieszczono wraz z Halefem.

— Wybacz, że nie zapraszam cię do siebie — usprawiedliwiał się Selim — ale chcę dzisiaj noc spędzić z tą Angielką.

— Czy ona wie o tym?

— Tak, sam to jej oznajmiłem.

— I?...

— Odparła spokojnie, że albo wydrapie mi oczy, albo będzie tak uległa i rozkoszną hurysą, jakiej nigdy jeszcze nie miałem. Wszystko u niej zależy od nastroju, powiedziała.

— Tak, ona zawsze jest nieobliczalna. Nie wiedziałem jednak, że i w tej dziedzinie. Gdybym był wiedział — westchnął Clyde — byłbym cię był dawno uprzedził, szczęściarzu.

— Chciałbym, żeby była w nastroju wojowniczym, żeby broniła się aż do ostatka. Lubię walkę zawsze i wszędzie.

Nie spełniło się to życzenie Selima. Weszła do jego namiotu dobrowolnie tak, że mógł zaraz odprawić ludzi, których po nią wysłał.

— W naszym stroju piękniej wyglądasz — rzekł. — Zdejmij azar.

Podniosła dłoń ku twarzy, by zdjąć zasłonę, jak kazał, lecz równocześnie drugą ręką zgasła świecę i namiot zaległy ciemności. Obawiając się niespodzianek, zrewidował ją najdokładniej, ale żadnej broni nie miała przy sobie. Całowała go do utraty tchu i uczyła go wciąż nowych pieśzcot, aż w końcu zasnął w jej ramionach. Znacznie później zasnął w swoim namiocie Clyde Eyston, nie mogąc odżałować tego, że pozwolił się uprzedzić Selimowi. O świcie zbudził go Halef okrzykiem: — Efendi, nieszczęście! Uciekajmy, inaczej on nas zabije! — Clyde wołał pierw sprawdzić, co zaszło. A zaszło wiele tej nocy podczas szalonej ulewy. Ludzie Selima z kneblami w ustach leżeli niczym mumie, skrępowani sznurami. Za to Grecy, których wczoraj przywiązano do drzew i tak pozostawiono na deszczu, zniknęli bez śladu. Uciekli kutrem, zabierając ze sobą obydwie kobiety i całą broń Selima, którego Clyde długo docucić się nie mógł. Na jego posłaniu znalazł list tej treści:

Sławetny Selimie Er-Durusz!

Tyle nasłuchałem się o Twych wyczynach, że skusiło mnie zmierzyć się z Tobą.

Twoich zbójów rozbroili moi towarzysze, lecz plan ucieczki ułożyłam wczoraj ja sama! Ja też ogłuszyłam wartownika przy koniach. Ja uwolniłam z więzów dzielnych Greków. Chwalę się dlatego, byś tylko ku mnie zapalał żądzą zemsty. I byś nie winił Eystona, który musi być takim samym łotrem jak Ty, skoro przyjaźni się z Tobą.

Nie mogę jednak pominąć milczeniem zasług Mlle. Lisette, która ukołysała cię do snu. Mówi właśnie, że spisywałaś się niezłe i będzie miłe wspominała Twoje...

— Dosyć! — ryknął Selim Er-Durusz i wyrwał list czytającemu go głośno Eystonowi. — Tę starą babę ja... Mnie wyprowadzić w pole i... Nie! Na koń! Nie spocznę, póki nie dostanę w

swe ręce Olgi Atherton!

⁽¹⁾ Italo Balbo (1896-1940) - włoski lotnik, twórca i marszałek włoskiego lotnictwa wojskowego oraz wysokiej rangi polityk faszystowski.

⁽²⁾ farys – muzułmański jeździec, profesjonalny wojownik, odpowiednik europejskiego rycerza.

⁽³⁾ Eleferios Wenizelos (1864-1936) – grecki polityk, prawnik, ośmiokrotny premier. Zaistniał na scenie politycznej podczas kreteńskiego powstania przeciwko Imperium Osmańskiemu w 1897, opowiadając się za utworzeniem unii z Grecją. W 1905 był przywódcą kolejnego powstania na Krecie, które wybuchło w jego rodzinnej wiosce Theriso. Powstanie doprowadziło do odwołania namiestnika tureckiego z wyspy. Po uzyskaniu przez Kretę autonomii Wenizelos współtworzył jej konstytucję.

ROZDZIAŁ XXXI

Wiadomość o pojawieniu się wojskowego samolotu nad Kerauą mocno zaniepokoiła cesarza. Rozumując, że Włosi chcą wykraść z więzienia dawnego władcę Abisynii, polecił Jonaszowi przewieźć go natychmiast do stolicy, skąd później odstawi się groźnego rywala do jednej z zachodnich prowincji. Jonasz był więc zadowolony z przebiegu rozmowy telefonicznej z Addis Abebą, a na zapytanie Hailego Selassiego, co słyhać z „wiadomą” sprawą, odparł z głębokim przekonaniem, że jest ona na najlepszej drodze i z pewnością już niebawem będzie mógł zakomunikować cesarzowi upragnioną wiadomość. Takie nazwy jak Keraua, *Góra Mądrości* czy choćby imię Lidź Jassu w ogóle nie padły podczas tej telefonicznej rozmowy. Szpieg, który ją podsłuchiwał na linii Harar–Addis Abeba, nie miał z tego wielkiej korzyści. Mógł zameldować swoim szefom tylko to, iż niejaki Hafid Brehan „mówił na drucie” do negusa negesti, że należy przewieźć w głąb kraju jakiegoś więźnia. Inna rzecz, iż nawet tak niedokładna informacja żywo zainteresowała Ibrahima Er-Durusz.

Jadąc do Hararu, Jonasz przypuszczał, że na połączenie ze stolicą będzie czekał z pół dnia lub nie zastanie władcy w Gibbi i będzie musiał pod wieczór telefonować powtórnie. Nie był też pewny, czy cesarz zgodzi się na wywiezienie Lidźa Jassu z Kerauy, gdyż Haile Selassie, który ongiś był gubernatorem prowincji Harar, uważa ją dotychczas za najpewniejszą ze wszystkich. Tymczasem wszystko poszło nadspodziewanie gładko. Połączenie telefoniczne uzyskał w ciągu kwadransa, a negus negesti sam pierwszy zaczął mówić o tym, że Lidźa Jassu trzeba stąd usunąć. Uznawszy to za pomyślną wróżbę. Jonasz zrezygnował z dalszego postępu w Hararze. Nie wątpił, że pojętna uczennica wypełniła ściśle wszystkie jego polecenia i już *należycie wykorzystala nieobecność zazdrosnego męża.*

— Wystrychnąłem cię na dudka, głupi Jassu — myślał z radością.

Że mogło stać się na odwrót, ani mu przez myśl nie przeszło. Wracał więc w świetnym humorze i szybko, wykorzystując chwilową przerwę w porze deszczowej. Ponieważ zaś w Hararze zabawił bardzo krótko i jechał rozstawnymi kołmi również w nocy, przybył do Kerauy już o świcie. O dziesięć godzin wcześniej niż było w programie! Wywołało to wielkie poruszenie wśród załogi. Wieść o nagłym powrocie komendanta rozeszła się po całym forcie jeszcze prędzej niż pikantna wiadomość, że pani komendantowa została na noc u więźnia. To było właśnie wczoraj. Wczoraj wieczorem tam poszła i nie wyszła od niego dotychczas! Ha, nie przeczuwała snadź, że mąż wróci tak rychło. Może by ją ostrzec? Prości żołnierze sympatyzowali z „Yaminą Brehan”, gdyż była dobrą panią i nieraz wstawiała się za nimi. Oficerowie przeciwnie, nie mogli darować jej tego, że nie nawiązała romansu z żadnym z nich, tylko z uwięzionym eks-cesarzem. Skoro jest tak zarozumiała, niech teraz cierpi, niech jej mąż kości połamie. Cała załoga czekała z zapartym oddechem na awanturę. Nawet największe śpiochy zwlokły się z prycz i z przyzwoitej odległości śledzono każdy krok pana komendanta.

A Jonasz Mongosza przede wszystkim udał się do mieszkania. Stwierdziwszy nieobecność Taitu i zauważywszy przerażone miny służby, omal nie parsknął śmiechem. Byłby najchętniej położył się spać, ale przez wzgląd na służbę musiał zapytać o żonę. Jedna z dziewcząt służebnych zemdląła od razu, druga padła na kolana i jęła zaklinać się na wszystkie

świętości, że jest bez winy. Gdzie woizero? Woizero Jamina poszła do więźnia.

— Aha, zaniósła mu śniadanie. W porządku, możecie odejść.

Sam podsunął ten pretekst, sam uznał nieobecność żony za usprawiedliwioną, tymczasem dobroduszna służka zaczęła lamentować głośno i „sypać” swoją panią:

— Oj, nie śniadanie mu zaniósła, lecz wieczerzę.

— Dzisiaj? — udawał głupiego. — Przecież dopiero ranek. Poplątało ci się coś w głowie, idź spać dalej.

— Nie dzisiaj, panie dostojny. Wczoraj wieczorem tam poszła i jeszcze nie wróciła. Ale jam niewinna, przysięgam, że niewinna.

Rad nie rad, musiał więc Jonasz zagrać rolę męża który powróciwszy do domu łapie żonę in flangranti⁽¹⁾ z kochankiem. Pobiegł w stronę domu zdetronizowanego cesarza, rycząc po drodze jak najgłośniej, by umożliwić „niewiernej żonie” odwrót i niezbędne dla zachowania pozorów wykręty. Lecz wszystko na próżno. Taitu nie wybiegła stamtąd, nie skorzystała ze zwłoki, jakiej jej dostarczył, zasypując pytaniami dwóch żołnierzy, którzy stali na straży pod drzwiami budynku. Umyślnie odciągnął ich od drzwi ku oknom, by mogła uciec swobodnie, umyślnie podnosił głos i nic. Trochę zirytowany tą niedomyślnością swej uczennicy, wszedł w końcu do przedsionka. Drzwi były **otwarte**, choć Taitu wczoraj wieczorem zamknęła je od wewnątrz na zasuwę. Wpadł do sypialni. Lidź Jassu siedział po turecku na swoim łożu i powitał wchodzącego komendanta salwą szyderczego śmiechu.

— Co widzę! — rzekł wreszcie. — Jonasz Mongosza już wrócił?

Jonasz osłupiał. W całej prowincji Harar nie wiedział nikt, że wiceszef kontrwywiadu tutaj przebywa, cała załoga w Keraua wierzyła święcie, iż komendant nazywa się Hafid Brehan, tymczasem prawdę znał właśnie ten, dla którego całą tę komedię odgrywano. Więzień! Czyżby Taitu zdradziła lub wygadała się po pijanemu? O, w takim razie, biada jej!

— Gdzie moja żona?

— Twoja agentka, chcesz powiedzieć... Tam cisnąłem to bydłę.

Wzgardliwym ruchem ręki Lidź Jassu wskazał ten kąt komnaty, który patrzącemu od drzwi zasłaniało szerokie łoże z baldachimem. Tam biedna Taitu leżała skuta złotymi kajdanami, pokrwawiona, posiniaczona, nieprzytomna. Musiała mieć silną gorączkę. Jej umęczone, sponiewierane ciało parzyło Jonaszowi dłonie, kiedy badał, czy nie doznała jakich poważniejszych obrażeń. A podczas, gdy on uwalniał ją z więzów i cucił. Lidź Jassu mówił, mówił bez końca. Że wie wszystko, pochwalił się najpierw. Wie nawet o grożącej wojnie z Włochami, co przed nim tajono dotychczas. Wie, iż jego śmiertelny wróg Haile Selassie chciał mu wydrzeć tajemnicę władców Abisynii. Misję tę powierzył jednemu ze swoich najwierniejszych *psów*, Jonaszowi. Ten zaś przede wszystkim zastąpił swoje *parszywe* nazwisko innym, przybranym: Brehan. Dlaczego właśnie Brehan? Gdyż pod Debra Brehan ojciec Lidź Jassu, ras Michael, stoczył bitwę ze stronnikami Selassiego. Już samo nazwisko Brehan miało zelektryzować więźnia, podobnie jak to fałszywe imię Yamina. Nie Yamina, lecz Taitu na imię *bezczelnej agentce*, która dzisiejszej nocy otrzymała zasłużoną karę... Tu Lidź Jassu z chełpliwością głupca i sadysty jął opisywać dokładnie, jak znęcał się nad swoją ofiarą, aż w końcu Jonasz stracił panowanie nad sobą.

— Ja ci za to zapłacę, ty zwyrodniały zbrodniarzu! — krzyknął.

Na wyjezdnym z Addis Abeby musiał przysiąc cesarzowi, że więźnia nigdy nie uderzy. Nie uderzył go więc teraz, ale pomścił Taitu inaczej. Wybrawszy spośród załogi dwóch najgorzej śmierdzących Negrów, kazał ich złączyć krótkimi łańcuchami razem z więźniem. Wraz z nimi zdetronizowany władca musiał spać i jeść, musiał im towarzyszyć, gdy załatwiali

swoje naturalne potrzeby. Nazajutrz karawana wyruszyła w drogę. Obydwaj Murzyni jechali na mułach, a pomiędzy nimi kroczył Lidż Jassu. Jeśli upadł, wleczono go przez chwilę po wybojach drogi. A upadał często, bowiem głowę miał owiniętą aż po szyję długim bandażem. Pozostawiono mu wprawdzie dwie szpary, jedną, by mógł oddychać, na wysokości ust, drugą na oczy, lecz kiedy muślin zsunął się z czoła niżej, Jassu nie widział nic i potykał się co kilka kroków. Tak szedł przez dwa i pół dnia aż do Diredauy, gdzie czekał na nich specjalny pociąg, którym przyjechali wraz z mułami do Addis Abeby. Z dworca Jonasz połączył się telefonicznie z Gibbi, chcąc dowiedzieć się, dokąd ma odstawić więźnia. Nie zastawszy jednak cesarza, który dopiero za dwa dni miał powrócić z jakiejś tajemniczej wycieczki, Jonasz zdecydował na własną rękę umieścić Lidża Jassu tymczasowo w swojej willi na stokach Antotto. (Jak wiadomo, góra Antotto wznosi się nad stolicą i osłania ją od północy). Tam również przewiózł chorą Taitu, rozstawił silne posterunki dokoła willi, po czym zawrócił w stronę miasta wraz z tuzinem swoich zabijaków.

Jechał stępa pogrążony w niewesołej zadumie. Stracił przeszło miesiąc i nic nie wskórał. Jeszcze kilka dni temu był przekonany, że Taitu wydobędzie z więźnia upragnioną wiadomość. Kilka dni temu zapewniał cesarza, iż sprawa jest na najlepszej drodze i ręczył za pomyślny skutek. A tymczasem... fiasko na całej linii.

— Przez tego szatana!

Lidż Jassu nie omieszkiał pochwalić się, że ostrzegł go za pośrednictwem rzekomego mnicha *szlachetny* Ibrahim Er-Durusz. Tak więc do starych porachunków ze śmiertelnym wrogiem rodu Mongosów przybyła nowa pozycja i przepelniła kielich nienawiści Jonasza, a jednak nie o Ibrahimie myślał w tej chwili. Myślał o jego tajemniczym informatorze! Wyjeżdżając w maju z Addis Abeby, nie zabrał dla ostrożności nikogo z własnej służby, nikogo nie wtajemniczał, dokąd udaje się i po co. Tylko dwie osoby to wiedziały, jego zwierzchnik, Ludwik Brin, i cesarz. Który z nich poinformował o tym chociażby pośrednio takiego *wroga państwa numer jeden*, jak Ibrahim Er-Durusz?

— To jasne, że nie cesarz — mruknął jednooki, przynaglając swojego wierzchowca do kłusa, gdyż minęli już najbardziej spadzisty odcinek ścieżki wiodącej do willi. — Zatem Ludwik Brin!

Logiczny ton wniosek był „ciężkostrawny” nawet dla podejrzliwego Jonasza. Wprost pomieścić się mu w głowie nie chciało, żeby jego ukochany mistrz i przyjaciel mógł stać się sojusznikiem Ibrahima.

— Ludwiczek jest lekkoduchem, ale nie zdrajcą — powtarzał sobie, ilekroć w dalszym swym rozumowaniu dochodził do tego samego rezultatu, że informatorem Ibrahima mógł jednak być tylko Brin.

Niebawem kawalkada dotarła do pierwszych domostw północnej dzielnicy i, pozostawiwszy po lewej ręce pałacyk poselstwa francuskiego, skierowała się w stronę centrum miasta, ku Gibbi. Lecz po drodze, a mianowicie koło zachodniego narożnika *Gian Heda* omal nie doszło do katastrofy. Jakiś automobilista, urzeczony snadź sąsiedztwem toru wyścigowego, pędził po wariacku boczną aleją, a ujrawszy na skrzyżowaniu ulic kawalkadę, z największym trudem zdołał zahamować w ostatniej chwili. Jonasz, którego muł oberwał lekkiego szturchańca błotnikiem, odwrócił się w siodle, zamierzając zwymyślać narwanego szofera i... zaniemówił na chwilę. Bowiem przy kierownicy tego sportowego auta siedział obok jakiejś przesadnie wymalowanej elegantki europejskiej... Ludwik Brin!

— Jonasz? Oczom nie wierzę! — zawołał, wyciągając rękę.

— Ja również — mruknął Mongosza, zauważywszy na palcach tej dłoni dwa pierścienie

z dużymi brylantami i wspaniałą perłą w krawacie.

— Kiedy wróciłeś? Co słyhać? Jak ci się powodzi?

— Gorzej niż tobie.

Ludwik Brin omiół byстрыm spojrzeniem zniszczoną odzież i szybko wyjął z kieszeni portfel.

— Ach, mój Boże — wyszeptał jakby zawstydzony — to widać, że wpadłeś w finansowe tarapaty, a ja przecież jestem ci winien moc forsy.

Zanim Jonasz zdążył coś odrzec, Brin z paczuszki nowiusieńkich banknotów pięćsetdolarowych odliczył osiem sztuk i wcisnął mu je do ręki.

— Mam wrażenie, iż jakąś resztę z tego od ciebie dostanę, ale to już jutro, w biurze. Dziś śpieszę się szalenie... Jak ci się podoba mój wózek? Zgadnij, ile za niego wybuliłem. No?... Prawie pięć tysięcy! Kobiety także nie są tańsze — westchnął żartobliwie, poklepał po ramieniu swoją towarzyszkę, nachylił się w drugą stronę, do osłupiałego Jonasza, dodał półgłosem coś pieprznego (a zapachniało od niego alkoholem tak, że jednooki bezwiednie cofnął się, przejęty nagłą odrazą), po czym nacisnął starter. — Do zobaczenia jutro, kochany mój uczniu...

Luksusowe auto dawno już zniknęło w oddali, a Jonasz stał wciąż w tym samym miejscu, snując różne domysły na temat raptownego wzbogacenia się szefa wywiadu, który jeszcze sześć tygodni temu tkwił w długach,

— Skąd te pieniądze?! Od kogo?!?! Za co?!!

Twarz Mongoszy stawała się coraz bardziej posępna, brzydka, straszna. Jego spękane wargi poruszyły się tak, jak gdyby zmeł w zębach najgorsze przekleństwo. Jego dłoń z pasją ścisnęła otrzymane banknoty. W jego jedynym oku zamigotał jakiś złowrogi błysk. Wszystko to widzieli ludzie z jego przybocznej straży, nawykli czytać myśli z twarzy swojego pana i zaczęli sobie szeptać na ucho:

— Ale spojrz! Widziałeś?

— Widziałem. To było bardzo złe oko!

— To wróży śmierć!

Komu to ma śmierć wróżyć, co do tego nie było snadź najmniejszych wątpliwości w gronie tych zabijaków, bowiem wszyscy jak na komendę zaczęli potakiwać ruchem głowy, kiedy jeden z nich wybąkał cichuteńko:

— Ani za trzy worki złotego piasku z Szankalli nie chciałbym być teraz w skórze Ludwika Brina.

⁽¹⁾ in flagranti (łac.) – na gorącym uczynku.

ROZDZIAŁ XXXII

Dnia 29 czerwca 1935 roku konsul Stanów Zjednoczonych w Addis Abebie otrzymał następującą wiadomość:

Do miasteczka Debra Markos w prowincji Godzam dowlokło się ostatkiem sił dziewięciu podróżnych, Białych, w czym dwie kobiety. Stan zdrowia tych osób był podobno równie oplakany, jak stan ich odzieży oraz... kieszeni. Wprawdzie bowiem ktoś tam z nich miał książeczkę czekową, lecz w Abisynii, poza stolicą, nawet banknotami trudno płacić rachunki, a co dopiero czekiem; Abisyńczycy na prowincji przyjmują tylko złote lub srebrne monety albo naboje do karabinów oraz woreczki z solą, a żadnej z tych „walut” nikt z owej dziewiątki nie posiadał. Ale najgorsze ze wszystkiego było to, że niefortunni podróżni nie mieli przy sobie ani paszportów, ani w ogóle żadnych dowodów osobistych, twierdzili uporczywie, że wszelkie papiery odebrał im jakiś murzyński kacyk, który ich więził przez miesiąc, w co miejscowe władze abisyńskie nie chciały ani rusz uwierzyć. Wytworzyła się z tego wszystkiego sytuacja bez wyjścia; władze miałyby ochotę odstawić tych cudzoziemców do granicy, lecz ludność z Debra Markos, która dotychczas żywiła i żywi przybyszów, nie zamierzała ich wypuścić, dopóki nie otrzyma swoich należności za mieszkanie, nową odzież, wikt i opierunek...

— No pięknie — rzekł John Gliwa, wysłuchawszy opowiadania swego zwierzchnika — ale co nas to obchodzi?

— Owszem, obchodzi nas, gdyż podróżni ci są Amerykanami.

— W jaki sposób zdołano to stwierdzić, skoro podobno nie posiadają żadnych dokumentów?

— Stwierdzić tego oczywiście nie zdołano, tylko oni mówią, że są obywatelami amerykańskimi i na razie nie mamy powodów do powątpiewania w prawdziwość ich oświadczeń. Krótko mówiąc, trzeba tym ludziom pospieszyć z pomocą jak najprędzej.

— Dobrze, panie konsulu. Jeszcze dzisiaj będę telefonicznie interweniował w abisyńskim ministerstwie spraw...

— To na nic, panie Gliwa — wtrącił konsul. — Zanim pańska interwencja odniesie pożądaną skutek, podróżnicy stracą kredyt u swoich dotychczasowych żywicieli i umrą z głodu. Przede wszystkim należy ich wykupić, czyli zapłacić ich długi w Debra Markos, potem przywieźć ich tu, do stolicy, a wreszcie... No, o tym potem. Najpierw trzeba by tam pojechać. Swojego czasu palił się pan do dłuższej wycieczki w głąb Abisynii.

— Tak jest, panie konsulu, ale to było przed porą deszczową.

— To znaczy, że deszcze ugasiły pański zapal do studiów krajoznawczych? Ha, w takim razie wyśle kogoś innego...

Po krótkim namyśle John oświadczył zwierzchnikowi, że jednak gotów jest wyruszyć do Debra Markos, byle nie natychmiast. Wprawdzie odległość pomiędzy tym miasteczkiem a stolicą wynosi zaledwie dwieście kilometrów, niemniej na przygotowanie się do podróży musi zużyć co najmniej pięć dni. Konsul skinął głową aprobująco, choć zdziwiło go takie

guzdralstwo, wybaczalne kobiecie, ale nigdy mężczyźnie-sportowcowi. Konsul nie wiedział, że pięciodniowa zwłoka potrzebna jest Johnowi właśnie ze względu na kobietę. Nie wiedział, iż piękna Alicja Rendell w pierwszych tygodniach swego, pobytu w Addis Abebie zanudzała Johna, aby *wykombinował sobie* jakąś podróż służbową w głąb kraju, skoro nie może jeszcze żądać urlopu.

— Pojechałabym z panem — powtarzała, uśmiechając się wymownie, obiecująco — i znowu bylibyśmy sami we dwoje, jak wówczas w pociągu.

Wspomnienia krótkiej sielanki w pociągu upajało go zawsze, jeszcze bardziej ponętna była perspektywa wspólnej podróży karawaną, noclegów pod namiotem i tym podobnych atrakcji, ale cóż z tego, skoro pretekstu do podróży służbowych nie dało się znaleźć ani rusz. Jakby na złość! Aż dopiero dziś po raz pierwszy. John Gliwa, gdy mu konsul zaproponował wyjazd do Debra Markos powinien był wpaść w zachwyt, tymczasem przyjął tę wiadomość z rezerwą. Kilka przyczyn złożyło się na to. Po pierwsze, nie wiedział, czy Alicja nadal żywi chęć poznania wnętrza kraju, czy też był to tylko chwilowy kaprys. Po drugie, interesowały ją raczej południowe prowincje Abisynii, a Godżam leży na północny-zachód od Addis Abeby. Po trzecie, tillok zinab (dosłownie, wielki deszcz, czyli pora deszczowa, trwająca prawie pięć miesięcy) w okolicach stolicy ma największe nasilenie właśnie w lipcu. Lecz za stokroć gorszą przeszkodę, niż tillok zinab, uważał John... Gastona d'Harcourt.

— Ten zrzęda gotów nam wszystko popsuć — obawiał się słusznie.

Gliwa, uważający Alicję i Gastona za rodzeństwo, przez długi czas nie mógł zrozumieć powodów dziwnego zachowania się przyjaciela wobec niego. Zrazu sądził, że ma do czynienia z objawami starokawalerskiego egoizmu, że Gaston zasmakował w gospodarnych rządach siostry i złości go myśl o jej nowym zamążpójściu. — Nie trap się o to, będziesz miał w domu te same wygody, co dzisiaj, gdyż ja godzę się chętnie na to, abyś po moim ślubie z Alicją zamieszkał przy nas — powiedział mu John kiedyś. W odpowiedzi na to, Gaston parsknął szyderczym śmiechem, a potem powrócił mu znowu zły humor. — Wolałbym zdechnąć, niż tak we trójkę żyć pod jednym dachem! — wybuchnął. Jego nieukrywana niechęć do przyjaciela wzrastała z dnia na dzień, aż w końcu John przestał tam bywać. Wydało mu się bowiem, że wreszcie zrozumiał przyczyny postępowania Gastona.

— Jestem zbyt kiepską partią dla siostry pana hrabiego — pomyślał sobie z goryczą. — Przyjaciela Gliwę pan d'Harcourt raczył łaskawie tolerować, ale nie mógłby strawić Gliwy jako swego szwagra...

W tym zmartwieniu pocieszało go to, że w przeciwieństwie do „brata” Alicja nie zmieniła się ani trochę. Była nadal taka, jaką ongiś poznał na statku, miła, uprzejma, trochę zalotna, tylko coraz bardziej smutna. Spotykali się dość często na brydżu, fajfach i wieczornych przyjęciach wydawanych kolejno przez wszystkich członków korpusu dyplomatycznego, którzy w ten sposób uprzyjemniali sobie okres pory deszczowej. Znacznie rzadziej spotykali się we dwoje w kawiarni i te nieliczne schadzki miały dla Johna największy urok. Właśnie przez to, że odbywały się w wielkiej tajemnicy przed Gastonem. Kiedy więc obecnie wyłoniła się możliwość wyjazdu do prowincji Godżam, Johnowi przede wszystkim przyszła na myśl kawiarnia *La Confidence*; tam chciał oznajmić tę nowinę Alicji i nakłonić ją do wspólnego wyjazdu nawet wbrew woli jej „brata”. Tymczasem nadarzyła się lepsza sposobność do rozmowy sam na sam z ukochaną.

— Panie Gliwa — rzekł konsul, ukończywszy część urzędową swojej rozmowy — czy nie zechciałby pan przyjść do mnie jutro o piątej popołudniu na brydża? Będą... — tu wymienił zaproszonych, a w ich liczbie także hrabiego d'Harcourt. — Sami mężczyźni, jak pan widzi.

Kobiety lubię bardzo, ale tylko w pewnych sytuacjach... Zatem, mogę liczyć na pana?

John z radości omal nie uściskał zwierzchnika. Za to, że zaprosił Gastona! I za to, że nie lubi kobiet przy brydżu. Bo wynikało stąd jasno, iż jutro po południu aż do wieczora Alicja Rendell będzie w domu sama!

— Przyszedłbym z największą przyjemnością, lecz złożyło się tak fatalnie, że jestem już proszony na jutro — zełgał — i bardzo wątpię, czy przed ósmą wieczorem uda mi się zwać stamtąd.

— Nie szkodzi, niech pan przyjdzie o ósmej. I tak nikogo nie wypuszczę od siebie przed północą, pan mnie przecież zna.

— Przyjdę na pewno i oznajmię panom wielką nowinę.

Ową wielką nowiną miała być wiadomość, że oficjalnie zaręczył się z Alicją Rendell. Wyobrażał sobie już naprzód, jaką na to dictum minę zrobi Gaston d'Harcourt. Aby go nie spotkać na drodze, John nazajutrz popołudniu udał się konno „na wycieczkę” w kierunku wschodnim za miasto. Dotarłszy do szczytu pagórka panującego nad dzielnicą poselstw zagranicznych, odwrócił się, spojrzął w dół. Leżały tam wille i bungalowy Europejczyków oraz pałacyki poselstw. Hen, w dali na prawo, najbardziej ku północy wysunięty, to poselstwo francuskie, nieco bliżej włoskie, niżej niemieckie, a tuż u stóp belgijskie i na lewo od niego angielskie, strzeżone przez malowniczo ubranych Hindusów bengalskich. A w sąsiedztwie Belgów, ale nieco wyżej, stała willa hrabiego d'Harcourta.

— Już chyba pojechał do mojego szefa. Gaston jest punktualny.

John mógł tak sądzić, dochodziło bowiem pół do szóstej, a konsul gości prosił na piątą. Zaczął więc zjeżdżać po zachodnim stoku pagórka, wpatrzony w ogród leżący po tamtej stronie willi. Nie wątpił, że właśnie tam zastanie Alicję, że ona skorzysta z krótkiej chwili pogody i pójdzie obojętnie szkody wyrządzone przez szaloną ulewę, która trwała od świtu niemal do samego południa. Nie pomylił się. Wśród krzewów otaczających gęstym pierścieniem altanę, na tle zieleni mignęła biała suknia. Potem, ponieważ zjechał już dość nisko, widok na ogród zasłoniła mu willa. Okrążył ją pieszo, przywiązawszy konia do drzewa, i przez otwartą furtkę wszedł do ogrodu. Mniej więcej w jego środku znajdowała się altana z trzech stron zakryta przez wysokie krzaki tak, że nie było jej widać. Wejście miała od południowej strony. Należało więc iść prosto główną ścieżką, a potem skrócić w prawo. Zanim jednak John dotarł do zakrętu, przystanął, sprawdził chyba po raz dziesiąty, czy nie „ucieкло” mu z kieszeni jubilerskie pudełeczko. Spoczywał w nim pierścionek, który kosztował go trzy pensje miesięczne. Pierścionek zaręczynowy! Czy tylko Alicja zechce go przyjąć?

John podniósł oczy w górę, jak gdyby zamierzał prosić niebo o protekcję w tak decydującym momencie. Potem westchnął, spojrzął, czy nie zabłocił się po drodze, musnął dłonią krawat. Ukończywszy te ostatnie przygotowania, elastycznym krokiem podszedł do przerwy w żywopłocie, odwróconą w prawo głowę wysunął nieco i cofnął natychmiast bardzo niezadowolony. Gdyż w altanie obok Alicji Rendell siedział na ławce hrabia d'Harcourt. Nie poszedł więc jednak do konsula na brydża.

— Woli zanudzać biedną siostrę — pomyślał John. — Zapewne wylicza jej potrawy, które mu rzekomo szkodzą, przeklęty hipochondryk.

Przekonał się wnet, że Gaston bynajmniej tu nie poruszał takich tematów, lecz zupełnie inne. Jego rozmarzony głos zabrzmiał w chwili, gdy John zdecydował się rozpocząć dyskretny wymarsz z ogrodu.

— Zresztą po co kłamać? Zostałem w domu dlatego, że właśnie jutro minie sześć lat od dnia, w którym cię poznałem. Na pewno! Pierwszego lipca rozpocząłem wtedy urlop, pamiętam

dokładnie. Miałem jechać do Vichy. Przez omyłkę przybyłem na dworzec o godzinę wcześniej niż należało. Odszedłem do kiosku po gazety. Wracając, ujrzałem ciebie. Chuda, zbiedzona, źle ubrana, ale bardzo ładna dziewczyna stała pochylona nad moimi walizkami i wzrokiem pożerała nazwy miast na nalepkach hotelowych. Zaczepiłem cię bezczelnie. Zapytałem, czy nie zechciałabyś odbyć dłuższej podróży ze mną. Odpowiedziałas coś na to dowcipnie i tak zawarliśmy znajomość. A wieczorem, zrezygnowawszy z kuracji w Vichy, wyjechałem z Paryża do Juan-les-Pins. Z tobą, najdroższa. Czy pamiętasz noc w wagonie sypialnym? Tę twoją pierwszą noc?!... No, odezwij się, przemów, Madelon...

John Gliwa stał jak wryty w ziemię, ogłuszony, zmiażdżony moralnie straszliwym ciosem. Madelon! Teraz wszystko stało mu się przeraźliwie jasnym, zrozumiałym. Wszystko, prócz jednego: czemu oni oboje okłamywali go, że są rodzeństwem. Jaki cel miała ta nikczemna gra kosztem jego najpiękniejszych uczuć?

— Milczysz. Wciąż milczysz uparcie — ciągnął dalej Gaston, a w jego głosie drgnęła nuta gniewu. — Ale ja cię potrafię zmusić do mówienia... Madelon! W wilię takiej rocznicy jak jutrzejsza należy się chyba coś od ciebie twojemu pierwszemu kochankowi. Za tyle dobroci, wyrozumiałości, za tyle poświęceń...

Johna uczepliło się nagle niedorzeczne przypuszczenie, że wszystko to, co słyszał tu dotychczas, jest fragmentem powieści, którą Gaston czyta głośno swojej **siostrze**. Tak, koniecznie siostrze! Jak tonący brzytwy uchwycił się tej myśli i powoluteńku jął znów wysuwać głowę spoza ściany żywopłotu, spragniony widoku książki. Książki, jaką powinien by trzymać w dłoni **brat Alicji**... Niestety, książki nie było w altanie ani na lekarstwo. A d'Harcourt właśnie całował swoją dawną kochankę, która z kamienną obojętnością przyjmowała te pieszczoty. Johnowi krew uderzyła do głowy, w oczach zawirowały mu krwawe plamy, strugi, jeziora. Żądza odwetu ogarnęła go z gwałtownością, jakiej nie przeczuwał w sobie nigdy. Błyskawicznym ruchem wsunął dłoń do kieszeni... po rewolwer...

ROZDZIAŁ XXXIII

Jonasz Mongosza zastał w swoim biurze okropne nieporządki. Porównując obecny stan rzeczy z poprzednim, mógł z czystym sumieniem stwierdzić, że jednak Ludwik Brin nie jest właściwym człowiekiem na właściwym miejscu. Bo cóż wart szef, z którego podwładni nie robią sobie nic i zaniedbują się w pracy skandalicznie, skoro budzący postrach wiceszef wyjechał na kilka tygodni. A może Brin jest niezbędny już nie jako zwierzchnik, lecz jako fachowiec? Pragnąc na to pytanie otrzymać odpowiedź możliwie najbardziej obiektywną, Jonasz zrobił kilka doświadczeń. Polegały one głównie na tym, że sprawy, które Brin podjął się załatwić osobiście, Jonasz równocześnie dawał do załatwienia (choćby tylko teoretycznego) trzem najzdolniejszym współpracownikom, oczywiście jednemu w tajemnicy przed drugim. Wyniki tych eksperymentów przeszły wszelkie oczekiwania jednookiego. Młodzi, ambitni Abisyńcy rozwiązywali te „zadania szkolne” znacznie szybciej i lepiej, niż rozleniwiony *Ludwiczek*.

— A więc — wnioskuje Jonasz — on już nie jest nam niezbędnie potrzebny, damy sobie radę bez niego.

Z tą chwilą los Ludwika Brina był przypieczętowany. Dopiero z tą chwilą! Wprawdzie Jonasz od dnia swego powrotu uważał go za właściwego sprawcę fiaska, jakim zakończyła się gra Taitu z eks-cesarzem Lidżem Jassu, wprawdzie za niełaskę, w jaką przez to popadł u Hailego Selassiego mógł od razu wyrzucić zemstę na Brinie, lecz Jonasz przede wszystkim był patriotą. Potrafił podporządkować prywaty interesowi publicznemu. Bez wahania zrezygnowałby z odwetu lub odroczyłby jego wykonanie do spokojniejszych czasów, gdyby Brin w wywiadzie był nie do zastąpienia. Okazało się jednak co innego. Okazało się, co gorsza, iż Brin pokumał się na dobre z Ibrahimem Er-Durusz, pełniącym funkcję szefa wywiadu włoskiego. Jedną zdradę byłby mu Jonasz darował przez wzgląd na starą przyjaźń, lecz pozory wskazywały na to, że Ludwik Brin miał więcej grzechów na sumieniu.

— Jak na przykład sprawa Teofili!

Jonasz jeszcze w Keraua wysłał nakaz natychmiastowego aresztowania tej wiedźmy. W powrotnej drodze do stolicy z kilku stacji telefonował do swojego biura i podczas jednej z tych rozmów zapytał, czy *wiadomą osobę z placu Arrada* już uwięziono. Odpowiedź brzmiała smętnie: — Niestety, wiadoma osoba, wyjechała w niewiadomym kierunku. — Zgrzytnął zębami w bezsilnej złości: — Kiedy wyjechała? — Odpowiedziano mu, iż w przeddzień aresztowania. Powróciwszy do stolicy, zbadał rzecz gruntowniej, przesłuchał cały personel biura i wydało się, że pilne żądanie Jonasza wykonano z dwudniowym opóźnieniem. Odnośny list z Kerauy nosił przez dwie doby w kieszeni... Ludwik Brin.

— On ją ostrzegł, on jej umożliwił ucieczkę — sądził Jonasz.

Zniknięcie Teofili niesłychanie utrudniało odszukanie Ibrahima Er-Durusz. Ta jędra znała przybrane nazwisko, pod jakim tu występował, musiała znać także jego adres, skoro dostarczała mu dziewcząt. W „czułem” sam na sam z *wielkim inkwizytorem abisyńskim* z pewnością wyjawiałaby ten cenny sekret, nawet bez użycia prądu elektrycznego, a Ibrahim musiał liczyć się z tym i dlatego kazał babie wyjechać. Ale kto mu doniósł, iż Teofila ma być aresztowana z polecenia Jonasza? Kto o tym pierwszy wiedział w Addis Abebie? Kto oddał tę

wielką przysługę wrogom cesarza i Mongoszów? — Ludwik Brin! — orzekł jednooki głęboko przeświadczony o tym, że ma słuszość i w duchu wydał na przyjaciela wyrok śmierci.

Od takiego wydania wyroku do jego wykonania krótka była droga zazwyczaj, jak o tym świadczy choćby zasztyletowanie pułkownika Peluso, dawnego szefa włoskiego wywiadu w Abisynii. Niejeden też eukaliptus w Addis Abebie posłużył za szubienicę ofiarom Jonasza, który miał przy tym osobliwą pasję nadawać większości owych *mordów kapturowych* pozory samobójstwa delikwenta. Ludwik Brin zawsze odznaczał się lekkomyślnością, niemal stale chodził bez zbrojnej asysty, można więc było łatwo powiesić go którejs nocy, podobnie jak tylu innych szpiegów i zdrajców przed nim. A jednak tym razem Jonasz odstąpił od reguły. Z różnych względów postanowił „wykończyć” Europejczyka Brina po europejsku, według znanej recepty: prowokacja, pułapka, zdemaskowanie, sąd, wyrok, egzekucja...

— A potem — układał sobie w głowie — gdy już pozbędę się zdrajcy we własnym obozie, zlikwiduję prędzej bandę Ibrahima Er-Durusz. Przygotowania do tego ostatecznego ataku można prowadzić równocześnie...

Równocześnie zaś jego śmiertelny wróg obmyślał plan kontrataku.

— Za wszelką cenę trzeba sprzątnąć Jonasza, zanim wojna wybuchnie. I ty, kochany majorze, musisz nam w tym dopomóc.

Clyde Eyston zrobił wyniosłą minę.

— Jeśli sądzisz, że ja podejmę się brudnej roboty zbira, to...

— Ależ nie o to chodzi — wtrącił Ibrahim żywo.

Jał zapewnić Eystona, że nie myślał o skrytobójstwie. Byłoby ono zresztą niewykonalne, twierdził, gdyż jednooki jest bardzo ostrożny. Tylko raz zdarzyło się tak, że z biura wracał nocą do domu bez żadnej asysty, lecz wtedy, jak na złość, ludzie Ibrahima byli zajęci gdzie indziej. A człowiek, który wówczas śledził Jonasza, zamiast do niego strzelić, zrzucił mu na łeb cegłę z dachu i chybił. Spudłował zapewne z nadmiaru wzruszenia, ten głupiec... Krótko mówiąc, jemu, Ibrahimowi, nie chodzi o zgładzenie samego tylko Jonasza. Nie, on chce czegoś więcej. Chce wraz z jednookim i przez jego upadek zniszczyć wszystkich Mongoszów, a z drugiej strony cały abisyński kontrwywiad. To będzie gra bardzo interesująca! To byłoby coś zupełnie w stylu *kochanego majora*.

Lecz Eyston skrzywił się, potrząsnął głową przecząco.

— Mówiłam już twojemu bratu, Selimowi — odparł — że nie mam najmniejszej ochoty pracować dla Włochów.

Ibrahim Er-Durusz ściągnął brwi groźnie.

— Zatem dla Hailego Selassiego?!

— Przede wszystkim dla siebie! Tak, Ibrahimie. Przybyłem do Abisynii po to, by zarobić trochę grosza.

— Zarobisz. Trzeba nam właśnie takich ludzi jak ty.

— Wierzę. Potrzeba wam emisariuszy, szpiegów, sabotażystów, kondotierów⁽¹⁾, lecz to mnie nie nęci bynajmniej.

— Uszom nie wierzę! Przecież te roboty, drogi majorze, były zawsze twoją specjalnością!

— Były! Od roku 1914 przez równych dwadzieścia lat uprawiałem ten sport z przyjemnością. Tłukłem się po całym świecie. Gdzie tylko zapachniało wojną, tam zjawiałem się natychmiast i brałem na swoje barki najtrudniejsze zadanie. Nie dla zysku; nieraz, jak na przykład u Abd el Krima⁽²⁾, w ogóle nie brałem żołdu. I nie dla sławy; nie miałem jednego pseudonimu, jak Shaw-Lawrence, lecz tuzin. Walczyłem po prostu dlatego, że mam naturę

rasowego awanturnika, że ciągły taniec ze śmiercią sprawiał mi rozkosz, jakiej przeciętny śmiertelnik nawet wyobrazić sobie nie zdoła...

— Czyżby się to nagle zmieniło?

— Bo ja wiem, Ibrahimie. Nie unikam przygód, gdy mnie zaskakują, ale nie szukam ich już, jak dawniej. Będąc w niebezpieczeństwie, odmładzam się, jestem znów w swoim żywiole, lecz nie pociąga mnie, jak ongiś, droga najeżona niebezpieczeństwami. Wolę skręcić na pewny gościniec.

— To oznaka starości.

— Masz słuszność, ale dziwić cię to nie powinno, jestem grubo starszy od ciebie. A im człowiek ma mniej życia przed sobą, tym bardziej je ceni i... co tu ukrywać, i lęka się o nie. Dzisiaj zdumiewa mnie to wprost, że ongiś mogłem tak lekkomyślnie wyzywać śmierć.

— Ha — westchnął Ibrahim — w takim razie poleciłbym cię Włochom do jakiejś spokojniejszej roboty.

— Czyli do jeszcze mniej zyskowej. Nie, przyjacielu. Włosi mogliby mi dać parę tysięcy dolarów, a ja dla zabezpieczenia sobie starości, wolałbym tu zdobyć parę milionów.

— Tutaj? Toś się wybrał!

— Wybrałem się w najbardziej właściwe miejsce. Nawet ubogie państwa bałkańskie znajdują zawsze bezlik pieniędzy, jeżeli chodzi o zakup artykułów „pierwszej potrzeby”, jak karabiny, armaty, amunicja...

— Rozumiem! Jesteś obecnie fabrykantem broni.

— Czy robię wrażenie miliardera? Nie, przyjacielu. Nie jestem fabrykantem broni, tylko komiwojażerem jednego z tych panów. Ponieważ zaś włosi mają własny przemysł wojenny, będę z konieczności dostarczał broni negusowi.

— Nie będziesz. On już dał innym dostawcom zamówień na trzy razy więcej towaru, niż będzie mógł za to zapłacić. Mam w tym względzie bardzo dokładne informacje. Spóźniłeś się, majorze.

— Głównie z winy twego brata — rzekł Clyde nachmurzony. — Gdyby nie jego naganiacz, ten przeklęty kacyk murzyński, byłbym był przyjechał tutaj o pięć tygodni wcześniej.

— Chciałbym ci to jakoś wynagrodzić.

— Ale jak, skoro sam mówisz, że dostawy broni dla...

— Zapomnij o dostawach dla Hailego Selassiego, a skieruj swoje myśli w stronę jego poprzednika.

— Lidź Jassu? Przecież on jest uwięziony.

— Można by go łatwo wykraść, gdyby nie Jonasz Mongosza.

— Wykraść go z więzienia? Czy to się kalkuluje?

— Bardzo! Zarobiłbyś na tym więcej, niż gdyby ci Selassie oddał monopol na dostawę broni dla swojej armii. Mówię poważnie.

— Ale kto by nam za to zapłacił? Włosi? Lidź Jassu?

— Nie. Zapłacimy sobie sami, skoro wyłudzimy od Lidź Jassu klucz od skarbcza władców Abisynii. Lecz pierw trzeba zabić psa, który strzeże głupiego Jassu, trzeba sprzątnąć Jonasza. Jeżeli mi w tym dopomożesz, to...

— Musisz mnie naprzód lepiej zorientować w sytuacji.

Ibrahim Er-Durusz chętnie spełnił to życzenie. Mając nieograniczone zaufanie do Eystona, którego znał od lat i który mu niegdyś ocalił życie, nie zataił niczego. Najpierw powtórzył mu podsłuchaną w parku cesarskim rozmowę, jaką tam prowadził negus negesti z Jonaszem. Potem opisał wyprawę Jonasza i Taitu do Kerauy, wyprawę nieudaną dzięki

ostrzeżeniu, jakie w porę posłał zdetronizowanemu cesarzowi. W końcu nadmienił, że Jonasz przywiózł więźnia do stolicy i umieścił go w swej willi podmiejskiej, że tam również przebywa chora Taitu, a od kilku dni także jakiś tajemniczy osobnik, który wciąż czuwa przy jej łożu. Człowiek ten ani na chwilę nie zdejmuje z twarzy czarnej zasłony i jest równie dobrze strzeżony jak sam Lidź Jassu. Kto to jest, nie wiadomo. Szpieg, jakiego Ibrahim ma w gronie agentów Jonasza dotychczas nie zdołał tego ustalić, lecz pojutrze będzie miał nocny dyżur przy drzwiach pokoju Taitu. Wtedy spróbuje podnieść zasłonę okrywającą twarz jej tajemniczego opiekuna, kiedy ów zaśnie...

W miarę, jak Ibrahim opowiadał, wzrastało zainteresowanie Eystona. Już go „ponosiło”, już przeżywał w wyobraźni nowe niebezpieczne przygody, od których odrzekał się tak na początku ich rozmowy. Postanowili nazajutrz o świcie zrobić ze stolicy maleńką wycieczkę na szczyt góry Antotto, aby rozejrzeć się w terenie i obliczyć „na oko” szanse przyszłego napadu na willę Jonasza obstawioną pono silnymi posterunkami. Dopiero po tej „wizji lokalnej” Clyde Eyston chciał ułożyć plan działania zmierzający do podstępnego wydarcia eks-cesarzowi Jassu tajemnicy władców Abisynii. To, że Taitu i Jonaszowi nie udało się ta sztuka, nie zniechęcało Ibrahima; miał nad nimi tę wielką przewagę, iż jego Lidź Jassu znał osobiście i zawdzięczał mu już niejedno.

— Jestem głęboko przekonany, że skarby Góry Mądrości wpadną w nasze ręce...

Tu Ibrahim Er-Durusz chciał dodać swoje *ceterum censeo*: *jeżeli zdołamy unieszkodliwić Jonasza Mongoszę*, gdy wtem Eystonowi wyrwało się niepotrzebnie: — Tylko nie próbuj mnie wtedy wykiwać lub sprzątnąć! — Ibrahim spojrział na przyjaciela wzrokiem, który zdawał się mówić: — Każdy lubi sądzić bliźniego własną miarą! Dobrze. Będę się miał na bacności! — Potem skierował rozmowę na tory... religii. — Czy ty wierzysz w Boga? — spytał w pewnej chwili. — Zdziwi cię to, a jednak tak jest. Praktykującym chrześcijaninem nie byłem nigdy, ale zawsze wierzyłem i wierzę — odparł Clyde. Wówczas Ibrahim zaskoczył go żądaniem: — Przysięgnij mi więc, że skoro dowiemy się, gdzie leży Góra Mądrości, nie zgładzisz mnie ani nie oszukasz przy podziale łupów. — Clyde Eyston zdębiał. — Co ci przyszło do głowy! — zachnął się, udając obrażonego. — A na to Ibrahim: — Nie mnie, ale tobie najpierw przyszła taka myśl do głowy. I dlatego musisz złożyć przysięgę, jakiej żądałem... Oczywiście, ja uczynię to samo. I niechaj w najstraszliwszych mękach skona ten z nas, który spróbuje przysięgę swą złamać! Niech go rozszarpia krokodyl! Niechaj go stoczy trąd! — Przyniósł *Koran* dla siebie, a dla Eystona krzyż. Clyde przysięgał najpierw, po nim Ibrahim, potem uściskali się serdecznie. Żaden z nich nie zamierzał współnika, oszukać... na razie. Na razie, gdyż później, znacznie później szatan chciwości nakłonił jednego z nich do perfidnej interpretacji tej przysięgi...

— A teraz — rzekł Clyde wesoło, skoro zrobiliśmy to wszystko, co można było zrobić dzisiaj, pomyślmy o rozrywce. Czy nie mógłbyś wykombinować dla mnie jakiej ładnej dziewczynki?

— Mogę. Jaką wolisz, czarną, czy białą?

— Raczej białą?

— Ja także, i mam tu jedną taką, że...

— Tu, to znaczy w mieszkaniu?

— Nie, w mieście, ale mogę ją tutaj ściągnąć każdej chwili. Chciałem uczynić to już dawno, lecz zawsze brakło mi czasu. Od dnia, w którym Jonasz powrócił do Addis Abeby, nie mam ani chwili spokojnej... Dziś jednak, dla uczczenia twego przybycia, każę ją przyprowadzić choćby siłą.

— Hm, tylko jedną na nas dwóch?

— Na dowód mej przyjaźni, ustąpię ci pierwszeństwa. Musisz tylko przygotować się na jej rozpaczliwy opór, gdyż Alicja Rendell jest...

— Alicja Rendell?! Ty ją znasz?!

— To przecież moja agentka.

Zanim Clyde ochłonął ze zdziwienia, do drzwi zapukano. Jednoreki Murzyn przyszedł zameldować, że w sklepie jest jakiś klient, który żąda natychmiastowego widzenia się z „Abdulem Gamalem”. Wszelkie hasła wymienił bez najmniejszego błędu, więc jest to niewątpliwie swój człowiek, lecz nietutejszy. Z personelu w sklepie nie zna go nikt.

— Dawaj go tutaj — polecił Ibrahim występujący w Addis Abebie pod przybranym nazwiskiem: Abdul Gamal, po czym zgasił światło, a zapalił lampę z silnym reflektorem i skierował go na drzwi.

Po chwili Murzyn wprowadził petenta, którego wiek Clyde ocenił na 35 lat i nie pomylił się o wiele. Był to Europejczyk, wybitnie przystojny mężczyzna z tym jedynym mankamentem, że zaledwie średniego wzrostu, a właściwie niski. Pozornie wydłużała go bujna szopa włosów czarnych jak skrzydło kruka, prawie granatowych. Również czarne miał oczy, cerę śniadą, nos orli, usta zmysłowe o wargach tak czerwonych, jakby je sobie umalował. Czy ostatnio schudł bardzo, czy też przybył tu w nieswoim ubraniu, trudno było odgadnąć, w każdym razie elegancki garnitur wisiał na nim wyraźnie. A kiedy wszedł tutaj, wyprostował się jak na komendę *Baczność!*, lekko strzelił obcasami trzewików, po czym ostentacyjnie przybrał niedbałą pozę i ręce ukrył w kieszeniach marynarki. — Za późno, bratku; już wiem, że nie jesteś cywilem — mruknął Clyde, siedzący w ciemnej części pokoju obok Ibrahima. Ów zaś, przyjrząwszy się przybyszowi uważnie, zaczął go wypytywać o cel wizyty. Nieznajomy wzruszył ramionami.

— Póki nie będę wiedział i widział, przed kim stoję — odparł również po francusku, ale tak jakoś śpiwnie, jak mówią Włosi — nie powiem nic ponadto, że przyjechałem do Addis Abeby ubiegłej nocy i nazywam się... między innymi... Valentin Duroc.

Wówczas Ibrahim Er-Durusz pochylił się do Eystona.

— Ani słowa — ostrzegł go szeptem — ani słowa przy nim o Alicji. To jest jej zaginiony mąż!

⁽¹⁾ kondotier – tu: człowiek służący cudzej sprawie dla interesu.

⁽²⁾ Abd el-Krim (1882-1963) – Zjednoczył marokańskie plemiona gór Rif w powstaniu (1921–1926) przeciw Hiszpanii, i od 1924 Francji. We wrześniu 1921 roku na terenach półn. części Maroka proklamował powstanie niepodległej Republiki Rifu. Po upadku powstania został zesłany na wyspę Reunion. W 1947 w czasie przewożenia go do Francji Abd el-Krim uciekł ze statku w Port Saidzie i zbiegł do Kairu gdzie uzyskał azyl.

Powstanie Abd el-Krima jest tłem powieści A. Marczyńskiego pt. *Siostra Carmen*.

ROZDZIAŁ XXXIV

Deszcz padał bez przerwy, jak to w lipcu. Zwały chmur, ciężkich, pękatych, podobnych do olbrzymich pierzyn tarzały się nad ziemią tak nisko, że zdawały się muskać wierzchołki przydrożnych eukaliptusów. Wszystkie ścieżki na stokach Gara Gurfo od dawna przemieniły się w rwące strumienie pełne wodospadów. Droga wiodąca z Addis Abeby do Fitsze, gdzie aż do roku 1932 był więziony Lidz Jassu, rozmiękła tak, że miejscami wozy grzęzły po osie. A przecież jest to najlepsza szosa w królestwie Szoa, w zimie spotyka się na niej sznury samochodów ze stolicy. Lecz pora deszczowa robi swoje. Dnia 10 lipca ten abisyński „gościniec pierwszej klasy” wyglądał niewiele lepiej, niż większość tamtejszych dróg. Pomimo to jednak ruch na nim panował wcale ożywiony. John Gliwa, powracający do Addis Abeby z królestwa Godzam raz po raz spotykał mniejsze lub większe gromadki ludzi podążających w przeciwnym kierunku, to jest na północ. Były to pierwsze oddziały pospolitego ruszenia wysłane do północnych prowincji, najbardziej narażonych na inwazję Włochów. Wraz z lichy uzbrojonymi mężczyznami ciągnęły ich żony, a nierzadko także i dzieci, pędząc przed sobą swoją „aprowizację”, czyli stadka owiec i starych wielbłądów niezdatnych już do dźwigania ciężarów. Młodsza z dwóch kobiet, jakie John odprowadzał do stolicy, zapytała go, dokąd udają się wszyscy ci wynędzniali tubylcy.

— Na granicę — odparł — by odeprzeć atak włoski.

— By lancami odeprzeć ataki czołgów, biedni optymiści. — Znienacka szarpnęła go za ramię. — Znamy się od pięciu dni — rzekła — zamieniliśmy z sobą pięć tysięcy słów, z czego jeden procent przypada na pana, nieznośny mruku, reszta na mnie. Poruszałam już przeróżne tematy, a zapomniałam o najważniejszym. — Tu spojrzała nań bardzo wojowniczo. — Z kim pan sympatyzuje, z Włochami, czy z Abisynią?!

— Oczywiście z Abisynią.

— Ja także. A to pech!

— Dlaczego?

— Bo wobec zgodności naszych poglądów, nie mogę wyklócić się z panem, na co miałabym wielką ochotę.

— Więc kłóć się ze mną — zawołała druga kobieta. — Ja trzymam z Mussolinim! Niechaj zajmie ten obrzydliwy kraj jak najprędzej, niech sprowadzi damskich fryzjerów, niech pobuduje tu asfaltowe szosy, kina, kawiarnie, hotele i z tym... — zaciśniętą pięść wzniosła ku chmurom — z tym niechaj zrobi porządek! Czy jest do pomyślenia w kulturalnym, praworządnym państwie, żeby tak wciąż lało? Nie! I już za to jedno barbarzyństwo Abisynia powinna być natychmiast wyrzucona z Ligi Narodów!

Młodsza parsknęła śmiechem, co rozsierdziło gorącą zwolenniczkę włoskiej okupacji. Z temperamentem napadła na swoją towarzyszkę, obsypała ją gorzkimi wymówkami.

— Przez twój niedorzeczny kaprys jestem dziś tutaj — rzekła w końcu — przez ciebie przeżywam najgorsze chwile mego życia...

— Czy naprawdę nie miałaś tu ani jednej chwilki miłej?

— Nie miałam!

— A w ramionach Selima Er-Durusz?! O, niewdzięczna Lisette, azali już nie pamiętasz, co mówiłaś mi o nim nazajutrz po waszej nocy upojenia? Ha, w takim razie muszę ci powtórzyć twoje własne słowa...

— Olgo, ani się waż! — zaprotestowała tamta, czerwieniąc się kompromitująco. — Nigdy bym ci tego nie darowała!

John Gliwa spojrział nieufnie na obydwie kobiety.

— Lisette? Olga? — mruknął. — W Debra Markos, o ile pomnę, wymieniły mi panie zupełnie inne imiona. Więc jak jest naprawdę?

— Tak, jak mówiłyśmy — odparła młodsza. — Moja przyjaciółka wabi się Rosamond Perkins i pochodzi z kanadyjskiej rodziny, która przesiedliła się do Chicago, a ja jestem Rebecca Hopkins z Eufaula w stanie Alabama. Tylko z żartów ona przezywa mnie Olgą, ja zaś ją Lisette... Są to bohaterki pewnej farsy... Lecz jesteśmy obie obywatelkami USA.

Można w to było uwierzyć. Panna Hopkins paplała amerykańskim slangiem (gwarą) bez zarzutu, panna Perkins mówiła po angielsku z francuska, jak wielu Kanadyjczyków. Trochę gorzej przedstawiała się angielszczyzna siedmiu mężczyzn towarzyszących tym niewiastom, lecz oni również utrzymywali stanowczo, że są obywatelami amerykańskimi. Wobec tego John Gliwa zaopiekował się całą dziewiątką podróżników, „wykupił” ich z rąk wierzycieli w Debra Markos, wyekwipował jako tako, po czym wyruszyli do Addis Abeby. Dziś właśnie był piąty i ostatni dzień ich podróży. Chcąc dotrzeć do stolicy przed zachodem słońca, nie żalowali mułów, a mądre zwierzęta z daleka już umiały odróżnić płytkie kałuże wody od głębokich i zawsze omijały te ostatnie. Droga wiodła wciąż na południe, wciąż u stóg zachodniej krawędzi Gara Gurfo, masywu górskiego, który ciągnie się na przestrzeni pięćdziesięciu kilometrów i miejscami wystrzela w górę do wysokości 3.500 metrów. Jego najdalej na południe wysunięty cypel tworzy jakby odrębną górę, zwaną Antotto.

— Gdy minimy Antotto, ujrzą panie stolicę Abisynii — objaśniał John Gliwa. — Powinniśmy stanąć u celu najdalej za dwie godziny.

— Nareszcie! Hurra!

Nawet Lisette, czyli rzekoma Kanadyjka Rosamond Perkins przestała narzekać i kłusowała dzielnie poprzez bajora, z których pod kopytami mułów, wytryskiwały imponujące fontanny błota. Lecz u podnóża góry Antotto szybki pochód karawany powstrzymało duże stado owiec pędzonych na rzeź do stolicy i zajmujących całą szerokość drogi. Na próżno usiłowali przebić się przez zwarty barani „huf”. Parę nieudanych prób przekonało ich, że muszą czekać cierpliwie, aż teren po jednej lub drugiej stronie drogi pozwoli im wyminąć stado, a na razie jechali za nim stępa.

— Okropność! Czy u nas byłoby do pomyślenia, by...

— Zamiast zrzedzić — wtrąciła młodsza — postaraj się o sznurek i kawał tektury.

— Na co ci to potrzebne?

— Zobaczysz.

Podjechała do jednego z jucznych mułów, znalazła wśród bagażu jakieś tekturowe pudełko, oderwała od niego wieczko, po czym zatrzymała swojego wierzchowca i pomadką do warg zaczęła coś malować na tekturze. Odległość pomiędzy nią a resztą towarzystwa jadącego za stadem wzrastała powoli a równocześnie zbliżała się ku niej mała kawalkada, która co dopiero zjechała na drogę ze zbocza góry Antotto. Przywódca tych jeźdźców, brzydki jednooki mężczyzna zerknął z ciekawości na pracowitą „malarzkę”, zmarszczył czoło i osadził na miejscu swojego rumaka.

— Od kiedy to pani Alicja Rendell używa naszego stroju? — spytał po francusku z

nieprzyjemnym uśmiechem. — I co pani tam rysuje?

Zagadnięta spojrzała nań z pogardą i popędziła do swoich.

— Czy mogę to zawiesić na szyi pańskiemu rumakowi? — zapytała Johna, pokazując mu swoje dzieło. — Nie wątpię, że kiedy owce to zobaczą, rozstąpią się przed nami natychmiast. A pan przecież należy do *corps diplomatique*, prawda? Czemu więc nie korzystać z jego przywilejów.

Na tekturze widniały litery: *CD*. Tak oznaczone są samochody korpusu dyplomatycznego i w miastach wszystkie wehikuły ustępują im pierwszeństwa, ale żądać tego od stada baranów?! Wszyscy roześmiali się wesoło, nawet Lisette, *skwaśniałą od deszczów* ubawił żart Olgi, tylko John Gliwa pozostał nadal posępny jak właściciel zakładu pogrzebowego. Od początku ich znajomości był zawsze taki. Był też niewrażliwy na zaloty Olgi, a kokietowała go zawzięcie właśnie dlatego, że w przeciwieństwie do innych mężczyzn nie zachwycał się nią, nie powiedział jej nigdy choćby zdawkowego komplementu. To ją „wzięło” z miejsca. Nawykła do hołdów, zresztą całkiem zasłużonych przy jej nieprzeciętnej urodzie, nie mogła pojąć obojętności Johna, ba, wyraźnej niechęci! Z właściwą sobie szczerością zapytała go kiedyś, dlaczego jej unika. — Gdyż jest pani podobna do kobiety, która wyrządziła mi ciężką krzywdę — odparł. — Zirytowała się. — Clyde Eyston mówił również, że jestem do kogoś podobna. To średnia przyjemność wiedzieć, że ma się na świecie tyle duplikatów. Wołałabym być brzydka, ale oryginalna, jedyna, jak model sukni balowej z najdroższego magazynu.

Gniewna, że jej żart nie wywołał pożądanego skutku, rzuciła na ziemię tekturę z napisem: *CD* i odsunęła się od Johna. Nie na długo! W kilka minut później dopędziła go znowu, zażądała, by jej dał swój rewolwer. Tylko na godzinę... Odmówił. — Nieraz lepiej nie mieć przy sobie żadnej broni. Wielu nieszczęść można przez to uniknąć — odparł. Miał na myśli wydarzenia sprzed dziesięciu dni. Dnia 30 czerwca zrobił to straszne dla siebie odkrycie, że Alicja Rendell nie jest siostrą Gastona, lecz jego dawną przyjaciółką. Na widok ich czułości stracił panowanie nad sobą, ogarnęła go dzika chęć odwetu. Wsunął dłoń po rewolwer do kieszeni i znalazł tam tylko pudełeczko z pierścionkiem, jaki kupił dla swojej przyszłej narzeczonej. Omal nie wybuchnął wówczas histerycznym śmiechem. Jak i kiedy wyszedł z ogrodu, nie wiedział, wiedział tylko, że jakiś instynkt pomógł mu wycofać się stamtąd tak dyskretnie, iż nikt jego wizyty u Gastona nie zauważył. Później zaś, gdy ochłonął zupełnie, błogosławił niebiosa, że wówczas wyjątkowo nie zabrał rewolweru. Zapomniał go, na szczęście. Tak, na szczęście! Gdyby nie to, byłby się był stał zabójcą dwojga osób. Wprost z willi Gastona udał się do mieszkania swojego zwierzchnika i oznajmił mu, że za godzinę wyjeżdża do Debra Markos. — Przygotowania do podróży zajęły mi znacznie mniej czasu, niż pierwotnie przewidywałem — rzekł, by uprzedzić ewentualne pytania zdziwionego konsula. I wyjechał w ową nieszczęsną niedzielę, a teraz wracał... Ach, czy ta dziewczyna nie pozostawi go nareszcie w spokoju?!

— Na co pani potrzebny rewolwer?

— Jakieś indywiduum żywi wobec mnie złe zamiary.

Ku zgorszeniu Olgi, John Gliwa przywitał się z owym *indywiduum* tak, jakby z dygnitarzem grubszego kalibru. Przez kilka minut jechali strzemię w strzemię, rozmawiając cicho o... no, o niej! To nie ulegało wątpliwości, wszakże spoglądali na nią raz po raz. W końcu zbliżyli się do niej. John przedstawił jednookiego, który zwał się Jonasz Mongosza i nawzajem wymienili mu nazwiska pań. Oczywiście te nieprawdziwe, jakie podały.

— Panna Rebecca Hopkins? Bardzo mi miło — zaczął Jonasz, robiąc minę wcale nie miłą. — A czy kilka miesięcy temu w Londynie nie nazywała się pani: Olga Atherton?!

Lisette wydała okrzyk przerażenia, Olga lekko pobladła.

— A jeśli tak, to co? — odburknęła.

— To to, że zostanie pani surowo ukarana za przekroczenie granicy bez naszej wizy.

Dlaczego pani to uczyniła?

— Gdyż chcę być przyjęta przez jego cesarską mość. I to aż z trzech powodów! Po pierwsze, by zażądać ukarania konsula w Londynie...

— Bezczelność! Przecież to pani obraziła jego!

— Po drugie, żeby jego cesarskiej mości wręczyć to.

Z woreczka, jaki miała zawieszony na szyi, a ukryty pod koszulą, wyjęła książeczkę czekową. Jeden z czeków był wypełniony. Opiewał na 10.000 funtów szterlingów *dla przyszyłych sierot abisyńskich*. Jonasz spojrział teraz zupełnie inaczej na Olgę Atherton.

— A po trzecie? — rzekł łagodnie.

— Po trzecie, chcę jego cesarskiej mości zadać kilka niedyskretnych pytań w związku z reportażem, jaki zamierzam napisać i wydać własnym nakładem. Tytuł będzie brzmiał:

Tajemnice władców Abisynii.

Jonasz cały zamienił się w słuch.

— Co pani o tym wiadomo?

— Na razie niewiele, za to tu chyba zdobędę moc informacji.

— Przypuśćmy. Lecz o jakie tajemnice naszego szlachetnego władcy chodzi pani?

— Oczywiście, o tajemnicę jego alkowy. Ile miał faworyt, ile nieślubnych dzieci, z kim... i tak dalej. To są sprawy, które najwięcej pasjonują dzisiejszych czytelników, chorych na moral insanity⁽¹⁾ i na swoisty kult dla różnych dygnitarzy, ministrów, dyktatorów, a zwłaszcza dla koronowanych głów. Kult skandalów, skandalików, świństewek z prywatnego życia tych, co stoją na najwyższych szczeblach drabiny społecznej... A skoro tak już jest, to dlaczego ja dla swego pierwszego utworu nie miałabym wybrać tematu posiadającego największe szanse powodzenia? Nie chodzi mi o powodzenie materialne, pieniędzy mam w bród, ale o rozgłos, o wyrobienie sobie firmy jako reporterka. Ponieważ zaś najpopularniejszym monarchą świata jest dziś negus negesti, więc od niego chcę rozpocząć swoją karierę. Jego wybrałam na bohatera mego reportażu.

Mówiła to wszystko z miną tak poważną, z tak głębokim przekonaniem, że Jonasz Mongosza ryknął żywiółowym śmiechem.

— I pani z tym chce iść do cesarza?! Nieee, to jest rozbijające! Doprawdy, gniewać się na panią nie można, choćby człowiek chciał... Panie Gliwa — zwrócił się do Johna — czy nie uważa pan, że miss Atherton jest szalenie podobna do...

— Co, znowu?! — wtrąciła oburzona. — Tego mi już za wiele! W końcu zaczniecie we mnie wmawiać, że jestem podobna do wszystkich kobiet na terenie Afryki!

Nadaşana, dotknięta w swej miłości własnej, odsunęła się od czołowej grupy karawany. Wtedy Jonasz powtórzył swoje pytanie.

— Tak — przyznał John — ja również zauważyłem od razu wielkie podobieństwo pomiędzy nią a panią Madel... panią Alicją Rendell — poprawił się szybko. — Mam wrażenie, iż panna Perkins — wzrokiem wskazał Jonaszowi Lisette — mogłaby tę zagadkę wyjaśnić, ale nie zechce.

— Zechce, na pewno zechce, gdy ją o to „poproszę”.

Jednooki uśmiechnął się nieprzyjemnie, przeprosił Johna i podjechał do Lisette. Co jej rzekł, czym nastraszył, nie wiadomo, lecz omal nie spadła z muła, gdy do niej zagadał. Potem obejrzała się niespokojnie, czy Olgi nie ma w pobliżu.

— Na Boga, gdyby ona to słyszała!

— Nie usłyszysz nic więcej poza bekiem owiec... A teraz proszę mówić, jeśli pani nie chce mnie zmusić do tego, bym...

— Już mówię, mówię!

Mówiła, opowiadała mu o „grzechu młodości” matki Olgi Atherton przez pół godziny, choć całą tę historię można by streścić w następujących kilkudziesięciu słowach: Matka Olgi, Tatiana, jedyna córka znanego rosyjskiego arystokraty, jako siedemnastoletnia dziewczyna zakochała się w swoim nauczycielu muzyki, Włochu. Ponieważ rodzice Tatiany ani słyszeć nie chcieli o takim mezaliansie, zakochani postawili ich wobec *fait accompli*⁽²⁾, którym było dziecko, córeczka; dali jej mię: Magdalena. Ten „ordynarny skandal” nie tylko, że nic młodym nie pomógł, ale jeszcze wywołał srogie represje. Włocha wplątano w jakąś aferę polityczną i niewinnie zasądzono zesłano na Sybir, Tatianę zaś umieszczono u stryja w Londynie. Tam poznał ją i, ku radości rodziny, poślubił dyplomata angielski sir Walter Atherton, który niebawem wyjechał na placówkę do Waszyngtonu, gdzie przyszła na świat Olga. Przybywszy do Ameryki w okresie złotej koniunktury, Atherton rychło porzucił nierentowną służbę dyplomatyczną i rzucił się w wir interesów, jak inni. Dorobił się na spekulacjach bardzo dużego majątku, który w całości odziedziczyła po nim Olga, gdyż matka jej, Tatiana, zmarła wcześniej niż ojciec...

— A co się stało z nieślubną, starszą córką Tatiany? — wtrącił Jonasz. — Czy owe represje dosięgły jej także?

Lisette na to pytanie odpowiedziała twierdząco. Ojciec Tatiany oddał niemowlę jednemu z gajowych w swoich olbrzymich lasach. Oddał je niby to na wychowanie, ale dał muzykowi⁽³⁾ do zrozumienia, że będzie zadowolony, jeśli ono umrze jak najrychlej. Nie dopuściła do tego okrucieństwa przyjaciółka Tatiany, córka jej zmarłej guwernantki. Wykupiła maleńką od gajowego (który zameldował księciu, że dziecko wilki pożarły), wywiozła ją do Paryża i powierzyła opiece swoich dalekich krewnych. Na ręce tej przyjaciółki Tatiana zawsze przysyłała pieniądze dla dziecka, a kiedy wyszła za mąż za Athertona, ściągnęła ją do siebie. Ta przyjaciółka była później guwernantką Olgi.

— Tą przyjaciółką — kończyła Lisette z dumą — jestem właśnie ja!

— A co z nieślubną córką Tatiany? — powtórzył uparty Jonasz.

— Nie wiem. Moi krewni wychowali ją, kochali jak córkę, później wyrobili jej posadę u przyjaciela piekarza, aż pewnego dnia ta niewdzięcznica odeszła bez słowa pożegnania. Uciekła! Z Riwiery przysłała im na pamiątkę swoją fotografię z plaży w Juan-les-Pins. To wszystko... Tak, proszę pana. Olga jest trochę nieobliczalna, narwana, ale to dobre, wdzięczne dziecko. Lecz Madelon...

— Madelon!... No tak, tak, oczywiście. *Madelon* to przecież popularne zdrobnienie od *Madeleine* — zagadywał...

— Pssst! Olga zbliża się do nas. Nie mogę dopuścić do tego, by ona dowiedziała się o grzechu młodości swej matki, by straciła dla niej szacunek.

Olga przybyła im oznajmić, że nie myśli do północy wlec się noga za nogą, że jej cierpliwość jest na wyczerpaniu.

— Jeśli w ciągu dwóch minut nie zdołamy jakoś minąć tych owiec, zacznę je traktować bez litości! — brzmiało jej ultimatum.

W tak niecodziennej szarzy na stado baranów wyręczył Olgę motocykl. Pędził przez olbrzymie kałuże, a tryskające z nich kaskady upodobiły go do trąby powietrznej na oceanie. Pędził im naprzeciw, czyli od strony miasta, wyjąc przeraźliwie swą syreną. Wszystko to

wywołało szaloną panikę wśród zwierząt. Widząc ryczącego potwora, owce zaczęły tłoczyć się i wspinać na spadzistą ścianę skalną po lewej stronie drogi; te zaś, które szły prawą stroną, zostały zepchnięte na równie stromy stok, opadający ku efemerycznej⁽⁴⁾ rzeczulce.

— Ależ to nasz motocykl — poznał Jonasz wreszcie. — Musiało zajść coś ważnego — mruknął, podnosząc się w strzemionach.

Na jego widok motocyklista zahamował gwałtownie, stanął, nieufnie zerknął na ludzi z karawany Johna i spojrzął na swojego szefa pytająco.

— Słusznie, całkiem słusznie. — Jonasz wskazał Oldze z grubsza opróżnioną drogę. — Niechże państwo korzystają z tego wyłomu co prędzej.

Uśluhali chętnie i nareszcie wyprzedzili stado owiec. Poza nim została tylko kawalkada Jonasza Mongoszy. Władczym ruchem ręki polecił swoim ludziom odsunąć się dalej, po czym zwrócił się do motocyklisty.

— Teraz gadaj.

— Zabrał!... Dziś w południe w teczce zaniósł to do domu.

Jednooki skinął głową z zadowoleniem. *To* oznaczało plany dyslokacji wojsk abisyńskich w Ogadenie i w prowincji Harar. Dokumenty te Jonasz onegdaj wręczył Ludwikowi Brinowi z prośbą, aby je schował w stalowej skrytce, jaką posiadał w swoim biurze. Oczywiście były to falsyfikaty, na życzenie Jonasza przez sztab generalny specjalnie sfabrykowane. — Mam u siebie zdrajcę będącego w kontakcie z włoskim wywiadem i chcę tego łotra nareszcie zdemaskować. — W ten sposób umotywował swoje żądanie, które sztab załatwił przychylnie. Od dwóch dni te fałszywe plany spoczywały w skrytce u Ludwika. Od dwóch dni Ludwik Brin ani kichnąć nie mógł tak, by Jonasz nie dowiedział się o tym natychmiast. Ta sumienna obserwacja doprowadziła dziś do upragnionego odkrycia: W południe Brin zaniósł owe papiery do swego mieszkania.

— Więc trzyma je w domu obecnie. Doskonale!

Wywiadowca, który przyjechał motocyklem zaprzeczył. Brin miał te papiery w domu tylko przez półtorej godziny. Pozamykał się, pozasłaniał okna szczelnie, a lampkę musiał nakryć czymś czerwonym, gdyż kreska światła na progu miała czerwony kolor. Lecz nie stale. Od czasu do czasu stawała się oślepiająco biała. — Aha, fotografował dokumenty przy magnezji⁽⁵⁾ — mruknął Jonasz. — Cóż jeszcze zauważyliście? — Wywiadowca niewiele już miał do zameldowania. Ludwik Brin po południu wpadł do biura na chwilkę, przełożył coś z teczki do skrytki, potem wrócił do domu i położył się spać. Przedtem odsłonił jedno okno do połowy. — To także musi mieć swoje znaczenie — odgadł jednooki. — Czy on przypadkiem nie położył jakiego przedmiotu na parapecie odsłoniętego okna? — Wywiadowca spojrzął na swego zwierzchnika z zabobonnym lękiem. — Panie, ty wiesz wszystko, chociaż tam przecież nie byłeś z nami. Brin postawił na oknie dwa duże świeczniki. — Ile w nich było świec, wywiadowca nie umiał powiedzieć, może dziewięć, może więcej, a z drugiej strony Jonasz nie umiał odcyfrować „świeczkowego” szyfru. Ilość świec mogła oznaczać godzinę schadzki z odbiorcą fotograficznych kopii dokumentów lub wysokość żądanego przez Brina honorarium. — To już są sprawy drugorzędne — uznał jednooki — grunt, że rybka połknęła przynętę, że mój Ludwiczek nareszcie wpadł w pułapkę. Teraz zawróć, zawieszysz mnie do miasta. A pędź, jak tylko możesz najszybciej!

O godzinie siódmej wieczorem Jonasz Mongosza przybył przed domek Brina i sam objął komendę nad zgromadzonych w tej okolicy agentów rozstawionych w tej okolicy. Przez dwie godziny czekali na próżno. Wreszcie o dziewiątej jeden z przechodniów ulicznych skręcił do ogródka przed owym bungalowem, podszedł do okna, zapukał, zawołał głośno: — Hej, biały pan, ja przynieść twój

czysta bielizna. — By to jednoręki Murzyn, muskularny jak atleta. Na głowie niósł koszyk niedbale nakryty papierem, spod którego wyglądały koszule i piżamy. Brin ukazał się w oknie, zaczął łajać Negra, że przychodzi tak późno, potem wpuścił go do mieszkania. — Grają komedię bez zarzutu — mruknął Jonasz, zacierając ręce. Jeszcze wciąż czekał. Pozwolił Murzynowi wejść tam i na powrót wyjść na ulicę, pozwolił mu iść swobodnie, chcąc przy jednym ogniu upiec dwie pieczenie; nie wątpił, że Czarny zaprowadzi go do kryjówki Ibrahima Er-Durusz. Lecz w pewnej chwili Murzyn, jak gdyby wyczuł, że jest śledzony, wskoczył na stopień mijającej go taksówki. Teraz nie można było zwlekać dłużej.

— Brać go! — krzyknął Jonasz.

Nie dostali go żywcem. Już zdążył sterroryzować szofera, już taksówka zwiększyła pęd i nie pozostało nic innego jak strzelać. Dwie kule chybiły, trzecia strąciła Negra na jezdnię. Nim skonał, poznał Jonasza.

— Przeklęty Mongoszo, ty będziesz zdychał tak samo — wykrztusił, patrząc na swego pogromcę z nienawiścią. — Pomszczą mnie Er-Durusz!

Znaleziony przy nim koszyk na bieliznę miał podwójne dno. Z tej wąskiej przegródki wydobyto kilka maleńkich rolek filmowych. Wywołano zdjęcia natychmiast, osuszono, skopiowano i z gotowymi odbitkami Jonasz pośpieszył do cesarza. W pół godziny później dyrektor policji w Addis Abebie zapukał do mieszkania Ludwika Brina, który absolutnie nie jeszcze nie przeczuwał. Sam otworzył drzwi, w dłoni trzymał pięć kart, był rozbawiony, rozpromieniony z radości.

— Spójrz pan, dostałem z ręki czwórkę króli! — zwierzył się szeptem i przyjaźnie poklepał przybyłego po ramieniu. — Z nieba nam pan tu zleciał, bo dwóch partnerów skrewiło i łupiemy pokerka tylko w trójkę... Ach, przepraszam, zapomniałem przywitać się z panem.

Wyciągnął rękę do uścisku, lecz tamten jakby tego nie dostrzegł.

— Ludwiku Brin — rzekł zimno, urzędowo — w imieniu króla królów aresztuję pana!

⁽¹⁾ moral insanity (ang. obłąd moralny) – brak uczuć wyższych. Objaw psychozy lub głębokich zaburzeń osobowości.

⁽²⁾ fait accompli (fr.) – fakt dokonany.

⁽³⁾ muzyk (ros.) – chłop.

⁽⁴⁾ efemeryczny – krótkotrwały; szybko przemijający.

⁽⁵⁾ magnezja – tu: proszek błyskowy od 1859 używany w fotografii. Został wyparty najpierw przez jednorazowe żarówki błyskowe a następnie przez lampy błyskowe.

ROZDZIAŁ XXXV

Już nazajutrz rano Jonasz udał się do więzienia. Chociaż było to sprzeczne z regulaminem, wpuszczono go do celi Brina i pozostawiono z nim sam na sam; nikomu ani przez myśl nie przeszło robić trudności cesarskiemu ulubieńcowi, któremu nawet ministrowie *schodzili z drogi*. Ludwik Brin nie wyglądał na przygnębionego.

— Mam wrażenie, drogi uczniu — rzekł bez goryczy i szyderstwa, ot tak sobie, lekko — że tę swoją wyspę zawdzięczam tobie.

— Sobie, Ludwiku, wyłącznie **sobie!** Mówiłem ci tyle razy...

— Tylko nie praw mi kazań — zastrzegł się stanowczo. — Wiem, że powodem wszystkich moich upadków w życiu były karty. Wiem, co zrobiłem wczoraj. Wiem, co mnie czeka. A skoro już stało się, to po kiego licha te spóźnione morały? Lepiej pogadajmy o czymś pikantnym, na przykład o polityce. Czy wiesz, kto na twoją ojczyznę ściągnął burzę włoską? Nie wiesz na pewno. Pan Laval! To genialny spryciarz. Za jednym zamachem zabezpieczył Tunezję przed apetytem Mussoliniego, ubrał go w kosztowną wyprawę do Abisynii oraz zaszachował przez Włochy Anglię. Trzy korzyści od razu... A wiesz, jak mu się Anglia zrewanżuje za to? Idę o zakład, iż także nie wiesz...

— Ach, dziękuję ci, żeś mi przypomniał — wtrącił Jonasz. — Parę miesięcy temu założyliśmy się o dwieście talarów...

— Racja. Pokazałeś mi dwie fotografie i twierdziłeś, że obydwie przedstawiają tę samą kobietę, a ja powiedziałem...

— I miałeś słuszność. To są dwie kobiety, przyrodnie siostry. Oto jest twoja wygrana, Ludwiku, dwieście talarów.

— Dwieście talarów — westchnął Brin. — Jeszcze wczoraj ta sumka mogła mnie uchronić przed tym, co się stało. Och, Jonaszu, Jonaszu, czemu nie wypłaciłeś mi mojej wygranej o parę dni wcześniej?

— Gdyż dopiero wczoraj poznałem Olgę Atherton i przypomniałem sobie nasz zakład. Byłbym niepoczyszony, gdybyś w to nie uwierzył.

— Wierzę ci, wierzę. — Przez chwilę ważył na dłoni pieniądze, potem wcisnął je do ręki Mongoszy. — Nic mi już po nich. Odeślij je mojej matce. Jej adres znajdziesz w notesie, który mi wczoraj odebrano... I jeżeli mogę cię prosić o tę wielką grzeczność, to nie pisz staruszce, że jej lekkomyślny synalek skończył... na stryczku.

— Ludwiku!

— Tylko nie rozczulaj się, drogi uczniu, bo ty mnie pod szubienicę wysłałeś. Trzy dni temu zgrałem się znów do nitki, straciłem wszystko, co wygrałem w czerwcu, nie wyłączając auta, biżuterii i kochanki. Trzy dni temu prosiłem cię o małą pożyczkę, jak to było dawniej. Jak dawniej, mogłeś mnie poratować. Odmówiłeś. Woląłeś zastawić na mnie pułapkę, w którą idiotycznie wpadłem. Skoro więc dopiąłeś swego, nie rób teraz smętnych min. Przecież to jasne, że nikt tak nie pragnął mojego upadku, jak właśnie ty!

— A dlaczego? Dlatego, że zawiadomiłeś Ibrahima Er-Durusz...

— Nie znam tego jegomościa. Opowiadałeś mi nieraz o nim, ale...

— On tutaj występuje pod jakimś innym nazwiskiem.

— Lecz mnie o tym nic nie wiadomo. Znam przeróżne indywidua, może wśród nich jest twój wróg, Ibrahim i...

— ...i on za pieniądze lub podstępem wyłudził od ciebie wiadomość, że ja przebywam w Keraua. Ibrahim zaś, zdobywszy tę bezcenną informację, pokrzyżował mi wszystkie plany, ośmieszył mnie i naraził na niełaskę cesarza... O tym, że będę przez kilka tygodni pełnił obowiązki komendanta fortu w Keraua, mówiłem tylko tobie i ty haniebnie zawiodłeś moje zaufanie, a krajowi wyrządziłeś szkodę wprost olbrzymią. Dlatego, Ludwiku, postanowiłem cię zniszczyć.

Ludwik Brin słuchał tego oskarżenia z wzrastającym zdumieniem, które malowało się wyraźnie na jego twarzy. Nagle wybuchnął.

— Klnę się na Boga i na życie mojej matki, i na swoją duszę, że nigdy nikomu nie mówiłem, iż wyjechałeś do Kerauy — zawołał, podnosząc palce tak, jak przy składaniu przysięgi. — I nie myśl, że kłamię, by ocalić życie. Ja żyć już nie chcę i nie będę! Ja nie mam w tym żadnego interesu, by łączyć...

Długo tak zaklinał się na wszystkie świętości, że mówi prawdę i z kolei wzrastało zdziwienie Jonasza. Bezwiednie usiedli obok siebie na więziennej pryczy. Bezwiednie jednooki objął w pół swojego nauczyciela, po czym razem, jak niegdyś za dobrych czasów, próbowali rozwiązać trudną zagadkę, kto mógł być informatorem Ibrahima Er-Durusz.

— Może cesarz wygadał się przed kimś i okreśną drogą dotarła wiadomość do twoich wrogów?

— Nie wypada mi pytać go o to, a jednak trzeba to uczynić.

Jonasz spojrzął na zegarek, wstał, podał rękę więźniowi, oznajmił mu, że musi już iść do biura i skierował się ku drzwiom. Otworzył je, przystanął.

— Do widzenia, Ludwiku — rzekł, odwróciwszy głowę.

— Do widzenia na tamtym świecie. — Z tryumfującą miną Brin potrząsnął rewolwerem, który wyciągnął jednookiemu, gdy siedzieli tu obok siebie na pryczy. — Mógłbym cię teraz zastrzelić jak wściekłego psa, lecz tego nie uczynię. Ty jesteś potrzebny swej ojczyźnie, zwłaszcza obecnie! Co innego ja. Komu ja jestem potrzebny?... Stój! Ani kroku lub palnę sobie w łeb wcześniej, niż zamierzałem.

— Ale dlaczego? Dlaczego?! Cesarz ułaskawi cię na pewno. Cesarz jeszcze nigdy nie zatwierdził wyroku śmierci na Europejczyka. Zresztą może sąd wyda wyrok łagodniejszy. Spróbuję wpłynąć na...

— Nie próbuj. Choćby wyrok był najłagodniejszy, choćbym zdołał stąd uciec, to co dalej? Znowu tułać się po świecie, znowu zaczynać da capo⁽¹⁾? Nie, drogi Jonaszu. Dziś z sobą skończę, korzystając z tego, że...

Jonasz zniechęcał się, chcąc tamtemu wyrwać broń, ale nie zdążył. Pochwyił w ramiona już bezwładne ciało, osuwające się po strzale na więzienną pryczę. Na twarzy Ludwika Brina zaigrał ostatni uśmiezek, jakby przekorny, jakby mówiący: — A widzisz, że nie zdążyłeś, że stanęło na moim! Potem w jego gasnącym wzroku wyczytał żarliwą prośbę, popartą urywanym szeptem: — Nic... o tym... matce!

Dopiero koło południa Jonasz otrząsnął się nieco z wrażenia, jakie nań wywarła śmierć Ludwika. W jego notesie znalazł adres Urszuli Brin, mieszkającej hen, w północnej części Europy. Po krótkim namyśle zaczął do niej pisać list następującej treści:

Czcigodna Pani!

Spadł na mnie smutny obowiązek zawiadomić Panią o śmierci Jej syna, Ludwika, mojego mistrza i najlepszego przyjaciela. Śp. Ludwik Brin uległ dziś nieszczęśliwemu wypadkowi na polowaniu i na skutek odniesionej rany zmarł niebawem, zaopatrzony Św. Sakramentami. Jego ostatnie myśli i słowa były poświęcone wyłącznie Pani.

W śp. zmarłym straciliśmy najlepszego nauczyciela, szefa, kolegę i przyjaciela. Nasz monarcha polecił mi przesłać Pani wyrazy serdecznego współczucia, do których my wszyscy dołączamy swoje współczucie. Niechaj Panią Bóg pocieszy w Jej smutku.

Wyrazy głębokiej czci zasyla Pani

Jonasz Mongosza

Addis Abeba, 11.7. 1935 r.

PS Równocześnie przez Bank Abisyński przekazuję Pani pieniądze, jakie śp. zmarły dzięki swej oszczędności zebrał i polecił wysłać Pani, w kwocie 3.200 talarów.

Do owych dwustu talarów z wygranego zakładu Jonasz wspaniałomyślnie dodał trzy tysiące, jakie niegdyś pożyczył przyjacielowi *na wieczne nieoddanie*, jak przypuszczał. Przeczytawszy swój list, uśmiechnął się smutno.

— A księża mówią, że kłamać nigdy nie wolno — mruknął. — Nonsens! Czyż można by napisać tej biednej staruszce prawdę o jej synu?!

Załatwiwszy najpilniejsze sprawy, postanowił udać się do cesarza i zawiadomić go o śmierci Brina. Niemal w drzwiach swego biura natknął się na dyrektora policji. Czyżby znowu coś zaszło? Spojrzał pytająco, wyciągnął rękę do uścisku, lecz tamten jakby tego nie dostrzegł.

— Jonaszu Mongosza — rzekł zimno, urzędowo — w imieniu króla królów aresztuję pana!

— Pan chyba oszalał! Mnie aresztować?! Za co???

— Nie mam obowiązku tłumaczyć się przed panem, lecz po starej znajomości powiem: oskarżono pana o zamordowanie Ludwika Brina. Pan był z nim w jego celi, co już jest nadużyciem, a przy zmarłym znaleziono pański rewolwer. To chyba wystarczy, co?!

Dziesiątki razy Jonasz Mongosza pozorował samobójstwo lub nieszczęśliwy wypadek, kiedy z jego rozkazu sprzątnięto kogoś podejrzanego o szpiegostwo. W tym wypadku zaś oskarżono go o morderstwo, chociaż Ludwik Brin naprawdę popełnił samobójstwo. Ha, nieubłagana Nemezis...

⁽¹⁾ da capo (wł.) – od początku.

ROZDZIAŁ XXXVI

Ibrahim Er-Durusz dowiedział się o aresztowaniu Brina jeszcze dnia 10 lipca, na krótko przed północą, a na wiernego Negra czekał na próżno aż do świtu. Czekał w podziemiach, gdyż był przekonany, że Jonasz już zna jego adres i wie, że bogaty, szanowany w stolicy kupiec Abdul Gamal oraz Ibrahim Er-Durusz to jedno. Tymczasem mijały godziny, a do sklepu ani do mieszkania kupca Gamala nie dobijał się nikt. Dżid wysłany na zwiady, wrócił z pocieszającą wieścią, że w pobliżu domu nie ma żywego ducha. Ibrahim wytłumaczył to sobie w ten sposób, iż Mongosza nie zdołał dotychczas zmusić Murzyna do zdrady swojego pana. Aby mu dodać otuchy, skomunikował się rano z tym swoim konfidentem, który pełnił funkcję starszego dozorczy w więzieniu. Stamtąd otrzymał dwie sensacyjne wiadomości: że Ludwik Brin nie żyje i że żadnego Negra do więzienia nie przywieziono ani dziś, ani wczoraj.

— To znaczy, że Jonasz torturuje go gdzie indziej — wnioskuje mylnie Ibrahim, nie wiedząc, iż jednoręki Murzyn zginął już wczoraj.

Clyde Eyston zainteresował się bardziej pierwszą nowiną, zwłaszcza zaś jej bliższymi szczegółami.

— Brin nie żyje, lecz Selassie jeszcze o tym nie wie, gdyż dopiero za półtorej godziny ma nadejść jego pociąg — rzekł — można by więc samobójstwo Brina przedstawić jako zbrodnię Jonasza.

— Co zresztą odpowiadałoby prawdzie — dorzucił Ibrahim, on stale robi ze swoich ofiar samobójców. A zatem, kochany majorze...

— Ba, czy tylko negus zechce mnie przyjąć tak od razu.

— Nie zawadzi spróbować. Może uda się jednak.

Udało się dzięki tupetowi Eystona. Przybywszy do Gibbi, oświadczył w adiutanturze, że odkrył spisek na życie cesarza, ale tylko jemu samemu może powiedzieć coś więcej i wymienić nazwiska spiskowców. Kiedy próbowano go wyśmiać i „splawić”, zaczął ryczeć nieprzyzwoicie głośno. (Zoczył właśnie przez okno negusa wysiadającego ze swej limuzyny rolls-royce’a, którą przyjechał z dworca.) — Jeśli król królów zginie, odpowiedzialność za to spadnie na was! Powiem wszystkim, że nie chcieliście mnie dopuścić do niego. Może nie chcecie umyślnie?!

Nie wiadomo, czy zlekli się, czy cesarz usłyszał te wrzaski i zapytał o ich przyczynę, dość, że Clyde Eyston uzyskał audiencję natychmiast.

— Jakież to zamach szykuje się na mnie? — W pytaniu władcy Abisynii dźwięczało powątpiewanie zabarwione wyrozumiałością dla wszystkich tricków europejskich spryciarzy.

— Zamach stanu na rzecz Lidż Jassu, którego umyślnie w tym celu sprowadzono z Kerauy w najbliższe sąsiedztwo stolicy!

Po tej odpowiedzi subtelny uśmiezek ironii znikł momentalnie z twarzy cesarza. Clyde zaś, pragnąc wzmocnić swój kredyt, zaczął mówić o sobie. — Przybyłem do Abisynii jako Clyde Eyston, lecz waszej cesarskiej mości muszę wyjawić swoje prawdziwe nazwisko. Jestem major Oskar von Hagen. Oto dowód, że mówię prawdę. — Haile Selassie zerknął na przedstawiony mu dokument, potem wstał, podszedł bliżej, podał przybyszowi rękę, którą ten z szacunkiem ucałował. (To także wywarło korzystne wrażenie.)

— Witam pana serdecznie, panie majorze. — Przyglądał mu się z szczerym zainteresowaniem. — Więc to pan jest tym, który na czele kilkunastu tysięcy górali stawiał opór półmilionowej armii francusko-hiszpańskiej. Przez tyle lat!

Eyston, recte Hagen, uznał za stosowne zrobić skromną minę.

— To zasługa Abd el Krima. Ja byłem tylko szefem jego sztabu.

Cesarz wskazał mu łaskawie fotel i zapytał, gdzie Riffowie, zewsząd otoczeni, zaopatrywali się w broń. — U naszych wrogów, wasza cesarska mość. Nocami napadaliśmy na ich posterunki, okopy, blokhauzy, porywaliśmy skrzynki z amunicją i znowu było czym strzelać przez kilka dni...

Rozmowa o bohaterskiej obronie Abd el Krima trwała dłuższą chwilę, po czym Selassie powrócił do sprawy owego zamachu stanu. Hagen nie dał się prosić, gadał jak najęty, że spisek uknuto już w kwietniu. Że finansuje go wywiad włoski. Że Lidż Jassu przyrzekł Włochom prowincję Tigre i Ogaden w zamian za zbrojną pomoc w jego przyszłej walce z obecnym władcą Abisynii. Że spisek ten odkrył szef tutejszego wywiadu, Ludwik Brin. Że właśnie dzisiaj miał zdemaskować winowajców. Że ostrzeżeni w porę, uknuli łajdacką intrygę, podrzucili Brinowi jakieś dokumenty i doprowadzili wczoraj do aresztowania najwierniejszego obrońcy obecnej dynastii. Że głową spisku jest Jonasz Mongosza... Tu cesarz przerwał mówcy:

— Nie, majorze, to nieporozumienie. Raczej we wszystko uwierzę niż w zdradę mego Jonasza.

Hagen, false Eyston, pochylił kornie głowę.

— Jakże dumnym powinien być człowiek, cieszący się takim zaufaniem swojego monarchy. I jak źle świadczy o nim, iż tak haniebnie zawiódł to bezcenne zaufanie. A zawiódł, niestety. — Teraz nastąpił właściwy atak na Jonasza. — Czy wykonał swą misję w Keraua? Nie. Co gorsza, wszedł w konszachty z Lidżem Jassu, ostrzegł go przed tymi, którzy podstępem będą chcieli wydrzeć mu tajemnicę Góry Mądrości. Potem przywiózł Jassu z dobrze strzeżonego fortu Keraua do stolicy, aby go mieć pod ręką w dniu wybuchu rewolucji. Czy chociaż umieścił go w więzieniu? Nie, we własnej willi! Pod strażą swoich agentów! Tam również trzyma jakiegoś człowieka łudząco podobnego do obecnego władcy Abisynii. A po co? Dlaczego? To przecież także bardzo podejrzane... Haile Selassie uderzył pięścią w płytę biura.

— Majorze, skąd pan wie to wszystko?!

Hagen stwierdził z zadowoleniem, że już z grubsza podminował Jonasza.

— Najwięcej wiem od mego przyjaciela z Maroka, Ludwika Brina, którego Jonasz usiłował wciągnąć do spisku. Zapewne dlatego wtajemniczał go w różne szczegóły. Chciał go przekonać, że zamach stanu ma szanse powodzenia, skoro Lidż Jassu znajduje się pod dozorem swojego adherenta⁽¹⁾. Niech wasza cesarska mość raczy wezwać tu Brina i przesłuchać go osobiście.

Negus negesti przystał na to chętnie, wydał odpowiedni rozkaz jednemu z adiutantów.

— Teraz bomba pęknie — pomyślał sobie Hagen z radością.

Pękła za chwilę. Adiutant, który telefonicznie rozmawiał z więzieniem, zameldował cesarzowi, że Ludwik Brin nie żyje; jedni mówią, iż popełnił samobójstwo, drudzy obwiniają Jonasza Mongoszę, bowiem... Tu powtórzył, co mu powiedziano. Hagen jął wzdychać współczująco:

— Biedny Ludwiczek. Taką nagrodę otrzymał za swoją wierną służbę... Ale jak ten łotr Jonasz przeczuł, że właśnie dzisiaj wasza cesarska mość zechce przesłuchać Brina! Co za piekielna intuicja! Jeżeli odgadł również to, że ja tu dziś byłem, zgładzi mnie także albo przyspieszy wybuch powstania! Wasza cesarska mość, trzeba by natychmiast zmienić oddział

strzegący Lidża Jassu.

Haile Selassie spojrział na mówiącego niemal z wdzięcznością.

— Pan ma zupełną rację, majorze. Jeszcze dziś pojedziemy na Antotto, zrobić tam porządek. Od dzisiaj będzie Lidża Jassu pilnowało pięciuset żołnierzy!

Hagen omal nie krzyknął:

— A tom sobie piwa nawarzył! — Zaryzykował śmiało żądanie. — Stu żołnierzy wystarczy aż nadto, jeżeli ich komendantem będę ja i o tę funkcję najpokorniej proszę.

Nie otrzymał na to wyraźnej odpowiedzi.

— Pana, jako fachowca, wołałbym przydzielić do sztabu mej armii, ale... hm, zobaczmy.

Cesarz powstał, audyencja była skończona. Pomimo to Hagen dorzucił jeszcze:

— Obawiam się, czy wśród kolonii europejskiej nie wywoła to złego wrażenia, iż mordercy Brina tyle zbrodni uchodzi bezkarnie. Już choćby ze względu na prasę ośmielam się radzić waszej cesarskiej mości szybkie unieszkodliwienie Jonasza Mongoszy.

Haile Selassie potrząsnął głową przecząco.

— Nie, majorze, nie ze względu na prasę. To idea sprawiedliwości, jaka musi panować w moim państwie, wymaga tego, by zbrodniarz poniósł zasłużoną karę. Zaraz wydam nakaz aresztowania Jonasza Mongoszy...

⁽¹⁾ adherent (łac.) – stronnik; zwolennik; poplecznik.

ROZDZIAŁ XXXVII

W milczeniu stali naprzeciw siebie Lidź Jassu i Haile Selassie. Pierwszy wysoki, barczysty, napuszony, spoglądający na rywala z najwyższą pogardą, drugi prawie niski, szczupły, wiecznie zatroskany, wpatrzony nieruchomo w jakiś punkt podłogi. Ktoś niewtajemniczony rzekłby bez wahania, iż z tych dwóch mężczyzn monarchą może być tylko pierwszy, a jego więźniem ów drugi i zdziwiłby się, gdyby mu powiedziano, że jest właśnie na odwrót.

Milczenie zaciążyło rychło Hailemu Selassiemu. Podniósł głowę.

— Nie widzieliśmy się dawno — zaczął swoim cichym głosem, nużąc monotonnym jak szum deszczu, który lał dziś od rana bez przerwy — prawie dziewiętnaście lat. Ostatni raz w Hararze, pamiętasz?

W Hararze ras Tafari Makonnen, czyli obecny cesarz Haile Selassie sprawował urząd wielkorządcy. W Hararze zawsze najwięcej musiał wycierpieć od ówczesnego negusa negesti. Znosił jednak cierpliwie wszelkie upokorzenia, szykany, udając, że przypisuje je intrygom nowego doradcy cesarza, że nienawidzi tylko tego przybłedy. „Przybłędą” był sławny dziś pułkownik Lawrence, wtedy jeszcze major, udający cywila, uczonego, orientalistę. Lawrence wysłany przez Intelligence Service z Arabii do Abisynii, której władca Lidź Jassu zamierzał wystąpić zbrojnie po stronie mocarstw centralnych, nie miał tu trudnej roboty. Lidź odznaczał się rozbijającą łatwowiernością, jeżeli łaskotano jego pychę. Uwierzył od razu, że jest potomkiem Proroka, że dzięki temu może łatwo zostać wodzem wszystkich mahometan na świecie, przeszedł na islam i, porzuciwszy żonę chrześcijankę, poślubił Yaminę, córkę kupca Abu-Dakera, mahometanina z Hararu.

W Hararze Jassu czuł się zawsze najlepiej i dlatego Haile Selassie, spragniony pojednania, rozpoczął rozmowę od hararskich wspomnień. Ale Lidź Jassu zrozumiał to inaczej. Jemu przyszedł na myśl przede wszystkim ów fatalny Meskal z roku 1916. (Meskal jest to abisyńskie święto narodowe obchodzone 26 września, czyli przypadające na koniec pory deszczowej.) Wraz z całym dworem Lidź przebywał wówczas w Hararze i tu 25 września, czyli w przededniu święta, nagle zniknął... Lawrence. A nazajutrz w Addis Abebie Lidź został zdetronizowany oraz wyklęty przez metropolitę Mateusza i niebawem dowiedział się, jaką rolę w zamachu stanu odegrał jego doradca i „przyjaciół” Lawrence. Nic tedy dziwnego, że obecnie przypomniawszy sobie te wypadki, odburknął ze złością:

— Znajdziesz i ty swojego Lawrence’a — po czym obrzucił szczęśliwego rywala obelgami.

— Myślałem — westchnął Selassie — iż pogodziłeś się już z tem, że zostałeś zwyciężony i ocenisz moją wspańiałomyślność.

— Ja zwyciężony?! — zachnął się więzień. — Czyż między nami w ogóle doszło do walki? Nigdy! Lękałeś się tego. Woląłeś, jak zawsze, unikać rozprawy orężnej i wybrać podstęp, ty „zwycięzco” spod Meheso.

Bezkrwawa bitwa pod Meheso zasługuje na krótki opis choćby dlatego, że świadczy ona o szczerym pacyfizmie obecnego władcy Abisynii i o jego... chytrłości. Prawdą jest, że w

październiku roku 1916 Jassu dążył do zbrojnego starcia z „uzurpatorem”, a Tafari pragnął bratobójczej walki uniknąć. Lecz Jassu, zajmwszy linię kolejową, wzdłuż niej maszerował na stolicę, grożąc, że wszystkich buntowników wymorduje wraz z ich rodzinami. Tak przebył już połowę drogi z Hararu i któregoś dnia dotarł do Meheso. Tam ras Tafari zaatakował go pod wieczór... zwykłym pociągami towarowym, w którym nie było ani jednego żołnierza, tylko setki dużych, żelaznych beczek ze spirytusem. Oczywiście, wszyscy wojownicy Lidża Jassu spili się do nieprzytomności. W nocy powiązano ich jak barany, Lidża skuto złotymi łańcuchami i Tafari mógł zameldować cesarzowej Zaoditu, że wziął do niewoli całą armię przeciwników, nie oddawszy ani jednego strzału.

— Z Włochami nie udadzą ci się takie sztuczki. I unikaniem bitwy w otwartym polu także nic nie wskórasz. Włosi wezmą cię w kleszcze, odetną dowóz amunicji i, nim nastanie nowa pora deszczowa, zajmą cały kraj!

Selassie spojrział z wyrzutem na Jassu.

— Cieszy cię to, kuzynie? — rzekł ze smutkiem.

— Nie jestem twoim kuzynem! Ciebie spłodził ras Makonnen, a...

— Zwycięzca spod Adui, pogromca Włochów!

— A moim dziadkiem był wielki Menelik!

Haile Selassie powstrzymał się od uwagi, że nikt w Abisynii nie wierzył i nie wierzy w tę bajkę. Bo jakże to było? Tak, że Menelik, nie doczekawszy się męskiego potomka, przypomniał sobie na starość, że przed dwudziestu laty miał kochankę, którą, gdy zaszła w ciążę, szybko wyprawiono ze stolicy. Teraz zaczęto jej szukać na gwałt po całym kraju, co trwało kilka lat, po czym orzeczono, że najwidoczniej umarła, skoro jej nie można nigdzie znaleźć. Po tym obwieszczeniu we wszystkich częściach Abisynii zaczęły zjawiać się rzekome córki Menelika i jego zmarłej kochanki. Z bogatej kolekcji uzurpaterek wybrano najpodobniejszą do jej domniemanego ojca. Rozwiedziono ją z ubogim mężem, nadano jej tytuł księżniczki i ożeniono z nią raso Alego, mahometanina, który przed ślubem musiał przyjąć chrzest i otrzymał imię Michael. Synem rasy Michaela i awanturnicy, pardon... księżniczki Chagardi jest właśnie Lidż Jassu, ale czy w tych warunkach można twierdzić, że jego dziadkiem był Menelik?... Lecz Haile Selassie nie chciał pozbawiać tej iluzji człowieka, który przez swoje szaleństwa stracił już tak niezmiernie wiele i przebywał w więzieniu od dziewiętnastu lat.

— Choć nie chcesz uważać mnie za kuzyna — odezwał się — możesz zostać moim powinowatym, jeśli córkę oddam za żonę... twojemu synowi.

— Nad moim synem ty nie masz żadnej władzy, tylko Francuzi.

— Ale francuzi nie troszczą się o niego i bez trudu można go porwać. Chłopak cierpi nędzę w Dżibuti, w porcie błaga turystów o napiwek, dziś, jutro może głód pchnąć go do zbrodni i będzie osądzony przez Białych, skazany, deportowany. Twój jedyny syn! Wielkiego Menelika jedyny prawnuk, który może zostać tu następcą tronu... jeżeli ja zechcę! Tak, Jassu. Jeśli zechcę, twój syn poślubi moją córkę, a ty odzyskasz wolność. Mało tego. Oddam ci Ogaden oraz włoską Somalię, skoro ją zdobędziemy na wrogach. Będziesz pierwszym sułtanem Somalii...

Więzień słuchał tego z coraz większą nieufnością i zdumieniem.

— A czego żądasz w zamian za tyle wspaniałomyślności? — spytał.

— Tego tylko, byś mi dopomógł odeprzeć najazd Włochów w jesieni.

— Wodzów masz chyba dosyć i to pewniejszych ode mnie.

— Lecz rychło braknie mi złota na prowadzenie wojny, rozumiesz?

— Ha, teraz rozumiem wszystko! Czego nie powiodło się zdobyć podstępem twojej pięknej agentce, to chciałbyś wytargować ode mnie w zamian za pewne ustępstwa. Che, che,

che. Tajemnice władców Abisynii, o nie ci chodzi!

— Chodzi mi tylko o jedną z owych tajemnic, mianowicie, gdzie są ukryte skarby królowej Saby. Ty to wiesz, Jassu.

— Wiem. Choć byłem tam z Menelikiem tylko raz, poznałbym Górę Mądrości nawet w nocy. Każdy pozna ją łatwo wśród tysięcy naszych gór, ale pierw musi znać pewien prastary wiersz, służący za jedyny drogowskaz. Werset ten składa się zaledwie z kilkunastu słów...

Lidź Jassu mówił to obojętnie, niedbale, udając, że nie patrzy na rywala, który stał jak na rozżarzonych węglach. Potem niby to zamyślony, niby to rozważający propozycję Selassiego, przechadzał się od ściany do ściany, wlokąc za sobą łańcuch przytwierdzony końcami do bransolet, jakie nosił na nogach od dnia swego uwięzienia, od dziewiętnastu lat. Ten połączony łańcuch, dźwięczący przy każdym kroku więźnia, przypominał teraz Selassiemu bryły złota, które ongiś Menelik workami przywoził ze swoich tajemniczych, samotnych wycieczek. Przecież obydwaj, Jassu i Tafari, wychowywali się razem na dworze cesarskim, przecież bawili się tymi bryłami i słuchali opowieści sędziwego monarchy o Górze Mądrości, dzięki której Abisynia przez trzy tysiące lat mogła zachować swą niepodległość. Gdzie leży ta góra, jak brzmi jej ogólnie znana, geograficzna nazwa i jak znaleźć wejście do podziemnych grot królowej Saby, to wiedział wówczas tylko Menelik. I tylko jednemu człowiekowi powierzył ten sekret, swojemu następcy, Lidźowi Jassu, który strzegł go zazdrośnie dotychczas. Lecz teraz, za cenę odzyskania wolności, za cenę mianowania jego synka następcą tronu, może... może... powinien!

— Drogi Jassu, ja nie chcę tych skarbów dla siebie, ale dla ojczyzny! Czy nie wiesz, jak straszne niebezpieczeństwo nad nią zawisło?

— Wiem, wiem.

— Bez nowoczesnej broni, bez olbrzymich zapasów amunicji ulegniemy Białym, choć nasi żołnierze to lwy, a włoscy to najwięksi tchórze pod słońcem. Niedoсяżni w swych samolotach będą dziesiątkowali nasze armie a może i ludność cywilną w miasteczkach z dala od frontu. Będą truli, parzyli, dusili ludzi gazami. Zapalającymi bombami zniszczą nasze lasy, wioski, kościoły, och, Biali zdolni są do wszystkiego!

— Tak, to prawda, że nie ma większych barbarzyńców od Białych.

— Dlatego muszę, nim skończy się pora deszczowa, sprowadzić wszystko, czego żąda generał Virgin. Dlatego potrzebuję skarbów, które właśnie na taki cel, na takie ciężkie chwile przeznaczyła założycielka naszego państwa, Saba. Dlatego jestem zmuszony prosić cię, byś...

— Rozumiem... I dla dobra ojczyzny jestem gotów...

— O, Jassu, ukochany Jassu, czy mogę cię uściskać?!

— Zaczekaj. Pierw chcę wymienić swe warunki, a właściwie tylko jeden maleńki waruneczek... Klucz tajemnicy władców Abisynii dam temu — umyślnie mówił coraz wolniej, bawiąc się w duchu podnieceniem cesarza, podnieceniem dochodzącym do zenitu — dam temu — powtórzył — który przyniesie mi... **tutaj...**

— Co? Jassu, mów dalej... Co ma ci przynieść ten człowiek?

— Twój odcięty łeb — wrzasnął „miły kuzynek” i zaczął rzeć ze śmiechu tak niesamowicie, że stojący przed willą żołnierze jęli spoglądać po sobie ze zdumieniem; byli przekonani, iż więzień oszalał.

Cesarz, bładny z gniewu, cofnął się ku drzwiom. Jego rasowa twarz stała się znów smutna, zatroskana, jak zawsze od pamiętnego zajścia pod Ual-Ual. Nerwowe chrapki jego nozdrzy rozdymały się szybcieutęko, świadcząc o wzburzeniu władcy Abisynii. Na progu przystanął na chwilę.

— Opamiętaj się, Jassu — zawołał — nie zapominaj, że jesteś w mojej mocy i wystarczy

mi rzec słówko a...

— Nie strasz, nic mi nie zrobisz — wrzasnął Lidż. — Wiesz dobrze, iż w godzinę po moim zgonie umrze ktoś z twojej rodziny, prawdopodobnie ty sam! Co, może nie znasz tej przepowiedni? Znasz ją na pewno i lękasz się jej, ty tchórzliwy szakalu. Ty... — znów parsknął szyderczym śmiechem.

W parę minut później stanął przed Lidżem krępy, łysawy człowiek, zupełnie mu nieznany, Europejczyk. Bez wszelkich wstępów oznajmił więźniowi, że „przypadkowo” słyszał całą jego rozmowę z cesarzem.

— Ktoś ty?

— Nazywam się Clyde Eyston. Jestem tymczasowym dowódcą dwóch kompanii gwardii odkomenderowanych tutaj dla strzeżenia waszej cesarskiej wysokości. Dotychczas funkcję tę pełnił Jonasz Mongosza, którego dziś rano cesarz polecił aresztować... usłuchawszy mej rady.

— Ach, więc jesteś doradcą mego wroga! Może i przyjacielem?

— Takim samym — odparł Eyston szeptem — jakim dla waszej cesarskiej wysokości był niegdyś... pułkownik Lawrence! Zresztą bliższych szczegółów o mnie dowie się wasza cesarska wysokość od swego wiernego stronnika Ibrahima Er-Durusz, którego dziś wieczór postaram się przemycić tutaj. Potem zatelefonuję do Gibbi, oznajmię cesarzowi, że mój więzień namyślił się i pragnie mu powierzyć jakiś sekret. Chcę go tu zwabić.

— Po co?

— By zasłużyć sobie na obiecaną nagrodę. *Klucz tajemnicy władców Abisynii dam temu, który przyniesie mi odciętą głowę Selassiego...* Ja bardzo lubię złoto, a wasza cesarska wysokość chyba dotrzyma słowa...

— Śmiesz w to wątpić?!

— Śmiem prosić jeszcze o zapewnienie mi bezkarności za przyszłe zabójstwo Selassiego. Bez tego nie myślę ryzykować. Skoro zaś wasza cesarska wysokość jutro wstąpi na powrót na opróżniony tron, to ja...

— No, oczywiście, oczywiście. Trzeba by jednak wszystko dobrze obmyślić, aby jakie głupstwo nie pokrzyżowało nam planów.

Narada trwała przeszło godzinę, aż do zachodu słońca, potem Clyde przyprowadził Ibrahima Er-Durusz. Na jego widok Lidż Jassu pozbył się resztek obaw, że cała ta historia jest może prowokacją. Zbyt dobrze znał Ibrahima i zbyt wiele mu zawdzięczał, by mógł powątpiewać w szczerą intencję Eystona, którego Ibrahim zwał przyjacielem i za którego ręczył.

— Już telefonowałem do Gibbi — oświadczył Clyde Eyston. — Cesarz przybędzie tu za pół godziny, musimy więc czatować na niego w sieni. Postaram się zatrzymać jego orszak przed willą, zamknę bramę, będę mu świecił na schodach i nagle zgaszę lampę.

— Wtedy ja — dorzucił Ibrahim — przyczajony w niszy na półpiętrze, wyskoczę z kryjówki i pchnę go tym oto sztyletem.

— Wolałbym, żebyście go zabili tu, przy mnie.

— To byłoby zbyt wielkim ryzykiem, wasza cesarska wysokość. Właśnie pod tym pokojem na parterze mieszkają jacyś ludzie, może agenci Jonasza Mongoszy. Gdyby usłyszeli łoskot upadającego ciała lub jęki, mogliby zaalarmować wartę, warta całą załogę i wtedy nie wyszlibyśmy stąd cało.

— A może byście tak najpierw sprzątnęli tych agentów z dołu?

— Świetna myśl! — Ibrahim mrugnął porozumiewawczo na swego współnika. — Spełnimy życzenie waszej cesarskiej wysokości i liczymy, że nasza dzisiejsza przysługa...

— Bądź spokojny, wiemy mój Ibrahimie. Hojnie was wynagrodzę, skoro powrócę wolny tam...

Wskazał majaczące w oddali światelka stolicy. Addis Abeba leży u stóp góry Antotto, a z budynków wzniesionych na stokach tej góry willa Jonasza Mongoszy stała prawie najwyżej. Lidź Jassu często spoglądał z okna na miasto, spoglądał tęsknie, ze smutkiem, z rozpaczą, czuł się tu gorzej niż w forcie Keraua, w poprzednim więzieniu wśród czarnych bazaltowych skał na szczycie Gaja-Mulata, gdyż tam nic nie przypominało mu tego, co utracił. Lecz teraz był w całkiem innym nastroju. Teraz, patrząc na światelka Addis Abeby, oczyma duszy widział swój tryumfalny powrót do pałacu cesarskiego. Teraz wzrokiem szukał w ciemnościach drogi, którą po południu odjechał stąd Haile Selassie, którą lada chwila znowu przybędzie...

— Po śmierć! — warknął z szatańską radością.

W pewnej chwili usłyszał krzyk kobiety. Krótki był, urwany, snadź stłumiony przez kogoś natychmiast, lecz przejmujący do szpiku kości.

— Aha, moi indzie załatwiają tych z parteru — pomyślał z taką obojętnością, jak gdyby chodziło o zabicie muchy.

Przez kilka minut w całej willi panowała grobowa cisza, potem na zewnątrz zabrzmiały głosy kilku ludzi, zaskrzypiała brama, zamknęła się na powrót z głuchym łoskotem, znów cisza, aż wreszcie zadudniły szybkie kroki w przyległej sali, dzielącej pokój Lidźa od klatki schodowej. Klucz zazgrzytał w zamku, na progu stanął Clyde Eyston, za nim Ibrahim Er-Durusz, który trzymał jakiś spory kulisty przedmiot zawinięty w czarną płachtę. Kiedy ją częściowo odwinął, ukazała się blada, dołem skrwawiona, odcięta głowa ludzka.

— Mój wróg, mój śmiertelny wróg zabity! — wykrztusił Jassu. — Dajcie mi jego łeb, dajcie natychmiast!

Spełnili to życzenie, po czym Eyston upomniał się o przyrzeczoną nagrodę. Lidź skinął głową na znak zgody, ale najpierw pochwycił za uszy odrąbaną głowę, podniósł ją na wysokość swej twarzy.

— Czy ty jeszcze słyszysz, czy rozumiesz? — zacharczał.

Zwrócił się z tym pytaniem do zabitego. Clyde Eyston na czole nakreślił sobie palcem wymowne kółko i spojrzął na Ibrahima wzrokiem, który zdawał się mówić: — Wiedziałem, iż Lidź jest degeneratem, okrutnikiem, ale teraz widzę, że to kompletny wariat. — A Lidź Jassu, wpijając wzrok w wybałuszzone oczy trupa, ciągnął dalej:

— Słuchaj pilnie, Tafari, Zaraz wymówię słowa, które stanowią klucz tajemnic władców Abisynii. Żeby usłyszeć ten werset, chciałeś mi dać wolność i największą prowincję... Teraz usłyszysz go za darmo, che, che, che, che...

Kilka razy zacytował ów dwuwiersz w kościelnym języku gyyz, przetłumaczył go na francuski, potem jął znęcać się ohydnie nad odciętą głową. Czyż mógł przeczuć, że został oszukany? Że jego wróg posiadał sobowtóra w osobie Abła Yamgana, którego Ibrahim zabił przed kilkoma minutami? I że cesarz Haile Selassie żywy, zdrowy przebywa obecnie w swoim pałacu?!

ROZDZIAŁ XXXVIII

Ściśle biorąc, cesarz przechadzał się w tej chwili po ogrodzie, obok tego skrzydła swojego pałacu, w którym ongiś pozwolił Jonaszowi umieścić jego „archiwum”. Urzędował tam obecnie jeden z oficerów belgijskich, którzy oddali swe usługi Abisynii, podobno specjalista w szpiegowskim fachu i właśnie odbierał jakiś telefon.

— A okien nie zamknął — mruknął cesarz niezadowolony.

Każde słowo oficera słyhać było całkiem wyraźnie.

— O kogo pani chodzi? Mongosza? Siedzi w... nie ma go tutaj obecnie — poprawił się żwawo. — Ach, pani jest jego żoną? I pani nie wie, co z mężem?! Dziwne... Lidź Jassu?... Kto przyjechał do niego, Ibrahim Er-Durusz? Kto to jest? Zamordował, kogo?

Kiedy po *Lidź Jassu* padło nazwisko *Er-Durusz*, cesarz wpadł jak bomba do biura, podbiegł do osłupiałego oficera i wyrwał mu słuchawkę.

— Co się stało?! — krzyknął po amharsku.

— Nareszcie — zaszemrał w mikrofonie głos zapłakanej Taitu, która nie mogła dogadać się z Belgiem. — Człowieku, pędź natychmiast do cesarza i powiedz mu, że Ibrahim Er-Durusz jest u Lidźa Jassu! Chce go uwolnić!

— Niemożliwe! Czy Biały, nowy komendant...

— To zdrajca! — wtrąciła gwałtownie. — To przyjaciel Ibrahima! Razem wpadli tu i zabili mojego oooojca — zaszlochała głośniej.

Haile Selassie nie ochłonał jeszcze z wrażenia, jakie nań wywarły te hiobowe wieści, gdy postyszał w mikrofonie jakieś łoskoty.

— Na pomoc! — wrzasnęła Taitu. — Już wiedzą, że dzwonię, wylamują drzwi, które zatrasnęłam... Spiesz do cesarza co tchu!... Słyszę głos Ibrahima. Mówi, żeby przeciąć przewody... Na pomoc! Jeśli Lidź ucieknie...

Na tym urwało się wołanie dziewczyny, widocznie ktoś przeciął przewody telefoniczne i wszelki kontakt pomiędzy stolicą a willą Jonasa na stoku góry Antotto został przerwany. Cesarz błyskawicznie ocenił groźbę sytuacji. Gdyby teraz Lidź Jassu zdołał zbiec...

— Niecee!!! — krzyknął.

Podbiegł do okna, wypalił w powietrze z rewolweru trzy razy. W parę minut później przyboczny szwadron jazdy był gotów do wyruszenia w drogę. Haile Selassie już z konia wydawał ostatnie rozkazy:

— Alarm! Cały garnizon ostre pogotowie! Pułk gwardii wysłać natychmiast za mną na Antotto! Telefonować i telegrafować do Addis Alom, Fitsze, Angolala, Ankober. Niech obsadzą drogi, niech zatrzymają każdego, choćby miał na sobie sutannę abuny! Wy wszyscy — wskazał ręką na tłum dworzan, oficerów, urzędników, wśród których znalazło się dwóch ministrów — dacie głowy pod miecz, jeśli choć jeden z mych rozkazów nie będzie należycie wykonany. — Zawrócił konia, wysunął się na czoło szwadronu. — Za mną, naprzód, marsz! — zapiał, gdyż ochrypl już od krzyku.

— Niech żyje negus negesti Haile Selassie! — zawołał któryś z dworaków, a za nim wszyscy i wśród ogłuszających wiwatów szwadron opuścił Gibbi kłusem, który niebawem

przeszedł w cwał.

Na Antotto omal nie doszło do bratobójczej strzelaniny, gdyż szpica nadjeżdżającego szwadronu nie usłyszała w pędzie wezwania: — Stój! Hasło? — Na szczęście w tej samej chwili wędrująca smuga reflektora ustawionego przed willą Jonasza padła na jeźdźców. Mimo późnej pory cesarz zastał obydwie pozostawione tu kompanie gwardii w pogotowiu bojowym.

— Kto was zaalarmował? — spytał mile zdziwiony. Dowiedział się, że Taitu. Ona wyskoczyła przez okno w momencie, gdy Hagen z Ibrahimelem wyłamali drzwi. Ona pobudziła w namiotach oficerów, którzy szybko postawili na nogi całą załogę. Ona schwyciła umykającego w krzaki Lidza Jassu i poleciła go odprowadzić do jego izby.

— Hojnie to jej wynagrodzę — rzekł cesarz. — Gdzie jest ta bohaterka? Prowadźcie mnie do niej.

Otoczony wiernymi gwardzistami udał się pieszo do willi, rozpytując po drodze o zdrajcę-komendanta Hagena. — Uciekł, niestety — odpowiedziano mu. Tak było istotnie. Eyston, recte Hagen, choć kula jednego z żołnierzy przeszła mu ramię, zdołał dopaść zarośli, co nie powiodło się Lidzowi, mającemu nogi skrupowane złotym łańcuchem. Hagen uciekł dzięki Ibrahimowi, który w ten sposób spłacił wobec niego swój dług wdzięczności za uratowanie życia, ale nie oszczędził mu wyrzutów. — Mówiłem od razu, żeby dziewczynę sprzątnąć wraz z jej ojcem, ale ty, jak zwykle, dla bab masz za miękkie serce. Żebyś ją był choć związał należycie. — Hagen próbował go udobruchać. — Co nas obchodzi los Lidza Jassu. Grunt, że wyłudziłeś od niego klucz tajemnicy Góry Mądrości. Czy pojedziemy tam zaraz? — Ibrahim spojrzał nań jak na wariata. — Majorze, ty chyba masz gorączkę — odparł. — Sama podróż zajmie nam z tydzień i to w spokojnym czasie. Teraz musimy wrócić do mojej kryjówki w Addis Abebie, musimy przeczekać, aż przestaną nas szukać i aż zagoi się twoja rana. Dopiero wtedy wyruszymy po skarby.

W tym samym czasie, gdy Ibrahim Er-Durusz ze swoim małym oddziałkiem przedzierał się przez lasy, by okrężną drogą powrócić do stolicy, cesarz Haile Selassie zwiedzał Jonaszową willę. Przez drzwi, których jedno skrzydło było wyłamane, wkroczył do pokoju zamieszkanego przez swojego sobowtóra. Tutaj rozegrał się straszliwy dramat, tu Ibrahim zamordował nieszczęsnego Abła Yamgana w obecności jego córki przez Hageną związaną i zmuszoną patrzeć na tę zbrodnię. Dzielna Taitu, która tak skutecznie przeszkodziła ucieczce Lidza i okazała maksimum przytomności umysłu, teraz klęczała obok zwłok ukochanego ojca, wyczerpana, na pół oszalała z rozpacz, zdruzgotana psychicznie okrutnym ciosem. Cesarz po chwili zauważył, że leżący w cieniu trup nie ma głowy, lecz na razie nie mógł zrozumieć powodów tego barbarzyństwa. Zrozumiał dopiero wówczas, gdy z kolei udał się do pokoju Lidza.

Lidz Jassu, odprowadzony na powrót do swojego pokoju, ujął znów w dłonie swą makabryczną zabawkę.

— Więziono mnie dziewiętnaście lat, więc nie dbam o to, czy dziś odzyskam wolność, czy za tydzień — mamrotał, wpatrzony z szatańską radością w zamarłe oczy Abła Yamgana, którego wciąż jeszcze brał za Selassiego. — Najważniejsze to, że ty już nie żyjesz!

Wtem w przyległej izbie zabrzmiała komenda: — Baczość! Prezentuj broń! — W chwilę później otworzono drzwi na oścież. Przy nich kończył się szpaler gwardzistów, a środkiem szpaleru szedł Haile Selassie uśmiechnięty zwyczajnie. Kiedy przekroczył próg pokoju więźnia, pod Lidzem ugięły się nogi. Wlepiając przerażony wzrok w „zmartwychwstałego” wroga, cofał się ku ścianie w głębi, a rzekoma zjawia szła za nim krok w krok.

— Znowu przegrałeś, kuzynie — przemówił Selassie. Jego głos dobił Lidza Jassu, który

nagle wybuchnął histerycznym śmiechem. Najstraszniejszym z cierpień ludzkich miał przypłacić to ostatnie spotkanie ze zwycięskim rywalem. Nazajutrz rano, po konsylium lekarskim, zdetronizowany władca Abisynii, Lidż Jassu otrzymał nowy, żaloszny strój: kaftan bezpieczeństwa.

Mniej więcej o tej samej porze w więzieniu Salomon Mongosza usiłował pocieszyć stryjecznego brata.

— Jeden z dozorców chce przysiąc na negusa negesti, że Ludwik Brin zastrzelił się sam — oznajmił Jonaszowi. — Ty właśnie wychodziłeś z celi Brina, drzwi były uchylone, więc dozorca widział tę scenę i słyszał ostatnie słowa Brina najlepiej świadczące o twojej niewinności. Skoro mój ojciec powie to wszystko podczas audiencji, jaką mu wyznaczono na dzisiaj, cesarz każe uwolnić cię natychmiast.

Mimo tych zapewnień Jonasz pozostał nadal smutny, przygnębiony.

— Mylisz się, gdy sądzisz, że uwięziono mnie jako rzekomego zabójcę Brina — odparł. Jonasz był zdania, że to posłużyło tylko za pretekst, że prawdziwym powodem jego upadku są czyjeś intrygi. I to bolało go najwięcej, iż cesarz uwierzył w jakieś nikczemne oszczerstwa, a stracił zaufanie do niego, który mu służył tak wiernie. — Jak on mógł! — zawołał Jonasz rozgoryczony, rozżalony na swego władcę. — Choćby mi zwrócił wolność bezzwłocznie, nic już naprawić nie zdoła krzywdy, jaka mnie spotkała.

Salomon widząc, że Jonasz wpada w coraz większe rozdrażnienie, porzucił ten temat, zaczął mówić o rzeczach obojętnych, jak sądził:

— Twój nagły wyjazd ze stolicy w maju wywołał przeróżne plotki. Mówiono, żeś zginął, że jakiś wróg wsunął ci do łóżka jadowitego węża. Zaniepokojony tym, wpłynąłem na ojca, by spytał cesarza, co z tobą. Dopiero kiedy dowiedzieliśmy się, że wyjechałeś na dłuższy pobyt do Kerauy...

Tu w zachowaniu Jonasza zaszła wielka zmiana. Jego przygnębienie zniknęło bez śladu. Przyskoczył do rozgadanego młodzieńca, wpił palce w jego ramiona.

— Zatem ty wiedziałeś, że jestem w Keraua — krzyknął. — I roztrąbiłeś to na całą Addis Abebę!

Salomon uczuł się dotknięty tym posądzeniem.

— Uważasz mnie, widzę, za plotkarza lub głupca — odparł nadąsany. — Dowiedz się tedy, że podczas twego pobytu w Keraua ja również przebywałem daleko stąd. W Dżimmie. Tu, w stolicy, spędziłem zaledwie kilka dni.

Ten argument nie przekonał Jonasza.

— Parę dni? Na to wystarczyłoby parę minut! Nie posądzam cię, broń Boże, o złą wolę, o chęć pokrzyżowania moich planów. Tylko o nieostrożność! Czy na przykład mógłbyś mi przysiąc na życie rodziców, że wówczas z nikim nie rozmawiałeś o mnie? — zapytał go.

Salomon zaczerwienił się lekko.

— Owszem, rozmawiałem — przyznał — z panią Alicją Rendell. — Na żądanie Jonasza powtórzył wszystko, co jeszcze pamiętał z tej rozmowy. A pamiętał najważniejszy szczegół: że Alicja natrętnie wypytywała go, dokąd Jonasz wyjechał i była bardzo zadowolona, gdy zdobyła tę informację.

Jednooki słuchał z twarzą ukrytą w dłoniach.

— O Boże, Boże — jęczał głucho — ja posądzałem Brina, zgubiłem go, doprowadziłem do samobójstwa, a sprawcami mej porażki w Keraua są: ta podła szpiegówka włoska i największy głupiec świata, kabotyn, szczeniak, matoł... mój brat!

Salomon był bardziej zdziwiony, niż obrażony tymi przezwiskami.

— Ja? — spytał z rozbijającą miną.

Jonasz odsłonił twarz, spojrział na stryjecznego brata z bezgraniczną pogardą.

— Czy ty w ogóle zdajesz sobie sprawę z tego, jak potworną szkodę wyrządziłeś cesarzowi przez swą karygodną naiwność, łatwowierność i gadulstwo?! Czy pojmujesz, że z twej winy nasza armia w parę miesięcy po wybuchu wojny może znaleźć się bez amunicji?! Nie, tego ty, pusta głowo, nigdy nie zrozumiesz, jak nie naprawisz tej szkody.

Salomon zaprotestował.

— Może ją jednak naprawię — odrzekł buńczucznie.

— Jak? Jak, śmieszny pyszałku? — Jonasz chwiał głową z politowaniem, ale młodzieńca nie zbiło to z tropu.

— Tak, że dla wyrównania sił będę wysadzał w powietrze włoskie magazyny amunicji!

Tym razem Jonasz nie wykpił tej odpowiedzi, przeciwnie, spojrział na mówiącego jak gdyby z uznaniem.

— Pogadamy o tym później — powiedział, zacierając ręce. — Na razie spiesz wraz z ojcem do cesarza i dołóżcie wszelkich starań, bym wyszedł stąd jak najprędzej. Zateśniłem nagle za wolnością i... — uśmiechnął się tak złowrogo, że Salomona ciarki przeszły — i za panią Alicją Rendell!

ROZDZIAŁ XXXIX

Spełniło się życzenie Jonasza. Tegoż dnia, czyli 12 lipca, został wypuszczony na wolność, przesiedziawszy w więzieniu zaledwie trzydzieści godzin. Nie interesował się wcale, nie pytał czemu zawdzięcza tak szybkie uwolnienie, czy korzystnym zeznaniom owego doradcy, który był przypadkowym świadkiem samobójstwa Ludwika Brina, czy interwencji stryja, głowy rodu Mongosów. Nie przejmował się tym, że negus negesti nie wezwał go do siebie, tylko przez osobę trzecią polecił mu na powrót objąć dotychczasowe stanowisko, jakby nic nie zaszło od wczoraj. Nie zastanawiał się, czy ma to uważać za dowód niełaski, czy też za objaw zażenowania cesarza, iż tak pochopnie wydał nakaz aresztowania swojego ulubieńca. Nie obchodziło go na razie nic, poza tym jednym, by pomścić śmierć Ludwika Brina przez zdemaskowanie prawdziwej winowajczynie, Alicji Rendell.

— Nie skończy się oczywiście na zdemaskowaniu — powtarzał sobie i już układał w myśli obfity program „niespodzianek” dla przyszłej klientki swej celi tortur. — Przycisnę cię tak, że wyśpiewasz wszystko, że sama zaprowadzisz nas do kryjówki Ibrahima Er-Durusz!

Natychmiastowemu aresztowaniu Alicji stało na przeszkodzie niejedno. Przede wszystkim to, że uchodziła tu oficjalnie za siostrę Gastona d’Harcourta, który wobec wyjazdu posła na urlop reprezentował Republikę Francuską w Addis-Abebie; w tych warunkach skandal był niedopuszczalny. Jonasz znał też dobrze przesadną wyrozumiałość swojego władcy dla rodu niewieściego. Haile Selassie nigdy jeszcze nie zatwierdził wyroku śmierci na kobietę, a dla Europejek miał szczególne względy. Białe zbrodniarki polecał wydalać z kraju, to wszystko, i taka sama łagodna kara spotkałaby na pewna rzekomą Alicję Rendell. Na myśl o tym, zawzięty Jonasz Mongosza z irytacji dostawał gorączki.

— Nie! Ty żywa stąd nie ujdiesz! — ślubował sobie. — Pozwolę ci odjechać, kwiaty ci przyniosę na dworzec, a potem, gdzieś koło Diredauy każę cię porwać z pociągu i wszelki ślad po tobie zaginie na zawsze!

Do wykonania tego planu potrzebował tylko jednego. Mianowicie, by Alicja zechciała wyjechać jak najprędzej ze stolicy. Aby ją zmusić do tak „dobrowolnego” wyjazdu, Jonasz zamierzał rozmówić się z Gastonem w pewnych specjalnych okolicznościach i w tym celu postanowił urządzić u siebie małe popołudniowe przyjęcie już nazajutrz. Najpierw zatelefonował do poselstwa francuskiego. Chociaż tłumaczył się uniżenie, że nie mógł rozesłać zaproszeń wcześniej, d’Harcourt z miejsca odmówił.

— Proszę mej odmowy nie uważać za dziecinny rewanż za to, że pan, panie Mongosza, w podobnych okolicznościach zrobił zawód nam. Nie przyjdę jedynie dlatego, że jutro o piątę mam ważną konferencję.

— Proszę więc łaskawie przyjść o szóstej czy siódmej. Domyślam się, że obecnie, jako faktyczny chargé d’affaires⁽¹⁾, jest pan ogromnie zajęty — pochlebił mu. — Sądzę jednak, iż pan domyśla się nawzajem, że ta party u mnie to tylko **pretekst!**

— Pretekst?

— Tak, panie hrabio. Ze względu na pana, wołałbym pewną niemiłą sprawę załatwić u siebie w mieszkaniu, a nie w drodze urzędowej.

— Ze względu na mnie? Co to znaczy!

— Jutro wyjaśnię wszystko.

— Jestem zmuszony prosić pana o poinformowanie mnie już dzisiaj, o co właściwie chodzi... Tego żądam!

— Ha, skoro pan hrabia tak kategorycznie żąda uchylecia rąbka tajemnicy... Chodzi o jednego z członków waszego poselstwa, który skompromitował się fatalnie! Prócz mnie, nie wie o tym na razie nikt. Powinienem za pośrednictwem naszego ministerstwa spraw zagranicznych zażądać od Quai d'Orsay⁽²⁾ natychmiastowego odwołania tego jegomościa. Ponieważ jednak nie lubię skandalów, a pan obecnie zastępuje nieobecnego posła, więc...

— Rozumiem, dziękuję za lojalność, jutro przybędę do pana.

— Ale koniecznie z panią Alicją. Dla niej mam niespodziankę, która ją szalenie ucieszy. Ucieszy pana hrabiego również. Ani państwo nie przeczuwacie, kto onegdaj przyjechał do Addis Abeby.

— Kto?

— Jutro zobaczycie sami. Jak niespodzianka, to niespodzianka.

Gaston d'Harcourt mocno zaintrygowany tym wszystkim, nazajutrz przybył z Alicją do Jonasza dokładnie o piątej po południu.

— O, pan odłożył swoją konferencję? Jak to ładnie! — zawołał gospodarz z zachwytem, z którego mocno wyzierało szyderstwo.

W przedsiönku jego mieszkania Gaston dostrzegł kilkanaście parasolek, parasoli, zarzutek, kapeluszków.

— Widzę — rzekł niezadowolony — że nie jesteśmy pierwsi, pomimo naszej punktualności.

Jonasz udał, że tego nie słyszy. Pchnął jakieś drzwi, wprowadził nowoprzybyłych gości do saloniku, w którym siedzieli Olga Atherton, panna Lisette i John Gliwa. Ten ostatni na widok wchodzących nachmurzył się, jakby ujrzał śmiertelnego wroga. Nie zauważył tego jednak nikt, wszyscy byli nazbyt zafrapowani uderzającym podobieństwem Olgi i Alicji. Panna Lisette pobladła, Gaston wybałuszył oczy, a Jonasz Mongosza spoglądał na niego, uśmiechając się ironicznie.

— Nie poznaje pan swojej drugiej siostry? — krzyknął z udanym zdziwieniem. — Panna Olga jest siostrą pani Alicji, co może potwierdzić obecna tu panna Lisette, nie mówiąc już o wielkim podobieństwie obydwóch pięknych pań. Ponieważ zaś pan jest bratem pani Alicji, zatem panna Olga musi być również i pańską siostrą, prawda? To najbardziej logiczny wniosek!

Najbardziej logiczny wniosek wywołał najbardziej klasyczną konsternację, która jeszcze zwiększył okrzyk Olgi:

— Ten pan ma być moim bratem?! — Wskazała Gastona. — W takim razie moja matka musiałaby wyjść za mąż, mając siedem lub osiem lat! To jest możliwe w Abisynii, ale nie u nas. Tu zaszło jakieś zabawne nieporozumienie — przypuszczała, lecz Jonasz nie dał za wygraną.

— Czy pani matka była Rosjanką? Czy jej imię brzmiało Tatiana? — Zwrócił się do Alicji, która na obydwa pytania dała odpowiedź twierdzącą. — A zatem miałem słusność. Pozostawmy teraz obydwie czarujące siostrzyczki tutaj, niechaj się sobą nacieszą, my zaś przejdziemy do dalszych izdebek mej skromnej chałupki.

Owa „chałupka”, czyli jednopiętrowa willa Jonasza w stolicy była znacznie większa, niż jego zamiejska willa na Antotto, w której chwilowo przebywał Lidz Jassu. W głównej sali John zastał już sześciu znajomych Europejczyków i tyluż tubylców, wśród nich Józefa i Salomona Mongoszków. Ci dwaj mieli teraz wyręczyć Jonasza w roli gospodarza, gdyż jednooki chciał jak

najrychlej pomówić z Gastonem na osobności. W tym celu zaprowadził go na pierwsze piętro do swojej pracowni.

— A co, czy nie zachwycająca niespodzianka? — zaczął kpiąco. — Na pewno pan nie przypuszczał, że spotka tu dzisiaj swoją drugą siostrę. — Gaston d'Harcourt zaklął w duchu, wybąkał coś niewyraźnie, potem jak gdyby pragnął co prędzej zmienić temat, zażądał, aby Jonasz wymienił mu natychmiast nazwisko tego urzędnika poselstwa francuskiego, który skompromitował się rzekomo. — O, nie rzekomo, ale naprawdę — odparł jednooki tonem głębokiego przekonania — a tym urzędnikiem jest właśnie pan, drogi hrabio. Zaraz to panu wyjaśnię...

Podczas gdy Jonasz udzielał Gastonowi owych wyjaśnień, zmierzających do spowodowania wyjazdu Alicji ze stolicy, na parterze, w małym saloniku, Olga Atherton usiłowała nawiązać serdeczny kontakt ze siostrą, o której istnieniu nic nie wiedziała dotychczas. Przede wszystkim wyprosiła za drzwi Lisette oburzoną na Jonasza za jego niedyskrecję, za ujawnienie wobec młodej panny grzechu młodości jej matki.

— Lisette jest śmiesznie zacofana. Mnie to bynajmniej nie gorszy, że moja matka przed ślubem przeżyła tak romantyczną przygodę. Przeciwnie, mama zyskała przez to w moich oczach — dowodziła ekscentryczna Olga — gdyż nienawidzę cnotliwej powszedniości. Wyobrażam też sobie miny wszystkich tych naszych książęcych dziadków, stryjów, ciotek, kiedy mama zjawiła się z nieślubnym dzieckiem. To musiało być szalenie zabawne.

Tu Alicja Rendell spojrzała na mówiącą z wyrzutem.

— To wcale nie było zabawne ani dla naszej matki, ani dla pierwszego dziecka, czyli dla mnie — odparła. — Dlatego lepiej nie dotykać tych bolesnych wspomnień.

Stanowczo nie kleiła się im rozmowa. Gdy Olga zaczęła dopytywać o Gastona d'Harcourta, którego z humorem zwała: *bratem nieznanym* (według wzoru: *żołnierz nieznanym*), Alicja znowu poprosiła ją, by nie poruszała tego tematu również. Olga zniecierpliwiła się od razu.

— Więc o czym mam gadać z tobą, o ostatnich kreacjach mody, czy o polityce? A może interesuje cię to, dlaczego tu przyjechałam? — Alicja skinęła głową potwierdzająco. Mimo szczerych chęci nie zdobyła się dotychczas na żaden odruch serdeczności wobec siostry, gdyż nie mogła otrząsnąć się z wrażenia, jakie na niej wywarło zachowanie Jonasza. To, że spotkanie dwóch siostr urządził właśnie u siebie i to przy Gastonie musiało wywołać niepokój Madelon-Alicji, a jego tryumfująco złośliwe uśmiešky budziły w niej jak najgorsze przecucia. Nie wątpiła, że jednooki przygotowuje dla niej przykrą niespodziankę. Ale jaką? Nad tym rozmyślała z obawą i dlatego słuchała opowiadania siostry o powodach jej przyjazdu do Abisynii z takim roztargnieniem, że chwilami nie wiedziała, o czym mowa.

Aż wreszcie jedno zdanie przedarło się do jej świadomości: — Wojna włosko-abisyńska będzie egzaminem dojrzałości dla całego świata, dla jednostek, dla społeczeństw, dla sterników naw państwowych, dla wszystkich. Wtedy okaże się dowodnie, ilu mamy płatnych parobków fabrykantów broni i różnych krwiożerczych bestii, dla których każda wojna jest rajem, a ilu godnych synów ludzkości. Ponieważ siebie zaliczam do ludzi, nie do hien, moje najgorętsze sympatie są po stronie Abisynii. Dlatego tu przybyłam, dlatego pół mego milionowego majątku oddam do dyspozycji abisyńskiego Czerwonego Krzyża, dlatego pod jego sztandar zaciągnę się sama jako pielęgniarka... I nie wątpię, że ty, siostró, uczynisz podobnie.

Madelon-Alicja potrząsnęła głową przecząco:

— Zatarę włosko-abisyński jest zagadnieniem zbyt skomplikowanym, aby można było do niego podchodzić tylko uczuciowo, jak ty to czynisz, Olgo — odparła. — Nie przeczę, że

Abisynia, jako słabsza i napadnięta, zdobędzie sobie w świecie znacznie więcej sympatyków, niż ich zyskają Włochy. Należy jednak zastanowić się, co zmusza Włochy do wszczęcia tak niepopularnej i kosztownej wojny...

Tu Olga Atherton przerwała siostrze:

— Wiem, co mi chcesz powiedzieć — rzekła — znam dobrze mętne argumenty włoskie.

Któż ich nie zna! Włosi powołują się na to, że jest ich przeszło trzy razy więcej niż Abisyńczyków, a ziemi mają na swoim półwyspie cztery razy mniej, że więc w Abisynii na kilometr kwadratowy wypada trzynastu mieszkańców, podczas gdy we Włoszech aż stu dwudziestu pięciu. Że mają wprowadzić w Afryce duże kolonie o łącznym obszarze 2.266.000 kilometrów kwadratowych, lecz są to przeważnie nieużytki, że w tych warunkach Włosi dla swej ekspansji potrzebują nowych, żyznych terytoriów. Że nie mogą ich zrabować silniejszemu, jak Anglia czy Francja, „muszą” zdusić słabszego, Abisynię.

— Czy ją zduszą, to jeszcze wielkie pytanie — ciągnęła dalej Olga z wzrastającym wzburzeniem — niemniej sam fakt takiej napaści w obecnych czasach cały świat musi napiętnować jako potworną zbrodnię i musi ukarać zbrodniarzy-barbarzyńców.

— Protestuję! — wtrąciła Madelon-Alicja, a w jej oczach zamigotały skry gniewu. — Tylko ludzie tak nieznający historii, jak Anglicy i Francuzi, mogą mieć tupet nazywać barbarzyńcami Włochów, którzy dali kulturę całej Europie!

— Wiem dobrze, co Włochom zawdzięcza świat. Lecz również wiem, że faszystowskie Włochy mogą wszelkie te dawne zasługi przekreślić, mogą przez imperialistyczne zachcianki swoich wodzów rozpętać nową wojnę światową, stokroć gorszą od poprzedniej. Z iskry rzuconej tu, w Abisynii, na pewno wybuchnie pożar, który ogarnie cały glob.

— Nie przesadzajmy, siostrzyczko. Ręczę, że nie wybuchnie.

— Może nie zaraz, ale w ciągu dwóch, trzech lat na pewno! Czy sądzisz, że Niemcy nie pójdą w ślady Mussoliniego? Albo inne państwa, także przeludnione, a nie posiadające w ogóle żadnych kolonii? I dlatego, jeżeli wojna zaborcza tutaj nie ma stać się fatalnym precedensem, Włochy muszą ponieść tak surową karę, aby odstraszyła innych od zamiaru splagiatowania tego wzoru.

— Bardzo to pięknie brzmi — rzekła Alicja z ironią — ale jakbyś ty rozwiązała kwestię przeludnienia Włoch czy innych państw?

— Rozwiązała ją już sto czterdzieści lat temu genialny mój rodak, Tomasz Malthus⁽³⁾, który dowodził, że główną przyczyną nędzy, degeneracji i wojen jest nadprodukcja dzieci. Niech ludzie przestaną mnożyć się bezwstydnie jak króliki, a zniknie kryzys i sto innych klęsk ludzkości.

— W tym jest dużo racji — przyznała starsza — ale...

— Nie ma żadnych *ale*, nie przedłużajmy bezpłodnej dyskusji, kiedy tam obok zaczęły się tańce. Słyszysz?

Olga ujęła siostrę pod ramię i pociągnęła ją do głównej sali, gdzie rzeczywiście tańczono przy dźwiękach patefonu⁽⁴⁾. Gości zebrano tam już ponad trzydzieści osób, przeważnie Europejczyków, lecz wzrok Madelon-Alicji na próżno szukał wśród nich Gastona. Ani jego nie było, ani Jonasza. Podeszła więc do Salomona Mongoszy, korzystając z tego, że John Gliwa zaczął rozmawiać z Olgą, wyciągnęła dłoń do powitalnego uścisku i otrzymała... kieliszek wina. Rozśmieszyło ją to.

— Ja chciałam tylko... — urwała w pół zdania, zmrożona pełnym wzgardy spojrzeniem, jakim Salomon zmierzył ją od stóp do głowy. Pochylił się ku niej, rzekł szeptem:

— Wiem, co pani chciała, ale ja nie podaję ręki ludziom tego pokroju, co pani!

W chwilę później spostrzegła, iż większość gości skupiła się wokół niej. Ktoś prawil jej komplementy, ktoś inny zapytał ją o coś i zrobił zdumioną minę, snadź odpowiedziała mu zupełnie od rzeczy. Z ulgą powitała to, że ktoś trzeci zaczął opowiadać najświeższe anegdoty. — Czy wiecie państwo, kto cieszy się najwięcej na przyszłą wojnę? — mówił. — Oczywiście król włoski. Bo jeżeli Włochy wygrają, zostanie cesarzem Abisynii. Jeśli zaś przegrają, faszystów diabli wezmą i on będzie nareszcie prawdziwym królem włoskim. — Wszyscy wybuchnęli śmiechem, tylko Madelon-Alicja była nadal śmiertelnie poważna. Nie zrozumiała dowcipu, nie potrafiłaby powtórzyć ani słowa, gdyż w uszach brzęczało jej wciąż obraźliwe powitanie Salomona. Co ono miało oznaczać? Czego dowiedział się ten młody Abisyńczyk, niegdyś zakochany w niej prawie tak, jak John Gliwa?

Zbliżyła się do Johna, zapytała z wymówką, czemu on od dłuższego czasu unika jej wyraźnie. Drgnął, po jego zasmuconej twarzy przebiegła błyskawica gniewu.

— O, to całkiem zrozumiałe — odparł przez zaciśnięte zęby. — Nie lubię, gdy ktoś z moich uczuć robi sobie pośmiewisko. I dla zasady nawet tym przyjaciołom, którzy postąpili sobie ze mną nikczemie, nie odbijam kochanek!

Powiedziawszy to cicho, lecz z naciskiem, złożył jej chłodny ukłon i zaczął na zabój flirtować z Olgą. A biedna Madelon-Alicja zapisała także i tę odpowiedź na rachunek intryg Jonasza.

— To jego robota z pewnością! Ciekawam, co ten łotr z kolei nagada pocziwemu Gastonowi.

Dowiedziała się o tym dopiero w domu. Podczas jazdy do swojej willi Gaston d'Harcourt milczał zawzięcie, zapewne przez wzgląd na szofera. Za to gdy znaleźli się sam na sam, zaczął prosto z mostu i zjadliwie:

— Jesteś nazbyt skromna, Madelon. Ja naprawdę nie przeczuwałem, że pod moim dachem zamieszkał tak groźny szpieg włoski!

⁽¹⁾ *chargé d'affaires* (fr.) – przedstawiciel dyplomatyczny trzeciej klasy, niższy rangą od ambasadora i posła.

⁽²⁾ *Quai d'Orsay* – bulwar w Paryżu. Na *Quai d'Orsay* ma siedzibę francuskie Ministerstwo Spraw Zagranicznych. Nazwa ulicy jest używana na określenie tej instytucji.

⁽³⁾ Thomas Robert Malthus (1766-1834) – duchowny anglikański, ekonomista angielski, który prowadził badania z pogranicza ekonomii i socjologii. Zajmował się teorią ludności oraz problemami płac i pieniądza.

⁽⁴⁾ *patefon* – przenośne urządzenie o napędzie mechanicznym do odtwarzania dźwięku z płyt wytłaczanych, wynalezione przez braci Emila i Charlesa Pathe, produkowane w latach 1905–1920 przez firmę *Pathe Freres* (stąd nazwa).

ROZDZIAŁ XL

Kiedy ostatni z gości opuścił mieszkanie Jonasza, trzech Mongoszowie zasiedli do wieczerzy, którą nazwali ucztą pożegnalną. Bowiem nazajutrz Józef Mongosza zamierzał wyruszyć w drogę do swej rezydencji w Tanda, by stamtąd rozesłać wici do wszystkich wasali w Ogadenie.

— Myślę, że przyprowadzę rasowi Nasibu ze cztery setki wojowników i trzy razy tyle gorzej uzbrojonych pachołków — obliczał. Syna Salomona nie chciał wziąć ze sobą. — Niedobrze jest, gdy podczas wojny najbliżsi krewni są razem — twierdził. — Gdy jeden z nich zostanie ciężko ranny, drugi stara się przenieść go w bezpieczne miejsce i traci na to cenny czas, który w całości należy poświęcić walce z wrogiem.

Wobec tego Salomon miał udać się na północ, do prowincji Tigre, gdzie posiadał swe włości najmłodszy z jego stryjów, Jakub, a w chwili wybuchu wojny miał oddać się do dyspozycji cesarskiego zięcia, rasa Guksy. Tak to ułożył sobie w głowie stary Józef, lecz jego synalek nie bardzo kwapił się do nowego wyjazdu ze stolicy. Wojna nie rozpocznie się wcześniej jak za dziesięć tygodni, przypuszczał, zatem można by śmiało pozostać w Addis Abebie jeszcze z miesiąc. — Dlaczego? — powtórzył skierowane do siebie pytanie. — Dlatego, czcigodny mój ojczy, że chciałbym odszukać pewną cudną dziewczynę, którą zabrałbym ze sobą na wojnę, jak przystoi dorosłemu wojownikowi. — Ty — zwrócił się do jednookiego — przez swoich ludzi odnalazłbyś ją szybko, jestem pewny. Przywędrowała tu z Kaffy, ale jest Gallanką. Na imię jej Taitu...

Westchnął tęsknie, z czego skorzystał Jonasz:

— Taitu, córka Abla Yamgana?

Salomon zdębiał. — Ty ją znasz, bracie?! — krzyknął ucieszony.

Jonasz nie powiedział oczywiście tego, co miał na języku: — Trudno żądać, bym nie znał własnej żony. — Jonasz wolał w tym wypadku ukryć prawdę. Jemu osobiście, z wiadomych przyczyn, było obojętne, czy ma żonę, czy nie. Mógł bez żalu rozwieść się z Taitu i pozwolić jej poślubić Salomona, ale jaki pożytek miałyby z tego kraj? Niewielki. Salomon wyruszyłby w bój z żoną, jak setki tysięcy innych wojowników, a oboje myśleliby więcej o miłości, niż o strzelaniu z karabinu do Włochów. Nie, nie, tych, co będą strzelali, Abisynia ma pod dostatkiem. Tak wybitnie uzdolniona dziewczyna jak Taitu musi służyć ojczyźnie inaczej. Powiedział jej to dzisiaj po południu, tuż po pogrzebie Abla Yamgana. — Nie zapominaj, że twojego ojca zabił Ibrahim Er-Durusz, Arab kierujący włoskim wywiadem. Od Włochów bierze żołd, Włochów rozkazy wykonuje, więc prawdziwymi sprawcami śmierci twego rodzica są Włosi! O tym pamiętaj, Taitu, i pomścij ojca krwawo. Już ja tobą pokieruję tak, abyś im zadała straty większe niż pułk wyborowych strzelców. Ja z ciebie zrobię abisyńską Matę Hari!

Mając takie plany, Jonasz nie mógł stryjecznemu bratu powiedzieć prawdy. Że zaś był w swoim patriotyzmie fanatykiem, dla którego osobiste szczęście nawet najbliższych osób znaczyło mniej niż jeden nabój karabinowy (nabój może przecież uśmiercić Włocha!), odparł z zimnym okrucieństwem: — Czy znam Taitu? Należało spytać, czy ją znałem. Tak, bracie. Nawet byłem przy sekcji jej zwłok. — W Salomona jakby piorun strzelił. Sporo czasu upłynęło, nim

pogodził się z myślą, że jego ukochana dziewczyna nie żyje, nim zdobył się na pytanie, czemu zrobiono sekcję. Czy biedaczka zginęła w jakim wypadku? Jonasz bez wahania skomponował nowe kłamstwo tego samego kalibru: — Za miastem koło toru kolejowego napadło ją dwóch drabów. Uległa przemocy, a kiedy usłyszała, że ktoś nadchodzi i zaczęła go przyzywać na ratunek, tamci dwaj udusili ją co prędzej. — Tu zwrócił się w stronę Józefa. — Byłem niepokieszony, że udało się im bezkarnie zbiec za granicę, tym dwóm Włochom.

Salomon, który wił się z bólu, słuchając tej historii, na dźwięk ostatniego słowa skoczył na równe nogi. — Więc to byli Włosi! — ryknął. — Biada im! Dziś jeszcze wyjeżdżam na północną granicę i nie zgolę zarostu, póki nie zabiję czterech Włochów! A potem, o biedna, mała Taitu, za każdy twój palec jeden Włoch zapłaci życiem. Przysięgam! Przysięgam! Ojcze, gdzie twój krucyfiks? — Wraz z Józefem pobiegł na parter szukać krucyfiks, a równocześnie Jonasz rozgrzeszał się z tego, co uczynił. — Czym jest to moje kłamstwo wobec powodzi łgarstw, jakimi rząd włoski otumania swój naród? Kroplą w morzu. Ha, zbrodniczy cel uświęca drańskie środki — monologował z cynicznym uśmiechem. — Dzisiaj wyjeżdża. Tym lepiej. Chciałbym jak najprędzej ściągnąć Taitu z Antotto do miasta, a jej spotkanie z Salomonem popsułoby mi szyki. — Na którejś z kościelnych wież zegar zaczął wybijać godzinę. Myśli jednookiego pchnęło to natychmiast w inną stronę. — Dziewiąta, hm, Gaston d’Harcourt już chyba zakończył swoją reprimendę i pani Rendell pakuje manatki na gwałt...

W tym wypadku Jonasz Mongosza przeliczył się trochę. Gaston d’Harcourt włożył tyle krasomówstwa w swoje wymówki, że zabrakło mu „oddechu” na wypowiedzenie kategorycznego żądania: — Jutro musisz opuścić mój dom. — Te przykre słowa jeszcze nie padły, obecnie mówiła Madelon-Alicja. Mówiła o smutnym losie nieślubnego dziecka, oddanego na wychowanie do obcych ludzi. O tym, że przez długi czas nie znała nawet imion swoich rodziców, że dużo przez to wycierpiała od rówieśnic, że z bolesną zazdrością patrzyła, jak ich matki brały je na kolana i pieściły. Jej to szczęście nie spotkało nigdy. Ciężka jest dola sieroca, ale stokroć gorsza niedola dziecka, do którego nie przyznaje się nikt, ani rodzona matka. Ona, Madelon, miała jeszcze szczęście o tyle, że jej wychowawcy nie znęcali się nad nią. To byli ludzie nie najgorsi, tylko bardzo prymitywni. Ich prostactwo dziwnie drażniło ją, w której żyłach płynęła książęca krew. Kiedy dorosła, chcieli ją wydać za piekarza, nieprawdopodobnego gbura. Aż nagle los uśmiechnął się do niej: Pewnego razu na dworcu zaczepił ją elegancki pan.

— Ja — wtrącił Gaston — tę historię znam, ale nie rozumiem, co to ma wspólnego z terażniejszością!

Madelon twierdziła, że ma wiele wspólnego. Gdy poznała Gastona, jego żartobliwą propozycję wspólnego wyjazdu przyjęła bez wahania tylko dlatego, by wyrwać się choćby na miesiąc z domu wychowawców i by odstraszyć od siebie owego piekarza. Miesiąc upłynął, Gaston pokochał Madelon, ona zaś zasmakowała w zbytku. Gaston pracował wówczas we francuskiej ambasadzie w Rzymie. Tam musiał powrócić po urlopie, a Madelon chętnie pojechała z nim. I zawdzięcza mu niezmiernie wiele, połowę swego wykształcenia, przyswojenie sobie dobrych manier i tak dalej. Lecz od wdzięczności, sympatii, przywiązania do miłości daleka droga. Ona to może dzisiaj powiedzieć, że właściwie nigdy nie kochała Gastona. Nieznane jej przedtem uczucie miłości wzbudził w niej ktoś inny, młody oficer włoski, nazwiskiem Medini, dzielny junak, bardzo przystojny brunet o śniadej cerze, o płomiennym spojrzeniu oczu czarnych jak węgle i ze wspaniałą szopą równie czarnych, jedwabistych włosów. Słowem jej:

— Mario — wymówiła to imię tak pieszczotliwie, że Gaston aż zgrzytnął zębami z zazdrości.

Westchnawszy, ciągnęła dalej swą opowieść... Choć od pierwszego wejrzenia spodobał się sobie nawzajem, unikała go początkowo, poczuwając się do obowiązku wierności wobec Gastona. Powiedziała to wręcz urodziwemu porucznikowi, powiedziała mu także, jaki stosunek łączy ją z francuskim dyplomata, nawet skłamała, że miała już tuzin kochanków. Lecz Mario Medini nie zrażał się niczym. — Madelon, twoja przeszłość nie obchodzi mnie nic — oświadczył jej — za to przyszłość musi należeć do mnie. Do mnie wyłącznie i na zawsze! Bo tyś nie jest dla mnie obiektem na chwilową przyjaciółkę. Nie. Ja ciebie chcę za żonę! — To ją doprawdy wzruszyło. Nie przypuszczała, że ktokolwiek zechce ożenić się z nią, z konkubina pana d’Harcourta. A marzyła zawsze o stworzeniu sobie własnego ogniska rodzinnego i o...

W tym miejscu Gaston przerwał te zwierzenia. — Byłbym poślubił cię również, gdybym był przeczuł, że tak bardzo zależy ci na tym — rzekł. Madelon-Alicja odparła bez namysłu: — Mario przeczuł to jednak, choć znał mnie wówczas tyle dni, ile ty lat! — Krótko mówiąc, uciekła wówczas od Gastona. Mario zawiózł ją na Capri, tam wzięli ślub, tam spędzili miodowy miesiąc. Jego dalszym ciągiem było zresztą całe ich małżeńskie pożycie, okropnie krótkie, niestety. Bowiem niespełna rok temu Mario otrzymał awans na kapitana, a zarazem pewną misję w Afryce. Jaką, tego ona nie wie dotychczas. Jego nieobecność miała trwać dziesięć tygodni, tak mówił na wyjeździe. Z powrotnej drogi miał depeszować do żony. Minęło dziesięć tygodni, dwanaście, czternaście i nic. Mario nie wrócił, nie przysłał telegramu, ani choćby marnej pocztówki z jednym tylko słowem: *Żyję!*

Poszła do jednostki wojskowej, do której należał jej mąż. Potem chodziła tam coraz częściej i wciąż słyszała jednakową odpowiedź: — My także nie mamy żadnych wieści od niego, ale nie tracimy nadziei. Proszę uzbroid się w cierpliwość. — Łatwo im było gadać! Pewnego razu wybuchnęła: — Skoro nie chcecie, czy nie potraficie ratować go sami, pozwólcie działać mnie. Dla ocalenia męża jestem gotowa na wszystko! — Zwierzchnik kapitana Medini przyjrzał się jej uważnie, odbył z nią dłuższą rozmowę na tematy pozornie błahe, po czym kazał jej zgłosić się za tydzień. Podczas tego tygodnia poddano ją różnym próbom, z których wyszła zwycięsko. Gdy minęło siedem dni, przyszła do biura ponownie. Zapytano ją, jakiej jest właściwie narodowości. Nie wiedziała, co odrzec na to. Że jest Francuzką? Czy może po matce Rosjanką? Tu przypomniano jej dobitnie: — Pani jest żoną oficera włoskiego, pani ojciec był Włochem również. — Wiedzieli nawet to! Och, w ogóle znali jej życiorys lepiej niż ona sama.

Potem usiłowali w nią wmówić, że ona wie, dokąd wyjechał Mario, że mąż miał pozwolenie wyjawić to żonie ogólnikowo. Odparła z ironią, iż pozwolenie było zbyteczne. Mąż powiedział jej tylko tyle, że wyjeżdża do Afryki, lecz każde dziecko dośpiewałoby sobie resztę: do Abisynii. Tam ona chce podążyć także, by odszukać zaginionego męża. — Pomogłaby w tym pani sympatyzująca z nami patriotyczna organizacja mahometan abisyńskich zwana *Hufcem Zielonych*. Do tego związku należałoby wstąpić koniecznie. — Wstąpiła, usłuchała tej rady. Po złożeniu przysięgi, po wielu innych ceregielach, zaopatrzono ją w świetnie sfalszowany paszport francuski opiewający na nazwisko Alicji Rendell. Powiedziano jej też, że kapitan Mario Medini wyjechał do Abisynii, jako francuski przyrodnik nazwiskiem Valentin Duroc...

— Teraz rozumiem! — wtrącił Gaston d’Harcourt z nagłym ożywieniem, które zgasło szybko. — Nie pojmuję tylko — dodał z wyrzutem — dlaczego uznałaś za stosowne zamieszkać u mnie.

— Tak mi radzono w Rzymie, gdzie dostałam twój tutejszy adres.

— Jak to! Oni wiedzieli, że dawniej byłaś moją przyjaciółką?

— Oni wiedzą wszystko.

— Ale Jonasz Mongosza również!

— Mylisz się. Z pewnością nie wie, iż przyjechałam do Abisynii jedynie dla odszukania męża.

— Za to wie sporo innych rzeczy. Że nie jesteś Alicją Rendell ani moją siostrą, tylko eks-kochanką. Że należysz do organizacji *Zielonych*, której członkowie są tu wyjęci spod prawa. Że od jego brata, Salomona wyłudziłaś jakąś ważną wiadomość i zakomunikowałaś ją swoim szefom. Że nocą wykradałaś się z mojej willi przez okno, dążąc na spotkanie z hersztem *Zielonych*, z tym łotrem Ibrahimem Er-Durusz...

— A gdzie dowody na...

— Dowody on posiada, bądź pewna. Inaczej nie ośmieliłby się mówić do mnie takim tonem, jakim mówił.

— Mnie to jednak dziwi ogromnie, że tyle ci nagadał, zamiast... jeżeli naprawdę posiada dowody mej winy... aresztować mnie natychmiast.

— Chciał uniknąć skandalu. Gdyby aresztował cię pod tym dachem, gdyby rozniosło się, że przedstawiałem jako siostrę włoskiego szpiega i członkinię bandy *Zielonych* byłbym skompromitowany bezprzykładnie. Diabli by wzięli całą moją karierę.

— Co może cię przed tym uchronić, według Jonasza?

— Twój natychmiastowy wyjazd. Dla zachowania pozorów powinnaś jutro rano zawiadomić telefonicznie nasze kółko, że otrzymałaś ważny telegram z Paryża i wyjeżdżasz za kilka godzin. Oczywiście wszyscy znajomi przyjdą na dworzec pożegnać się z tobą, będą świadkami twego odjazdu i twoja reputacja, a także moja... rozumiesz. Tak radził Jonasz. On też ma przyjść na peron, szelma, z kwiatami!

— Niesłychane! Jonasz chce pozwolić, by tak „niebezpieczne indywiduum” jak ja, wyjechało z Abisynii bezkarnie?! I ty w to wierzysz? O, w takim razie ja, choć jestem tu krócej niż ty, lepiej poznałam Jonasza i jego perfidne metody. Bo ja mam głębokie przekonanie, że zaraz za Addis Abebą zbiry jednookiego wywloką mnie z przedziału i rzuca pod koła pociągu.

Gaston d’Harcourt słuchał tyhia słów ze wzrastającym przerażeniem. Nie mógł im odmówić słuszności, dziwił się, że sam na to nie wpadł od razu, a potem oczyma duszy ujrzał okrutną wizję. Wizję poszarpanego przez koła wagonów ciała kobiety, którą kochał, pieścił, całował tyle razy.

— Nie! — krzyknął wstrząśnięty do głębi, zerwał się, podbiegł do Alicji i otoczył ją ramionami, jakby jej to potworne niebezpieczeństwo zagrażało już teraz. Przytuliła się do niego z ufnością, a tak mocno, że wyczuwał torsem krągłość jej piersi i ciepło idące od niej. W tym błogim cieple jego serce zmiękło jak wosk. — Madelon najdroższa, wysłuchaj mnie uważnie.

Nie rozwodził się długo nad tym, że jej sytuacja stała się tu beznadziejna, nie chciał przez to wyolbrzymiać przysługi, jaką zamierzał jej oddać. Nie omawiał też sprawy wyjazdu do Dżibuti według Jonaszowej recepty, skoro Madelon sama przejrzała chytre zamiary jednookiego. Po krótkim występie przedstawił swój własny plan. On, hrabia d’Harcourt, będzie utrzymywał nadal, że Alicja jest jego rodzoną siostrą, wdową po panu Rendell. Umieści ją w pałacyku poselstwa, w eksterytorialnym azylu, dokąd agenci Jonasza wtargnąć nie mogą pod grozą konfliktu z Republiką Francuską. Potem uda się na audiencję do cesarza, przedstawi mu całą sprawę, przedłoży francuski paszport „siostry” i zażąda dla niej listu żelaznego na przejazd przez terytorium Abisynii. Gdy Haile Selassie wyda taki cesarski glejt, Jonasz nie ośmieli się na żaden gwałt i Madelon bezpiecznie dotrze do Dżibuti. Zresztą on, Gaston, będzie jej towarzyszył w drodze. I ocali ją, przysięga, chociażby go to kosztowało natychmiastowe odwołanie z Addis Abeby. Pal licha całą karierę, jeśli w zamian...

Czując, że odsunęła się trochę, przytulił ją mocniej. Jest tylko jeden maleńki waruneczek.

Niech wrócą ich rzymskie czasy. Nie, nie, wyraził się niedobrze. W Rzymie była jego kochanką, dzisiaj on prosi ją o rękę. Za dwa, trzy tygodnie jego słodka Madelon może zostać hrabiną d'Harcourt, jeżeli zechce wyświadczyć mu tę łaskę.

— Zapominasz, drogi przyjacielu, że nie jestem wolna — wtrąciła chłodno.

Zirytowało go to. Ile miesięcy upłynęło od chwili, gdy kapitan Mario Medini nie dał znaku życia i nikt nie wpadł na jego ślad, chociaż „przyrodnika Valentina Duroca” szukano po całej Abisynii. Pomimo to ona jeszcze nie chce uwierzyć w jego śmierć!

— Zamilcz! — krzyknęła, przerażona tym przypuszczeniem.

Gaston wznowił swoje perswazje, ale mówił już ostrzej, w końcu przypomniał dawnej przyjaciółce, że musi wybrać jedno z dwojga: albo zostanie jego żoną, albo wpadnie w szpony Jonasza i zginie w mękach. Tertium non datur!⁽¹⁾ Czy wobec tego dalsze wahanie się ma jakikolwiek sens?

— Nie ma — przyznała, i gdyby to, co mnie, groziło mojemu mężowi, bez wahania przyjąłabym wszelkie twoje warunki. Ale ponieważ w grę wchodzi tylko moje życie, życie niewarte nic, skoro Mario, jak mówisz, zginął, więc... rozstaniemy się, Gastonie...

W swoim pokoju na piętrze szybko poskreślała osoby, na których pomoc nie mogła już liczyć: Gaston d'Harcourt, John Gliwa, Salomon Mongosza. Więc może Ibrahim Er-Durusz? Jego podziemnej kryjówki Jonasz nie znał, ale tam zagrażałoby jej innego rodzaju niebezpieczeństwo. Poczciwy Somalijczyk Dżid ostrzegł ją już dawno przed swoim panem, który nagle zapalał ku niej grzesznym afektem. Dlatego, choć szef wzywał ją do siebie parę razy służbowo, nie poszła. Ibrahim, to nie gentleman w rodzaju Gastona, lecz z grubsza ogładzony dzikus, to łotr zdolny do wszystkiego.

— A jednak muszę na razie ukryć się u niego — orzekła po długim namyśle. — Gdyby spróbował... strzelę mu w łeb. — Wolała nie myśleć o tym, że ostrożny Er-Durusz na pewno każe ją zrewidować i rozbroić, zanim zdecyduje się na spotkanie z nią w cztery oczy.

Otworzyła szafę. Wszystkie swoje suknie balowe i wizytowe pozostawiła w niej... Gastonowi na pamiątkę. Włożyła do walizy tylko najpotrzebniejsze rzeczy. Walizę miał ponieść Dżid, ona neseser i płaszcz. Na razie nic z tego nie zabrała, chciała pierw obudzić Somalijczyka, który obecnie z powodu deszczów, sypiał obok samochodu. Wyślizgnęła się z willi cichuteńko, wzdłuż południowej ściany budynku szła w stronę małego garażu Gastona. Deszcz zaledwie mżył, lecz w oddali grzmiało, zanosiło się znowu na burzę z ulewą, normalną w lipcu. W świetle jednej z błyskawic ujrzała z daleka cień. Czarny długi cień przecinał pionowo jasne wrota garażu. Oczywiście Dżid, najwyższy ze wszystkich służących Gastona i najbardziej chudy.

— Nie śpi, poczciwiec — ucieszyła się — czuwa, czeka, snadź przeczuł, że będzie mi dzisiaj potrzebny.

A jednak Somalijczyk wyglądał tak, jakby zdrzemnął się na stojąco. Plecami dotykał szerokich drzwi, głowę miał nisko zwieszoną. Zauważyła to, gdy łysnęło się ponownie. Jeszcze dziesięć kroków, jeszcze pięć, wreszcie podeszła tak blisko, że mogła go dotknąć ręką. Dotknęła, ponieważ nie odpowiedział nic, chociaż mówiła doń coraz głośniej. Zakołysał się dziwacznie.

— Masz twarde serce, Dżid. Chodź, poniesiesz mi walizkę. — Ledwie to powiedziała, miecz nowej błyskawicy rąbnął w czarne niebo, aż zagrzmiało. Wtedy dopiero spostrzegła wyprężony sznur nad głową Somalijczyka i język zwisający mu z ust aż na brodę. Ha, metody Jonasza...

Madelon wrzasnęła przeraźliwie, odskoczyła wstecz, potknęła się o coś, runęła jak długi. Wywołało to salwę śmiechu. Trzech muskularnych Negrów podskakiwało z radości wokół niej. Gdy powstała, cofnęli się pod ścianę willi, tym samym odcięli jej odwrót. Pobiegła w przeciwną

stronę, chcąc okrążyć dom, lecz oto zza węgła wyskoczył czwarty drab i gwizdnął na palcu. Madelon, nie zastanawiając się, co czyni, skręciła w prawo, pod górę. Tędy trzynaście dni temu zjeżdżał konno John Gliwa, wioząc dla niej pierścionek zaręczynowy. Dziwnym zrządzeniem losu, właśnie tędy musiała uciekać.

Wdzierała się coraz wyżej i wyżej gnana obłędym strachem. Ścigał ją chrzęst gałązek łamiących się pod stopami czterech prześladowców, ścigał szyderczy śmiech. Potem, gdzieś z boku zachichotała ohydnie hiena. Hieny to policja sanitarna Abisynii, czyli bardzo pożyteczne zwierzaki. Ale bardzo niemile dla słuchu i powonienia, a wręcz odrażające potwory, gdy uświadomić sobie, iż karmią się padliną. Madelon-Alicja wzdrygnęła się zawsze, ilekroć zabrzmiał pierwszy takt koncertu hien, chociaż słuchała go z daleka, w willi. A teraz szatański śmiech trupojadów rozlegał się tu obok niej w egipskich ciemnościach. Kiedy zaś łysnęło się od czasu do czasu, pień każdego drzewa łudzaco przypominał długą sylwetkę powieszzonego Somalijczyka. Z jego śmiercią odpadła koncepcja ucieczki pod opiekę Ibrahima, nie znała przecież wejścia do podziemi. Stwierdzenie tego faktu podcięło energię Madelon. Uciekała coraz wolniej, przez co wnet zmniejszyła się odległość między nią a pościgiem.

— O, czemu nie usłuchałam Gastona! — wyrwało się jej.

Zniechęcenie ogarniało ją przemożnie. Chwilami dziwiła się sobie, że jeszcze biegnie, przedziera się przez zarośla, że walczy o życie. Po co? Czy ma choćby jedną szansę na tysiąc, że ucieknie? I dokąd? — Do włoskiego poselstwa! — Powitała tę myśl z radością. Pałacyki wszystkich poselstw leżą po tej stronie Addis Abeby, a włoskie jest stosunkowo blisko, o pół drogi bliżej niż francuskie. — Za godzinę powinnam tam dotrzeć, jeśli idę w dobrym kierunku, jeśli te światełka na lewo to poselstwo belgijskie. — Obejrząwszy się w stronę miasta zmiarkowała, że zoczyła z kursu minimalnie. Za to omal nie utonęła przy przeprawie wpraw przez wartki potok, którego w porze suchej w ogóle nie można odnaleźć. Takich rzeczulek musiała przebyć jeszcze dwie, nie licząc strumyków. Po tylu kąpielach w sportowym kostiumie nie przeraziła jej ulewa, która w nocy z 13 na 14 lipca była szczególnie gwałtowna.

Czarni pretorianie Jonasza nie atakowali białej woizero. Mieli polecenie iść za nią krok w krok, gdyby nocą wyszła z willi i straszyć ją po drodze, by jej trochę rozhartować nerwy przed jutrzejszym badaniem. Jak dotychczas wykonywali ten rozkaz sumiennie, pomni, że Białej nie mają uczynić żadnej krzywdy, że tę przyjemność jednooki szef zarezerwował dla siebie. Lecz po godzinnym spacerze zorientowali się, iż biała woizero podąża do włoskiego poselstwa. Tego nie przewidział nawet Jonasz Mongosza. Jeden z Negrów popędził więc do miasta zawiadomić go o tym, a pozostali trzej łukiem zabiegli drogę Madelon i zaczęli wyczyniać swoje wrzaski przed nią, aby opóźnić jej pochód. Naśladowali głosy różnych bestii, ze szczególnym wyróżnieniem hien, z trzaskiem łamali jakieś gałęzie, aż w końcu zarzucili jej arkan na szyję.

— Ratunku! Na pomoc! — krzyknęła, co tchu w płucach.

Lasso spłynęło po jej smukłej sylwetce aż do kolan, dopiero wtedy zacisnęła się pętlica, a silne szarpnięcie podcięło jej nogi. Upadła. Upadała dziś setki razy, ale teraz miała nogi skrępowane. Krzyczała więc wniebogłosy, chociaż mało było prawdopodobne, aby kto usłyszał jej wołanie poprzez szum ulewy i wichru. A jednak usłyszał. Nie jeden! Pół tuzina ludzi, którzy przed chwilą wyszli tylną furtką z ogrodu okalającego siedzibę poselstwa, w tyralierce pobiegło ku miejscu, skąd dobiegały krzyki. W ciemnościach nastąpiło starcie z Negrami Jonasza, którzy zlikwidowali szybko dwóch przeciwników, lecz w końcu musieli pierzchnąć. Jeden z nich próbował porwać Madelon, ale wnet dopadł go ktoś z boku i powalił ciosem pięści w skroń. Czarny runął wraz ze swoją niedoszłą branką. Jej wybawca skierował na nią światło elektrycznej latarki, jaką właśnie zapalił.

— Europejka? — zdziwił się.

Jej kostium był podarty, uwalany w błocie, jej pończochy w strzępach. Jej ręce nosiły przeliczne ślady zadrapań, jej nogi na wysokości kolan ciasno opasał sznur. Jej twarz... Drgnął, odgarnął mokre włosy z oczu i z czoła, pochylił się niżej, patrzył, patrzył długo...

— Boże mój, to niemożliwe! — zawołał po włosku. — Takie podobieństwo?!... Kim pani jest? — zapytał energicznie. — Proszę mówić!

Madelon wydał się ten głos bardzo znajomy i miły, najmiłszy pod słońcem. Pamiętała jednak, co przeżyła dzisiejszej nocy, pamiętała przeprawę przez pierwszy potok, później długi bieg w odzieży przemoczonej do nitki, potem znów przymusową kąpiel w lodowato zimnej wodzie. Czy w tych warunkach nie mogła nabawić się zapalenia płuc?

— Mam silną gorączkę — wymamrotała — albo śnię. Skądże by...

Wtem piorun uderzył w jeden z eukaliptusów obok włoskiego poselstwa. Powódź oślepiającego światła zalała całą okolicę, wydarła ciemności to wszystko, co jeszcze okrywała swoim czarnym płaszczem. Na sekundę Madelon ujrzała tuż-tuż nad sobą twarz mężczyzny, który...

— Madelon! — krzyknął. — Czy to ty? Przemów nareszcie!

Przemówiła. Wpatrzona z bezmierną czułością w twarz człowieka najdroższego dla niej na świecie, z oczami, które szybko napełniały łzy szczęścia, powiedziała lub raczej wyszeptła w upojeniu:

— Wrócił!... Wrócił do mnie mój Mario!

KONIEC

Dalsze losy Taitu i innych osób opisał autor w powieści pt. IPERYT ZWYCIĘZCA.
ABISYŃSKA MATA HARI.

⁽¹⁾ Tertium non datur! (łac.) – Trzeciej [możliwości] nie ma.